

Siergiej Sadow
przełożyła: *Ewa Skórska*

Rzecz o zbłąkanej duszy
(wersja 1 - nieczytana)
tom 1

Lublin
2008

Część I

Zbłąkana dusza

Rozdział 1

Wracałem z zajęć w dość parszywym humorze – wdałem się w bójkę z jednym z moich zaprzysięgłych wrogów. Nie, żebym się skarżył, ale czy można mówić o uczciwej walce, gdy przeciwnik jest dwadzieścia kilo cięższy? Pod okiem miałem niezłą sliwę... Tak w ogóle unikam brutalnej przemocy. Żywię głębokie przekonanie, że siłowe rozwiązania nie mają większego sensu, a w sporach zawsze lepiej posłużyć się sprytem i inteligencją. Ale cóż, czasem nie da się inaczej, trzeba stanąć do walki, żeby nie zostać nazwanym tchórzem.

Wracając, spostrzegłem wujka, który stał sobie z boku, usiłując nie rzucać się w oczy. No dobrze, z tym „nie rzucać się w oczy” trochę jednak przesadziłem – skrzydlaci zawsze zwracają na siebie uwagę, choć, z drugiej strony, jego obecność nie była żadną sensacją. Od czasu, gdy wielki władca i reformator Gorujan zawarł z nimi pokój, skrzydlaci często bywają w naszych miastach, a my w ich. Tak właściwie to nazywają się inaczej, a skrzydlaci to przezwisko – oni z kolei mówią na nas „ogoniaści”.

Muszę powiedzieć, że wujek nie jest w naszym domu mile widziany; ojciec nawet mówi czasem, że nie ma brata – gardzi nim za to, że ten został aniołem, uważając, że to hańba dla całego naszego rodu.

– Nasza rodzina jest znana do piątego pokolenia! – powtarza często ojciec. – I wszyscy moi przodkowie byli porządnymi diabłami, a tu co? Jeden został skrzydlatym! Wstyd i hańba!

Ale ja podejrzewam, że nie do końca o to chodzi. Po prostu moja mama od dawna prowadzi z ojcem nierówną walkę o dobre maniere przy stole i ciągle stawia mu brata za przykład. Ojcu bardzo się to nie podoba i dlatego tyle mówi o hańbie, chociaż to, co zrobił wujek, od dawna nie jest za takową uważane. Jak powiedział wielki Gorujan, my i skrzydlaci robimy właściwie to samo, z tym, że my karzemy, a oni nagradzają. O co tu walczyć? Nie ma nic złego w tym, że jedni mają ogon, a inni skrzydła. Pod ciężkim brzemieniem wszyscy jesteśmy równi i wszyscy też jesteśmy równi wobec Niego. Ale o Nim lepiej nie mówić, On nie lubi, gdy diabły wymawiają Jego imię.

Jako się rzekło, ojciec wujka nie trawił, a ja przeciwnie, cieszyłem się z jego odwiedzin. I to wcale nie z powodu prezentów, które zawsze przynosił. Po prostu... było mi z nim dobrze. Jednak w tym momencie nie miałem ochoty na spotkanie, dlatego chciałem przemknąć niezauważony. Już myślałem, że mi się udało, gdy na moim ramieniu spoczęła silna dłoń.

– Tutaj jesteś, Ezergilu. Westchnąłem i odwróciłem się.

– Dzień dobry, wujku Monterrey.

Wujek przez jakiś czas przyglądał się siniakowi pod moim okiem.

– Mam nadzieję, że walczyłeś o sprawiedliwość – powiedział w końcu.

– Oczywiście, że nie! Przecież jestem diabłem! – obruszyłem się. Nie mam nic przeciwko sprawiedliwości, ale czasem lubię się tak powygłupiać.

– O, poznaję, poznaję fatalny wpływ mojego brata! – odparł surowo. – Tyle razy ci mówiłem...

– Ze karząc grzesznika, diabeł musi być równie sprawiedliwy, jak anioł nagradzający sprawiedliwego.

Wujaszek prychnął.

– Żarty sobie urządzasz?

– Ależ skąd, wujku. A co się stało, że wpadłeś w odwiedziny? Myślałem, że wybierasz się do nas w przyszłym tygodniu?

– Tak właściwie jestem tu służbowo, idę do waszego ministerstwa kar – wujek zaklął na myśl o diabelskiej biurokracji.

– Aniołowie nie przeklinają – upomniałem go.

– Mnie wolno, w końcu jestem byłym diabłem. Chyba mogę mieć jakieś stare przyzwyczajenia? – odparł zuchwale, jednak widać było, że jest zmieszany.

– Może wujek – zgodziłem się wspaniałomyślnie. – A co tam w ministerstwie?

– A, wasi mądrale znów coś namieszali. Jedną duszę przez pomyłkę zagarnęli dla siebie i teraz idę to wyprostować. A ponieważ to i tak po drodze, przyszło mi do głowy, że zajrzę do ciebie. Myślałem, że się ucieszysz.

– Cieszę się! Strasznie się cieszę! Wujku, a nie wzięłbyś mnie ze sobą? Proszę!!!

Monterrey z powątpiewaniem obejrzał moje podbite oko.

– Myślisz, że możesz się tam zjawić z takim limem?

Pomacałem siniak i popatrzyłem na niego żałośnie.

– Proszę...

Rzecz w tym, że mój skrzydlaty krewny jest kurierem nadzwyczajnym. Można by pomyśleć: wielkie mi

co, kurier! Ale cały sęk tkwi w słówku *nadzwyczajny*. Ponieważ jest byłem diabłem, to tam u nich doszli do wniosku, że właśnie on poradzi sobie z tym najlepiej. Słyszałem nawet, że wujek uchodzi za wybitnego specjalistę w swojej dziedzinie. Kiedyś obiecał, że jak nadarzy się okazja, weźmie mnie do ministerstwa kar. No, tak mu się wyrwało (nie wspominałem mu oczywiście o dodanych do kapuśniaku kropkach „słabości charakteru”), a ponieważ anioł nie może złamać danego słowa, zatem... No i teraz właśnie przyszedł spełnić obietnicę – a ja ze śliwą pod okiem! Znałem go doskonale i wiedziałam, że gotów jest przełożyć tę wyprawę na inną okazję, więc musiałem go urobić...

– Przecież jestem prawie dorosły! Niedługo skończę sto dwadzieścia lat! Muszę zacząć myśleć o wyborze zawodu! A nuż pójde pracować do ministerstwa?

Anioł westchnął ze smutkiem.

– Wprawdzie jesteś diabłem, ale i tak cię lubię – to był nasz dyżurny dowcip. – Dobrze, skoro już obiecałem wziąć cię ze sobą, dotrzymam słowa, ale to będzie pierwszy i ostatni raz!

Wydałem okrzyk radości i podskoczyłem na dwa metry w górę.

– Nie skacz, nie skacz... Pokaż ten swój uraz... Właściwie należałoby go zostawić w celach wychowawczych, ale...

Wujek dotknął siniaka i zamknął oczy. Poczułem przyjemne ciepło płynące z koniuszków jego palców i chwilę później po stłuczeniu nie zostało nawet wspomnienie.

– Super! – Pomacałem miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widniało spore limo. – Chciałbym umieć robić takie rzeczy! Mógłbym się bić, ile wlezie i nigdy nie byłoby żadnych śladów! – Ledwie to powiedziałem, już wiedziałem, że palnąłem głupstwo. Ostatniego zdania w żadnym razie nie należało mówić przy wujku – w końcu jest aniołem!

– Ach tak?! Więc chciałbyś nauczyć się leczyć nie po to, żeby pomagać, ale żeby ukrywać swoje występki?!

– Nie, wujku, oczywiście, że chciałbym pomagać! Zawsze jestem gotów iść z pomocą, ale przecież czasem można zrobić coś dla siebie...

– Nie ma co, diabeł zawsze pozostanie diabłem... Roześmiałem się. Wujaszek jako demaskator zawsze wyglądał dość zabawnie. Stawał się podobny do groźnego Michała... O, to dopiero był anioł... Do tej pory straszą nim dzieci, to znaczy diabłeta. Chwała Bo... tego... no proszę, nasłuchiwałem się wujka i o mały włos, a wymówiłbym zakazane imię! Chwała wszystkim, że tamte czasy dawno minęły i teraz między aniołami i diabłami panuje pokój.

Wujek, wcale nieurazony moim śmiechem, pokiwał głową.

– Tylko ci w głowie śmichy–chichy, a ja mówię poważnie. Używanie swoich talentów...

– Wujaszku, to co, idziemy do tego ministerstwa? Wujek westchnął.

– Aleś ty niecierpliwy, Ezergilu...

Machnął białymi skrzydłami, poczułem strumień powietrza, a potem jakaś siła poderwała mnie nagle do góry, świat zawirował... Tylko raz latałem z wujkiem... jeśli kiedyś zdecyduje się zostać aniołem, to tylko z powodu tych lotów. Kto nigdy nie latał, ten nie zrozumie mojego zachwytu. Rozłożyłem ręce na spotkanie wiatrowi... Śmiałem się i płakałem, byłem wiatrem i promieniem słońca. Ale oto lot dobiegł końca i już stanęliśmy na ziemi. To nie fair! Nie fair! Chcę latać, latać, latać! Ciągłe! Zawsze!

– Hu, hu! Jesteśmy na miejscu! Zawsze to samo!

– Wiem, wujku – westchnąłem, a potem rozejrzałem się.

Każdy w naszym mieście wie, gdzie znajduje się ministerstwo kar, wszyscy znają ponury majestat tego budynku górującego nad miastem. Ja i wujek skierowaliśmy się do głównego wejścia, obojętnie mijając kolejkę dusz czekających na swój wyrok. Większość zachowywała się spokojnie, ale niektóre usiłowały uciec. No i dokąd niby? To przecież tak, jakby próbować wydostać się z okrętu podwodnego... Zakrzywiona przesterzeń nieodmiennie zwracała śmiałków na poprzednie miejsce. Szczególny przypadek stanowili ci, którzy głośno i natrętnie domagali się adwokata. Cóż, myślę, że ich żądania zostaną spełnione, podobno w piekle jest wielu prawników. Można by ich umieścić razem, że tak powiem, w jednym kotle. Chociaż ja osobiście uważam, że kotły to przeżytek, pozostałość po średniowieczu. Istnieją przecież bardziej wyszukane warianty kar; wystarczyłoby podpatrzeć u ludzi...

Przejście zagroziło nam dwóch diabłów z widłami. Wujek w milczeniu okazał przepustkę; diabły z nieukrywaną złością patrzyły na jego skrzydła, ale nie mogły go zatrzymać. Obaj strażnicy byli siwowłosi – starszankowie dobiegający dziewięćsetki i zapewne pamiętający słynne bitwy z aniołami... Pewnie ciężko im przywyknąć do nowych czasów, do tego, że aniołowie nie są już naszymi wrogami. A ja to w ogóle nigdy nie rozumiałem, o co właściwie z nimi walczyliśmy. Grzesznicy dla nas, sprawiedliwi dla nich – i już! Walczyć o ludzkie dusze? Po co? Przecież i tak to my dostajemy więcej.

Pograżony w rozmyślaniach nawet nie zauważyłem, że znaleźliśmy się w głównym korytarzu. Dreptałem za wujkiem, który kroczył zamasyżycie i przypatrywałem się ponurym stalowym drzwiom po prawej i lewej stronie. Tam, jak wiedziałem z zajęć w szkole, znajduje się właśnie to, dla czego w ogóle istnieją diabły.

Niespodziewanie wujek zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wyhamowałem w ostatniej chwili, zdumiony popatrzyłem na wujka i też zacząłem nasłuchiwać, ale zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. No proszę,

zdolności aniołów znacznie przewyższają nasze! Z drugiej jednak strony, oni nie mogą korzystać z większości swych umiejętności – z powodu moralności. . .

Wujek podszedł do jednych drzwi i leciutko je uchylił. Usłyszeliśmy przeciągły pijacki śpiew na dwa głosy.

Wujek zajrzał do środka i osłupiał. Ja wsunąłem głowę pod jego łokciem i też zajrzałem, ciekaw, co tak go zaintrygowało.

Na środku pokoju na łańcuchu był podwieszony wielki kocioł, pod którym wesoło huczał Niegasnący Płomień. Obok siedział pijany diabeł, w jednej ręce trzymał widły, drugą obejmował duszę grzesznika. To właśnie oni śpiewali tęskną dumkę na dwa głosy.

– Dobry z ciebie ten. . . no, człowiek, Fiedia – mówiła dusza płaczącym się językiem.

– Nie jestem. . . iik. . . człowiekiem. Jestem diabłem, Wania, diabłem i taka już moja czarica doła! Myślisz, że lubię nosić te diabelskie drwa? Guzik! A muszę, Wania, muszę. Obowiązek.

– Jak ja cię rozumiem! Myślisz, że za życia lubiłem zabijać ludzi? Wychodzę z kastetem na ulicę, staję za rogiem, i aż mi serce pęka z żalu! Myślę sobie, zabiję dobrego człowieka i jego dzieci staną się sierotami. . . I taka mnie żalność brała, że nic, tylko sięść i wyć! Ale cóż począć. . .

– Dobra z ciebie dusza, Wania.

– To samo mówię. . . A jednak kat wcale nie docenił mojej dobroci!

– No dobra, Wania, włącz powrotem. Fajnie się z tobą gada, ale włącz do kotła.

– Yk. . . Już, już. . . Teraz do łaźni, a potem znów po setce?

– W porządku. . .

Wujek zamknął drzwi i zerknął na mnie.

– Niczego nie widziałeś! – szepnął surowo.

– Czego nie widziałem? – Wzruszyłem ramionami.

– Niczego – odparł i poszedł korytarzem dalej. W końcu dotarliśmy do gabinetu administracji.

– Zaczekaj tu. Nie powinienes patrzeć, jak się dorośli kłóca. – Wujek otworzył drzwi i wszedł do środka. – No, ogoniaści! – zawołał. – Co żeście tu znowu nawyprawiali?! Znowuście namieszali?

– To ty, Monterrey? – jęknął ktoś za drzwiami. – Tyle razy prosiłem wasze kierownictwo, żeby przysyłałi kogoś innego. . .

– O, niedoczekanie twoje. . .

A potem już nic nie słyszałem, ponieważ ku mojemu ogromnemu żalowi drzwi się zamknęły. Ale nie byłbym diabłem, gdybym nie zaczął podsłuchiwać. Dotknąłem drzwi, dostrajając się, a potem zacząłem ostrożnie wpuszczać słuch do środka. I niemal w tej samej chwili z drzwi wyrosła głowa wujka.

– I nie podsłuchiwać!

Pokazałem fantomowi język, chociaż to było głupie. Wujek na pewno przejrzy potem nagranie i zobaczy. . . No i dobrze. W końcu jestem diabłem czy nie?

Z nudów zacząłem szwendać się po korytarzu, oglądając rysunki na drzwiach – mimo wysiłków nie znalazłem dwóch takich samych. . . W pewnym momencie obok mnie przemknął ktoś z cichym szelestem. Oskoczyłem od kolejnych drzwi i popatrzyłem na fantom. . . Chociaż nie, to nie był fantom! Tylko ludzka dusza emituje taki blask. Dziwne. . . Co tutaj robi dusza? Uciekła? Ee, chyba nie. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Zresztą, lśnienie było zbyt jasne jak na duszę grzesznika. A jeśli to nie grzesznik, co by tu robił? Jego miejsce jest gdzie indziej, na górze. . .

Wzruszyłem ramionami i poszedłem dalej. Ech, gdybym wtedy wiedział, ile wycierpię przez tę głupią duszę, postarałbym się jak najszybciej o niej zapomnieć. . . A zresztą, może i nie. . . Niestety, chociaż jestem diabłem, nie potrafię zobaczyć przyszłości.

Wróciłem przed gabinet administratora i ujrzałem tam wujka oraz biegającego wokół niego niskiego, grubiotkiego czarta.

– Monterrey, może pan być spokojny, ten błąd zostanie naprawiony. Zwrócimy duszę tego człowieka! Rozumiecie, biurokracja. . . Chłopcy się pomylili, złapali nie tego, co trzeba. . .

– Mam nadzieję, że nie będę musiał tu wracać?

– Ależ co też pan, Monterrey! – w głosie administratora dźwięczała czysta groza. – Zrobimy wszystko jak należy.

Wtedy pomyślałem, że chyba powinienem opowiedzieć o duszy kręcącej się po korytarzach. Mogłem trzymać język za zębami, bo w sumie, co mnie ta dusza obchodziła? Niech się nią zajmą ci, którzy powinni. Ale jak już mówiłem, nie miałem pojęcia o przyszłości, więc odchrząknąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę i opowiedziałem o spotkaniu. Moja nowina nie zrobiła najmniejszego wrażenia na administratorze, za to zaintrygowała wujka. Popatrzył pytająco na grubasa, ale ten tylko machnął ręką.

– Tak, jest tutaj taka. Trzeci dzień łązi po korytarzach. Zagubiona dusza. Nie może się określić, dokąd ma iść, do nas, czy do was i chyba coś ją jeszcze trzyma na ziemi, bo czasem tam wraca. Obrzydła nam bardziej niż modlitwy grzeszników! Gdyby nie umowa ze skrzydlatymi, już dawno byśmy ją rozwiali.

Wujek popatrzył na mnie jakoś dziwnie, a potem powiedział groźnie do administratora:

– No, tylko spróbujcie ją rozwiąć! Będziecie mieli takie nieprzyjemności, że. . . – wujek zamilkł znacząco, zaś administrator przełknął ślinę.

– Ależ my nie mamy zamiaru nikogo rozwie... ee...

Wujek gestem zmusił go do zamilknięcia i znów spojrzął na mnie.

– Kiedy jest początek tej twojej letniej praktyki?

– Ee... – zacząłem uważnie oglądać sufit. – Tak właściwie to jutro...

– Wybrałeś sobie już jakieś zadanie?

– No wujku, przecież to nie moja wina, że mnie nic...

– Rozumiem, że nie znalazłeś. Doskonale. Przyjmijmy więc, że praktykę masz już załatwioną. Przecież szanowny administrator nie odmówi chyba mojej niewielkiej prośbie?

Administrator pokrył się potem.

– Ależ oczywiście, że nie, szanowny Monterreyu... Tylko że to nie jest najlepsze miejsce praktyki dla chłopca...

– Czy pan myśli, że wysłałbym bratanek do waszej katowni?! – oburzył się wujek. – Za kogo mnie pan bierze! Chodziło mi o co innego; mój bratanek zajmie się tą zbłąkaną duszą.

Ups...

– Ale... wujku...

– Co „wujku”? Chcesz zostać na drugi rok? A może masz jakieś inne propozycje?

Nie miałem, więc się już nie odezwałem. Zwłaszcza, że nasz wychowawca jasno dał mi do zrozumienia, iż jeśli do jutra nie załatwię sprawy praktyki, to wstawi mi niedostateczny.

– Świetnie – mówił dalej wujek. – W ramach praktyki mój bratanek dowie się wszystkiego o tej duszy: dlaczego nie może się określić w sprawie swojego, że tak powiem, miejsca zamieszkania. Co ją jeszcze trzyma na ziemi? Krótko mówiąc, pomoże jej.

– Ale ja jestem diabłem, nie aniołem! Wujku, przecież wystarczy, że pstrykniesz palcami i od razu wszystkiego się dowiesz!

– Możliwe, ale wtedy zostaniesz bez praktyki. Poza tym, jeśli my, starzy, całymi dniami będziemy pstrykać palcami, młodzi niczego się nie nauczą. No więc, jak będzie, panie administratorze?

– Z przyjemnością, panie nadzwyczajny kurierze. To wspaniale, że ktoś się wreszcie zajmie tą duszą. A jeśli pański chłopak się wykaże, mogę mu zagwarantować pracę w naszym ministerstwie.

Ooo!!!

– Zgadza się! – zawołałem czym prędzej. Wujek skrzywił się, ale skinął głową.

– Doskonale. Do widzenia, panie administratorze, wszystkiego dobrego.

– Wszystkiego dobrego, panie Monterrey... Może pan być spokojny, zaraz załatwię odpowiedni dokument dla szkoły, znam imię pańskiego bratanek.

Wychodząc z budynku ministerstwa, miałem już nieco groszy humor niż wtedy, gdy do niego wchodziłem.

Kto by pomyślał, że wujek podłoży mi taką świnię? Z drugiej jednak strony, musiałem znaleźć jakieś zajęcie, więc w sumie nie ma co narzekać. Chociaż nie, jest na co! Przecież jestem diabłem, a to znaczy, że powinienem sprowadzać ludzi na złą drogę! A co będę robił na letniej praktyce? Pomagał! Właśnie! Będę pomagał tej diabelskiej duszy uzyskać spokój! No nie! Gdy wielki Gorujan planował fundamentalne przemiany, na pewno nie spodziewał się czegoś podobnego. No dobra, mogło być gorzej...

– To co, lecimy teraz do domu?

Wzmianka o locie od razu poprawiła mi nastrój. Może naprawdę zostanę aniołem, tak jak wujek? Żadne słowa nie opiszą tego upojenia, które ogarnia mnie, gdy lecę ponad miastem...

Nie czekając na moją zgodę (w końcu wujek dobrze mnie znał), mój skrzydlaty krewny pochwycił mnie i oto już lecieliśmy nad ziemią. Pod nami migały drzewa, domy... Z tej wysokości diabły wydawały się śmiesznie malutkie...

W pewnej chwili wujek zrobił ostry wiraż i zaczął pikować w dół. Dopiero wtedy zobaczyłem, że już dolatujemy do naszego domu. Jak zawsze lot wydał mi się zbyt krótki. To nie fair! No dlaczego tylko anioły mają skrzydła? Czy my, diabły, jesteśmy gorsi?

Wujek ostatni raz machnął skrzydłami, lądując na trawniku przed naszym domem.

– To co, chcesz, żebyśmy was odwiedził?

Jeszcze jedna idiotyczna zasada: anioły nigdy do żadnego domu nie wejdą bez zachęty ze strony gospodarzy. Zresztą, my też nie możemy. Słusznie ludzie mówią, że diabeł nie przychodzi bez zaproszenia... Zapominają tylko, że anioł to džentelmen, zatem jego też należy wpuścić do swojego domu, zachowując odpowiednie formy...

– Oczywiście, wujku. – Skinąłem głową i otworzyłem przed nim drzwi. Cichutko zadźwięczał dzwoneczek, powiadamiając o naszym przybyciu. Monterrey z aprobatą skinął głową, a następnie dokładnie wytarł buty szmatką, która nie wiadomo skąd zjawiła się w jego ręku.

– Prowadź więc. Gdzie są wszyscy? Zresztą, po co ja pytam, znając mojego brata, nietrudno się domyślić, że jest w kuchni. Jak zwykle siedzi w podartych spodniach, brudnym podkoszulku i zre.

– Je – poprawił go głos naszego domowego.

– Żre! – uparł się wujek.

Wyobraziłem sobie ojca przy posiłkach i musiałem przyznać krewnemu rację. Ojciec nie jadł, on naprawdę żarł.

– Nafania – poprosiłem domowego – powiadom wszystkich, że mamy gościa.

– Już to zrobiłem – rozległ się głos. – Czekają na was w kuchni, gdzie pan domu raczy spożywać pielmienie.

Wujek parsknął śmiechem. Jeden ruch ręki i jego skrzydła zniknęły. Potem poprawił śnieżnobiałą strój i poszedł w stronę kuchni. Podreptałem za nim.

Nie mogę powiedzieć, żeby rodzice ucieszyli się z przybycia wujka. Ojciec jak zwykle siedział przy stole w brudnym podkoszulku i jadł pielmienie rękami. Na widok brata zaklął i wytarł ręce o podkoszulek. Mama skrzywiła się.

– O, mój drogi rodzony – rzekł kwaśno tata. – Dawno cię u nas nie było.

Wujek w swoim wspaniałym białym stroju wyglądał przy ojcu jak księżę obok bezdomnego. Majestatycznie skinął wszystkim głową, z galanterią ucałował dłoń mamy, po czym usiadł przy stole. Ojciec ściągnął brwi. Tak, różnica między nim i wujkiem była w oczy.

– Praca, praca, drogi braciszku – wujek zapożyczył ten zwrot od ojca, ale włożył w niego arystokratyczną drwinę.

– Gosza, wytrzyj ręce w ścierkę! – poprosiła mama.

Ojciec spojrział na nią zdumiony.

– Dlaczego? Podkoszulek mam bliżej... To z czym przychodzisz, braciszku?

– Gosza? Masz nowe imię? Dobrze, to nieważne, niech będzie Gosza. Nie w tym rzecz...

Usiadłem w kącie, z ciekawością zacząłem się przysłuchiwać rozmowie. Wieczór zapowiadał się interesująco. Czy może być coś przyjemniejszego dla diabła niż kłótnia w rodzinie? Oczywiście pod warunkiem, że to nie dotyczy ciebie...

– Przyszedłem porozmawiać o twoim synu. Ups! Wykrakałem! Pora się zmywać... Ostrożnie poszedłem do wyjścia... i wpadłem na mojego starszego brata.

– Czego? – spytał ponuro. Brat, starszy ode mnie prawie dwieście lat, uważa się za ważną osobę, chociaż jest tylko roznosicielem poczty w ministerstwie informacji. Jego pojawienie się zwróciło uwagę wujka.

– Ezergil, ty dokąd? Witaj, Zoregul.

– O, wujek. – Brat skinął głową.

Nie lubił wujka chyba jeszcze bardziej niż ojciec, od dnia, gdy wujek wytargał go za uszy za to, że braciszek próbował ukraść mu skrzydła, jakieś dwieście pięćdziesiąt lat temu. Nie, Zoreg nie jest złośliwie pamiętliwy – po prostu jest zły i nie skarży się na pamięć.

– Chciałbym pomówić o waszym synu, Ezergilu – rzekł wujek. – Drogi bracie, zapewne jesteś świadom, że jutro ma rozpocząć letnią praktykę? I na pewno wiesz, że jeśli jej nie odbędzie, zostanie na drugi rok?

– Poważnie? – zdumiał się ojciec. – Synu, czemuś nic nie powiedział? Znaleźlibyśmy ci miejsce tej, jak jej tam, praktyki.

– Jestem już dorosły! – zasyczałem oburzony. – Mam prawie sto dwadzieścia lat! Za sześćdziesiąt dostanę własny ogon!

– A rogi będziesz miał, jak się ożenisz! – zarżał mój brat.

Skrzywiłem się. Od jego płaskich żartów czasem mogło zemdląć, chociaż on sam uważał te marne dowcipy za szczyt humoru. Wujek spojrział na Zorega z góry, ale powstrzymał się od komentarzy.

– Znalazłem praktykę dla waszego syna. W ministerstwie kar. Ma pomóc pewnej zbłąkanej duszy...

– Co? Pomóc? To przecież diabeł! On nie ma pomagać! On ma, przeciwnie, kusić ludzi, zabierać im dusze! Pamiętam, jak polowałem na jednego świętego – zaśmiał się ojciec. – Dawno to było... Niby taki święty, a kiedy mu pokazałem monetki, jakoś szybko o świętości zapomniał...

– Aha – skinął głową wujek. – Tylko zapomniałeś opowiedzieć, jak potem uciekałeś przed Archaniołem Michałem, ponieważ to pod jego opieką znajdował się ów święty. Nawet ogon zgubiłeś i dwa tygodnie kryłeś się na ziemi, póki cię nie odnalazłem. A ogon na zawsze został u Michała w charakterze trofeum.

– Tato, nigdy o tym nie mówiłeś... – wtrąciłem się.

– Cicho bądź! – huknął na mnie ojciec. – Monterreyu, wstydylibyś się hańbić ojca przed synem!

Wujek zignorował tę uwagę.

– No to co będzie z praktyką? Ojciec westchnął ciężko.

– To przecież diabeł... – powtórzył

– Tym bardziej! Naucz się orientować w stosunkach międzyludzkich, poza tym, przecież to praktyka w ministerstwie kar!

Ten argument ojca przekonał. Nic dziwnego! Chyba każdy diabeł marzy, żeby pracować w tym najbardziej prestiżowym urzędzie piekła... A jaka tam konkurencja!

– Dobrze. Czego konkretnie ode mnie chcesz? Wujek pstryknął palcami i na stole zmateriałizowała się kartka papieru.

– Załatw podanie.

Ojciec zerknął na mnie, jeszcze raz wytarł ręce w podkoszulek, napisał, co trzeba i złożył podpis. Wujek błyskawicznie wyrwał mu kartkę i przeczytał.

– Starasz się – pochwalił ojca. – Zaledwie dwa tuziny błędów. Zuch! – znów pstryknął palcami, kartka natychmiast zniknęła. – No dobrze, odesłałem. Ezergilu, nie zawieź mnie. Przecież osobiście złożyłem prośbę w twojej sprawie.

Ha! Już ja widziałem, jak on prosił! „Potrzebuję tego i tego – i to szybko!”

Zgnębiony skinął głową.

– Tak, wujku Monterrey.

– Dobrze. Jutro przed rozpoczęciem praktyki spotkamy się jeszcze raz. Do widzenia, braciszku. Tęsknić za mną nie musisz. Madame... – Wujek znów ucałował dłoń mamy, wprawiając ją w zachwyty. Ojcu ogon stanął dęba. Burknął coś o skrzydlatych, którzy mają o sobie zbyt wysokie mniemanie – wujek skłonił mu się złośliwie i zniknął.

– Co za nudziarz – burknął mój brat.

– Wcale nie! – zaprotestowałem.

– Cicho mi tu, obaj! – warknął ojciec, a potem westchnął ze smutkiem. – Krewnych się nie wybiera. Że też w porządnej diabelskiej rodzinie musiał się trafić taki wyrodek...

Postanowiłem jak najszybciej zniknąć z kuchni. Ojciec potrafił całymi godzinami rozwódzić się nad swoim „wyrodnym” bratem. To nawet może być ciekawe, zwłaszcza gdy słyszy się tę opowieść pierwszy raz. Albo drugi czy trzeci... No, w ostateczności czwarty. Ale po raz sto czwarty...

– Dobrej nocy – powiedziałem zza drzwi. To był najpewniejszy sposób uniknięcia ojcowskiego wykładu.

– Mały musi jutro wcześniej wstać! – powiedziała od razu mama. – Idź, synku, idź. Odpocznij. Zmęczyłeś się dzisiaj...

Rozsądnie powstrzymałem się od odpowiedzi i czym prędzej zniknąłem w swoim pokoju. Jutrzejszy dzień zapowiadał się interesująco...

Rozdział 2

W szkole „na dzień dobry” przywaliłem teczką mojemu zagorzałemu wrogowi i od razu ukryłem się za iluzją. Ksefon nigdy nie był orłem, jeśli chodzi o uroki, dlatego nie bałem się, że mnie zobaczy. Zza iluzji obserwowałem, jak kręcił się w kółko, próbując dojrzeć, kto go uderzył.

– Ezergil, draniu jeden! Przecież wiem, że to ty! Wyłaż!

Aha, już lecę...

– Wykorzystujesz to, że nie jestem mocny w urokach!

A co ja jestem temu winien? Trzeba się było uczyć, nie latać po kawiarniach... Jeśli chodzi o uciekanie z lekcji, Ksefon nie miał sobie równych. I mimo to, z niezrozumiałych dla mnie względów, był ulubieńcem naszego wychowawcy.

– Poczekaj, jeszcze cię dorwę...

Stworzyłem swoją podobiznę i na chwilę wysunąłem ją zza iluzji, a potem skierowałem do wyjścia.

– Aha! – szepnął Ksefon ze złośliwą radością. – Wcale nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje...

I zaczął skradać się za ledwie widocznym obłokiem, za którym – jego zdaniem – ukrywałem się ja.

– No, trzymaj się! – wrzasnął, ruszając do ataku. Naturalnie moja podobizna nie zareagowała na ten cios – Ksefon przeleciał przez fantom i wpadł w popiersie Gorujana. – Au! – zawył.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem; rzecz jasna, iluzja od razu się rozwiązała. Ksefon patrzył na mnie z jawną nienawiścią. Jednak najgorsze było to, że jego pogrom widziało kilkunastu kolegów z klasy! Świadkowie od razu wybuchli śmiechem.

– Ładnie cię przerobił, Ksefon – zauważyła Klenny, chichocząc. – A widzisz, trzeba się było uczyć uroków!

Ksefon mamrocząc coś pod nosem, poszedł do drzwi klasy, wlokąc za sobą teczkę i pocierając czerwony, spuchnięty nos.

– Może powinieneś iść do lekarza... – poradziłem, zadowolony, że udało mi się odplącić za wczorajszego siniaka.

– Idź w cholere... aniołeczku! – warknął.

Uu, nazwać diabła aniołem... To była straszna obraza. Już miałem się na niego rzucić, gdy pod klasą zjawił się wychowawca. Popatrzył na nas z wyżyn swojego gigantycznego wzrostu, machnął ogonem zakończonym eleganckim pędzlem i poprawił okulary.

– Taak – powiedział. – Ezergil, znowu chuliganisz?

– Ja?! – oburzyłem się. – A słyszał pan, jak on mnie nazwał?

Skupieni wokół koledy poparli mnie. Nauczyciel obrzucił wszystkich chłodnym spojrzeniem, zapanowała cisza.

– Biorąc pod uwagę pewnego twojego krewnego – uśmiechnął się – dla ciebie to słowo nie powinno być obraźliwe.

Sposepniałem. Mój wujek to mój wujek, a ja to ja. Ale spieranie się z nauczycielem jeszcze nigdy nikomu nie wyszło na dobre.

– Tak jest, panie Wikientiju.

Wychowawca był chyba rozczarowany moją potulnością. Nic dziwnego, pozbawiłem go takiej wspaniałej możliwości ukarania niewygodnego ucznia... Wikesza, jak nazywałem naszego wychowawcę, nie lubił mnie, ale nic nie mógł ze mną zrobić – byłem jednym z pięciu najlepszych uczniów w szkole, brałem udział w kilku olimpiadach i raz nawet zająłem drugie miejsce. Dlatego też dyrektor szkoły polecił wszystkim nauczycielom pomagać mi w razie konieczności. Czyli z tej strony nasz Wikesza nie mógł nic zdziałać – każde zaniżenie moich osiągnięć z jego przedmiotu równałoby się rozmowie z dyrektorem. I wtedy Wikientij, przebiegły jak wszystkie diabły, zaczął zawyżać mi oceny w nadziei, że stracę czujność i przestanę się uczyć jego przedmiotu. Nic z tego! Może jestem leniwy, ale nie głupi. Jak tylko przejrzałem plan naszego wychowawcy, jego przedmiotu zacząłem się uczyć ze zdwojoną energią. A po każdej odpowiedzi sam siebie oceniałem bardzo krytycznie. Według mnie należały mi się czwórki, może z niewielkim plusem, a w dzienniku figurowały same piątki z dwoma, a czasem nawet trzema plusami.

– Dobrze – rzekł Wikientij – przedstawienie skończone, wszyscy do klasy. Pamiętajcie, że dziś ostatni dzień zajęć i otrzymacie świadectwa? No już, do klasy, dzieci, do klasy.

Wpadliśmy hurmą do sali i zajęliśmy swoje miejsca. Wikientij wszedł ostatni, podszedł do biurka i otworzył dziennik.

– A więc – zaczął – oto kolejny rok szkolny dobiegł końca. Pięćdziesiąt lat temu jako siedemdziesięcioletni

malcy weszliście tutaj po raz pierwszy. Od tamtej pory wiele się dowiedzieliście i wiele zrozumieliście. Jednak ten rok jest dla was szczególnie ważny z zupełnie innego powodu – tego lata po raz pierwszy będziecie odbywać praktyki. Bez zaświadczenia o ukończeniu praktyki nie otrzymacie promocji do następnej klasy i zostanieie na drugi rok. Co dla prawdziwego diabła oznacza taka praktyka, nie muszę wam mówić. Dlatego też z ogromną przykrością informuję, że jeden z was do dziś nie zgłosił mi, gdzie będzie ją odbywał.

Skuliłem się pod jego lodowatym spojrzeniem.

– I jeśli ten ktoś w ciągu dziesięciu minut nie dostarczy odpowiedniego zaświadczenia, będę zmuszony postawić mu niedostateczny.

„No, wujku, co z tobą?” – zawyłem w duchu i w tej samej chwili na biurku wychowawcy zmaterializował się jakiś zwitek. Wikesza przez dłuższą chwilę przyglądał mu się zaskoczony, w końcu wymruczał:

– Przepraszam, pilna poczta... – Wziął zwitek, przestudiował go, w końcu rzekł: – Nic nie rozumiem, pieczęć ministerstwa kar?... – Rozwinął zwój i zagłębił się w czytaniu. Potem wykrzywił się i utkwiał we mnie wzrok. – Ezergili! – wrzasnął.

Zerwałem się z miejsca.

– Tak, panie Wikientiju? Nauczyciel znowu się skrzywił.

– To z ministerstwa kar. Zaświadczenie, że pewien uczeń naszej szkoły, Ezergil, tam właśnie będzie odbywał letnią praktykę.

„Dzięki, wujku!”

– Nie ma co szczyrzyć zębów! – huknął nauczyciel. – Skoro już z nieznanego mi powodu dostąpiłeś takiego zaszczytu, to przynajmniej nie przynieś nam wstydu! Zresztą, proszenie cię o to i tak nie ma sensu... aniołeczku.

Klasa zamarła, a ja poczerwieniałem. Nauczyciel podszedł do biurka i chciał usiąść na krześle, ale w ostatniej chwili krzesło odsunęło się i Wikientij z rozmachem siadł na podłodze.

– Ezergil!!! – wrzasnął, zrywając się z podłogi wśród chichotów całej klasy.

– Słucham? – zapytałem, odrywając się od studiowania krajobrazu za oknem. Popatrzyłem na nauczyciela niewinnym wzrokiem. No śmiało, niech udowodni, że to ja. Przecież nie ukarze całej klasy.

Wikientij też zrozumiał, że nie ma żadnych szans na udowodnienie mi winy.

– Siadaj – warknął. Czym prędzej wypełniłem polecenie. – A więc, skoro już wszyscy mają załatwione praktyki, odczytuję listę klasy. Wyczytany przeze mnie uczeń podchodzi i podpisuje odebranie świadectwa.

Wikientij znowu chciał usiąść za biurkiem, ale popatrzył w moją stronę i jednak tego nie zrobił. Wziął dziennik i zaczął czytać na stojąco. Byłem praktycznie na końcu listy, więc ze znudzoną miną patrzyłem, jak koledzy podchodzą po kolei do nauczyciela, w tabeli podpisują odbiór świadectwa. Dziewczyny robiły rewerans, chłopaki lekko kłaniali się nauczycielowi i wracali na miejsca.

– Ksefon – odczytał Wikientij. – Ksefonie, ty odbywasz praktykę u mnie. Zadanie otrzymasz później, zostań na chwilę po zajęciach.

No tak, jasna sprawa, Wikesza nie mógł pozwolić, żeby jego pupilek nie zaliczył praktyki, co mogłoby się zdarzyć, gdyby odbywał ją gdzie indziej...

Na wieść, że ma zostać dłużej w szkole, Ksefon skrzywił się. Głupi, nie rozumiał, że dla niego to jedyne rozwiązanie.

– Ezergil – usłyszałem w końcu swoje imię. Szybko podszedłem do biurka, podpisałem się. Wikientij znów zajrzał do zwitka i rzekł: – Masz się dziś stawić o czwartej do głównego budynku ministerstwa, główne wejście. Oto przepustka.

W milczeniu wziąłem przepustkę i usiadłem na swoim miejscu – bardzo ostrożnie. Tak jak się spodziewałem, w ostatniej chwili krzesło próbowało wyskoczyć spode mnie, ale byłem czujny i dlatego tylko szarpnęło się, ale pozostało na swoim miejscu. O, muszę powiedzieć, że Wikesza bardzo mnie rozczarował... Żeby kopiować sztukę ucznia... Co za brak stylu! Naprawdę nie mógł wymyślić nic lepszego? Udałem, że nic nie zauważyłem.

Wikientij spurpurowiał i rzekł:

– Zajęcia skończone – po czym szybkim krokiem wyszedł z klasy.

I wtedy koledzy otoczyli mnie i zasypali pytaniami:

– Szczęściarz!

– Ale fart!

– Przyznaj się, jak ci się udało dostać takie super – miejsce na praktykę?!

– No, w samym ministerstwie kar!

– I co tam będziesz robił? Sortował grzeszników? Pewnie nie, to w końcu odpowiedzialna praca, trzeba zważyć każdą winę, wyznaczyć odpowiednią karę...

– Pewnie każą mu podkładać drwa pod kotły – burknął Ksefon, ale nikt go nie słuchał; to wyraźnie nie był jego dzień.

A ja zacząłem kłamać jak najęty:

– Szczęściarz? Myślicie, że to kwestia fartu? Dla jednych to może fart, a w przypadku innych efekt długotrwałych przygotowań! Już na początku roku pisałem list do ministerstwa, potem przechodziłem różne testy

i sprawdziany... Wybrali mnie spośród setki... tysiąca kandydatów! Wczoraj byłem osobiście u administratora, a tam powiadomiono mnie, że wygrałem konkurs. A wy mówicie, że to fart.

– Ooo! – westchnęła zachwycona klasa.

– No wiesz?! – oburzył się Kront. – I nic nie powiedziałeś? Może ja też bym spróbował?...

Pozostawiłem tę wypowiedź bez komentarza. Jedyne spojrzałem na niego z góry, dając do zrozumienia, co myślę o jego szansach. Zresztą, on sam świetnie wiedział.

– Jeszcze nie wiem, co tam będę robił – łągałem dalej – ale możliwe, że sam administrator weźmie mnie na pomocnika. – Zrozumiałem, że przesadziłem cokolwiek, więc szybko się poprawiłem: – No, tu już trochę za bardzo pojechałem. Ale pewnie będę pracował razem z nim; mam sortować pocztę, przeglądać akta grzeszników...

– Ooch... – rozległo się westchnienie zachwytu.

– No dobra – skinałem głową z miną waźniaka. – Sami rozumiecie, że na mnie już czas. O czwartej mam być w ministerstwie, a jeszcze muszę się przebrać, załatwić różne sprawy. Na razie!

I czym prędzej wypadłem na korytarz, jednak wcale nie do wyjścia. Tak jak podejrzewałem, wybiegło za mną kilka osób. Obserwowałem ich zza rogu. Szukając mnie, polecili do głównego wyjścia – na czele tego towarzystwa pędził oczywiście Ksefon. Śmiejąc się z niego w duchu, poszedłem do tylnych drzwi. Nietrudno zgadnąć, w jakim celu Ksefon i jego kumple chcieli mnie dorwać. Cóż, naprawdę, to stanowczo nie był jego dzień.

Mijając gabinet dyrektora, usłyszałem głos wychowawcy. Czy mogłem przegapić taką okazję? Natychmiast wskoczyłem do sekretariatu, schowałem się za szafę.

– Panie dyrektorze, to oburzające! – grzmiał Wikesza. – On zachowuje się absolutnie wyzywająco! W ogóle nie szanuje pedagogów!

O kim on mówi?

– Panie Wikientiju, nie rozumiem pana. O tym uczniu wszyscy nauczyciele wypowiadają się w samych superlatywach! I wie pan, jakiego szacunku dostąpiła nasza szkoła? Nasz wychowanek został zaproszony do odbycia praktyk w samym ministerstwie kar!

Oho, zdaje się, że mówią o mnie. Ciekawe, ciekawe...

– O tym właśnie chciałem porozmawiać! Nie sądzę, żeby taki niewychowany, niezdolny diabeł mógł godnie reprezentować naszą szkołę...

– Niechże pan da spokój, panie Wikientiju. Przecież to jeden z naszych najlepszych uczniów.

– Tym niemniej nalegam, żeby zastąpił go ktoś inny. Mogę zaproponować innego kandydata, inteligentnego, dobrze wychowanego...

– Panie Wikientiju, chyba pan nie rozumiał... To było konkretne zaproszenie, ze wskazaniem konkretnego ucznia. Ani pan, ani ja nie możemy tu nic zmienić, nawet gdybyśmy chcieli. Doprawdy, nie rozumiem pańskiego stosunku do tego dziecka. To inteligentny chłopak, można nawet powiedzieć, utalentowany. Proszę mi wierzyć, daleko zajdzie!

– Panie dyrektorze, wobec tego... wobec tego nalegam na przeprowadzenie kontroli. Skoro nie możemy wyznaczyć kogoś innego, domagam się kontroli.

– Czego pan chce?

– Poznać zadanie jego letniej praktyki i spróbować mu przeszkodzić. Jeśli Ezergil jest tak dobry, jak pan twierdzi, to sobie poradzi.

– Panie Wikientiju, pan się zapomina! Pan sądzi... a zresztą... – dyrektor zamilkł i najwyraźniej się zamyślił. Wstrzymałem oddech; ważyły się losy mojej praktyki! Ciekawe, jakie będę miał szanse, jeśli przeciwko mnie wystąpi Wikesza! Przecież to wbrew regułom!

– To wbrew regułom – powiedział w końcu dyrektor, jakby czytając w moich myślach. – Przy okazji, kogo chciał pan wysłać na praktykę zamiast Ezergila?

– Ksefona, panie dyrektorze. Sensowny chłopak i prawdziwy diabeł.

– A tak, słyszałem, słyszałem – sądząc z głosu dyrektora, to, co słyszał o protegowanym Wikientija, nie było zbyt pochlebne. – Panie kolego, najwyraźniej zapomniał pan o starej zasadzie – nauczycielom nie wolno wtrącać się w letnie praktyki swoich wychowanków. Nie może tego zrobić ani pan, ani ja, ani nikt inny. Dzieci muszą samodzielnie wykonać swoje zadania. Jednak pański pomysł mi się spodobał... Jak zrozumiałem, na miejsce Ezergila proponował pan Ksefona... Doskonale! W takim razie to ja wyznaczę Ksefonowi zadanie. Niech spróbuje przeszkodzić Ezergilowi w jego praktyce. Jeśli jest tak dobry, jak pan mówi, bez trudu sobie poradzi.

– Ależ panie dyrektorze!

– Słucham? Nie sądzi pan, że to sprawiedliwe? Moim zdaniem jak najbardziej. Pański protegowany przeciwko mojemu. Więcej nawet, jestem gotów postawić na Ezergila dwa tysiące monet. Przyjmuje pan zakład?

– Z Ksefonem Ezergil nie ma żadnych szans! Ksefon to prawdziwy diabeł, zaś Ezergil w ogóle nie wiadomo kto... Anioleczek!

– Panie Wikientiju, niech pan nie obraża uczniów w mojej obecności. Przyjmuje pan zakład?

– Może się pan pożegnać ze swoimi monetami. Tylko proszę, niech się pan nie wtrąca i nie pomaga Ezergilowi.

– A pan niech nie pomaga Ksefonowi. Zatwierdzimy naszą umowę krwią...

Sądząc z ciszy, jaka zapadła, Wikientij miał szczerzy zamiar pomóc Ksefonowi, jednak teraz, po zatwierdzeniu umowy krwią, już się nie odważy. Uważnie słuchałem warunków tej umowy – w końcu od tego zależał sukces mojej praktyki! – i omal nie zawyłem z zachwytu. Porozumienie wykluczało jakąkolwiek ingerencję ze strony zakładających się. Nie mogli wpływać na wynik ani pośrednio, ani bezpośrednio, nie mogli nikogo w tym celu wynająć, nie wolno im było także wspomnieć komukolwiek o zakładzie aż do jego ustania po zwycięstwie jednej ze stron; a i wtedy wyłącznie za zgodą obu uczestników. Zawsze byłem wysokiego mniemania o naszym dyrektorze, ale teraz nabrałem do niego jeszcze większego szacunku. Naprawdę, mimo wszelkich starań nie udało mi się wymyślić żadnego sposobu ominięcia któregoś z punktów umowy. A skoro nie groziła mi ingerencja ze strony Wikientija, to hulaj dusza! Z Ksefonem spokojnie sobie poradzę! Niezadowolone, jakie dźwięczało w głosie Wikeszy świadczyło o tym, że on też rozumiał, iż przystał na warunki wykluczające jakąkolwiek pomoc z jego strony.

– Można było zrobić inaczej.

– Można – przyznał dyrektor. – Ale zrobiliśmy tak. Zadzwońię do ministerstwa kar, żeby powiedzieć im o naszym zakładzie. Myślę, że zgodzą się i udziela dostępu pańskiemu Ksefonowi, a wtedy niech już sam kombinuje.

– Niech pan pamięta, że nie może pan nic powiedzieć Ezergilowi! Zgodnie z naszym...

– O to może pan być spokojny, panie Wikientiju. Ode mnie Ezergil niczego się nie dowie. Żeby tylko nie dowiedział się... od pana.

Wikientij prychnął i wyszedł z gabinetu. Przestraszyłem się, że zaraz wpadnę, ale wybiegł tak szybko, że chyba mnie nie zauważył.

– Lubisz podsłuchiwać? – usłyszałem wesoły głos dyrektora.

Westchnąłem ciężko... Skoro zostałem zdemaskowany, nie ma sensu się chować. Wyszedłem ze spuszczoną głową.

– Nie udawaj zakłopotanego – uśmiechnął się dyrektor. – I tak nie uwierzę. Nie pytam, czy wszystko słyszałeś, bo i tak wiem.

– A skąd pan wiedział, że tu jestem?

– Chciałbyś wiedzieć, co? Ech, dla was, młodych, jeszcze za wcześnie stawać w szranki ze starą gwardią...

Bystry z siebie chłopak, ale... Popatrz, widzisz tego pajaczkę? Jak myślisz, dlaczego nie pozwalam sprzątacze go wymieść? Otóż on siedzi sobie w kącie i plecie pajęczynę, a ja widzę wszystko to, co widzi on. Rozumiesz?

– Rozumiem – westchnąłem. Jak mogłem na to nie wpaść! Przecież dyrektor musi mieć na oku swój gabinet! Ale ze mnie zarozumiały bałwan...

– A teraz pomówmy o ważniejszych sprawach. Skoro już dowiedziałeś się o zakładzie... i to nie ode mnie, lecz – dyrektor uśmiechnął się – od samego Wikientija, to nie złamię żadnych reguł, jeśli coś ci wyjaśnię. Twój wychowawca jest nieco zarozumiały i ma zbyt wysokie mniemanie o swoich zdolnościach. Myślę, że nie od rzeczy będzie dać mu nauczkę. Widzisz, jak w ciebie wierzę? Nawet postawiłem na twoje zwycięstwo dwa tysiące monet! Ezergilu... nie rozczaruj mnie.

– Ja miałbym przegrać z tym bałwanem Ksefonem? Nigdy! Tylko, panie dyrektorze... A co JA dostanę za zwycięstwo? Pan otrzyma dwa tysiące monet, a ja? Jedynie zaliczenie odbytej praktyki? Tak się nie da... W momencie, gdy założył się pan z Wikientijem, to już przestała być zwykła szkolna praktyka.

Dyrektor niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– I ten idiota wątpił, czy jesteś prawdziwym diabłem!... Dostaniesz jedną czwartą mojej wygranej plus gwarantowaną piątkę z mojego przedmiotu na następne dziesięciolecie. Może być?

– Super. Zawrzemy umowę?

Moja propozycja wywołała jeszcze większy zachwyt dyrektora.

– No, mój drogi, zaczynam wierzyć, że mnie nie rozczarujesz! Zawrzemy.

Dziesięć minut później wychodziłem ze szkoły w podniosłym nastroju. Pewnie – źle, że Ksefon będzie mi się pętał pod nogami i usiłował przeszkadzać za wszelką ceną. Moje zadanie i tak było trudne, a tu jeszcze dodatkowa przeszkoda. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze... Trzeba przyznać, że plusów było znacznie więcej.

Pogrążony w rozmyślaniach, kompletnie zapomniałem o Ksefonie i jego kumplach. Podsłuchując rozmowę w gabinecie dyrektora, zostałem w szkole znacznie dłużej, niż mi się zdawało, a Ksefon z towarzystwem wyraźnie przez cały ten czas szukał mnie po całym budynku i teraz... teraz wyglądali na bardzo złych. Cóż, podrapane twarze i podarte ubrania świadczyły o tym, że mieli powody. Chyba przetrząsnęli wszystkie krzaki... Co za idioci. Zresztą, kto tu jest idiotą, okaże się w ciągu najbliższych pięciu minut. Jeśli nie wymyślę czegoś w tym właśnie czasie, będę wyglądał znacznie gorzej niż oni...

– To tutaj jesteście?! – naskoczyłem na nich. – Wreszcie was znalazłem! Czy wyście pogłupieli, w chowanego się ze mną bawicie? Wszędzie was szukam!

Ksefon i jego kumple znieruchomieli, patrząc na mnie w osłupieniu.

– No i co się gapiacie? – rozzłościłem się. – Pan Wikientij was szuka! Już miota gromy! Mówi, że jak się nie zjawicie w ciągu dziesięciu minut, możecie zapomnieć o praktyce! Ksefon, to się tyczy głównie ciebie.

– Co ty pleciesz? – mruknął Ksefon.

– Gorzej ci? – spytałem ze współczuciem. – Nie pamiętasz, że pan Wikientij prosił cię, żebyś został po zajęciach? A może straciłeś pamięć? – Demonstracyjnie spojrzałem na zegarek. – Zresztą, jeśli myślisz, że żartuje, to możesz poczekać jeszcze cztery minuty i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

– Ej, a czy ty przypadkiem nie wykręcasz diabła ogonem? – spytał jeden z kumpli Ksefona.

No proszę, Ksefon ma jakiegoś bystrego koleżkę! Nie spodziewałem się... No nic, długo się w tym towarzystwie nie utrzyma...

– Ja? – oburzyłem się szczerze. – Wyszedłem z klasy jako pierwszy, a ze szkoły wychodzę ostatni! Nic wam to nie mówi? Jak myślicie, gdzie byłem przez cały ten czas? Załatwiałem różne sprawy związane z moją praktyką. A potem pan Wikientij poprosił mnie, żebyśmy was znalazł. Jasne?

Ksefon zaczął się denerwować.

– Dobra, chłopaki, ja lecę. – I pobiegł do szkoły.

– A wy na co czekacie? – zwróciłem się do trzech kumpli Ksefona. – Zresztą, może to wcale nie was szukał pan Wikientij? Bardzo możliwe, że mówiąc, „i gdzie się podziali ci idioci” wcale nie was miał na myśli.

Chwilę później mogłem oglądać plecy pedzących w stronę szkoły koleżków mojego wroga.

– Ech, nieuleczalny przypadek – skomentowałem. – Ciekawe, swoją drogą, że od razu wiedzieli, że „idioci” to właśnie o nich.

Humor poprawił mi się jeszcze bardziej. Pogwizdując wesoło, opuściłem teren szkoły i poszedłem w stronę postojów taksówek.

Przed domem czekał na mnie wujek.

– Jak tam w szkole? – zapytał.

– Super! – zawołałem szczerze. – Tylko pojawił się pewien problem... – i opowiedziałem o rozmowie podsłuchanej w gabinecie dyrektora. O swojej umowie z dyrektorem rozsądnie nie wspominałem, przecież wujek jest aniołem, mógłby to źle zrozumieć...

Wujek ściągnął brwi.

– Czy coś takiego się u was praktykuje?

– Co „takiego”? Zakład? Oczywiście. Zakłady to zajęcia czysto diabelskie. Nie na darmo mówi się na ziemi: „Kto się zakłada, oddaje diabłu duszę”.

– Nie o tym mówię – skrzywił się wujek. – Myślisz, że nie słyszałem o zakładach? To akurat pamiętam. Chodziło mi o tę „kontrolę”. Za moich czasów czegoś takiego nie było.

– Za moich też nie, pierwszy raz słyszę. Ale przecież przeszkadzanie komuś w wykonaniu pracy to diablo diabelska sprawa. Normalka.

– Podoba ci się to?

– No... tego bym nie powiedział. Ale rywalizacja z Ksefonem akurat martwi mnie najmniej.

Wujek przyjrzał mi się w zadumie.

– Dobrze, pomyślę nad tym. Ale to wszystko głupstwa w porównaniu z tą zbłąkaną duszą. Czy ty rozumiesz, że ona cierpi? Twoim obowiązkiem jest udzielenie jej pomocy!

– Chyba wujka – sprostowałem – który wujek po prostu przerzucił na mnie.

– Dobrze ci to robi, czasem warto poszerzyć repertuar działań. Nie możesz wiecznie szkodzić, niekiedy trzeba zrobić jakiś dobry uczynek.

– O, jasne... – Skrzywiłem się. – Gdybym komuś wspomniał, jakie mam zadanie praktyczne, to by mnie wyśmiał. Ale to nic, nawet z takiej sytuacji da się wyciągnąć jakąś korzyść.

– Twoją korzyścią będzie to, że pomożesz nieszczęsnej duszy cierpiącego człowieka! Od razu poczujesz się lepiej.

– Oczywiście, wujku. – Skinałem głową. Przecież nie będę się z nim kłócił... ani wspominał o tych mone-tach, które otrzymam w razie pomyślnego zakończenia praktyki. – Nawet sobie wujek nie wyobraża, jaką satysfakcję czuję, gdy zdołam pomóc tej nieszczęsnej duszy.

Wujek popatrzył na mnie przeciągle, ale w moich niewinnych oczach nie dojrzał nic podejrzanego i dlatego tylko skinał głową.

– Tak właściwie szukałem cię po to, żeby dać moją wizytówkę. Udzielenie pomocy cierpiącej duszy to bardzo delikatna sprawa i na pewno będziesz potrzebował wsparcia ze strony różnych służb raj. Rzecz jasna, zgodnie z umową mają obowiązek udzielić go, gdy przedstawiś im swoje szkolne zadanie, ale myślę, że wzmianka o mnie znacznie przyspieszy całą tę biurokrację.

– I Dziękuję! – ucieszyłem się szczerze, chowając wizytówkę.

– Pamiętaj, nie rozczaruj mnie. Szczerze liczę, że się na tobie nie zawiodę.

„Ha, nie inaczej, tylko wujek też się z kimś założył!” – pomyślałem złośliwie, ale od razu wyrzuciłem to z głowy. Aniołowie się nie zakładają, bo to zajęcia czysto diabelskie. Swoją drogą, strasznie musi być nudno w tym raj – tego nie wolno, tamtego nie wolno... Chociaż, z drugiej strony, u nas też jest sporo zakazów...

No dobrze, teraz mam ważniejsze sprawy na głowie niż przeprowadzanie analizy porównawczej raję i piekła. Do godziny czwartej było coraz mniej czasu, więc pożegnałem się ciepło z wujkiem i pospieszyłem do domu. Muszę jeszcze coś zjeść, przebrać się... a potem do ministerstwa! Co będzie dalej, zależy już tylko ode mnie.

– Ezergil! – ryk mojego braciszka można było pomylić jedynie z buczeniem parowca, a ponieważ parowca w domu nie mamy, to jednak musiał być mój brat.

Poszedłem do jego pokoju.

– No?

– Pamiętasz, że twoja siostra kończy jutro siedemdziesiąt lat? Masz dla niej prezent? I pamiętasz, że jesienią idzie do pierwszej klasy?

Zerknąłem na niego podejrzliwie: taka troska o siostrę to u niego coś nowego. Wtedy dostrzegłem na jego biurku kartkę od rodziców – no tak, jasna sprawa, oni nakręcili ogon jemu, a teraz on odgrywa się na mnie.

Hm, ale o prezencie faktycznie należałoby pomyśleć... Tylko skąd go wziąć?

Poszedłem do swojego pokoju i rozejrzałem się w zadumie.

– O! – Podniosłem w górę palec, a potem rzuciłem się do rozgrzebywania swoich rzeczy. Na dnie ostatniej szuflady szafy znalazłem pluszowego czarta. Ponieważ w swoim czasie niezbyt często się nim bawiłem, wyglądał jak nowy. Wystarczy tylko wytrzeć z kurzu... Doskonale! Na wszelki wypadek jeszcze go odnowiłem, przesuwając nad nim dłonią... Teraz to już naprawdę idealnie! Siostra jeszcze nie zdążyła dobrać się do tej szuflady, na pewno nie widziała tego diablaka. Hm, ale czegoś tu jeszcze brakuje...

Podrapałem się po karku, przyjrzałem rozrzuconym na podłodze rzeczom... i spostrzegłem zniszczoną lalkę – ucznia. W swoim czasie ojciec gdzieś ją zdobył i podarował mi. Wprawdzie lalka już się do niczego nie nadaje, ale jej tornister...

Błyskawicznie oderwałem tornister i przykleiłem do pleców diabełka szybko schnącym klejem. Potem wyjąłem z szuflady miniaturowy notes i wsunąłem do teczki tak, żeby wystawał tylko róg i też przykleiłem. Jeszcze tylko ostatnie pociągnięcie pędzlem... Oderwałem czapkę zabawkowemu listonoszowi i umieściłem ją na głowie swojego prezentu.

– Proszę bardzo, diabełek idzie do szkoły! – podsumowałem, oglądając swoje dzieło ze wszystkich stron.

Zaczekałem, aż klej wyschnie, a potem zaniósłem diablaka do dużego pokoju i położyłem na stercie prezentów razem z odpowiednim liścikiem. Mama wydała okrzyk zachwyty.

– Jaki piękny! Ezergil, gdzie go kupiłeś? Są jeszcze? Podarowałabym takiego przyjaciółkom...

Zareagowałem błyskawicznie.

– Oj, mam, wziąłem ostatniego, nie mają już! Prawie wyrwałem go z rąk innemu klientowi, aż musiałem dopłacić! Ale dla kochanej siostrzyczki wszystko...

Mama popatrzyła na mnie z rozczeniem.

– Jaki z ciebie miły chłopiec, Ezergil. Tak kochasz siostrę... Cieszę się, że tak zgodnie żyjecie.

Tak, tak, kocham moją siostrę... W ogóle bardzo lubię siostry – zwłaszcza marynowane. Albo w sosie czosnkowym. Chociaż nie, siostrzyczka w sosie czosnkowym to by już była przesada, ona i tak ma zbyt cięty język... Ale spokojnie, nie dajmy się ponieść marzeniom...

– Mamo – zmieniłem szybko temat – dzisiaj o czwartej mam się stawić w ministerstwie kar, żeby rozpocząć praktykę.

– Tak, tak. – Mama skinęła z roztargnieniem głową, układając prezenty dla mojej siostry. – Twój wujek już do mnie dzwonił. Garnitur jest w pokoju... Tylko uczesz się przed wyjściem, Ezergil, bo nie da się patrzeć na twoją głowę.

Nie dyskutowałem, włączyłem telewizor. Ojciec jeszcze w pracy, więc nikt mi nie przeszkodzi posiedzieć spokojnie przed ekranem...

– Ezergil!

No tak – nikt, oprócz brata.

– Tak?

– Nie powinieneś już wychodzić? Nie wypada spóźnić się pierwszego dnia praktyki!

Czy ja go proszę, żeby mnie pilnował? Jakbym sam nie wiedział! Ale cóż, skoro się raz przyczepił, nie popuści. Musiałem wstać i zacząć się zbierać. Pewnie, że było jeszcze wcześniej, ale lepiej już łązić po ulicach, niż słuchać ryku i pouczeń brata, który w moim wieku... Zawsze mam ochotę go zapytać, jak to jest: taki niby mądry, a jeszcze nie stoi na czele żadnego ministerstwa...

Zebrałem wszystkie rzeczy, które mogłyby mi się przydać i wyszedłem z domu. Dzisiaj był pierwszy dzień moich praktyk.

Rozdział 3

Nie przypuszczałem, że korytarze ministerstwa tworzą taką płataninę... Można tu błądzić całymi latami!

– Taś, taś, taś. – W wyciągniętej ręce trzymałem opłatek, próbując zwabić zabłąkaną duszę. Próbowałem tak ponad godzinę. Zacząłem od banalnego „kici, kici”, a teraz doszedłem do „taś, taś”. I nic.

Pomachałem opłatkiem – według diabelskich wierzeń ludowych wszystkie dusze wręcz przepadają za opłatkiem. Specjalnie przyniosłem go ze skarbca ministerstwa i próbowałem nim znećić duszę, której miałem pomóc.

– No gdzie ty jesteś? Nie możesz się odezwać?! – zawołałem w rozpacz.

Zastanawiając się nad tym problemem w drodze do ministerstwa, postanowiłem rozwiązać go w najprostszy sposób: odszukać duszę i porozmawiać z nią. Jest tak i tak, powiem, taka, widzisz duszyczko, wynikła sytuacja. Wyjaw, czego ci trzeba, co też ci trzyma na ziemi, a ja szybciotko rozwiążę wszelkie twoje problemy i wszyscy będą zadowoleni. Ty otrzymasz ukojenie, a ja piątkę z praktyki. Ksefon dostanie figę z makiem, a ja pięćset monet. Plan, który wtedy wydawał się wręcz genialny w swej prostocie, teraz już taki nie był.

Usiadłem na podłodze w kącie i zapatrzyłem się ponuro w dal pustego korytarza. Nigdy bym nie pomyślał, że korytarze w tym budynku doprowadzą mnie do takiego stanu. Przesiedziałem tak kwadrans. Oczywiście rozumiałem, że równie dobrze mogę tak siedzieć całe lato i nie zbliżyć się do rozwiązania problemu nawet o krok. Wstałem. Podniosłem opłatek nad głową, starając się zwrócić na niego uwagę duszy.

– Cip, cip, no popatrz, co ja tu mam! Mniem, mniem! – Sam sobie wydawałem się śmieszny, ale co innego mogłem zrobić?

Dopiero trzy godziny później moje starania zostały wreszcie uwieńczone sukcesem. Człapałem po korytarzu, zmęczony, ledwie powłócząc nogami. Już nawet nie miałem sił wołać zabłąkanej duszy. Beznadziejnie rozejrzałem się na boki i wtedy za jednym z zakrętów dojrzałem znajome łśnienie. Nie wierząc we własne szczęście, pobiegłem tam, wrzeszcząc na całe gardło:

– Ej, ty, jak ci tam! Duszo, zaczekaj! Słyszysz?! Zaczekaj, mówię!

Z rozpędu krzyczałem w swoim języku i dopiero po chwili pojąłem, że dusza po prostu mnie nie rozumie. Gdyby należała do nas, wyglądałoby to prościej, ale do naszego świata *jeszcze* nie należała, a *już* nie należała do ziemi. Innymi słowy, była zawieszona między światami, a do komunikacji z takimi istotami niezbędny jest specjalny język – międzyświatowy, który rozumieją wszystkie dusze wszechświata. W tej chwili może po raz pierwszy w życiu naprawdę ucieszyłem się, że nie opuszczałem lekcji. Szybko ułożyłem w myślach zdanie i, tracąc dech od szybkiego biegu, zawołałem:

– Wielce szanowna duszo, czy nie zechciałabyś zatrzymać się na chwilę i porozmawiać ze mną o pewnej niezwykle ważnej sprawie? – Pomyślałem, że im bardziej będę uprzejmy, tym lepiej to wypadnie. Wujek zawsze powtarzał, że uprzejmość otwiera bramy każdego serca.

– Ciężko mi... – usłyszałem.

Pewnie, że ciężko. Każdemu byłoby ciężko, gdyby utknął między światami...

– I o tym właśnie chciałbym z tobą porozmawiać. Nie chciałabyś sobie ulżyć? To znaczy, chciałem zapytać, czy nie mógłbym ci pomóc w uzyskaniu spokoju?

– Ty? – dobiegło mnie na wpeł pytanie, na wpeł westchnienie.

Wreszcie dogoniłem duszę i stanąłem obok niej, ciężko dysząc. Wisiała metr nad podłogą i przyglądała mi się badawczo. Nie wiem czemu, ale jej spojrzenie denerwowało mnie. Wyjąłem opłatek i pokazałem jej w nadziei, że zwróci na to uwagę, ale ona nie zareagowała.

– Tak, ja – powiedziałem, wzdychając. – Widzisz, twoja obecność zakłóca równowagę...

– Gdzie ja jestem?

– Jeśli masz na myśli to konkretne miejsce, to w piekle. – Zamachałem opłatkiem niemal przed nosem zjawy.

– W piekle? Więc jestem grzesznicą?

Przyjrzałem się zjawie. O matko, przecież to kobieta! I to wcale niestara! Mogła mieć najwyżej trzysta pięćdziesiąt lat. Tfu, przecież to człowiek, chciałem powiedzieć: trzydzieści pięć. Ciekawe... Chyba zazwyczaj ludzie żyją dłużej? Zresztą, po to tu jestem, żeby to wyjaśnić.

– Ee... – powiedziałem wieloznacznie. – Tego bym nie powiedział. Wygląda to tak, że jeszcze sama się pani nie określiła, dokąd chce pani iść. Dlatego zasadniczo nie jest pani w piekle, chociaż w tej chwili właśnie w nim pani przebywa.

– Tak? – w tym westchnieniu zabrzmiało zaciekawienie. – Czyli sama mam sobie powiedzieć, dokąd mam iść, do piekła czy do raju?

– No... tak. Co w tym dziwnego? Przecież to właśnie człowiek sam najlepiej zna własne grzechy! Czym, według pani, jest sumienie? To część Jego, no, rozumie pani, o kim mówię, nie mogę wymówić Jego imienia... Po śmierci sumienie ogłasza wyrok. Nasze zadanie polega jedynie na określeniu wymiaru kary.

– Wasze zadanie?

– Tak, nasze, czyli diabłów. Pani pozwoli, madame, że się przedstawię – EzerGil. Tak naprawdę to jeszcze nie jestem diabłem, dopiero się uczę. A teraz odbywam letnią praktykę i moim zadaniem jest pomóc pani w określeniu pożądanego miejsca pobytu. Widzi pani, to łaże... ta wędrówka po piekle, raju i ziemi zakłóca harmonię światów. Dlatego spróbuję pani pomóc w podjęciu decyzji. Obejrzymy raj i piekło, a potem zaprowadzę panią tam, gdzie się pani najbardziej spodoba. – Znowu wyjąłem opłatek i znów pomachałem przed nosem zjawy. Efekt bliski zeru: zjawy raczyła zauważyć opłatek, ale patrzyła na niego kompletnie obojętnie.

– Nie mogę odejść – znów ciężkie westchnienie. – Mówiłeś, że się uczysz?

– Tak.

– Mój syn też chodzi do szkoły.

O proszę, robi się coraz ciekawiej. Chyba zaraz zrozumie, co trzymają na ziemi.

– Kocha pani swojego syna?

– Zabawny jesteś. – Zjawy uśmiechnęła się niespodziewanie. Tak ładnie się uśmiechnęła, że aż się ciepłej zrobiło w ponurych korytarzach. – Która matka nie kocha swojego dziecka?

Hm, w ramach eksperymentu mógłbym ją oprowadzić po pewnych kotłach, w których, jak mówią u nas w piekle, zażywały łaźni te, że tak powiem, matki. Może gdybym nie miał wujka anioła, to tak bym zrobił, jednak kontakt z aniołem ma pewien wpływ nawet na diabła.

– Boję się o niego. Beze mnie zginie.

– A... tego... chyba ma ojca? A może on też jest u nas?

– Dobrze by było! – zareagowała żywo zjawy. – Myślę, że przygotowaliście już dla niego miejsce!

Może i tak, skąd mogę wiedzieć? Muszę uważać, co mówię, ale z drugiej strony, przecież muszę coś odpowiedzieć! Spróbujmy zmienić temat...

– Widzi pani, problem polega na tym, że duch nie może długo istnieć w przestrzeni między światami. Wkrótce się pani „rozwieje” i dusza zostanie stracona dla wszechświata! Zrobmy tak... Pani określi, dokąd chce pójść, a ja się postaram, żeby w kolejce do reinkarnacji umieścili panią tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Muszę zadbać o syna. O rany kota...

– Myśli pani, że mu bez pani źle?

– Chłopcze, a tobie byłoby dobrze bez mamy? Hmm... Nie patrzyłem na problem z tej strony...

Faktycznie, nie byłoby mi lekko. Więcej, zupełnie by mi się to nie podobało. Może to dziwne, ale poczułem litość dla tej duszy. Litość to dla diabła dość niecodzienne uczucie. Gdybyśmy chcieli współczuć wszystkim duszom... Z drugiej strony, nikt jeszcze nie dowiedział, że ta kobieta jest grzesznikiem, a skoro tak, to litość jest jak najbardziej na miejscu... Zapętlilem się w tych sprzecznościach i popatrzyłem stropiony na zjawę. No i co ja mam teraz zrobić? Moje praktyczne zadanie wcale nie było takie proste, jak mi się początkowo wydawało...

– Czego pani chce?

– Chcę wychować syna. Dopilnować go. Jasne...

– Nie mogę pilnować pani syna, tym zajmują się aniołowie stróże, pewnie już mu któregoś przydzielili...

– Pewnie czy na pewno? Podrapałem się po głowie.

– Zrobimy tak. Jutro rano dowiem się wszystkiego, czego tylko można w różnych urzędach o dalszym losie pani rodziny, a potem przyjdę i wszystko opowiem. Dobrze?

– Dotrzymasz słowa?

Aż zasapałem urażony.

– Madame, niech mi pani wierzy, jestem równie zainteresowany szczęśliwym zakończeniem tej sprawy, co pani.

– Zapamiętam twoją obietnicę – zaszemrała pustka.

Pustka? Rozejrzałem się – zjawy nigdzie nie było. Splunąłem zirytowany. Rozumiem, przywiązanie, obowiązek... Ale o jakim przywiązaniu mowa, jeśli grozi ci zniknięcie z tego świata – i to na zawsze? Ludzie są jednakowo stuknięci i za życia, i po śmierci.

– Proszę mi chociaż powiedzieć, jak się pani nazywa! – krzyknąłem.

– Zoja – dobiegło z oddali.

Wracałem z tej wyprawy w koszmarnym nastroju. Jeszcze mi tylko brakowało, żeby zabłądził w korytarzach... Zauważyłem, że nadal trzymam w rękach opłatek – i ze złości cisnąłem nim o ścianę.

– Taak, pewny środek, ludowy zwyczaj... – przedrzeźniałem słowa brata. – Znalazł się znawca ludowych obyczajów... O, niedoczekanie, żeby go jeszcze kiedyś poprosił o radę... Był i jest nieukiem, dobrze wujek mówił... Ksefon?! A co ty tu robisz?

Z tego wszystkiego zapomniałem o zakładzie Wikeszy z dyrektorem. Zresztą, to nawet lepiej, w przeciwnym razie nie zdołałbym tak dobrze udać zdumienia.

Ksefon uśmiechnął się złośliwie.

– A co, myślisz, że tylko ty miałeś farta i wskoczyłeś na praktyki do ministerstwa kar? Wyobraź sobie, że mnie też wzięli!

– Na stanowisko tragarza drewna? – zapytałem.

– O, w życiu się nie domyślisz, jakie mam zadanie! Nawet nie pytaj!

– Już się rozpędziłem – skrzywiłem się. – Zapewne wymyśliłeś coś kretyńskiego i pozbawionego stylu, jak zwykle. Do wykonania prawdziwego zadania potrzebny jest mózg.

– O, jeszcze zobaczymy, kto ma mózg, a kto nie – odparł groźnie.

Kto go nie ma, to akurat jasne. Jeśli planujesz zrobić komuś podłość, raczej nie będziesz o tym mówić zainteresowanemu... A takiego typu jak Ksefon stać wyłącznie na podłość. Na zawsze pozostanie drobnym biesem, zdolnym jedynie do robienia drobnych przykrości dobrym ludziom. Ktoś taki jak on nie potrafi nawet docenić piękna Gry...

– No cóż, nie będę ci życzył powodzenia, ale pracuj, pracuj, praca uszlachetnia.

Ksefon wysyczał coś w odpowiedzi i poszedł dalej korytarzem, udając, że moja osoba wcale go nie obchodzi. Ze złośliwym uśmiechem na ustach poszedłem swoją drogą. Za zakrętem szybko wyjąłem z plecaka minę-śmierdziuszkę i przymocowałem ją do ściany. Nie jest niebezpieczna, ale gdyby ktoś chciał mnie śledzić... Szybko poszedłem korytarzem, skręciłem za róg i znieruchomiałem, nasłuchując. Po chwili usłyszałem trzask, potem jakieś dziwne dźwięki, jakby komuś zrobiło się niedobrze, a chwilę później obok mnie przebiegł Ksefon, rękami zakrywając usta. Odprowadziłem go krzywym uśmiechem.

– To jedyne ostrzeżenie, jakie ode mnie dostałeś – powiedziałem w przestrzeń. – Radzę ci, nie wchodź mi więcej w drogę.

Pewnie mnie nie usłyszał, a już aluzji ten typ kompletnie nie rozumie. No cóż, tym gorzej dla niego. Zdaje się, że na dzisiaj mam go z głowy. Trzeba to wykorzystać. Pewnie jutro będzie płaął żądzą zemsty... Ech, a już miałem iść do domu! Zawsze to samo, przylezie taki typ i wszystko zepsuje...

Zawróciłem i poszedłem do gabinetu administratora. Ten właśnie gdzieś się wybierał.

– Panie administratorze! – zawołałem i podbiegłem do niego.

– A, to ty, Ezergil. Bratanek tego miłego aniołeczka Monterreya. – W oczach administratora rozbłysło coś takiego, że od razu pojąłem: on mi nie pomoże. Przeszkadzać raczej nie będzie, ale na pewno odmówi pomocy.

– Spotkałem tutaj kolegę z klasy...

– A tak, wiem, Ksefona. Miły chłopiec. Pomyślałem, że skoro już wzięliśmy na praktykę jednego ucznia, to możemy wziąć też drugiego. Pomocnicy bardzo nam się przydadzą, wychowujemy nową zmianę, że tak powiem... – administrator zachichotał, a ja zrozumiałem, że on świetnie wie, na czym polega zadanie Ksefona. Zresztą, nie mogło być inaczej. Ciekawe, jaką dółę z potencjalnej wygranej Wikesy wytargował administrator za przyjęcie Ksefona na tę praktykę? Pewnie też jedną czwartą. Zresztą, to nawet dobrze, że on wie... Gdyby przeszkadzał mi z własnej inicjatywy, mógłby mi bardzo utrudnić życie, a tak to niewiele może zrobić, ma ręce związane umową Wikentij a i dyrektora. Jeśli coś zrobi, Wikentij przegra, a on razem z nim.

– Tak, bardzo miły – skinąłem głową. – Właśnie sobie bardzo miło porozmawialiśmy.

Administrator przyjrzał mi się uważnie, jakby szukał na mojej twarzy śladów tej „miłej” rozmowy. Niech sobie szuka...

– Panie administratorze – powiedziałem – właściwie przyszedłem do pana dlatego, że potrzebuję przepustki do archiwum. Muszę dowiedzieć się wszystkiego o tej kobiecie...

– Kobiecie?

– O duszy tej kobiety, która przebywa teraz między światami. Rozumie pan, żeby dojść do tego, co trzymają na ziemi, muszę dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

– Myślałem, że szukasz tej duszy właśnie po to, żeby ją o to spytać?

– Zapytałem, ale na wiele moich pytań nie znalazłem odpowiedzi, na przykład: dlaczego umarła? Wydaje mi się, że jest jeszcze bardzo młoda. Mogłaby pożyć nawet pięćdziesiąt lat!

– No, tu ci nie pomogę. Chyba, że sprawdzisz wszystkich zmarłych. Poza tym, sam rozumiesz, ta zjawą nie przechodziła przez naszą kancelarię. Ale w archiwum, proszę cię bardzo, działaj. Trzeba popierać entuzjazm młodzieży... Jutro wypiszę ci przepustkę.

Jednym słowem, przeszkadzać ci nie mogę, ale pomagać nie będę. No dobra, to ja zagram tak samo. Wygram ten zakład! Teraz to już kwestia pryncypiów...

– Wspaniale, panie administratorze! A czy mógłbym dostać tę przepustkę dzisiaj?

– Dzisiaj? Chłopcze, już prawie ósma. Starczy tej pracy, jeszcze mnie oskarżają, że zmuszam niepełnoletnich...

W milczeniu wyjąłem przygotowaną wcześniej kartkę.

– Oto zaświadczenie, że wszystko robię dobrowolnie.

Administrator studiował świstek dłuższą chwilę.

– Tak, od razu widać, że jesteś krewnym Monterreya... Poznaję zręczność... Ale widzisz, mały, zostawiłem wszystko w gabinecie...

Jeśli urzędnik nie chce czegoś zrobić, to bardzo ciężko skłonić go, żeby to uczynił. No, chyba że daje się

łapówkę, omawialiśmy ten problem w szkole. . . Pamiętam, specjalnie na lekcję ściągnięto „z łaźni” duszę pewnego urzędnika. To była psychologia, temat „Urzędnicy i naród”. Opowiedział nam wtedy wiele ciekawych rzeczy. . . Dobrze, ale nie mam zamiaru dawać łapówki, czyli muszę zadziałać inaczej. . .

– O – zmartwiłem się. – To wielka szkoda, panie administratorze. W takim razie do jutra.

– Właśnie – uśmiechnął się administrator. – Nie ma pośpiechu.

– Też tak myślę. – Skinąłem głową. – To lece, chciałbym jeszcze zdążyć na ostatni ekspres do raję.

– Do widzenia, ma. . . Co? Do raję?!

– Tak, wujek zaprosił mnie do siebie, ale uprzedziłem go, że przyjadę, jeśli zdążę. Skoro skończyłem wcześniej niż planowałem, to zdążę na ekspres. Mam mu tyle do opowiedzenia! Chcę też wspomnieć o swoich dalszych planach. . .

– Ee. . . i opowiesz mu też o. . . Taak. . . Wiesz co, mały, zdaje się, że zostawiłem w gabinecie okulary. . . Tak, tak, na pewno. Co za pech! Posłuchaj, skoro i tak wracam, mogę ci od razu wystawić przepustkę do archiwum, nie będziesz musiał czekać do jutra.

– No, nie wiem. . . – zacząłem się wahać. – Jakoś mi tak przeszedł zapał do pracy. Już się nastawiałem na tę podróż do wujka. . . Tyle wrażeń w ciągu jednego dnia. . .

– No, skoro tak mówisz. . . O, posłuchaj, mam w gabinecie czekoladę! Lubisz czekoladę? Zaraz zrobimy sobie herbatkę i opowiesz mi o swoich wrazeniach. Widzisz, jako administrator jestem ciekaw twojej opinii o naszym ministerstwie. Jesteś, jakby nie było, człowiekiem postronnym. . . A potem wszystko przekażę samemu ministrowi. Rozumiesz?

– No, nie wiem, panie administratorze. . . Nie chciałbym zabierać panu czasu. . .

– Ależ co ty mówisz, będzie mi bardzo miło!

– Czy ja wiem. . . Jeśli jest pan pewien, że naprawdę ma pan czas. . . Jeszcze przed chwilą gdzieś się pan spieszył. . .

– Nic się nie martw, to może poczekać!

– Czy w takim razie pomógłby mi pan szukać? Sam pan rozumie, ja mogę długo krążyć po archiwum. A taki utalentowany administrator, jak zawsze powtarza mój wujek, taki wręcz genialny administrator mógłby mi bardzo pomóc. . . Wujek zawsze mówi, że jest pan jedynym administratorem, z którym mu się dobrze pracuje.

– Co?! Pomóc ci?! Hmm. . . tego. . . taak. . . Wujek naprawdę tak mówi?

Skinąłem głową. Co tam mówili na lekcji o zarządzaniu? Odrobinę zastraszyć, odrobinę pochwalić. . .

– Naprawdę! Ale rozumiem, że skoro nie ma pan czasu. . .

– Chodźmy, pomogę ci, cóż począć. . . Was, młodych, wszystkiego trzeba uczyć. . .

Aha, teraz powinienem udawać, że bardzo interesują mnie pouczenia starszych. Oni lubią prawić morały, lubią też, gdy słucha się ich z szacunkiem i uwagą.

– O, a może opowiedziałby mi pan coś ze swojej praktyki? Praca administratora musi być chyba potwornie ciekawa?

– Potwornie. . . No cóż. . . – Administrator lekko objął mnie ramieniem i zaprowadził do swojego gabinetu.

– Otóż pamiętam pewien wypadek. . . Trafiał do nas jeden grzesznik i to taki bezczelny. . .

W archiwum było sporo kurzu, choć najwyraźniej stale tu sprzątano. Administrator obojętnie przeszedł obok kilku niekończących się regałów ze zwojami, księgami, kartami. Nieco dalej stały rzędy komputerów.

– Jak widzisz – administrator z dumą wskazał komputery – my też idziemy z duchem czasu.

Jeśli coś tu widziałem, to tylko rzędy półek, sięgające, jak mi się wydawało, aż po horyzont. Nic dziwnego, przecież są tu informacje o wszystkich ludziach, którzy kiedykolwiek żyli na ziemi. I jak ja mam tu coś znaleźć?!

Administrator chyba wyczuł mój niepokój, bo się roześmiał.

– A co, myślałeś, że przyjdiesz do archiwum i od razu wszystko znajdziesz? Ha! No dobrze, pokażę ci, co i jak. Tutaj możesz w ogóle nie wchodzić, to czasy przed Chrystusem, dostaliśmy je w spadku od poprzednich kustoszy; twojej duszy nie ma tam na pewno. Tutaj półki ponumerowane są stuleciami. To pierwsze stulecie naszej ery, to drugie, a my potrzebujemy drugiej dziesiątki. Raz, dwa, trzy, cztery. . . – Administrator szedł wzdłuż rzędów, dotykał każdego ręką, nie przerywając liczenia. – Dwadzieścia! – zakończył. – Oto i nasz rząd. Sam rozumiesz, że to masa pracy, dlatego istnieją konkretne systemy wyszukiwania. Bierzymy datę śmierci. . . Dokładnej nie znasz?

Pokręciłem głową – nie wpadłem na to, żeby spytać.

– Stop! – Administrator zatrzymał się nagle i podrapał po głowie. – Zupełnie zapomniałem, że ta zjawia nie została u nas zarejestrowana! To znaczy, że wszelkie informacje o niej znajdują się ciągle w dziale żyjących, o, tam!

Administrator zaprowadził mnie do oddzielnego sektora. No, ciekawe, ile czasu bym tu spędził, gdybym tu przyszedł sam. . .

– Tak, tak, tak. . . A więc, podejdź tutaj, obejmij rękami tę ciemną kulę, zamknij oczy i spróbuj wyobrazić sobie zjawę.

Spełniłem prośbę. Zjawa stanęła mi przed oczami jak żywa – aż się zdziwiłem! Niespodziewanie utraciła lśnienie i ujrzałem ludzką kobietę – nie zjawę, ale właśnie kobietę! Ubrana w jakąś długą suknię, uśmiechała się łagodnie i prosiła, żebym szedł za nią. Podeszła do oświetlonego miejsca przy regałach, dotknęła jakiegoś futerału i zniknęła. Otworzyłem oczy, zamrugałem i oszołomiony potrząsałem głową.

– Aha, widzę, że poszukiwanie zakończyło się sukcesem! No, to gdzie są te dane, których potrzebujesz?

Ciągle oszołomiony, znów potrząsałem głową. Obejrzałem salę. Dopiero teraz spostrzegłem, że takie same ciemne kule znajdują się przy każdym regale. Jeszcze inne umieszczono tuż obok rzędów, a jedna, największa mieściła się przy wejściu do archiwum. Administrator zauważył moje zainteresowanie.

– Tak, tak. – Skinął głową. – Kule wyszukiwania są przy każdym regale. Jeśli nie znasz dokładnych danych, możesz szukać według stuleci w tych kulach. A jeśli nie znasz stulecia, trzeba szukać w całym archiwum. Sam rozumiesz, że im większy obszar, tym dłużej się szuka. . . No, to gdzie są te informacje?

Zerknąłem podejrzliwie na administratora. Co mu tak pilno? Najpierw w ogóle nie chciał mi dać przepustki do archiwum, musiałem go straszyć wujkiem i się podlizywać, a teraz nagle mu się spieszy. . . Czy to czasem nie dlatego, że sam chce się dorwać do tych informacji? No tak, jeśli zjawa nie została zarejestrowana, to tak naprawdę nic o niej nie wiadomo. A nie można przyjrzeć się zjawie, która sama z tobą nie zagada. Wychodzi na to, że jestem jedyną osobą, która może opisać zjawę i odnaleźć ją w archiwum! No tak, zaś administrator wyraźnie stoi po drugiej stronie barykady. . . W pierwszej chwili zdołałem go omamić, ale teraz już doszedł do siebie i zrozumiał, że pomagając mi, przegrywa pieniądze! Pewnie mnie teraz przeklina. . . No tak, nikt mu nie przeszkodzi odrobinę pomóc drugiej stronie, oczywiście w granicach możliwości. Dobra, zobaczymy. Pokręciłem głową.

– Niestety, nie wiem! Tak mnie zaskoczył ten wasz system wyszukiwania, że za wcześniej otworzyłem oczy. Kobieta poszła gdzieś tam. – Machnąłem ręką w nieokreślonym kierunku.

Administrator skrzywił się, nawet nie próbując ukryć rozczarowania. Ha, czyli trafiłem w sedno!

– No cóż, spróbuję jeszcze raz. . . Obszedłem kulę dookoła.

– A czy to widmo nie może być w dziale nieokreślonych? No, człowiek umarł, ale jeszcze nie wie, gdzie jest?

– A jak chciałbyś takiego wyszukać? O, jak się dusza rozwieje, to wtedy od razu wszystko stanie się jasne – akta takich ludzi od razu czernieją, wtedy możesz po prostu wziąć i patrzeć. A póki dusza istnieje, to jak chciałbyś znaleźć jej teczkę, skoro nie jest zarejestrowana?

Administrator odwrócił się i zaczął iść wzdłuż regału. Oto idealny moment! Już miałem wyciągnąć z półki właściwą teczkę, gdy nagle przypomniałem sobie gabinet dyrektora. Hmm. . . A może tu też? . . . Uważnie, acz dyskretnie rozejrzałem się i. . . no, co to za mucha tu pełza? Skąd tutaj mucha? Zerknąłem na administratora, który w skupieniu szukał czegoś na innym regale, nawet nie patrząc w moją stronę. No cóż, zagram w tę samą grę. . . Nie na darmo zawsze miałem celujący w rzucaniu iluzji. Stworzyłem fantom samego siebie i skierowałem go wzdłuż półek, jednocześnie rzuciłem iluzję na siebie i stałem się niewidzialny. Żeby tylko administrator się nie odwrócił. . . Bezmózgą muchę mogłem oszukać, ale ministerialny urzędnik zorientuje się błyskawicznie. Oszukana mucha popęzła za fantomem, a ja już byłem przy tej niszy, do której zaprowadziła mnie kobieta. Oto i teczka! „Zoja Pawłowna Nienaszewa” – przeczytałem. Świetnie! Sprytnie zmniejszyłem teczkę do wielkości notesu i wsunąłem za pazuchę. Wiedziałem, że w podobny sposób kodowano te czki we wszystkich niemal archiwach – w przeciwnym razie musieliby wozic akta ciężarówkami. . . Teraz mogłem zająć się fantomem, który właśnie zamarł obok innej półki i rozejrzał się. Ech, fantomy są jednak strasznie prymitywne, potrafią wykonywać jedynie najprostsze polecenia. Zmrużyłem oczy, usiłując zobaczyć to, co widzi fantom. Na zajęciach średnio mi to wychodziło, akurat mam okazję potrenować. . .

Skoncentrowałem się i w końcu zobaczyłem rząd teczek. Znalazłem taką, na której widniało imię kobiety, mniej więcej w wieku „mojej” zjawy, a następnie zmusiłem fantom, żeby wyjął teczkę i rozejrzał się. Sam tymczasem podszedłem do niego, usiłując nie zwrócić na siebie uwagi muchy. W końcu połączyłem się z fantomem i rozwiązałem iluzję. Uff, w samą porę – administrator właśnie zaczął się odwracać. Błyskawicznie wsunąłem teczkę na miejsce i odskoczyłem od regału. Administrator odwrócił się; na jego ustach błędził półuśmiech, w spojrzeniu błysnął triumf – trwało to ułamek sekundy i gdybym nie przyglądał mu się tak uważnie, pewnie nic bym nie zauważył. Administrator był mistrzem, tylko niepotrzebnie traktował mnie z takim pobłażaniem – że niby smarkacz musi się jeszcze wiele nauczyć. . . No cóż, trzeba przyjąć morały z całą pokorą. . .

– To co? Próbujesz jeszcze raz? Bo muszę już iść. Rozejrzałem się z powątpiewaniem.

– Panie administratorze, to niech pan idzie, ja już wiem, jak szukać, wszystko zrobię sam.

– Niestety, mój mały, nie mogę. Zasady nie pozwalają zostawiać osób postronnych samych w archiwum, a jak widzisz, archiwista wyszedł. No cóż, wobec tego do jutra. – Administrator zerknął na przegub ręki.

Z obwódki umocowanej rzemykiem na nadgarstku administratora wysunęła się głowa nietoperza i warknęła:

– Dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć. Nic nie dasz pospać, gapisz się co pięć minut. Co ja jestem, kukułka?

Administrator poczerwieniał.

- Cicho mi bądź! Bo cię zutylizuję, wymienię na ludzki mechaniczny zegarek, teraz jest właśnie moda na różne ludzkie rzeczy. Będzie mnie tu pouczał!
- Uśmiechnąłem się w myślach. Patrzył co pięć minut, to znaczy, że sprawdzał, czy zdążę na ostatni ekspres do raję.
- Dobrze – westchnąłem ze smutkiem. – Skoro dzisiaj się nie udało, odłożmy to do jutra. Przyjdę wcześniej rano.
- I po co? Nie spiesz się, mały, archiwista i tak nie zjawia się przed dziesiątą.
- To przyjdę o dziesiątej.
- No i bardzo dobrze. Chodźmy, zamknę drzwi. Przyjdiesz jutro, wtedy obejrzyś wszystko, co będziesz chciał.
- Skinałem głową i pomacałem ukradkiem kieszeń, w której spoczywały akta Zoi Nienaszewej. Byłem zadowolony – wszystko dzisiaj kończyło się jak najlepiej.
- Pożegnałem się serdecznie z administratorem i wyszedłem z ministerstwa.
- No dobrze, czas do domu – wymruczałem. – Mimo wszystko, to był udany dzień. . .
- W domu błyskawicznie uwolniłem się od wszystkich spraw, mówiąc, że jestem zajęty (przecież tak właśnie było!) i zamknąłem się w pokoju. Na wszelki wypadek zamknąłem drzwi nie tylko na zamek (brat na pewno miał klucz), ale dodatkowo podparłem klamkę krzesłem. Teraz mogłem się już zająć zbłąkaną duszą. Zdjąłem kapcie, położyłem się na łóżku, podkładając poduszkę pod łokieć. Wyjąłem akta, powiększyłem je i wziąłem pierwszy tom. Taak, co my tu mamy. . . Poprzednie reinkarnacje, w tej chwili mnie to nie interesowało. . . Może później przejrzę, teraz mam ważniejsze sprawy.
- Odłożyłem pierwszy tom, wziąłem drugi. O, to jest to! Data urodzin. . .
- Ale szkrab! – wymruczałem. Zdjęcie przedstawiało malucha patrzącego na coś przed sobą.
- „Zoja, i rok” – widniał podpis pod zdjęciem.
- Dalej, dalej. . . Zoja idzie do szkoły, Zoja zostaje pionierem. . . Interesujące, ale ciągle nie to, czego potrzebuję. Aha, jest! „Ślub”, czyli będzie mąż. Z tego, co mówiła zjawą, mąż nadal żyje.
- A oto i syn.
- „Alosza” – przeczytałem pod zdjęciem.
- O, i od tego momentu ze szczegółami – poleciłem teczce.
- Za mały jesteś, żeby mi rozkazywać – odparła teczka surowo. – Czekaj, czekaj, powiem archiwistcie, żeś mnie wyniósł z archiwum bez pozwolenia!
- Zdaje się, że mamy w pokoju kominek – wymruczałem w zadumie. – I chyba nie ma tam już nic na rozpałkę. . .
- Dobra, dobra – mruknęła przestraszona teczka. – Przecież żartowałam. To już nawet pożartować nie wolno?
- Ze szczegółami! – zadysponowałem.
- No proszę, jeszcze ogona nie ma, a już będzie pokrzykiwał! Nie można po ludzku poprosić? A może ja też mam duszę! . . .
- Bez słowa wstałem z łóżka i skierowałem się z teczką do wyjścia.
- Nie można powiedzieć, żeby małżeństwo naszej bohaterki Zoi Pawłowny było szczęśliwe – zatrajkotała szybko teczka. Znów zdjąłem kapcie i wszedłem na łóżko, rozkładając teczkę tak, żeby lepiej było widać obrazki, które właśnie pokazywała. – Początkowo wszystko układało się dobrze (zdjęcia szczęśliwej pary), ale stopniowo jej mąż zaczął pić. Pił coraz więcej i częściej (zdjęcie mężczyzny stojącego w drzwiach mieszkania, opartego o futrynę). Zaczęły się awantury. Niedługo potem w rodzinie Nienaszewów urodził się chłopczyk, któremu dano imię Aloszka (zdjęcie malucha).
- Nietrudno się domyślić, co było dalej – przerwałem teczce. – Mąż pił coraz więcej i awanturował się coraz bardziej. Jednym słowem, nasz klient.
- Tak jest. Słyszałam od innych teczek, że już mu u nas przygotowano miejsce. Jak tylko wyciągnie kopyta, zaraz go przyjmą.
- To mnie nie interesuje. Powiedz lepiej, czyim klientem jest ta Zoja, naszym czy ich? – Wskazałem palcem sufit.
- Skoro tyle czasu znosiła tego pijaka, to ich. Święta kobieta.
- Jak jest taka święta, to czemu nie jest u nich, tylko miota się między światami?
- Z powodu syna. – Teczka zaszeleściła kartkami, przerzucając około stu stron. – Patrz.
- Zobaczyłem obrazek wielkości rozłożonej teczki. Obrazek ożył – wrażenie było takie, jakbym oglądał telewizję. Zobaczyłem sympatycznego czarniawego chłopca około lat dwunastu, który siedział w kącie i cicho płakał. Jego szczupłą postać zasłaniał jakiś typ, porządnie ubrany, ale chwiejący się na nogach.
- Żłodzijskie nasienie! – wrzeszczał na chłopca. – Znowu żeś mi wziął pieniądze?
- Nie, tato, nie! – powtarzał przestraszony chłopiec. – Nie brałem! Sam je wziąłem!
- Jeszcze będziesz mi kłamał?! Odkąd matka umarła, rozpuściłeś się jak dziadowski bicz! Już ja się za ciebie wezmę! Już ja zrobię z ciebie człowieka!
- Mężczyzna zaczął rozpałać pasek.

– Raz – dwa z ciebie głupotę wybije!
 – Nie, tato! Już więcej nie będę! Obiecuję! Położyłem palec na obrazku, zatrzymując go.
 – Kto wziął pieniądze? – spytałem.
 – Ojciec Aloszy – zameldowała teczka. – Wczoraj przyszedł do domu pijany, ale chyba ciągle mu było mało, zabrał pieniądze i kupił wódkę, a dziś o tym nie pamiętał.
 – Jasne. – Zabrałem palec i obraz znowu ożył. Niewiele straciłem, ojciec bił chłopaka na całego, lejąc, gdzie popadnie.
 – Ja z ciebie zrobię człowieka! Już ja z ciebie zrobię człowieka!
 Chłopak już nie płakał, tylko jęczał, usiłując zasłonić się przed uderzeniami. Nagle coś szepnął. . .
 – Stop! – zawołałem i obrazek natychmiast zastygł. – Cofnij odrobinę. . . – Teczka spełniła prośbę. – A teraz daj dźwięk na maksa, chcę usłyszeć, co powiedział chłopiec.
 – Mogę przeczytać z ruchu warg. Nawet maksymalne pogłośnienie nic nie da, chłopiec nie mówił na głos.
 – To czytaj! Obrazek znowu ożył.
 – „Zabiję cię” – odczytała teczka. – „Przysięgam, że cię zabije. Za mamę!” To wszystko, nic więcej nie mówił. Pokazywać dalej?
 Zamknąłem teczkę.
 – Nie trzeba, sąd już wszystko rozumie. Teraz jasne, dlaczego dusza Zoi snuje się między światami. Czy chłopiec mówił te słowa na poważnie?
 – Mówił bardzo poważnie. Skrzywiłem się.
 – Nie o to mi chodzi. Jakie jest prawdopodobieństwo, że spełni swoją groźbę?
 – Gdyby w tamtej chwili miał w ręku nóż, spełniłby ją od razu. A tak. . . Nie wiem, nie jestem wydziałem analitycznym.
 – O rany, dajże spokój! Przecież na pewno napatrzyłaś się już na ludzi, i nawet bez wydziału analitycznego wszystko wiesz.
 – Powiem tak. – Okładka teczki lekko poczerwieniała ze wzburzenia. – Któregoś dnia ten typ doprowadzi syna do ostateczności i wtedy albo Alosza zabije ojca, gdy ten będzie spał, albo zabije go, gdy dorosnie.
 – Jasne. A potem Aloszka trafi prosto do nas i jego dusza straci jedną reinkarnację. Hmm. . . – zamyśliłem się. – Jasna sprawa, że jego matka tego nie chce, ale sama nie może nic zrobić. Taak. . . Całkiem nieźle. A co on tam mówił o mamie? No, „zabiję go za mamę”?
 – A, to. . . Mniej więcej dwa lata temu ten typ upił się, jak zwykle, a potem pobił żonę na oczach syna i odbił jej wątrobę. Wtedy bardzo długo chorowała.
 – Ach tak – zabębniłem palcami w poduszkę. – A czy jest winien jej śmierci?
 – Jak najbardziej. Jej śmierć jest bezpośrednią konsekwencją tamtego pobicia.
 – Jasne.
 Odłożyłem teczkę, zerwałem się z łóżka i zacząłem chodzić po pokoju. No, wujaszku, wielkie dzięki za moją letnią praktykę. Kłaniam się nisko i całuję rączki! Wychodzi na to, że chcąc zapewnić spokój duszy Zoi, żeby dostać zaliczenie praktyki, muszę rozwiązać problem jej męża i syna? Fantastycznie. Czyja wyglądam na anioła stróża?! Podszedłem do lustra. Nie, nie wyglądam!
 – Wielkie dzięki, wujku! – krzyknąłem w sufit, wściekły cisnąłem poduszką o ścianę. Może by tak jeszcze zatupać nogami i zacząć wrzeszczeć? E, za stary jestem na takie historie, rodzice by nie rozumieli. . . Ciekawe, a może mógłbym zrezygnować z tej praktyki? Nie, pewnie się nie da. Wikientij mi na to nie pozwoli. No i po czymś takim miałbym napięte stosunki z dyrektorem. . . A Wikesza w ogóle nie dałby mi żyć, musiałbym pewnie zmienić szkołę. Nie, to by było przyznanie się do porażki, nie ma mowy! Do licha, co to dla mnie takie zagmatwane sprawy rodzinne? Sama przyjemność!
 Położyłem się na łóżku, przykryłem głowę poduszką.
 – Mamo, proszę, urodź mnie jeszcze raz. . . – wyjęczałem. – Jestem diabłem, nie psychologiem rodzinnym! I jako diabłu zależy mi na tym, żeby do piekła trafiło jak najwięcej dusz! Nie, cholera, wcale mi nie zależy – poprawiłem się od razu. Dawno minęły czasy, gdy diabły rywalizowały ze sobą, który ściągnie więcej ludzi na złą drogę. Niegdyś z tego powodu toczyliśmy z rajem wielkie wojny. . . A teraz na mocy traktatu od siedmiuset lat nie prowadzi się tego typu rywalizacji, żeby nie zaognić sytuacji. W wypadku rodziny Zoi jeden klient jest na pewno nasz. . . Pozostaje jeszcze kwestia dwóch dusz.
 – I co postanowiłeś? – spytała teczka, której pewnie znudziło się oglądanie mnie z poduszką na głowie.
 Podniosłem się i schowałem teczkę do szuflady biurka.
 – Nie twoja sprawa – burknąłem. – Myślałby kto, że mam jakiś wybór. . . Po co wtedy polazłem z wujkiem do ministerstwa? Gdybym nie poszedł, nie spotkałbym tej duszy. . .
 Zerknąłem na zegarek. Rany! Trzecia w nocy! Rano muszę być przecież w archiwum, żeby odłożyć akta na miejsce! Szybko się rozebrałem i wskoczyłem pod kołdrę. Żeby tylko rano nie zaspać. . .

Rano oczywiście zaspałem. Nikt nie wpadł na to, żeby mnie obudzić! Pewnie, po co kogoś budzić, skoro ma wakacje? Rodzice wyraźnie zapomnieli o mojej letniej praktyce. Zresztą, sam jestem sobie winien, nie

ma co oskarżać innych... Zapinając w biegu koszulę, wpadłem do kuchni, wyciągnąłem kanapki z lodówki i zacząłem je wypychać do ust.

– Dokąd się tak spieszysz! – zawołała za mną mama. – Usiądź, zjedz normalnie!

– Bemambasu! – odparłem.

– Nie mów z pełnymi ustami! – pouczył mnie brat.

Przełknąłem z trudem.

– Nie mam czasu, mówię! Powinienem już być na praktyce!

– Znowu żeś czytał do północy, nic dziwnego, że zaspasłeś! – mruknął brat.

Pokazałem mu język i schowałem się za drzwiami, nim zdążył zareagować.

– Mamo! Widziałaś to? – usłyszałem jego krzyk. Czym prędzej wybiegłem na dwór, popędziłem przez trawnik do bramy, żeby jak najszybciej zniknąć z naszego podwórka. Jeszcze mnie zatrzymają...

– Stój! – doleciał mnie krzyk ojca.

Udałem, że nie słyszę i machnąłem ręką na taksówkę.

– Do ministerstwa kar – poprosiłem, wsiadając. Samochód ruszył i szybko skrył się za zakretem. Rodzina nie zdążyła mnie dogonić.

Podjeżdżając do głównego wejścia do ministerstwa marzyłem o tym, żeby zobaczyć tam wujka. O, wtedy wygarnąłbym mu, co o nim myślę. Dość tego, miarka się przebrała!

Oczywiście przed wejściem wujka nie było. Dobra... Podeszedłem do najbliższego słupa, na którym siedział kruk.

– Daj raj! – burknąłem.

– Z kim chcesz rozmawiać? – zakrakał kruk.

– Z wujkiem. Numer sześćdziesiąt trzy sześćset. Kruk przechylił głowę na bok, nasłuchując.

– Abonent czasowo niedostępny – zakrakał.

– Tfu – splunąłem. Zrozumiałem, że mimo najszczerzych chęci nie uda mi się wygarnąć wujkowi, więc poszedłem w stronę budynku.

– A kto zapłaci? – spytał surowo kruk.

– Za co?! – oburzyłem się.

– Za rozmowę!

– Za jaką rozmowę?! – rozłościłem się. – Co za złodziejstwo! Czekaj, poskarżę się na ciebie do ministerstwa łączności!

– Myślałby kto – powiedział kruk. – Jaki ważny! Odwróciłem się i poszedłem.

– Cham! – zawołał za mną kruk.

– Chyba ty sam! – rzuciłem przez ramię.

Pokazałem przed wejściem przepustkę i od razu udałem się do archiwum. Już schodząc do podziemi, usłyszałem czyjś potężny ryk.

– I co ja mam z tobą zrobić, bałwanie jeden! Czy ty chociaż rozumiesz, że omal nie narobiłeś bałaganu w całej sprawozdawczości?! Zresztą, do diabła z nią!!! Jak śmiałeś!!! Pytam cię, jak śmiałeś przedstawiać teczki i przełożyć akta żywego człowieka do działu zmarłych?! Czy w tym swoim kurzym mózdzku rozumiesz chociaż, co byś narobił?!

Ostrożnie uchyliłem drzwi, wśliznąłem się do archiwum. Ujrzałem tam dość interesującą scenkę: błąd z przerażenia Ksefon, przyciskający do piersi jakąś teczkę, został wciśnięty w ciasny kąt przez dość potężnego diabła, który groźnie machał przed jego nosem wielką pałką.

– Oo? – powiedziałem.

Zdaje się, że Ksefon coś nabroił... Od razu poprawił mi się humor. W tym momencie Ksefon spostrzegł mnie i czym prędzej zawołał, licząc, że w ten sposób odwróci od siebie uwagę groźnego diabła. Diabeł istotnie zwrócił się w moją stronę i jego oczy groźnie błysnęły.

– Dzień dobry, proszę pana – powiedziałem najuprzejmiej, jak umiałem. – Zapewne jest pan archiwistą? Pan administrator mówił mi, że będzie pan dzisiaj. Jestem praktykantem ze szkoły, nazywam się Ezergil i chciałbym sprawdzić coś w archiwum, oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu?

Twarz diabła rozpozodziła się, wyraźnie złagodniał.

– Od razu widać dobre wychowanie! Ezergilu, musisz najpierw otrzymać przepustkę od administratora. Chociaż! – głos archiwisty podniósł się o dwie oktawy. – Widzę, że administrator już sam nie wie, komu wydaje przepustki!!!

– Mam przepustkę, dostałem ją jeszcze wczoraj, proszę... A co się stało?

– Co się stało?! Co się stało?! Przyszedłem dziś wcześniej, bo zaplanowałem rewizję ubiegłego stulecia, mam ustalić listę reinkarnacji z naszej strony. Pracuję spokojnie, a tu nagle wchodzi ten typek. Spodziewałem się, że jak dobrze wychowany diabeł podejdzie do mnie, przedstawi się, wyjaśni, w jakiej sprawie przyszedł i jeśli będzie miał przepustkę, a jego sprawa okaże się ważna, to ja pomogę mu, jak umiem. A on co robi?!

– Co robi? – spytałem grzecznie.

– On skrada się do półki, na której stoją akta żywych ludzi, wyjmując jedną teczkę i wsuwa ją na półkę ze zmarłymi!!! Dobrze, że zobaczyłem!!!

– To straszne! – zawołałem z przerażeniem, chichocząc w duchu. Mój podstęp się jednak udał! Administrator spostrzegł, jaką teczkę oglądałem i przekazał tę informację Ksefonowi. A ten przygłup nie zdołał wymyślić nic mądrzejszego, jak tylko przeniknąć do archiwum i próbować ukryć teczkę przede mną. Rzecz jasna, lekcję, na której opowiadano nam o surowych zasadach przechowywania danych i wpływie tego przechowywania na ludzi jak zwykle opuścił; dlatego nie wiedział, że taka teczka po prostu nie może stać nie na swoim miejscu. Zrobiłby się tu taki bajzel, że wszyscy aniołowie by się dowiedzieli, nazjeżdżałoby się komisji... Nie mówiąc już o naprawieniu wszystkich konsekwencji na ziemi...

– Znasz tego typka? – spytał mnie podejrzliwie archiwista.

Westchnąłem ze smutkiem.

– Niestety! Chodzimy do jednej klasy i on też odbywa tu praktykę. Co prawda, nie mam pojęcia, na czym polega jego zadanie, bo jak na razie tylko płacze się pod nogami i wszystkim przeszkadza. Wczoraj mnie śledził...

– O, więcej nie będzie nikomu przeszkadzał! – oznajmił groźnie archiwista, łapiąc Ksefona za ucho. – Dobrze, Ezergili, widzę, że jesteś poważnym chłopcem. Zostań tu przez chwilę i przypilnuj, żeby nikt nie wchodził, w razie czego mów, że nie pozwoliłem nikomu korzystać z archiwum do czasu swojego powrotu. Zaprowadzę tego gagatka do administratora i od razu powiem temu staremu durniowi, co o nim myślę.

– Dobrze, panie archiwisto. Może pan być spokojny, wszystko będzie w porządku.

Ksefon posłał mi mordercze spojrzenie i od razu wrzasnął, gdy archiwista pociągnął go za ucho do wyjścia. Wykrzywiłem się w stronę kolegi z klasy, a ten próbował mi odpowiedzieć tym samym, ale właśnie wtedy archiwista pociągnął go mocniej i Ksefon znów zawył z bólu. Wkrótce potem jego krzyki nikły w głębi korytarza; a ja błyskawicznie podbiegłem do właściwego regału, by odstawić na miejsce teczkę z aktami Zoi Pawłowny.

– No i super – powiedziałem do siebie. Zachichotałem, wyobrażając sobie, co się teraz dzieje u administratora. No, muszę tam koniecznie potem zajrzeć.

W doskonałym humorze usiadłem na najbliższym krześle obrotowym i odepchnąłem się nogą od podłogi. Krzesło zawirowało. Wszystko układa się jak najlepiej... Gdybym dziś nie zaspał, nie zobaczyłbym tego zajmującego widowiska, zwrócenie te czki pod czujnym okiem archiwisty byłoby sporym problemem, a Ksefon w mojej obecności pewnie powstrzymałby się od robienia głupstw. Tylko co ja mam zrobić ze swoją praktyką?

Archiwista wrócił dość szybko, zagniewany i wesół zarazem.

– No – powiedział. – Ten idiota nie będzie nas już niepokoił. Od razu uprzedziłem administratora, że jeśli ten szczeniak jeszcze raz wejdzie mi w oczy, to zwyczajnie wyrzucę go z budynku, a na administratora napiszę skargę, że wystawia przepustki różnym chuliganom, którzy nie mają pojęcia o znaczeniu przechowywanych tu rzeczy!

– Obawiam się, że będzie pan musiał spełnić swoją groźbę – zauważyłem. – Ksefon nie rozumie aluzji.

– Aluzji? – zdumiał się archiwista.

– No, tego, że wziął go pan za ucho i wystawił na korytarz. Należało powiedzieć wprost: więcej mi tu nie przychodź!

– To on jest taki tępy?

– Zwykle trzeba mu wszystko mówić dwa razy... – Im dalej, tym lepiej! Wprawdzie Ksefon aż taki tępy nie był, ale czego nie robi się dla przyjaciela! Jeśli przyjaciel cię nie pochwali, to kto inny?

– Rozumiem. Lepiej, niech się trzyma ode mnie z daleka. A ty czego byś chciał?

Zastanowiłem się. Najwyraźniej archiwista nie płonał chęcią pomagania Ksefonowi. Chyba nie zrobiłby tego nawet za pieniądze... Postanowiłem opowiedzieć mu o moim zadaniu. Archiwista wysłuchał mnie z uwagą.

– Czyli twój wuj jest aniołem? – prychnął. – No cóż, zdarzają się gorsze rzeczy. Muszę przyznać, że podsunął ci ciekawą pracę...

– Właśnie! Myślałem, że porozmawiam z tą duszą i będzie po sprawie...

– O, kochany, zaufaj mojemu doświadczeniu: wszystko okaże się znacznie bardziej skomplikowane niż wydaje się na pierwszy rzut oka!

Zerknąłem podejrzliwie na archiwistę. Chyba nie czyta w myślach... Przecież nie wspomniałem o tym, że wyniosłem z archiwum akta Nienaszewej, nie mówiłem też, czego dowiedziałem się z te czki – a jednak, nie wiedząc tego wszystkiego, co ja wiem, archiwista od razu wyczuł, że sprawa nie jest prosta.

– Dobrze, chodźmy szukać tej twojej Zoi. Najprawdopodobniej jest jeszcze w dziale żyjących.

Zrobiliśmy to samo, co wczoraj robiłem już z administratorem, ale tym razem od razu podszedłem do właściwej te czki.

– Jeśli wygadasz się, że cię już brałem, to wrzucę cię do kominka – pogroziłem jej szeptem.

– No przecież jesteśmy przyjaciółmi! Jak mogłeś przypuścić... – odparła przestraszona teczka.

Przyniosłem teczkę na stół i położyłem przed archiwistą. Ten nałożył okulary i otworzył.

– Dobrze... Popatrzmy, co my tu mamy.

Razem z archiwistą czytałem teraz to, co już obejrzałem wczoraj wieczorem. Archiwista kartkował teczkę

bez pośpiechu, czasem prosił o pokazanie jakiegoś epizodu z życia Zoi, uważnie oglądał zdjęcia, w końcu doszedł do dnia dzisiejszego i obejrzał sobie życie codzienne rodziny Nienaszewów.

– Jaasne – powiedział w końcu. – Tak, smutne to, smutne... – W zadumie podparł podbródek dłonią i zapatrzył się w jeden punkt. Nie odzywałem się, nie chcąc mu przeszkadzać, w końcu jednak przemówił: – Nie rozumiem, dlaczego ludzie myślą, że diabły nie umieją współczuć. Nic podobnego! Naprawdę jest mi szczerze żal tego chłopca. Przecież on przepadnie! I jestem prawie pewien, że w efekcie stanie się naszym klientem.

– Ale, tak czy inaczej, to nie jest praca dla diabłów, lecz dla aniołów! Pomoc i ratunek to ich zadania!

– Słusznie, ale to szczególnie przypadek. Widzisz, chłopiec nie wierzy w nic, a to znaczy, że jest sam przeciwko całemu światu, a to ponad jego siły. A skoro on nie wierzy, to aniołowie są bezsilni. Ale my, diabły... .

– Czyli my możemy mu pomóc? Ale to przecież nie nasze zadanie?!

– No to co? Co nam szkodzi spróbować?

– Chce pan powiedzieć... .

– Oczywiście. To, że czegoś nie umiesz zrobić, to jeszcze nie powód, żeby nie spróbować. Chyba chcesz zaliczyć swoją praktykę?

– Oczywiście!

– W takim razie musisz uporać się z tym problemem. Sam rozumiesz, że zjawy nigdzie nie pójdzie, dopóki będzie martwić się o syna. I jedyny sposób zmuszenia jej do określenia się, to sprawić, by nie musiała lękać się o jego los.

– Zabić tego jej męża i już... . – mruknąłem.

– No, no, no! Żeby nie musiał zmienić o tobie zdania!

– Wiem, że to bzdury, ale nie mówiłem tego na poważnie, tylko tak... .

– Nigdy nie mów takich rzeczy nawet „tylko tak”. Ani my, ani aniołowie, nikt nie może bezpośrednio ingerować w życie człowieka. To jedna z podstawowych reguł ustanowionych przez Niego. Możemy działać jedynie przez ludzi. Ale dam ci radę... . – Archiwista zamyslił się, w końcu skinął głową. – Widzisz, mój mały, będziesz musiał pojechać do rajy. Skoro masz tam wujka, to on ci na pewno pomoże. Dostaniesz list do tamtejszego archiwisty... . Chodzi o to, żebyś obejrzał również ich dokumentację. Oczywiście dysponujemy kompletnymi danymi, ale nas interesują głównie wady i nałogi, czyli ciemna strona człowieka. W rajy mają przede wszystkim tę jasną stronę. Żeby uzyskać kompletny obraz sytuacji, powinieneś zapoznać się również z ich materiałami. Nie można zrozumieć człowieka, jeśli zna się go tylko z jednej strony. Skinąłem głową.

– Dziękuję. Chyba tak właśnie zrobię. Dzisiaj popracuję tutaj, a jutro pojedę do rajy. Chciałbym jeszcze obejrzyć akta Aloszy Nienaszewa i tego męża Zoi, Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa.

– Słusznie. – Archiwista skinął aprobująco głową. – Działaj, działaj, nie będę ci przeszkadzał.

– Co też pan mówi! Tak bardzo mi pan pomógł!

– Dlaczego nie miałbym pomóc? Ty do mnie po dobroci, to i ja do ciebie z całym szacunkiem.

Archiwista uśmiechnął się dobrodusznym i odszedł, a ja odstawiłem teczkę Zoi na miejsce i odnalazłem akta Wiktora. Niczego nowego się z nich nie dowiedziałem, zrozumiałem jedynie, jak zaczął pić w towarzystwie koleżków, ale niewiele mi to dało. Za to jakie tam były obrazki... . Jak karze syna za dwójkę, jak bije żonę za to, że chowa przed nim pieniądze... . Krótko mówiąc, nasz klient bez dwóch zdań. Jego kartoteka była bardzo pokaźna, w odróżnieniu od cieniutkiej teczki Zoi, a przecież oboje byli w tym samym wieku. No dobrze, zastanowię się nad tym później... .

Odstawiłem wszystko na swoje miejsca, pożegnałem się z archiwistą i poszedłem szukać administratora. Znalazłem go w pokoju socjalnym, gdzie chyba uspokajał nerwy. Przywitałem się z nim uprzejmie, a on nagroził mnie gniewnym spojrzeniem.

– Co tam zaszło między tobą i Ksefonem? – zapytał chmurnie.

– Mną i Ksefonem? – Wytrzeszczyłem oczy. – Słowo daję, nic! Prócz tego, że on mnie ciągle śledzi... .

– Skąd ta myśl? – zapytał administrator.

– To raczej domysł... . Widzi pan, wczoraj znalazłem potrzebną mi teczkę, a dzisiaj Ksefon zakradł się do archiwum i próbował ją schować, przestawiając na inne miejsce... .

– Jak to? Przecież wczoraj nic nie znalazłeś? – zauważył przebiegle administrator.

– Znalazłem, panie administratorze – westchnąłem ze smutkiem, jakbym się przyznawał do winy. – Po prostu panu nie powiedziałem, przepraszam... . Chciałem sam rozwiązać ten problem i z nikim nie dzielić się zasługami, żeby potem wszyscy mnie chwalili i mówili, jaki ze mnie zuch.

– Zarozumiała ambicja – uśmiechnął się administrator. – No tak, to prawdziwie diabelskie uczucie, rozumie cię.

– Właśnie. A że ten bałwan Ksefon chciał przestawić teczkę do działu zmarłych... .

Administrator zjeżył się.

– Oo... . Wtedy to już na pewno wyleciałbym z pracy, bez odprawy! Czego oni was uczą w tej szkole?! – wybuchnął nagle.

– No cóż... . – powiedziałem ze złośliwą satysfakcją. – Uczą nas tego, co trzeba, ale Ksefon ma piątkę tylko z jednego przedmiotu.

– Z jakiego? – spytał podejrzliwie administrator.

– Z wagarów. Nic innego mu tak dobrze nie wychodzi. Z całą odpowiedzialnością mogę zapewnić, że z tego przedmiotu jest najlepszy w szkole.

– Och! – Administrator nagle złapał się za serce. – A ja wystawiłem mu przepustkę na cały budynek! Może wchodzić wszędzie, prócz działów specjalnych!

Może to dziwne, ale nie czułem współczucia dla administratora.

– Tak... Muszę przyznać, że ma pan dużo szczęścia.

– Dlaczego?

– Ksefon chodzi z tą przepustką od wczoraj, a doszło tylko do jednego skandalu...

I tym optymistycznym akcentem zakończyłem rozmowę z administratorem i poszedłem szukać zjawy. Po drodze wpadłem na Ksefona; od jego czerwonego ucha aż bił blask. Przechyliłem głowę, przyglądając mu się uważnie.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Nawet ci to pasuje... Chociaż byłoby dobrze powiększyć również drugie ucho, żeby było symetrycznie. Jak chcesz, mogę po przyjacielsku pomóc, wystarczy poprosić. Albo zawołam archiwistę, on na pewno zrobi to z przyjemnością.

– Czekaj, już ja ci to wszystko przypomnę! – zasyczał Ksefon. – Myślisz, że nie wiem, kto mnie tak urządził? Nie mam jeszcze pojęcia, jak to zrobiłeś, ale się dowiem! A wtedy strzeż się! – Odwrócił się na pięcie i poszedł do administratora, który czekał na niego z ponurą miną.

Uśmiechnąłem się. Zdaje się, że dla biednego Ksefona to jeszcze nie koniec kłopotów na dziś...

Tym razem odnalazłem zjawę znacznie szybciej – a przynajmniej nie musiałem się za nią uganiać.

– Przyszedłeś... – zaszemrała zjawy. Rozglądając się uważnie, podniosłem palec do ust.

A potem wyjąłem z kieszeni pudełeczko, w którym wierciły się trzy pająki. Znalazłem je wczoraj w naszym ogrodzie. Pół godziny ich szukałem, a przez kolejną godzinę się do nich dostrajałem. Nawet wyjąłem podręcznik do wszystkowidzenia! Teraz umieściłem po jednym pajączku na każdym zakręcie korytarza.

No dobrze, moje złotka, siedźcie tu sobie i rozglądajcie się uważnie dookoła... Sprawdziłem, jak działa łączność. Patrzenie przez pajęcze oczy było dość niezwykle, ale to nic, przynajmniej własnych nie muszę mieć dookoła głowy. Teraz już nikt nie podkradnie się niezauważony...

– Po co to? – zapytała zjawy.

– A tak... Lubię pająki. Taka mania. Niektórzy trzymają w domu koty czy psy, a ja pająki. Wszędzie je ze sobą zabieram, teraz właśnie jest pora ich spaceru... – Coś jestem dziś za bardzo zjadliwy; może jestem chory?

Owszem, jestem. I jako choremu należy mi się odpoczynek. Ale niestety, o odpoczynku mogę tylko pomarzyć. Dopóki nie załatwię sprawy ze zjawą, odpoczynek pozostanie w sferze marzeń...

– Zdarza się. – Dusza skinęła głową.

Zdaje się, że nie tylko ja jestem w takim nastroju...

– A tak w ogóle – powiedziałem – to z powodu pewnych osób nie spałem dziś pół nocy i od świtu jestem na nogach.

– Przykro mi... Dowiedziałeś się czegoś o moim synu?

Nie miałem ochoty kłamać, ale mówić prawdy też nie chciałem.

– Jest zdrowy – odparłem oględnie.

– Tyle to i ja wiem.

– Cóż, jak pewnie sama rozumiesz, my tutaj, w piekle, mamy dość jednostronne wiadomości – powtórzyłem słowa archiwisty. – Żeby uzyskać pełny obraz wydarzeń, muszę zajrzeć do archiwum rajy. Zaczekasz jeszcze trochę? Jak już będę miał wszystkie wiadomości, znowu tu przyjdę.

– Coś przede mną ukrywasz... A ja nie mogę odejść od cmentarza. Nie mogę zobaczyć syna. Dlaczego?

– Trudno to wyjaśnić... Chodzi o poświęconą ziemię, która nie pozwala wam robić głupstw.

– Mniejsza o to... Zdaje się, że wiem, jak pokonać ten zakaz.

– Na pani miejscu nie robiłbym tego. Na cmentarzu jest pani bezpieczna, tam chroni panią sama ziemia. Poza granicami nekropolii może pani wpaść w kłopoty, niewykluczone, że zaatakują panią złośliwe zjawy, które się tam gdzieś zasiedziały, a którym wcale się nie spieszy... Cóż, jak zaczną się rozwiewać, same do nas przylecą. Zresztą, wszechświat niewiele straci, jeśli te dusze znikną.

– Muszę zobaczyć syna!

– Mogę przynieść zdjęcie.

– Muszę zobaczyć syna!!

– Albo film...

– Muszę zobaczyć syna!!! – zaszlochała i znikła. Stropiony patrzyłem na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą wisiła zjawy. Podrapałem się po karku. Cóż, jeśli dusza się rozwieje, również będzie to jakieś rozwiązanie problemu... Dobrze, na razie wracam do domu. Po pierwsze, muszę wyłudzić pieniądze na podróż do rajy, po drugie przespać się, a po trzecie spakować rzeczy. Ale najpierw muszę dostać się do domu.

Rozdział 4

Poranny międzyświatowy ekspres do rajy odchodził o piątej. Klnąc w żywy kamień, wskoczyłem na stopień wagonu. Cóż, najwyraźniej pora przywyknąć, że wczesne wstawanie będzie normalką w czasie tej praktyki. Koszmar... Już drugi dzień z rzędu chodzę niewyspany... Wprawdzie mogłem kupić bilet na pociąg o siedemnastej, ale wtedy byłbym na miejscu w środku nocy, a to jeszcze gorsze niż wstać przed piątą rano.

Stojąca na peronie mama machała mi ręką.

– I nie zapomnij zmieniać skarpetek! – zawołała.

Skrzywiłem się. Problem skarpetek martwił mnie najmniej. Poza tym, nie mam dwudziestu lat! Potrafię o siebie zadbać. Dobrze jeszcze, że udało mi się odczepić od mamy, która nalegała, żeby pojechać ze mną. Ładnie bym wyglądał, przyjeżdżając na letnią praktykę z mamą! Cała klasa by się ze mnie śmiała... Maminsynek!

Wrzuciłem torbę na półkę i wychyliłem się przez okno.

– Niedługo wróć! – zawołałem; chyba mówiłem to już po raz setny. – Poza tym wujek się o mnie zatroszczy! – wyobraziłem sobie spotkanie z wujkiem i uśmiechnąłem się złośliwie. No, wreszcie będę mógł mu powiedzieć wszystko, co myślę o tym zadaniu praktycznym...

Ekspres ruszył. Zamknąłem okno, usiadłem wygodnie, w nadziei, że uda mi się odrobinę zdrzemnąć. A gdzież tam! Ledwie zamknąłem oczy, a do przedziału wpadło hałaśliwie towarzystwo. Trzech diabłów, którzy najwyraźniej niedawno stali się pełnoletni. O rany, a tak liczyłem, że będę w przedziale sam! Nie zwracając na mnie uwagi, zaczęli głośno omawiać plany na najbliższą dobę. Miałem rację – cała trójka wczoraj weszła w wiek dorosły i postanowiła uczcić to wydarzenie podróżą do rajy. Przez jakiś czas rzucałem im niezadowolone spojrzenia, licząc, że zrozumieją i się zamkną. Potem poprosiłem uprzejmie o spokój. Niestety, prawie nie zwrócili uwagi na moją grzeczną petycję, jeden tylko burknął: „Cicho, małolat”. Aha, małolat?! Musiałem uciec się do radykalnego środka. Po kryjomu wyjąłem z kieszeni paczuszkę z proszkiem świerzbowym i wdmuchnąłem go do przedziału, jednocześnie łykając antidotum. Odczekałem chwilę, a potem zacząłem się intensywnie drapać, wiercąc się na siedzeniu. Początkowo nie zwracali na mnie uwagi, ale w końcu jeden popatrzył na mnie zdumiony i zapytał:

– Ej, młody, co z tobą?

Machnąłem ręką i powiedziałem dobrodusznie:

– Nie zwracajcie uwagi. Świerzb mnie dręczy, właśnie jadę się leczyć. Podobno w rajy mają supermedycynę. To oczywiście choroba zakaźna, ale spokojnie, w rajy wyleczą i was...

Sekundę później byłem w przedziale sam. Uśmiechnąłem się pod nosem, odchyliłem oparcie fotela i zasnąłem. Obudziło mnie potrząsanie za ramię.

– To ten chory na świerzb?

Otworzyłem jedno oko – nade mną stał jakiś typ w kombinezonie ochronnym. Popatrzyłem na niego zdumiony, nic nie rozumiejąc. Dopiero, gdy zobaczyłem za jego plecami trzech swoich niedawnych towarzyszy podróży, zorientowałem się, o co chodzi.

– Jaki chory na świerzb? Czy to jeden z nich? – zapytałem, wskazując ręką za plecy typa w kombinezonie. – A ja nic nie wiedziałem... Swoją drogą, czy wy rozumiecie, co robicie? Powiem wszystko rodzicom, oni wam sprawę wytoczą! Nie sprawdzacie swoich pasażerów?! Chorzy ludzie jeżdżą sobie pociągami, a administracja nic nie robi?

– Hej, przecież to ty jesteś chory! – oburzył się jeden z trójki.

Uśmiechnąłem się w duchu, a głośno zawołałem:

– O, i jeszcze na mnie zwalają! Ładne rzeczy, zrzucają na mnie, że niby ja jestem chory! Szefie, no przecież oni specjalnie kłamią! A ja? Proszę. – Sięgnąłem do kieszeni torby i wyjąłem metrykę i zaświadczenie. W szkole przed każdymi wakacjami przeprowadzane są badania lekarskie, karta medyczna zastępowała niepełnoletnim dokumenty. Z dumą pokazałem w karcie wpis „zdrowy”. – O, niech pan na nich popatrzy!

Typ w masce odwrócił się. Mój proszek już zaczął działać i wszystkie odsonięte fragmenty ciała całej trójki pokryły się czerwonymi plamkami. Jeden z nich już drapał się na całego.

– Ach, więc to tak! – Mężczyzna groźnie ściągnął brwi. – Chcieliście sobie ze mnie zażartować?! I jeszcze zwalić wszystko na biednego chłopca? Dobrze, zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni! – I wypchnął protestującą trójkę na korytarz.

Zdaje się, że zepsułem im święto... Ale z drugiej strony, sami są sobie winni, przecież prosiłem ich grzecznie, mówiłem, że jestem zmęczony... Trzeba przyznać, że uprzejmość to wielka rzecz... Mam nadzieję, że nikt inny nie będzie mnie już niepokoił. Dla jego własnego dobra...

Mniej więcej o dziewiątej pociąg zatrzymał się na stacji pośredniej. Z zaciekawieniem patrzyłem przez okno na Pałac, w którym mieszka Sprawiedliwość. Ludzie słusznie przedstawiają ją z zawiązanymi oczami – jak się tak ciągle śpi, to nic dziwnego, że potem ma się problemy z podniesieniem powiek. Zresztą, jeszcze nigdy nie słyszałem żadnej skargi na jej sąd. W końcu znajdowała się tam słynna waga! W szczególnie ważnych przypadkach z raju i piekła wyciągano akta dusz i ważono je. Jeśli przeważała teczka z raju, człowiek był raczej dobry niż zły, jeśli ta z piekła – serdecznie zapraszamy do kotła.

Pociąg stanął. Poczułem przemożne pragnienie wyjścia na peron. Pewnie, że byłoby miło rozprostować nogi, ale to miejsce dawało pewien efekt uboczny – tutaj dowolne kłamstwo było prawdą. Nie w tym sensie, że nie dało się tu skłamać – po prostu każde kłamstwo od razu stawało się prawdą. Krótko mówiąc, nie najlepsze miejsce dla diabłów... Na szczęście postój trwał krótko i zdołałem się opanować; następna stacja była już w raju.

Wziąłem torbę, wysiadłem i rozejrzałem się. Wujka nigdzie nie było widać. Co jest? Ukrywa się przede mną, czy jak? Rozumiem, że mogłem się nie dodzwonić, ale żeby nie przyszedł na dworzec?! Przecież sam dyktowałem jego domowemu informację, kiedy przyjadę... Domowy nie mógł nie przekazać wiadomości...

– Ezergil?

Odwrociłem się. Przede mną stał jakiś typ pokryty igielkami.

– Kim jesteś? – spytałem gburowato.

– Leszy – burknął typ. – Takie imię. Twój wujek prosił, żeby cię powitać.

– Ach tak? – zacząłem się denerwować.

– Tak. Prosił, by ci przekazać, że zatrzymały go w pracy ważne sprawy. Bardzo żałuje, że nie mógł przyjść na dworzec i prosił, żeby ci to dać.

Odruchowo przyjąłem podane klucze.

– Co to jest?

– Klucze od mieszkania twojego wujka. Powiedział, że możesz się u niego rozgościć i prosił, żebyś czuł się jak u siebie.

Popatrzyłem na klucze, potem na Leszego.

– Od kiedy to w raju zaczęli zamykać drzwi na klucz?

– Od wtedy, kiedy zaczęli wpuszczać tutaj diabły – mruknął Leszy; chyba nie lubił diabłów. – Wszystkiego dobrego.

– A... – chciałem jeszcze o coś zapytać, ale Leszy już zniknął w tłumie. Stałem na peronie z torbą w jednej ręce i kluczami w drugiej. Wściekły, cisnąłem torbą o ziemię. No, nie wierzę, żeby wujek był tak zajęty, żeby nie mógł przyjechać na dworzec! Ale tak czy inaczej, głupio było urządzić tu awanturę. Zaraz przybiegliby wujaszkwowie w białych ubrankach, zaczęli mnie uspokajać, obiecaliby cukierka, a potem odesłali do rodziców. Innymi słowy, nie daliby mi żyć. Zły i wkurzony, złapałem torbę i wyszedłem na ulicę.

Zawsze, gdy jestem w raju mam ogromną ochotę zejść do piekła, odnaleźć duszę architekta, który projektował nasze miasta, a potem podłożył pod jego kocioł dużo drewna wysokiej jakości, żeby mu się zrobiło naprawdę gorąco. Budynki w raju były tak lekkie, tak zwiewne, że zdawały się wisieć w chmurach. Całe miasto lśniło w promieniach słońca i nawet w deszczowy dzień nie wyglądało ponuro, lecz świeżo. A ulice! Jakby płynęły nad miastem! Wchodzisz coraz wyżej i wyżej, aż w końcu widzisz przed sobą miasto w całej swej wspaniałości, pełne radości i kwiatów... Ta radość dosłownie biła ze wszystkich stron! W takich chwilach zaczyna się poważnie myśleć o emigracji...

Tuż przede mną wylądował pegaz.

– Dokąd, młody człowieku? Dostarczę pana szybko i bezpiecznie.

Zerknąłem na skrzydlatego konika.

– Dorabiasz sobie?

– Wszyscy powinniśmy przynosić pożytek społeczeństwu. Ja rozwożę podróźnych, a ktoś sieje wspaniały owies, który potem jem. Ja pomagam innym, inni pomagają mnie.

– Jasne. Czyli dowiesz mnie za „dziękuję”? – burknąłem, sadowiąc się w siodle.

Pegaz parsknął.

– Wy, diabły, jesteście takie niewychowane... Bardzo powszechny błąd. My, diabły, potrafimy się wzorowo zachowywać! Przecież jeśli chcesz kogoś omamić, najpierw koniecznie musisz wzbudzić jego zaufanie. Kto by bowiem zaufał ponuremu drabowi, który klnie jak szewc? Po prostu lubimy mydlić innym oczy... Weźmy na przykład mojego ojca. Smarka przy stole i wyciera ręce o podkoszulkę, a potem tymi samymi rękami je. A przecież oglądałem stary film, na którym ojciec ubrany we frak zadawał szyku na balu jakiegoś księcia. Chyba nazywał się Dracula... Zresztą, mniejsza z tym. No więc, na tym balu mój ojciec swoimi manierami dosłownie zaćmił całe towarzystwo! Był wspaniały!

– A co ci się nie podoba? – udałem zdumienie. – Ty robisz przyjemność mnie: zawozisz pod wskazany adres. A ja robię przyjemność tobie: dziękuję ci. I jesteśmy kwita.

– Za „dziękuję” to ja cię zawiozę pod zupełnie inny adres – obiecał pegaz.

– No i trzeba było tak od razu! A nie wciskasz mi jakieś kity o „powszechnej pomocy”... Dwie monety.

– Stoi.

Pegaz rozprostował skrzydła i wzleciał. Lot był krótki, ale przyjemny, choć oczywiście nie można go w ogóle porównać z lotem anioła... Zresztą, niektórym właśnie lot pegaza podoba się bardziej. Jak to mówią, de gustibus i tak dalej... Jednak ja szczerze radzę spróbować obu sposobów, a potem przeanalizować wrażenia.

Skrzydlaty konik wylądował na dość dużej łące, kopytem wskazał mi kierunek.

– Dom, którego szukasz, jest tam. Bliżej podwieźć nie mogę, zakaz parkowania.

Też coś... Dla mnie każdy zakaz jest tylko pretekstem do złamania go. Chociaż, jeśli wlałeś między wrony... to znaczy, między anioły... Dobra, pokażemy temu skrzydlatemu żrebcowi, na co stać diabła... Zeskoczyłem z siodła i skłoniłem się przed nim z galanterią.

– Dziękuję ci, cudowny zwierzu. Jestem twoim dłużnikiem po wsze czasy. Przyjmij ode mnie te dwie monety na znak wdzięczności. Zegnaj, życzę ci zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Kończąc ten wyszukany spicz, zarzuciłem torbę na ramię i poszedłem w stronę domu wujka, zostawiając pegaza z obwisłą szczęką. No co, zdziwiony? Diabły grubianie, diabły niewychowane... A kto tu jest niewychowany? Nie spodziewałeś się po nieociosanym prostaku tak górnołotnego stylu?...

W mieszkaniu wujka zająłem najlepszy pokój – sam mówił, żebym czuł się jak u siebie... Zdjąłem buty, jeden cisnąłem w jeden kąt przedpokoju, drugi w przeciwny. Potem zwinąłem dywanik przed wejściem i wcisnąłem go pod drzwi.

– Pan Monterrey uprzedzał, że właśnie od tego pan zaczniesz – oznajmił niewidzialny głos.

– Jeszcze nie zacząłem – obiecałem groźnie, wywalając buty z szafki. – Dopiero się rozkręcam.

– Uprzedził również, że mniej więcej tak pan odpowie.

– Zawsze powtarzam, że mój wujek jest bardzo mądry.

– To prawda. – Przede mną niespodziewanie zmaterializowało się coś puchatego. – Pan pozwoli, że się przedstawię: jestem Profania, skrzat domowy tego mieszkania. Pilnuję tu porządku i w związku z tym nie podoba mi się to, co pan tu robi – domowy machnął łapą i cały mój starannie zaprowadzony bałagan zniknął. Wszystkie rzeczy znalazły się na swoich miejscach, nawet moje buty spoczęły na półeczce. Aż zasapałem z irytacji. To ja się tu staram...

– Rozumiem, że jest pan bratankiem pana Monterreya, Ezergilem?

– Trudno się nie domyślić – burknąłem.

– Wobec tego, cały ten dom jest do pańskiej dyspozycji na czas, jaki zechce pan spędzić w raju, ja zaś mam pomagać we wszystkim.

– W takim razie pomóż mi zaprowadzić tu taki bajzel, że nawet ty nie zdołasz go posprzątać przez tydzień.

– Moim zadaniem jest pilnowanie porządku, a nie niszczenie domu.

– Niszczenie domu? – Podrapałem się w podbródek. – Słuchaj, podsunąłeś mi całkiem niezły pomysł...

Domowy na chwilę zastygł w powietrzu. Z puchatego kłęбка wyłoniło się dwoje wielkich oczu patrzących na mnie z grozą.

– Master Ezergil, prosiłbym pana... – powiedział przestraszony domowy.

Machnąłem ręką.

– Wyluzuj, żartowałem. Sam pomysł: jeśli zniszczę dom, to gdzie będę mieszkał?

– Uff... Ale ma pan żarty, master Ezergil...

– Masz rację: diabelskie. Wierz mi, nie chcę zniszczyć tego domu – obiecałem. – Przynajmniej dopóty, dopóki tu mieszkam.

Domowy, który już się rozluźnił i na powrót przemienił w puchaty kłębek, znowu wytrzeszczył na mnie oczy. Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie i zamknąłem mu przed nosem drzwi pokoju. Wyteżyłem słuch: domowy mamrotał coś pod nosem. Skinałem głową swojemu odbiciu w lustrze, a potem w ubraniu rzuciłem się na łóżko. Tak... dokąd więc powinienem się teraz udać? Do głównego archiwum. W odróżnieniu od jego piekielnego odpowiednika, stanowiącego jedynie dział ministerstwa kar, w raju archiwum było oddzielną służbą. Miało własny budynek i to niejeden. Zatem, jeśli chcę tam trafić, muszę się najpierw umówić...

Zerwałem się z łóżka i wyszedłem do przedpokoju, gdzie był telefon.

– Ej, kudłaty! – zawołałem, oglądając telefon i jego okolice. – Gdzie wy tu macie książkę telefoniczną?

– Nie jestem Kudłaty – domowy zmaterializował się za moimi plecami. – Nazywam się Profania.

– Słyszałem. To gdzie ta książka?

– Do diabła! – W tym jednym słowie Profania zdołał zawrzeć taką gamę uczuć, że aż mu pozazdrościłem. Ech, chciałbym mieć wyrażać swoje emocje jednym słowem, tak barwnie i z taką ekspresją! – Nad tobą! – zawołał domowy i zniknął.

Podniosłem głowę; nad telefonem na żerdzi siedziała papuga kakadu. Stałem na palcach, patrząc, czy książka nie leży za papugą i spotkałem się wzrokiem z ptakiem.

– No? Co tak patrzysz? – zapytał. – Ja jestem książka. Ja. Jaki numer telefonu jest ci potrzebny?

– Aaa... – powiedziałem stropiony. Książka–papuga? Dawno nie byłem w raju, trzydzieści lat temu nie wynajmowali papug do tej pracy. – Potrzebny mi telefon centralnego archiwum.

– Raju czy piekła?

– Na cholere mi telefon do piekła?! Żeby go poznać, nie musiałbym tu przyjeżdżać!

– Tego nie wiem. Żądanie należy sformułować precyzyjnie w celu uniknięcia nieporozumień i skarg – uściśliła papuga, po czym sfrunęła z żerdzi, żeby usiąść obok telefonu. Łapą podniosła słuchawkę, postukała dziobem w widełki. – Hallooo? – powiedziała do słuchawki głosem czułym i omdlewającym. Czubek na głowie ptaka wyprostował się, w głosie zadźwięczały tęskne nutki. – Jak się masz, kochanie? Stęskniłeś się za swoim popką? Bo ja tak tęskniłem, tak tęskniłem. . .

Popatrzyłem wstrząśnięty na papugę rozmawiającą przez telefon z jakimś „kochaniem”, które najwyraźniej mu odpowiadało, na dodatek coś równie głupiego i czulostkowego. No nie, do pełni szczęścia jeszcze mi tylko brakowało zakochanej papugi!

– Gdzie jest telefon do archiwum, o który prosiłem dziesięć minut temu? – ryknąłem, gdy już obrzydło mi słuchanie niekończącej się litanii „kochań”, „ślicznotek”, „słoneczek” i kiedy zrozumiałem, że jeśli nie przerwę temu gadule, zapewne nie poznam numeru telefonu aż do wieczora.

Papuga łypnęła na mnie jednym okiem.

– Maleństwo, przepraszam cię, gości u nas pewien hałaśliwy i niewychowany diabeł. . . Tak, kochanie, najprawdziwszy diabeł. Nie, nie żartuję. Pamiętasz, kiedyś mówiłem ci, że mój pan ma w piekle bratanka? No więc, to właśnie on przybył w gości. . .

– Gdzie ten telefon?! – wrzasnąłem znowu. Z sufitu posypał się tynk.

– Tak, tak – powiedziała papuga do słuchawki. – Bardzo hałaśliwy młody osobnik. I strasznie niecierpliwy. . . Tak, prosi o telefon archiwum. Słoneczko, bądź tak dobra i zobacz. . . Tak, tak, ja rozumiem, ale diabły są takie niecierpliwe. . .

O nie! Diabły są bardzo cierpliwe. . . Ale nawet cierpliwość diabła ma swoje granice. Poszedłem do kuchni i wybrałem największą patelnię, jaką udało mi się znaleźć. Ocenilem rozmiar, następnie wyjąłem z szuflady stołu wielki nóż. Zerknąłem jeszcze raz na patelnię, odstawiłem ją na bok, bo uznałem, że rondel będzie lepszy. Założyłem czapkę kucharską, po czym z nożem w jednej ręce i rondlem w drugiej zjawiłem się w przedpokoju. Papuga, zainteresowana moim strojem, na chwilę oderwała się od rozmowy.

– Masz zamiar coś ugotować? Słusznie, Monterrey powinien mieć jakieś zapasy. . . Zaraz dowiem się o numer telefonu i zjemy obiad.

Bez słowa ruszyłem w stronę papugi.

– Przy okazji, co chcesz ugotować? – spytała jeszcze papuga. – Bo kaszy manny nie lubię, a kasza gryczana musi być zrobiona na sypko, bo inaczej traci smak.

– Zupę – oznajmiłem. – Z papugi.

– Zupę lubię – odparła melancholijnie papuga, słuchając paplaniny w słuchawce. – Co?! – zwołała, gdy wreszcie do niej dotarło. – Zupę. . . z. . . z. . . pagu. . . papu. . . Nie możesz!

Zmachnęła skrzydłami, ale nie zdążyła wzlecieć – błyskawicznie wyciągnąłem rękę, chwyciłem ją za łapy.

– Nie możesz! – zwołała spanikowana papuga. – Profania! Na pomoc! Mordują własność pana!

Wtedy w przedpokoju zjawił się Profania z wielką deską i jakimś materiałem. Podał mi to wszystko, mówiąc:

– Master Ezergil, sugeruję rozłożyć to na podłodze, żeby nie zachlapać jej krwią, a na to położyć deskę – na desce łatwiej będzie pokroić tego zakochanego gadułę.

– Ach, więc to tak?! – darła się oburzona papuga, bezskutecznie usiłując wyrwać się z moich rąk. – Więc to tak dbasz o majątek pana! O, wszystko opowiem!

– Zwracam ci uwagę – powiedziałem spokojnie, kładąc papugę na desce – że po utracie głowy mówienie będzie dla ciebie sporym problemem.

– Ratunku! – wrzasnęła papuga. – Proszę, błagam, zlitujcie się nad sierotą! Już nie będę! Słowo!

– Master Ezergil, niech pan wali prędej. Już rozgrzewam piekarnik – rzekł Profania.

Uniosłem nóż nad łepkiem biednego ptaka.

– Litości! – zawyła papuga. Chyba naprawdę uwierzyła, że chce ugotować z niej zupę.

– Prosisz mnie o litość? – uśmiechnąłem się swoim najbardziej czarującym uśmiechem. – Mnie, diabła? Musisz wiedzieć, diabły są bardzo miłe. . . jeśli tylko nie doprowadza się ich do ostateczności. Udało ci się mnie rozgniewać. . . To o co mnie prosisz?

– Więcej nie będę!

Koniuszkami noża podrapałem się w policzek.

– Może by ci jednak uwierzyć? Z jednej strony, wkurzyłeś mnie. Ale z drugiej, kto poda mi numer telefonu, jak zrobię z ciebie zupę?

– Nikt! Jestem unikalnym ptakiem! Moja pamięć mieści szesnaście milionów sto czterdzieści trzy tysiące siedemdziesiąt dziewięć numerów telefonów!

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba masz rację. . . – powiedziałem. Papuga odetchnęła z ulgą, a ja dodałem: – Ale na zupę też mam ochotę. . . – zamachnąłem się nożem i uderzyłem.

Przez chwilę panowała cisza, potem nad moim ramieniem zawisł Profania i spojrzał na papugę, która leżała na desce z zacisniętymi powiekami, i na sterczący obok jej głowy nóż.

Papuga otworzyła jedno oko.

– Jestem już w raju? – szepnęła.

– Tak – odpowiedziałem szczerą prawdę. – A jeśli chcesz w nim pozostać, to radzę ci jak najszybciej podać mi numer archiwum.

Papuga otrząsnęła się, zerwała, zerknęła na wbity w deskę nóż i przerażona odskoczyła od niego, wpadając na rondel. Rozległ się huk, rondel poleciał w jedną stronę, papuga w drugą.

– Słuchaj no, ty gadająca książko telefoniczna sztuk jedna – powiedziałem głośno. – Dałem ci szansę. Ostatnią!

– Tak, tak, tak. – Papuga pokiwała głową, usiadła przy telefonie, znów zastukała dziobem w widełki. – Kochanie... – Papuga zerknęła na mnie, omal nie zadławiła się tym „kochanie”, więc powiedziała oficjalnym tonem: – Centralne biuro numerów? Poproszę pilnie telefon głównego archiwum raju. Nie jestem dla ciebie papuzią, kiedy pracuje! Tak, natychmiast! Tak, tak... Dziękuję. – Papuga znów zastukała dziobem. – Halo? Sekretariat głównego archiwum? Będzie mówił diabeł EzerGil. Tak, oddaję słuchawkę.

Ja i Profania popatrzyliśmy na siebie i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Zdaje się, że zaczynam rozumieć wasze diabelskie żarty – rzekł.

Uśmiechnąłem się.

– Poczekaj na jeszcze – szepnąłem, puszczając do niego oko i doznałem lekkiego szoku, gdy domowy odmrugnął.

Ku mojemu zdumieniu, na wizytę w archiwum umówiłem się bez problemów.

– EzerGil? – usłyszałem miły, łagodny głos. – Tak, mamy tu zezwolenie wypisane na pana, leży od dwóch dni. Może pan przyjść, kiedy zechce, tylko proszę wziąć ze sobą jakiś dokument potwierdzający tożsamość.

Wszędzie ta biurokracja... Ale jak wujek zadziałał! Skoro zezwolenie leży od dwóch dni, to znaczy, że wystawił je, kiedy tylko wymyślił mi wakacyjną pracę. Czyli już wtedy wiedział, że się tu zjawię! O, wysokość rachunku, jaki wystawię mu za swoje wakacje, gwałtownie rosła... Miałem coraz większą ochotę porozmawiać z nim tak od serca.

Postanowiłem nie odkładać wyprawy do archiwum na później. Im wcześniej z tym skończę, tym lepiej.

Miasta w raju zawsze robiły na mnie niesamowite wrażenie – były naprawdę wstrząsające. Żeby porozkoszować się tym pięknem, poszedłem na piechotę. Taki spacer to i dla zdrowia lepiej, i zapewnia doznania estetyczne... Specjalnie szedłem tak, żeby ominąć Niebiański Portal, który ludzie nazywają potocznie Bramą Raju. Tak naprawdę to wcale nie żadna brama, tylko słup jasnego światła. To właśnie tu przychodzą te wszystkie dusze, które trafiają do raju. A potem... potem czeka je cały świat... Świat, który stworzą same, w którym to one są stwórcami. Nie mówię o tej żalostnej imitacji, którą ludzie opisują w książkach o świecie wirtualnym, mam na myśli prawdziwą rzeczywistość. Sami tego nie podejrzewając, ludzie są przyszłymi kreatorami. Nieukończona liczba wszechświatów została stworzona przez takich właśnie demiurgów. Ponieważ jednak do tak ważnego dzieła nie można dopuścić byle kogo, ludzie przechodzą różne próby, kolejne reinkarnacje na ziemi. Nasze zadanie polega na wybraniu czystych dusz, które dowiodły swego człowieczeństwa. Nie wolno sądzić kogoś po jednym jedynym czynie, dlatego człowiek otrzymuje wiele szans, jego dusza odradza się po śmierci. I chociaż nie pamięta minionego życia, pozostaje w nim coś niezmiennego, coś, co towarzyszy mu zawsze, bez względu na to, czy przeszedł przez raj czy przez piekło. Coś podobnego dzieje się również na innych planetach, ale inne planety to już nie nasza działka, tam mają własne odpowiedniki diabłów i aniołów.

Z zaciekawieniem patrzyłem na lśniące portale. Tak bardzo chciałbym zajrzeć do jednego z nich... Niestety, ani diabły, ani anioły nie mogą tego zrobić... Odwróciłem się szybko, poszedłem dalej. Lśniące słupy emitowały czystą radość, ale ja czułem smutek, tęsknotę i żal.

Pospiesznie minąłem tę aleję. Wszedłem do parku, który stanowił jakby skansen pierwotnej przyrody, nie był jednak straszny czy przerażający. Pewnie ludzie z przyjemnością kręciliby tu swoje filmy... Hmm, a gdyby tak zaproponować aniołom wynajem? Nie, chwila, jaki wynajem? Czy ja mam zamiar być reżyserem? Ale pomysł nie był zły i można by go komuś podsunąć... Odwróciłem się, żeby popatrzeć na piękny las i dostrzegłem jakiś cień między drzewami. No nie! Ksefon! A już myślałem, że się od niego odczepiłem. Niech to licha! Teraz znów będę musiał się rozglądać, czy go gdzieś nie ma... Przez to, że się obejrzałem, nie zauważyłem cienkiego sznurka rozciągniętego w poprzek drogi. Oczywiście rymśnąłem, a gdy już leżałem jak długi, spadło na mnie wiadro z wodą. Zirytowany odrzuciłem je na bok, wstałem i otrząsnąłem się. Ksefon zaśmiał się triumfalnie.

– No i co, mądralo? Wpadłeś! – wołał z pewnej odległości, rozsądnie nie podchodząc bliżej. – Myślałeś, że jesteś najmądrzejszy, co? Aha, przyszła kryśka na Matyska!

O dziwo, nie byłem wściekły, jedynie poirytowany, że dałem się tak podejść. A swoją drogą, Ksefon jest znacznie głupszy niż myślałem. Inteligencji wystarczyło mu jedynie na sznurek i wiadro... Słowo daję, na drabinie kariery nie wespnie się wyżej niż do rangi drobnego biesa; będzie się specjalizował w takich właśnie psikusach, niewymagających ani rozumu, ani wyobraźni. A w dodatku on naprawdę myśli, że ta pułapka była arcygenialna!

Wywróciłem kieszenie, ze smutkiem popatrzyłem na rozmiękłe bombki kichające. Teraz nie będzie z nich żadnego pożytku, po wysuszeniu proszek przemieni się w twardą grudę. Wyrzuciłem je w krzaki, poszedłem

dalej. Jeśli Ksefon wyobraża sobie, że w ten sposób mnie powstrzyma... No nic, po prostu będę musiał bardziej uważać.

– Ej, czego nic nie mówisz? – zapytał Ksefon. Chyba ubodło go, że nie zareagowałem na pułapkę. – No i co, przemokłeś? Ale nieszczęście...

Nie zwracając na niego uwagi, opuściłem pierwotny las. Znow znalazłem się w mieście. Przechodnie ze zdumieniem zerkali na moje mokre ubranie, ale taktownie milczeli. Skoro chodzę w mokrych ciuchach, to znaczy, że tak ma być. W raję każdy ma prawo do różnych fanaberii. Ksefon szedł za mną krok w krok, udzielając mi drwiących rad lekko schrypniętym głosem. Uu, nieładnie... W raję nie toleruje się kpin pod adresem innych... Kilka razy zwracano mu uwagę, ale Ksefon nie rozumiał, że lada chwila sprawy mogą przybrać poważny obrót. A ja śmiałem się w kułak. Skoro ten wagarowicz–pasjonat nie zna elementarnych zasad zachowania w raję, to ja na pewno go nie oświecę. Zwłaszcza, że skrzydlaci nieraz go ostrzegali.

Jednak Ksefonowi znudziły się te kpinki, zanim przybył patrol. Szkoda... Patrol zwyczajnie wyrzuciłby go z raję z zakazem pojawiania się tu przez co najmniej dziesięć lat. Ech, powinienem był udać, że te drwiny sprawiają mi przykrość, wówczas Ksefon nie poddałby się tak szybko i patrol w końcu by przyleciał...

Wszedłem do archiwum głównym wejściem, tamtejszy pracownik popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Ee... młody człowieku! Tak chce pan wejść do archiwum? W mokrym ubraniu?

– A o co chodzi? – Udałem, że patrzę na siebie z zaciekawieniem. – Wykapałem się po drodze, zrobił się upał...

– Ależ nic, nic. – Anioł zamachał rękami. – Nie miałem najmniejszego zamiaru ingerować w pańskie sprawy! Po prostu, rozumie pan, to jednak archiwum... Czy nie zechciałby pan najpierw wejść do tamtego gabinetu? Tam wysuszą panu ubranie. A gdy będzie pan opuszczał archiwum, znow pana namoczymy, to mogę obiecać.

Zastanowiłem się.

– No, nie wiem... Mokre ubranie to taka miła rzecz podczas upału... Nie próbował pan? Proszę koniecznie tak zrobić, to naprawdę bardzo przyjemne!

Pracownik popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Cóż, nie jestem chłopcem...

– No to co? Czy z tego powodu ma się pan męczyć? Przecież właśnie dlatego, że nie jest pan chłopcem, powinien pan bardziej troszczyć się o swoje zdrowie!

– Tak pan myśli?

– Oczywiście! Wie pan, jak to odświeża?

– Hmm, no, może... – powiedział bez przekonania. – Ale tak czy inaczej, do archiwum w mokrym ubraniu wchodzić nie wolno.

Skinałem ze smutkiem głową.

– Trudno, wobec tego się wysuszę... Czego się nie robi dla szkoły...

– Och! – zachwycił się anioł. – Jaki dobrze wychowany, pilny diabeł! A mojego nicponia za nic nie można zagonić do nauki. O, gdybyś poznał mojego syna, na pewno miałbyś na niego dobry wpływ!

Zastanowiłem się. Czego mógłbym nauczyć jego syna? Najwyżej pokazałbym mu, jak niedostrzegalnie ścigać na klasówce. A potem namówiłbym, żeby włożył do cudzego ogrodu. Hm, kuszące, kuszące. Szkoda, że nie mam czasu... A wszystko przez tę praktykę!

– Koniecznie musi mnie pan z nim poznać – uśmiechnąłem się. – Ale niestety, nie tym razem... Szkoła, szkoła...

– Jaki miły diabeł... – słyszałem za swoimi plecami mamrotanie pracownika. – I jaki pilny w odrabianiu lekcji... A ty kim jesteś i dokąd się wybierasz?

Odwróciłem się. Ostatnie zdanie skierowane było do Ksefona, który właśnie usiłował przemknąć się do archiwum. Pracownik złapał go za ramię

– Poproszę przepustkę. Masz przepustkę?

– Daj mi spokój, dziadku! – warknął Ksefon. Westchnąłem. Ech, nie powinien był tego mówić...

– A jednak diabły bywają różne... Jeden uprzejmy i staranny, a drugi cham i prostak... – rzekł pracownik. Ksefon nagle uniósł się w powietrze i z ponaddźwiękową prędkością opuścił hol archiwum.

Cóż, pewnie już tu nie wejdzie... Anioły są oczywiście bardzo łagodne, ale diabłów nie lubią. Właśnie dlatego należy postępować z nimi bardzo delikatnie, żeby czara ich wszechświatowej miłości nie wyschła pod palącymi promieniami diabelskiego chamstwa... Ale mnie wzięło na metafory! A Ksefona zrobiło mi się nawet szkoda... Ech, przecież wszyscy mu powtarzają: ucz się, ucz, bo zostaniesz tylko drobnym biesem.

W odróżnieniu od archiwum piekła, tutaj regały z aktami ludzi znajdowały się w przestronnej, jasnej sali. Jeśli nasze archiwum kojarzyło się z gigantyczną celą, to tutejsze bardziej przypominało bibliotekę. Bibliotekarz... tfu, archiwista zaprowadził mnie do jednego z regałów.

– Młody człowieku, tu jest to, o co prosisz. Jestem szczerze rad, że nawet w waszej piekielnej szkole zaczęto zadawać zadania polegające na pomaganiu ludziom, a nie tylko karaniu ich. Kara to oczywiście dobra rzecz, ale jak mówił nasz nauczyciel: „Powiadam wam, że w niebiesiach więcej jest radości z jednego skruszonego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, nieczujących potrzeby skruchy”.

– Aha. A jeśli nie chce się ukorzyć, to trzeba mu trochę pomóc. I tutaj przydadajemy się my, diabły.

Archiwista ściągnął brwi.

– No, młody człowieku, usiądź, usiądź.

Uu... I po co się wyrwałem z komentarzami? Cóż było robić, usiadłem pokornie w fotelu – ciągle miałem przed oczami wylatującego z holu Ksefona.

– Odnoszę wrażenie, że usłyszałem w twoich słowach drwinę, która w tym przypadku jest zupełnie nie na miejscu. Mówiłem przecież o szczerym i dobrowolnym żalu za grzechy.

Ta, jasne, szczerym i dobrowolnym. „Ukorz się, mój synu, bo jeśli nie, będziesz się smażył w piekle!” Te słowa wręcz emanują szczerością i dobrowolnością...

– Widzę, o czym myślisz – rzekł kustosz, a ja stałem się czujny – co on tam może widzieć? – Wątpisz... Ale to nic, z czasem sam to zrozumiesz. Popatrz... – Kustosz wyciągnął rękę, wyjął jedną cienką teczkę. – Widzisz? A teraz spójrz na drugie akta tego samego człowieka. – Klasnął w dłonie, podłoga rozjechała się, a w drugiej ręce kustosza pojawiła się druga teczka, prosto z piekła, grubości porządnej walizki.

Westchnąłem z zawiścią. Ech, gdybym ja tak umiał... Klasnąłbym w dłonie i prosię bardzo, mam do swojej dyspozycji archiwa i piekła, i raj, nie muszę latać tam i z powrotem.

– Jak sądzisz, dokąd trafił człowiek, którego akta właśnie oglądasz? Do piekła czy do raj? – spytał kustosz. Ocenilem na oko obie te czki – rajka miała grubość zeszytu.

– A współczynnik umniejszenia jest ten sam? – spytałem na wszelki wypadek, czując podstęp.

Kustosz skinął głową.

– Absolutnie.

– W takim razie do nas. Nasz klient. Kustosz zaśmiał się cichutko.

– Patrzysz powierzchownie, a to błąd. Zapamiętaj, chłopcze: nigdy nie sądz człowieka po pozorach, najpierw zajrzyj w głąb jego duszy. Ten człowiek wcale nie jest waszym klientem. Przebywa teraz w raj! Wprawdzie jego dobrych uczynków jest znacznie mniej, jednak ich ciężar gatunkowy okazał się tak duży, że na Wadze Sprawiedliwości od razu przeważały.

Teraz popatrzyłem na te czki zupełnie inaczej...

– Dziękuję za naukę, kustoszu. – Skłoniłem się. – Ja... zapamiętam to.

– Umiesz słuchać. – Skinął głową. – To rzadki dar. Daleko zajdziesz... Tylko w którą stronę?

Teraz i ja się uśmiechnąłem.

– No jak to, w którą? Przecież jestem diabłem!

– Zgadza się. Ale i diabły są różne. Możesz stać się takim, jak wasz Belzebub.

Wzdrygnąłem się. A kysz, a kysz, a kysz! Omal się nie przeżegnałem... A gdy się odwróciłem, kustosza już nie było. Ciekawe, więc nie mają zwyczaju pilnować gości? A może tak wszystkim ufają? Pewnie to drugie, w końcu to anioły – pomyślałem pobłaźliwie. Ale z drugiej strony okazane zaufanie bardzo mnie ucieszyło, nie miałem najmniejszej ochoty na żadne sikusy.

Podszedłem do regałów.

– No cóż, Zojo Nienaszewa. Popatrzymy na pani życie z tej drugiej strony. A zarazem obejrzymy dobre uczynki pani męża... – mruknąłem.

Rozdział 5

Najpierw wziąłem akta męża Zoi, Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa. Strasznie byłem ciekaw, jakie dobre uczynki ma na swoim koncie taki człowiek.

– Dzień dobry – powitała mnie teczka. – Trzyma pan w rękach akta Wiktora Nikołajewicza Nienaszewa. Życzy pan sobie zapoznać się z jego dobrymi uczynkami?

– Życzę – odburknąłem. Jeszcze trochę, a dostanę tiku nerwowego od tych nieustających uprzejmości. Tak chciałoby się usłyszeć swojskie: „Ezergil, durniu jeden, gdzie się pchasz?”.

Teczka tymczasem otworzyła się. Zobaczyłem zdjęcie młodego, całkiem porządnie wyglądającego mężczyzny. Szedł ulicami miasteczka, skromnie ubrany, z aktówką w ręku, zupełnie niepozorny. Idzie sobie, idzie. . .

– Student pierwszego roku Wiktor Nienaszew – wyjaśniła teczka.

– Pomocy! – rozległ się niespodziewany krzyk. Aż się obejrzałem zaskoczony, ale nie, krzyk dobiegał z teczki. Nie odrywając wzroku od teczki, podszedłem do okna, położyłem akta na stole, przysunąłem sobie fotel. Zobaczyłem, jak jakaś dziewczynka, na oko siedmioletnia, próbowała z brzegu rzeki dosięgnąć piłkę i wpadła do wody. Przechodzący obok Nienaszew bez wahania skoczył za nią.

Przypomniałem sobie rozmowę z kustoszem.

– Powiedz mi – zwróciłem się do teczki – ile taki czyn może ważyć na Wadze Sprawiedliwości?

– Tak właściwie niewiele, choć jednocześnie bardzo dużo.

– Wyjaśnij – poprosiłem chmurnie. – Nie mam ochoty na zagadki.

– To proste. Uratował ludzkie życie, a to bardzo dużo. Ale z drugiej strony, ten ratunek nic go nie kosztował, on sam niczym nie ryzykował. Gdyby, ratując tę dziewczynkę, sam znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyby z tą świadomością rzucił się na pomoc, taki czyn zostałby oceniony znacznie wyżej.

– Czyli wychodzi na to, że to jego wina, że nie groziło mu niebezpieczeństwo?

– Nie. Uratował ludzkie życie, zatem na wadze jego życia zostanie to wzięte pod uwagę.

– Dobrze, dajmy temu spokój, to dla mnie jeszcze zbyt skomplikowane. Popatrzmy, co mamy dalej.

W ciągu pół godziny miałem okazję obejrzeć Wiktora Nienaszewa w różnych sytuacjach. Widziałem go wyręczającego przyjaciela, pomagającego innym. . .

– Tatku, pomóż mi. – Czteroletni chłopczyk podszedł do ojca; Nienaszew roześmiał się i pochylił nad synem.

– Co się stało?

Małec podał mu zabawkę.

– O, tu się zepsuło. . .

Z pewnym zdumieniem patrzyłem, jak mężczyzna przyklęknął obok chłopca, żeby naprawić zabawkę. Widziałem czuły uśmiech, który pojawiał się na jego twarzy za każdym razem, gdy zerkał na syna.

Patrzyłem na to i nie wierzyłem własnym oczom. Czy to był ten sam człowiek, który osiem lat później będzie w pijackim amoku lał chłopaka pasem za kradzież, której nie było? Ten sam, który był winien śmierci żony?

A potem zobaczyłem inną scenkę: Nienaszew przyszedł do domu, już wstawiony. Zoja wyszła do przedpokoju.

– Witia! – zawołała. – Gdzieś ty był! Tak się denerwowałam!

– No, na prezentacji. . .

– Nie mogłeś zadzwonić?!

– Mam bez przerwy dzwonić tylko dlatego, że moja żona idiotka denerwuje się z byle powodu?!

Zoja zbladła.

– Witia. . .

Maż odepchnął ją i wszedł do mieszkania. O co tu chodzi?... Dlaczego ten epizod trafił właśnie do tej teczki, przecież wyraźnie powinien się znaleźć w naszej!

– Tato! – rozległ się przestraszony okrzyk. Przy drzwiach stał w piżamie nieco już starszy chłopczyk, wystraszony patrzył na ojca.

Wiktor Nienaszew zatrzymał się, jakby wpadł na ścianę. Przesunął dłonią po twarzy, odwrócił się gwałtownie, podbiegł do płaczącej żony.

– Boże! – wymamrotał. Co ja robię! Zoju, Zojeczko, wybacz pijanemu idiotcie!

Padł przed żoną na kolana i objął ją. Obok nich przykucnął chłopiec.

– Witia, czemu pijesz? Przecież ty zupełnie nie umiesz pić. . .

- Zojeczko, zrozum, przecież nie mogę inaczej... Powiedzą, że zadzieram nosa, że jak zostałem zastępcą dyrektora to już przestałem być z kolektywem...
 – Gwizdź na to! Przecież tak to i siebie zgubisz, i nas zadreczysz...
 – Obiecuję, przysięgam, że będę pił mniej i tylko wino...
 Zoja pokręciła głową. W tym momencie obraz zniknął. Dłuższą chwilę patrzyłem na czystą kartkę papieru, w końcu spytałem:
 – Czemu to się tutaj znalazło?
 – Pytasz, czemu ten epizod nie znalazł się w waszej diecezji?
 – Tak. Moim zdaniem, ta scenka nie powinna liczyć mu się na plus.
 – Mylisz się. Przecież przed chwilą mówiono ci, żebyś nie oceniał powierzchownie, tylko patrzył w duszę...
 Na Wadze Sprawiedliwości ten epizod będzie ważył więcej niż niejeden jego grzech.
 – Ale dlaczego?
 – A dlatego, że przeprosił, błagał o wybaczenie! Dlatego, że jego skrucza była szczerą i płynęła z głębi duszy, ty tępy diable. Nie widziałeś tego?
 – Bardzo bym cię prosił, żebyś mnie nie obrażała! No i co z tego, że się ukorzyłem?
 – A to, że szczerzy żal zmazuje winę!
 – Czyli, gdyby szczerze żałował za śmierć żony, to mu wybaczą?
 – Tak, ale piekła nie uniknie, będzie jedynie etap czyścica. Dostanie jeszcze jedną szansę, ale w tym celu musi się ukorzyć. Szczerze.
 – Oo... – powiedziałem złowieszczo. – Już ja mu w tym pomogę! Będzie tak szczerze żałował, że wszyscy aniołowie zapłaczą! W końcu zaczniesz się troszczyć o syna, dusza jego żony uzyska spokój, a ja zaliczę tę przeklętą praktykę!
 Teczka zacmokała... ee... językiem? No, po prostu zacmokała z wyrzutem.
 – Nic nie rozumiałeś. Nie możesz zmusić go do ukorzenia się. Jeśli będzie żałował pod przymusem, gdzie tu szczerść? Możesz mu najwyżej pomóc uświadomić sobie stopień jego upadku, ale on sam musi dojrzeć do żalu, zrozumieć własną winę.
 – A co ja jestem, anioł?! – zachnąłem się. – Taka pomoc to zadanie dla sił rajów, nie dla diabłów. A ja jestem diabłem!
 – Tak? Rzeczywiście, zapomniałam. Ale czy jest ktoś, kto wiedziałby więcej o winie niż diabeł?
 Już chciałem odrzucić tę przemądrzałą teczkę, ale ostatnia uwaga sprawiła, że przyhamowałem. Faktycznie, kto może wiedzieć więcej o winie? Warto by się nad tym zastanowić... Jednak nie tutaj, lecz w jakimś spokojniejszym miejscu... W tej właśnie chwili bardzo wyraźnie rozumiałem, że rozwiązanie problemu tej... zbłąkanej duszy jest niemożliwe bez rozwiązania problemu jej rodziny. A żeby rozwiązać problem rodziny, trzeba wyruszyć na ziemię. Na ziemię!!! O mamusi! Jestem jeszcze za mały! Jestem za mały na takie rzeczy!
 – No, wujaszku, niech ja cię tylko spotkam! – wymruczałem. – Nie będziesz się przede mną ukrywał w nieskończoność!
 – Nie będę.
 Odwróciłem się gwałtownie. Za mną stał uśmiechnięty wujek. No nie, jeszcze się uśmiecha!
 – Wujku!
 – Ciszej. Cii... Nie musisz krzyczeć. Od razu zniżyłem głos.
 – Wujku, ale mi dałeś zadanie!
 – A co ci się w nim nie podoba? Nieciekawe?
 – Ciekawe? Ciekawe?! Wujku! Ja jestem diabłem, a ty mnie zmuszasz do wnikania w subtelności ludzkich stosunków! Żeby pomagać!
 Wujek westchnął.
 – Nie chciałbym tego mówić, ale bez względu na to, jaką pracę wybierzesz sobie w przyszłości, znajomość stosunków międzyludzkich bardzo ci się przyda. Przypomnij sobie, co mówił twój ukochany Mefistofeles...
 Wujek wiedział, jak mnie podejść... Mefistofeles był w piekle postacią legendarną – ja osobiście wielbiłem go, zaczytywałem się jego życiorysami i w głębi ducha marzyłem o tym, żeby stać się podobnym do tej postaci. No dobrze, wszystko bardzo pięknie, ale coś mi tu nie gra. Anioł, który pomaga diabłu kroczyć drogą Mefistofeles? Gdzieś tu musiała być pułapka – tylko gdzie?
 – Wujku, z jakiej niby racji chcesz mi pomóc stać się drugim Mefistofelem?
 – Och, to ci na pewno nie grozi. Jesteś zbyt utalentowany i niezależny, żeby być zwykłym naśladowcą, niechby nawet takiego wielkiego przedstawiciela sił piekielnych. – Zadarłem nos do góry, nieczęsto mam okazję słyszeć od wujka takie słowa. – Ja tylko chcę ci pomóc w odnalezieniu własnej drogi, nie życzę sobie, żebyś stał się potworem w rodzaju Belzebuba.
 Lepiej nie wywołujmy wilka z lasu... Wprawdzie Belzebub był diabłem, ale zwyciężał głównie dzięki tępej sile. Ten najbardziej zajadły przeciwnik reform Gorujana w swoim czasie narobił w piekle sporo zamieszania...
 – Wujku, a czy ty wiesz, że przez ciebie będę musiał wybrać się na ziemię?!
 – Wiem. Więcej nawet, już zdobyłem dla ciebie zezwolenie z rajów. Ta podróż da ci bardzo wiele – co by

z ciebie był za diabeł, gdybyś nie poznał ludzkiej egzystencji od podszewki? Od dawna usiłuję przeforsować ten pomysł wśród aniołów. Całe życie spędzają w piekle czy raj, decydują o losach ludzi, a na ziemi nie byli ani razu. Jak tak można?

Westchnąłem ze smutkiem. Wiedziałem przecież, że dyskusja z wujkiem nie ma sensu – on i tak znajdzie sposób, żeby mnie przekonać. A tak się gorączkowałem, tak podskakiwałem! „Już ja mu nagadam, już ja mu powiem!” Aha, już mu nagadałem...

– Ale jestem jeszcze za mały! – użyłem ostatniego argumentu. – Nie mam nawet stu dwudziestu lat! Skończę dopiero w przyszłym roku!

Wujek pogroził mi palcem.

– Nieczyste zagranie, Ezergilu. Czy to czasem nie ty udowadniałeś przy mnie swojej rodzinie, że jesteś już prawie dorosły? Podawałeś zresztą ten sam argument – tylko wtedy mówiłeś, że *już masz* sto dwadzieścia lat.

Szach.

– Ale skoro tak się opierasz, możesz zrezygnować z tego zadania. Najwyżej stracisz rok, cóż się takiego stanie?...

I mat.

– Niech wujek już da to zezwolenie – burknąłem.

W oparciu o porozumienie, osiągnięte przez Gorujana, diabły mogły odwiedzać ziemię wyłącznie za pozwoleniem aniołów – i na odwrót. Zezwolenia były w zasadzie czystą formalnością, ale pomagały kontrolować liczbę aniołów i diabłów przebywających na ziemi. Ogólnie powinno ich być mniej więcej po równo. Ciekawe, komu piekło pozwoliło wyruszyć na ziemię w zamian za moje zezwolenie?

– Gratuluje ci, Ezergilu. Podjąłeś słuszną decyzję. Ta podróż zmieni cię, sam zobaczysz. Nie wiem, czy na lepsze czy na gorsze, ale zmieni. Jednak ja w ciebie wierzę.

Wielkie dzięki, wujaszku, za dobre słowo. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mi pomogłeś.

– Chcesz tu jeszcze coś obejrzyć? Zerknąłem na dwie leżące przede mną teczki.

– Nie... Obejrzałem już wszystko, co mnie interesowało. W ogólnych zarysach sprawa jest jasna, a szczegóły i tak poznam na miejscu.

– W takim razie chodźmy.

Odłożyłem akta i poszedłem za nim. Przy wyjściu wujek objął mnie ramieniem.

– Nie przejmuj się tak... Na pewno spodoba ci się na ziemi, to gwarantuję. Jak więc, lecimy?

– Lecimy – skinałem głową.

Wujek przytrzymał mnie i wzlecieliśmy. Ostatnie, co zobaczyłem to okrągłe ze zdumienia oczy Ksefona wyglądającego zza ogrodzenia. Pewnie czekał tam na mnie, obserwując wyjście...

Przed wejściem do domu wujek gościnnie otworzył przede mną drzwi.

– Wchodź, Ezergilu. Czuj się jak u siebie w domu...

– ... ale nie zapominaj, że jesteś w gościach – dodałem.

Wujek parsknął śmiechem, wskazał pokój gościnny.

– Posiedź chwilę, muszę zadzwonić w jedno miejsce...

Skinałem głową, wszedłem do pokoju i klapnąłem na fotel. Wziąłem ze stoliczka jakieś czasopismo, zacząłem je obojętnie przeglądać.

– Halo...? – usłyszałem z przedpokoju omdlewający głos. – To ja, słoneczko... Stęskniłaś się za swoim papuzią?

Po chwili dołączył do mnie wujek, rzucając ponure spojrzenia na korytarz.

– Głupie ptaszysko – burknął. – Teraz będzie przez dwie godziny bajdurzyć z tym swoim słoneczkiem. Że też musiał się zakochać akurat w papudze z centralnego biura numerów! Próbuje go wychować, wzbudzić w nim szacunek do obowiązków, do pracy... Stopniowo się przyzwyczajają, teraz już coraz krócej rozmawia...

Taaak... Najwyraźniej wujek zbyt długo jest aniołem, traci umiejętności...

– Wujku, a jak go wychowujesz?

– Poprzez miłość i troskę oczywiście! Poczekaj, za rok zmieni się nie do poznania!

– Aha – skinałem głową. – Za rok, za dwa. Dokąd wujek chciał zadzwonić?

– Do biura zarachowania przemieszczeń. Muszę ustalić pewne rzeczy odnośnie twojego zezwolenia.

– Doskonale. – Wstałem i poszedłem do przedpokoju.

Zdumiony brat ojca poszedł za mną. Bez słowa poszedłem do telefonu, nacisnąłem widelki. Papuga z niezadowolaniem machnęła skrzydłami.

– Monterrey, jak ci nie wstyd, przer... – W tym momencie ptak spostrzegł, że wcale nie rozmawia z Monterreym. Czubek na jego głowie szybko opadł.

– Potrzebny mi numer biura zarachowania przemieszczeń – powiedziałem z uśmiechem. Papuga wzdrygnęła się.

– W tej chwili! Centralne biuro numerów? Ile razy mam ci mówić, że jak jestem w pracy to nie jestem papuzią! Tak, pilne zapytanie, tak, numer do biura zarachowania przemieszczeń. Rozumiem... – Papuga zaczęła naciskać dziobem przyciski. – Biuro zarachowania przemieszczeń? Łączę rozmowę. Będzie z wami rozmawiał

dia... – wskazałem palcem wujka, papuga skinęła głową. – Najmocniej przepraszam. Będzie rozmawiał anioł Monterrey. Oddaję słuchawkę.

Wziąłem słuchawkę z łapy papugi, niedbale podałem ją wujkowi i oparłem się o ścianę.

– Zamawiał pan rozmowę? – zapytałem niewinnie.

Wujek wytrzeszczył oczy, patrząc to na mnie, to na papugę, która siedziała na swojej żerdzi niemalże na baczność, a potem wziął ode mnie słuchawkę. Wróciłem do pokoju.

Wkrótce potem przyszedł wujek, usiadł naprzeciwko, tarł dłonią podbródek, przyglądając mi się uważnie. Udawałem, że tego nie widzę. Wreszcie mój krewny przerwał ciszę.

– Tak, Ezergilu... Zawsze wiedziałem, że jesteś zdolnym dzieckiem... Diabeł, który zdołał skłonić moją papugę do poważnego traktowania swojej pracy daleko zajdzie. Powiedz, jak ci się to udało? Żebym wiedział na przyszłość...

Wzruszyłem ramionami.

– Naprawdę, wujku, nie wiem, co powiedzieć. Obawiam się, że mój sposób nie będzie dla ciebie odpowiedni. Mnie udało się ją wychować diabelskimi żartami.

– Diabelskimi żartami?

– No tak, trochę sobie pożartowałem. Wujek popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Słowo daję, że żartowałem. – Przyłożyłem rękę do piersi. – Może wujek zapytać Profanie. Zaprzyjaźniliśmy się. To taki sympatyczny domowy...

– Zaprzyjaźniłeś się z Profania?!

– A co w tym dziwnego?

– Ano faktycznie, właściwie nic. – Wujek pokręcił głową. – Dobrze, wróćmy do naszych spraw. A więc, dogadałem już ostatnie szczegóły i z rajem, i z piekłem. Otrzymałeś zezwolenie. Ponieważ jednak nie masz jeszcze ogona, nie możesz samodzielnie podróżować, więc w pewnym sensie na ziemi będziesz musiał nie tyle grać rolę człowieka, co stać się nim.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi, wujek wstał.

– O, to chyba właśnie to, na co czekałem. Jedną chwileczkę...

Wyszedł, żeby za chwilę wrócić z jakąś paczką, położył ją na stole i zaczął otwierać. Już wkrótce na stole pojawił się notes, jakaś instrukcja, długopis i dokumenty.

– To z biura kontroli – wyjaśnił wujek. – Oraz moje osobiste zamówienie, mam na myśli ten notes. Tak naprawdę to wcale nie jest notes, lecz ostatni krzyk techniki. Bierz, przyda ci się.

Wziąłem przedmiot, obróciłem go w rękę.

– I po co mi to? Co mam z nim zrobić?

– To jest środek łączności, na czarną godzinę. Gdyby stało się coś nadzwyczajnego, napisz w nim do mnie, a ja przyjdę ci zabrać. Tylko pamiętaj, nie będzie potem można odesłać cię z powrotem, więc wezwanie oznacza zawalenie sprawy.

– Wspaniale. A jeśli go zgubię?

– Postaraj się po prostu tego nie zrobić. Przy okazji, dla ludzi notes jest niewidoczny i niewyczuwalny, jeśli go nawet zgubisz, nic strasznego się nie stanie... Aha, ma jeszcze jedną funkcję, która może ci się przydać. Jest połączony z archiwami piekła i raj, więc gdybyś potrzebował jakichś informacji z dowolnego archiwum, tym długopisem piszesz w nim zapytanie.

– Wow! – Chwyciłem długopis i napisałem *Nienaszewa, Zoja Pawłowa, akta*. Litery zniknęły, za to na kartce notesu pojawiło się znane mi już zdjęcie młodej kobiety. Potem zobaczyłem kadry z jej życia z objaśnieniami. – Super! – Zamknąłem notes i wsunąłem go do kieszeni. – Czad. Szkoda, że go wcześniej nie miałem, nie musiałbym latać między rajem i piekłem.

– Nie próbuj iść na łatwiznę, Ezergilu. Zresztą, notes i tak by ci nie pomógł. To tylko środek łączności z ograniczonymi możliwościami. Na przykład, nie możesz przy jego pomocy przeprowadzić wyszukiwania, a raczej możesz, ale w stopniu bardzo ograniczonym.

– I tak jest super. A co jeszcze?

– A co byś jeszcze chciał? Cała reszta to tylko dokumenty dla różnych urzędów...

– Świetnie. Wujku, nie ma wujek pojęcia, jak się cieszę – powiedziałem, ale moja mina świadczyła o czymś wręcz przeciwnym.

Wujek poklepał mnie po ramieniu.

– Nie bój się, dasz radę. Przecież nie chcesz przez całe życie siedzieć za biurkiem?

– Oczywiście, że nie!

– No właśnie. I to jest twoja szansa.

Ach, no tak, oczywiście. Jak to powiedział wujek? Damy radę? Damy. Tylko muszę wszystko dobrze przemyśleć... Wyprawa na ziemię to nie spacer do raj, gdzie regularnie chodzi ekspres. To nie w kij dmuchał... Przede wszystkim muszę się zastanowić, co ze sobą zabrać, w jakiej postaci zjawić się na ziemi i jeszcze poczytać o ostatnich wydarzeniach... Wyprawa na ziemię to zbyt poważna sprawa, żeby załatwiać ją na łapu-capu. Popatrzyłem badawczo na wujka.

– Wujku, wujek bywa na ziemi, prawda? Co by mi wujek radził, jaką przybrać postać? Zjawić się tam jako bogaty synek nowego Ruskiego?

Wujek skrzywił się.

– Jak wy, diabły, lubicie komfort... Ezergiliu, odpowiedz mi na jedno pytanie: z kim masz zamiar najczęściej spotykać się na ziemi? Z nowymi Ruskimi, czy ze zwykłymi ludźmi? A jeśli ze zwykłymi ludźmi, to jak planujesz to zrobić, będąc w postaci bogatego synalka?

Podrapałem się w czoło.

– Faktycznie, o tym nie pomyślałem.

– Zapamiętaj, jedna z zasad kontaktów brzmi: jeśli chcesz coś z kimś robić, musisz znaleźć się na poziomie tego kogoś.

– Dobrze, wujku. A może mi wujek coś doradzić? Jak powinienem zadziałać?

– Aa, w tej kwestii to już zostawiam ci wolną rękę.

Dzięki, wujaszku, zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Nie masz co tak ciężko wzdychać. W końcu nie spodziewasz się chyba, że odrobnię za ciebie twoją letnią praktykę? Ale nie martw się, nie zostawię cię bez pomocy. A teraz radzę ci zrobić rzecz następującą: zapomnij na razie o wszystkich swoich problemach i chodźmy się przejść. Oprowadzę cię po mieście... Zdaje się, że nie byłeś tu trzydzieści lat? Zobaczysz, jak się wszystko zmieniło...

– Ale, wujku...

– Wiem, wiem, możesz mi jednak wierzyć: tej sprawie dobrze zrobi, jeśli przez chwilę przestaniesz o niej myśleć. To jak?

– Z przyjemnością, wujku.

Kilka następnych dni minęło jak we mgle. Po wycieczce wujek zamówił dwa bilety do piekła, pojechał ze mną w charakterze wsparcia – jak się okazało, na całe szczęście. Na wieść o wyprawie na ziemię mama urządziła regularną histerię.

– Co?! Ja mam tam puścić moje dziecko? Do tych rozpuszczonych, okrutnych, bezczelnych ludzi?! Oni go zepsują! Nauczą go różnych świństw!

– Diabła? – zapytał uprzejmie wujek.

– Tak! Ci ludzie... ci ludzie... Nigdzie go nie puszczę, koniec, kropka! Niech zostanie na drugi rok! Wolę, żeby został na drugi rok, niż miałabym go pochować! No co takiego, jeszcze jeden rok pouczy się w tej samej klasie!

– Ale mam, no co mi może grozić na ziemi?

– Jak to co?! A ci popi, wiecznie machający swoimi śmierdzącymi kadzidłami? A te beczki z tak zwaną święconą wodą? A różne święte miejsca? A te ich cerkwie, synagogi, meczety?

– Ale ja nie mam zamiaru tam chodzić!

– Tylko byś spróbował! Przez tydzień nie mógłbyś siedzieć na tyłku! Nigdzie cię nie puszczę!

– Cicho, kobieto! – huknął milcząco do tej pory ojciec. – Lepiej pomóż mu się spakować.

– Nie puszczę!

– Puścisz! Chcesz, żeby został maminsynkiem?

– Niech sobie będzie maminsynkiem, ale za to żywym!

Wujek i ojciec popatrzyli na siebie, a w oczach obu można było wyczytać to samo: „Te kobiety!” Ja tymczasem zastanawiałem się nad pewną sprawą. Jeśli teraz pokażę, że się waham, mama postawi na swoim i nigdzie nie pojedzie. Dzięki temu nie będę musiał nic robić, o niczym decydować. Wprawdzie zostanę na drugi rok – wielkie mi co... Ale jednocześnie czułem, że jeśli tak postąpię, stracę szacunek dla samego siebie. A czy bez szacunku można coś w życiu osiągnąć? Przecież chciałem coś osiągnąć! Perspektywa bycia drobnym urzędnikiem, tak jak mój brat, zupełnie mnie nie pociągała. I dlatego milczałem, pozwalając ojcu i wujkowi załatwić sprawę z mamą. Byłem pewien, że zrobią to lepiej ode mnie.

W tej nierównej walce mama była z góry skazana na przegraną i wkrótce pogodziła się z tym, co nieuchronne.

Pozostawała jednak kwestia pakowania i wiedziałem, że tu już mama nie odpuści. Zapowiadało się pasjonujące widowisko... Zwłaszcza, gdy mama zaczęła wkładać do walizki różne ciepłe rzeczy.

– Na ziemi jest tak zimno! – mówiła.

Spojrzałem na rosnącą stertę walizek i toreb, i zrobiło mi się słabo. W końcu nie wytrzymałem – poszedłem na spacer, zostawiając wujka i ojca sam na sam z mamą.

Poszedłem na plac zabaw, usiadłem na koniku na karuzeli i w zadumie podparłem podbródek dłonią. Szczerze mówiąc, jeszcze sam nie wiedziałem, czy ta podróż mi się uśmiecha, czy nie.

– Kręcisz się?

Podniosłem głowę i napotkałem spojrzenie młodziutkiego, może pięćdziesięcioletniego diabła.

– Zająłem twojego konika? – domyśliłem się. – Przepraszam. Chodź, pomogę ci.

Podsadziłem malucha, zakręciłem karuzelę. Mały aż piszczał z radości, a ja i tak nie miałem nic innego do roboty, więc zacząłem „pracować” jako silnik. Wkrótce przybiegły inne dzieciaki, rozbrzmiał śmiech...

O dziwo, ja też poweselałem. Najwyraźniej dobrze zrobiło mi takie oderwanie się od szkolnego zadania, a skoro tak, to powinienem oderwać się na maksa. Już wkrótce bawiłem się z dziećmi w koniki, skakałem z nimi przez przeszkody... W końcu jednak wszyscy się zmęczeni, ja też zaległem na trawie, odchyliłem głowę. Wtedy ktoś nade mną stanął. Otworzyłem jedno oko. Zobaczyłem tego samego malucha.

– A czemu z początku byłeś taki smutny? – zapytał.

Podniosłem się na rękach. Ale uparty szkrab... I co mam mu odpowiedzieć?

– A dlaczego myślisz, że byłem smutny? Może tylko zamyślony?

– I smutny, i zamyślony.

Przyjrzałem mu się, spoglądał na mnie z jakąś niedzięczącą powagą... Aha, ani chybi przyszedł anioł! Nie poradzi sobie wśród diabłów, za bardzo przejmują się cudzymi problemami. Przed Gorujanem pewnie by tu umarł z rozpaczy, a teraz ma szansę. Bardzo możliwe, że będzie z niego całkiem niezły anioł... Posadziłem malca obok siebie.

– Widzisz, dostałem w szkole pewne zadanie. Ale żeby je wykonać, muszę wyjechać daleko i być może na długo. Poza tym, zadanie wcale nie jest proste, więc nie wiem, czy sobie poradzę...

– Nie – powiedział nagle mały. Drgnąłem i spojrzałem na niego; siedział zapatrzony w dal. – Jeśli wątpisz, to sobie nie poradzisz. Jak ja zaczynam się wahać, to nigdy mi nic nie wychodzi. Na przykład chciałem kiedyś zbudować wieżę z klocków, bardzo wysoką. Zacząłem, buduję, a potem zacząłem się wahać, a ona wzięła i runęła.

Uśmiechnąłem się. Dziwny maluch. A szkrab niespodziewanie popatrzył na mnie.

– Nie zastanawiaj się. Po prostu zechciej i zrób. Jesteś dobry, wiesz? – powiedział nagle, a potem podał mi rękę i powiedział: – Do widzenia.

Odruchowo uściśnałem podaną dłoń. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie dobrym... Mały wstał, otrzepał się i poszedł sobie z podwórka.

– Hej! – krzyknąłem za nim. Malec odwrócił się, a ja skinąłem mu głową i zawołałem: – Dziękuję!

Pomachał mi ręką, też kiwnął głową. A potem odwrócił się i pobiegł.

– Aha, czyli po prostu muszę wziąć i zrobić – prychnąłem. – Nic prostszego. A co, właśnie, że wezmę i zrobię, wszystkim diabłom na złość. W końcu jestem Ezergilem! Już usłyszą o mnie i w piekle, i w raj!

– Chwalipięta! – dobiegło mnie z tyłu. Odwróciłem się; za mną, bezczelnie uśmiechnięty, stał Ksefon.

– A, to ty – rozciągnąłem usta w złośliwym grymasie. – Jak ci się spodobał lot w raj? Administrator ministerstwa kar też pewnie podziękował ci za pomoc, co? A archiwista? Wita cię serdecznym uśmiechem?

– A co u ciebie? Już wysuszyłeś ubranie? – sparował Ksefon.

– O tak – uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. – Przy okazji, dzięki za kąpiel, bardzo mi pomogłeś. Na dworze był taki upał... Ech, żałuję, ale muszę cię pożegnać. Wyjeżdżam i mam nadzieję, że nie spotkam cię tam, dokąd jadę.

– Na ziemi? Oho, ho, ale się wystraszyłem! Świetnie o tym wiem i na pewno się tam zobaczymy! Jak tylko dostanę zezwolenie!

Co za głupki! Jeśli szykujesz pułapkę, po co o tym krzyżeć? Mój umysł od razu przygotował się do biegu z przeszkodami. Ksefon wie, że wybieram się na ziemię.

Ale jeśli dowiedział się o tym niedawno, to dopiero dziś zaczął starać się o zezwolenie. A skąd się w ogóle dowiedział? No tak, łańcuszek nie był długi... Zezwolenia są ustalane z ministerstwem kar – bo to właśnie ono jest u nas w piekle najważniejszą instancją... A to znaczy, że zapytanie szło przez ręce administratora. Ten może nie życzyć sobie Ksefona w ministerstwie, ale za murami urzędu może się stać sprzymierzeńcem mojego przeciwnika. Oczywiście, musiał nieźle zakombinować, żeby przekazać tę wiadomość Ksefonowi i nie złamać warunków umowy Wikeszy z dyrektorem, ale przecież jest diabłem... Tak czy inaczej, Ksefon wie o mojej podróży. Popatrzyłem na niego. Najwyraźniej niedawno wrócił z raj, może z godzinę temu i od razu zaczął swoje starania. Na pewno nawet tym swoim kurzym mózdzkiem rozumie, że nie może pozwolić, abym za bardzo wysunął się do przodu. Ech, nie powinien był mówić, że wie o mojej podróży... Uniosłem brew.

– Ach tak? No cóż, dzięki za informacje, wezmę cię pod uwagę w moich planach. A właśnie, powiedz, dlaczegoś się do mnie przyczepił? Nie dostałeś żadnego zadania na wakacje? Ach, no tak, przecież jesteś u Wikientija! On nie będzie obciążał swojego pupilka...

Ksefon wściekł się, chyba zrozumiał, że niepotrzebnie się wygadał.

– Moje zadanie nie powinno cię obchodzić! Robię to, co mi się podoba! A ty i tak nie zrobisz swojej pracy praktycznej, już ja się o to postaram! Zostaniesz na drugi rok!

Roześmiałem się, zaklaskałem w dłonie.

– Brawo, Ksefon! Jesteś wspaniały! Jestem dla ciebie pełen podziwu!

Ksefon odwrócił się na pięcie i poszedł, a ja śmiałem się dalej. No nie, ten Ksefon naprawdę ma talent! Nawet gdybym nie wiedział o zakładzie Wikeszy i dyrektora, to teraz, gdybym tylko chciał, wyciągnąłbym wszystko z tego głupka. Przecież tak właściwie powiedział mi o tym wprost! A skoro tak, otrzymałem świetny pretekst, żeby zepsuć humor jeszcze jednej osobie... Uśmiechnąłem się złośliwie – jaki diabeł odmówiłby sobie takiej przyjemności? Poszedłem do najbliższego telefonu.

– Halo? Pan Wikientij? To pan? Mówi Ezergil. Tak, tak, pański uczeń. Chciałbym złożyć protest... Mam

prawo... W jakiej sprawie? Otóż właśnie rozmawiałem z Ksefonem... Nie... Tak... A właściwie to on rozmawiał ze mną... Podszedł i zaczął się ze mnie naśmiewać, a potem oznajmił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby przeszkodzić mi w wykonaniu mojego zadania praktycznego. Tak, ja również myślę, że to idiota... I na kretyna też się zgadzam. Co? No nie, to już przesada... Chociaż nie, dobrze, do tego też mnie pan przekonał. No więc, panie Wikientiju, do czego zmierzam... Mam wrażenie, że on już wykonał swoje zadanie... To znaczy, to nie moja sprawa, jednak mogę postawić tę kwestię na zebraniu pedagogów... Jakie zarzuty? Bardzo konkretne: co za letnie zadania otrzymują niektórzy uczniowie, skoro starcza im czasu na przeszkadzanie innym w wykonywaniu pracy? Ja na przykład zrywam się skoro świt i cały dzień jestem na nogach. Nawet gdybym chciał, nie starczyłoby mi czasu na przeszkadzanie komuś... Co? Dlaczego dzwonię z tym do pana? No przecież to pan jest opiekunem Ksefona, do kogo innego mam dzwonić? Zresztą, skoro pan nalega, mogę wykonać telefon do dyrektora szkoły. Co? Nie trzeba? Dlaczego? Ach, da pan Ksefonowi nauczkę... Będę zobowiązany. I jeszcze jedno, proszę pana... Sam pan rozumie, że jeśli Ksefon stanie mi na drodze w czasie wykonywania zdania, będę miał prawo zrobić z nim wszystko, co tylko zechcę. Przeszkadzanie uczniowi w praktyce to nie żarty... Krótko mówiąc, w razie czego Ksefon będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Odłożyłem słuchawkę i oparłem się o ścianę, omal się po niej nie zsuwając. Wyobraziłem sobie, jak Wikientij teraz miota się i ryczy. Zachichotałem. Dużo bym dał, żeby posłuchać rozmowy wychowawcy z Ksefonem, do której niechybnie dojdzie w najbliższym czasie...

W poczuciu satysfakcji z dobrze wykonanej pracy udałem się do domu. Jutro rano opuszczam rodzinę i wyruszam na ziemię, żeby wykonać prawdopodobnie najdziwniejsze zadanie w historii piekła. I nie nazywam się Ezergil, jeśli go nie wykonam! Jak tam mówił ten maluch? Pójdę i zrobię!

Część II

Anioł i diabeł

Rozdział 1

Pakowanie mogłoby trwać znacznie krócej, gdyby nie to, że rodzice postanowili mi pomóc – dlatego cały proces zajął dwa dni, a nie dwie godziny. Zastanówmy się, czego tak właściwie będę potrzebował w tej podróży? Ubranie na zmianę, ludzkie pieniądze i różne rzeczy do drobnych psikusów. No bo jaki diabeł pojedzie gdziekolwiek bez kichających bomb, śmierdzących min czy proszku świerzbowego? Ja spakowałem się dość szybko, ale rodzice nie mogli dojść do porozumienia w kwestii „co dziecko ma wziąć na drogę”. Wujek próbował włączyć się do tego sporu, jednak został z miejsca odpalony.

– Jak będziesz miał własne dzieci, to będziesz im mówił, co mają brać! – ryknął ojciec.

Popatrzyliśmy na siebie z wujkiem i westchnęliśmy. Wstałem, wyszedłem z pokoju, wujek poszedł za mną.

– Jak myślisz, długo to potrwa? – zapytał, słuchając rozkręcającej się kłótni.

– Co najmniej dobie.

– I co masz zamiar robić?

– Zaczekać, a potem poszukać miejsca, w którym mógłbym złożyć większość tych rzeczy, które mi spakuja.

– Co za przebiegłość! – uśmiechnął się brat ojca. – Cóż, w takim razie pomogę ci. Będiesz mógł zostawić wszystko na przechowanie u mnie w domu. A teraz chodź, przejdziemy się po sklepach popatrzeć, czego faktycznie potrzebujesz.

– Czyli nie ufasz moim rodzicom, wujku? Nie wierzysz, że spakuja coś pożytecznego?

Milczał. Widać było, że raczej pedagogiczne walczą w nim z niechęcią do kłamstwa. Patrzyłem na niego z zainteresowaniem, ciekaw, co w końcu zwycięży. Jako anioł nie mógł skłamać, nie mógł też krytykować przy dziecku najbliższych. W końcu zdecydował się na kompromis.

– Niektórzy rodzice – zaczął powoli, starannie dobierając słowa – rozsądną troskę o potomstwo zamieniają w nierozsądną, co przeszkadza dzieciom w samodzielnym rozwoju. Nie wiadomo, co z takich wyrośnie. . .

– Czyli wujek uważa, że moi rodzice troszczą się o mnie nierozsądnie? – zapytałem wesoło.

– Twoja mama na pewno. Ale powiem tak: tobie wystarczy rozumu i talentu, żeby uniknąć jej nadmiernej opieki.

To nie moja wina, że optymistyczne założenie, iż pakowanie potrwa jeden dzień nie sprawdziło się zupełnie. Nie przypuszczałem, że kłótnia rodziców przejdzie w fazę **ZASADNICZĄ**. W takich wypadkach potrzebują co najmniej trzech dni na znalezienie kompromisu. To, że wyrobili się w dwa i tak było sukcesem. . . Wreszcie, po zakończeniu awantury, w przedpokoju wyrosła spora górka bagaży:

Walizki – sztuk 2.

Torba podróżna – sztuk 1.

Niewielka torba podręczna – sztuk 5.

Plecak – sztuk 1.

Przez jakiś czas przyglądałem się stercie bagaży, a potem zaciekawiony zajrzałem do jednej z toreb. Buty, ubrania, latarka. . . Zajrzałem do drugiej – niemalże to samo!

– Zdaje mi się, czy tu jest to samo? – powiedziałem.

– A jak zgubisz jakąś torbę? – wytknęła mi mama. – Przecież jesteś taki roztargniony!

– No, jeśli chodzi o gubienie swoich rzeczy – po prostu genialny – rzucił złośliwie brat.

Zerknąłem na niego. Dobrze mu się śmiać. . . A ja będę musiał to wszystko dźwigać! Rozdrażniony, kilka razy tknąłem palcem w stertę pakunków i narysowałem krąg w powietrzu. Wszystkie walizki, torby i plecaki uniosły się w powietrze. Poszedłem do wyjścia, bagaż pofrunął za mną. Na szczęście wujek przekonał rodziców, że nie ma sensu, by mnie odprowadzali – nie mam pojęcia, jak mu się to udało – więc sam, jedynie w towarzystwie latających bagaży wyszedłem na ulicę i ruszyłem Aleją Diabelską. Wtedy zniemacka wpadłem na Gronkę, kolegę z klasy. Gronka wytrzeszczył oczy.

– Wyrzucili cię z domu? – spytał.

Odwróciłem się, obrzuciłem wzrokiem lecące za mną torby. Z boku faktycznie mogło to tak wyglądać.

– Nie. Widzisz. . . – Rozejrzałem się na boki. – Tylko na razie to tajemnica. . . Przysięgnij, że nikomu nie powiesz!

Gronka wyraźnie się zainteresował, aż poruszył uszami.

– Chodzi o to – zacząłem poufnie – że dostałem spadek. Zmarła daleka krewna, która nigdy nie lubiła mojej mamy, chociaż pochodziły z tej samej rodziny, dlatego rzadko u nas bywała. No i wszystko zostawiła mnie zamiast matce. Rozumiesz? Właśnie idę obejrzeć spadek. Niektóre rzeczy od razu przeniosę do nowego domu. Tylko pamiętaj, nikomu ani mru-mru. . .

– Przysięgam – obiecał Gronka, wpatrując się we mnie okrągłymi oczami. – Dobra, muszę lecieć... Mam mnóstwo spraw...

Odprowadziłem go wzrokiem. Ciekawe, po jakim czasie wszyscy będą wiedzieć, że dostałem spadek? Biorąc pod uwagę rezolucję Gronki, dałem mu godzinę. Tyle razy mówiliśmy, żeby nie wierzył we wszystko, co mu opowiadają „w wielkiej tajemnicy”, a ten ciągle swoje... Więc już nikt mu nie wierzy... Znowu się będą z niego śmiali... No i słusznie, plotkarz pierwszy dostaje baty.

Wujek czekał w wynajętym samochodzie za rogiem domu. Na widok lecącego za mną bagażu gwizdnął.

– No, no, twoi rodzice naprawdę się postarali! Dobrze, jedziemy do mnie. Tam spakujemy cię normalnie i ruszysz w drogę. Nie boisz się?

Nie powiem, żebym się bał czy martwił, jednak serce jakoś mi tak szybko biło. I ręce mi się pocily... Ale uparcie potrząsałem głową.

– Zuch – pochwalił mnie wujek. Powrzucał moje rzeczy do bagażnika, otworzył drzwiczki, siadł za kierownicą i pojechaliśmy.

– Na dworzec? – zapytałem.

– Nie. Nie lubię pociągów. Polecimy.

– O rany! – nie wytrzymałem. Ostatnio coraz więcej ludzkich wynalazków przenikało do naszego świata. A przecież pamiętam czasy, gdy diabły jeździły na skrzypiących wózkach zaprzężonych w kozły! O, anioły zawsze wolały latać, przecież mają skrzydła... Ale i u nas pojawiły się samochody, pociągi, a nawet samoloty! Oczywiście, z pewnymi naszymi dodatkami, ale zawsze... – Już dawno chciałem polatać na tych stalowych rurach!

Wujek skrzywił się.

– Po pierwsze, nie lata się na nich, tylko w nich, a po drugie, jeszcze nie zwariowałem, żeby latać w żelaznych puszkach. Nie ufam im.

– To czym polecimy? – zdumiałem się. Wujek wyjął z kieszeni dwa bilety.

– „Dżin i spółka” – przeczytałem i skrzywiłem się. – Ee, latające dywany?! Wujku to nawet nie miniony wiek, ale cała epoka! Na ziemi dokonuje się wielki postęp, a my wciąż używamy różnych anarchizmów...

– Czego?

– No, anarchizmów...

Wujek parsknął śmiechem.

– Jak już będziemy u mnie, to sprawdzisz w słowniku znaczenie słowa, którego właśnie użyłeś i porównasz z tym, którego chciałeś użyć. A co tam mówiłeś o butach siedmiomilowych?

Nadałem się. Słowo mu się nie podoba! Siedmiomilowych butów będzie się czepiał...

Nie złość się. To co ci się nie podoba w tych... anarchizmach? – przy ostatnim słowie z trudem powstrzymał śmiech.

Ale się przyczepił... Faktycznie będę musiał sprawdzić w słowniku. Nie lubię wyglądać na śmiesznego... No, chyba, że sam tego chcę. A w tej chwili na pewno nie chciałem.

– Mówię tylko – zacierzawiłem się – że na ziemi jest epoka postępu naukowo-technicznego, a my nadal używamy staroci z czasów pogańskich. Jeżdżące piece, buty siedmiomilowe, kryształowe kule...

– Stoliczku, nakryj się. – Wujek pokiwał głową.

– No dobrze, wśród tych starych rzeczy są również użyteczne... – ustąpiłem nieco. – Ale skoro niektóre można zastąpić ludzkimi wynalazkami, to dlaczego tego nie zrobić? Przecież telewizor działa znacznie lepiej od kryształowej kuli... I jakość obrazu jest nieporównywalna.

– Te starocie to przecież rzeczy, które wytrzymały próbę czasu. A propos, jesteśmy na miejscu.

– Wytrzymały, wytrzymały – mruzczałem, wyjmując swoje rzeczy z bagażnika. – To dlaczego wujek kupuje nowe buty, jeśli stare przeszły próbę czasu?

Wujek spojrzał na mnie stropiony.

– Nie patrzyłem na to od tej strony... Zresztą, co za różnica. Nie będę zwracał biletów tylko dlatego, że nie podobają ci się latające dywany.

Doszliśmy do właściwego dywanu – a raczej chodnika, miał co najmniej dwadzieścia metrów długości i już siedziało na nim z dziesięć osób. Na przedzie zasiadał dżin wyglądający niczym czarny kłębiący się dym. Odwrócił się do nas, żeby sprawdzić bilety.

– Są już wszyscy – oznajmił. – Możemy lecieć. Szanowni państwo, wita was kompania Dżin. Dostarczymy państwa na miejsce szybko i bezpiecznie.

Zerknąłem na oddalającą się ziemię.

– No – mruknąłem – na dół pospadamy tak czy inaczej.

Pasażerowie obrzucili mnie spanikowanymi spojrzeniami.

– Chłopiec lubi żartować? – spytał mnie dżin z uśmiechem, w którym wyczuwało się groźbę, zupełnie jakby radził mi, żebym się zamknął.

Uu, poważny błąd. Nie znoszę gróźb... Szuka zaczepki? Dobrze...

– Lubię – skinałem głową. – Właśnie niedawno rozmawiałem z duszą Sulejmana...

– Czyją? – spytał ochryple dżin. Musiał przecież wiedzieć, że jestem diabłem.

Udałem zdumienie.

– Co pana tak zdziwiło? No, tego właśnie Sulejmana. Opowiedział mi o pewnym pierścieniu... Chwilczkę, chyba nawet mam go przy sobie...

– Nieee! – rozległ się dziki wrzask i dżin zeskokczył z dywanu.

Zdumiony spojrzałem w dół. Gdzieś w oddali majaczyła biała czasza spadochronu. Hm, nie sądziłem, że dżiny tak nerwowo reagują na wzmiankę o pierścieniu Sulejmana...

– Świetnie, Ezergiliu – rzekł wujek lodowatym tonem. – Twój kolejny żart był naprawdę wyśmienity. Co teraz zrobimy, twoim zdaniem? Jak bez pilota przekroczymy granicę piekła i raju?

Skuliłem się pod niezbyt przyjaznym wzrokiem współpasażerów, a potem zerknąłem na brzeg dywanu. Pójść w ślady dżina? No dobra, tylko że ja nie mam spadochronu... A wujek jest tak zły, że wcale nie wiadomo, czy za mną skoczy...

– Czy to moja wina, że ten tępak nie zna się na żartach?

– Zaraz zobaczymy, kto tu jest tępakiem... –Jeden z pasażerów podniósł się.

– Siadaj – rzekł cicho wujek, ale w jego głosie było coś takiego, że wszyscy niezadowoleni pasażerowie od razu ucichli. – Mojego bratanka mam prawo ochrzanić tylko ja, nikt inny. I w razie czego to ja go ukarzę. Czy to jasne dla wszystkich?

Pasażerowie milczeli przestraszeni.

– Jeśli tak, spróbuję ściągnąć z powrotem naszego pilota... – Iz tymi słowami wujek zszedł z dywanu.

Za jego plecami pojawiły się skrzydła, które rozłożyły się błyskawicznie i oto już biały punkt pędził w dół. Lecący anioł to jednak niesamowity widok... Kurczę, może by też zostać aniołem? E, i tak mnie nie przyjmą. Na pewno nie przyjmą...

Wujek załatwił sprawę dość szybko – kwadrans później wracał razem z dżinem. Na mój widok demon zrobił dziką minę.

– Pańskiego bratanka należałoby za takie żarty przywiązać z tyłu, żeby leciał za dywanem – burknął do wujka. – I założyć mu kaganiec.

Wnioskując z rzucanych w moją stronę spojrzeń, większość pasażerów była tego samego zdania. O rany, co ja niby takiego zrobiłem? Pożartować już nie można?

Aż do lądowania wujek nie odezwał się ani słowem. W grobowym milczeniu powrzucał bagaże do taksówki i dopiero u siebie w domu, po dziesięciu minutach świdrowania mnie wzrokiem, oznajmił:

– Naprawdę nie wiem, co z tobą zrobić, Ezergiliu. Myślałem, że faktycznie jesteś dorosły i odpowiadasz za siebie. Ale to, co dzisiaj zrobiłeś... Nawet nie wiem, czy w takiej sytuacji w ogóle puszczać cię na ziemię.

– Ale wtedy nie zdołałem wykonać zadania praktycznego! – zawołałem oburzony.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś posiedział jeszcze rok w tej samej klasie. Może byś wreszcie dorósł i spoważniał. Wtedy na przyszłe lato, kto wie...

– Jestem poważny! Tylko ten dżin zaczął mi grozić!

– Na ziemi też będą ci grozić. Z tego powodu chcesz wysadzić w powietrze całą planetę? Posłuchaj... Albo obiecasz mi, że nie użyjesz na ziemi żadnego ze swoich talentów bez absolutnej konieczności, albo nigdzie nie pojedziesz.

– Ale wujku! No jak ja mogę...

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć! Trzeba było wcześniej myśleć! Zauważ, że nie zabraniam używania sztuczek w ogóle. Wolno ci, ale tylko w razie absolutnej konieczności.

– A jak mam zgadnąć, że to jest właśnie ta konieczność? – mruknąłem.

– Myślę, że z tym nie będzie problemów. To jak?

– Ale wujku...

– Żadnego „ale wujku”. Może wtedy zaczniesz częściej używać głowy i przestaniesz tak ufać w swoje diabelskie sposoby działania.

No, skoro tak... Usiadłem na podłodze i założyłem ręce na piersi.

– Nie. Może wujek od razu powiadomić szkołę, że nie wykonałem pracy.

– Ezergiliu...

– Wujku! Albo mi wujek ufa, albo nie. Nie będę niczego obiecywał. Powiem tylko, że będę bardzo ostrożny, ale sam chcę decydować, kiedy i co mam robić. Albo wujek ma do mnie zaufanie, albo nie.

Popatrzył na mnie w milczeniu.

– No, rzeczywiście wydoroślałeś... Dobrze, zaufam ci. I mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

– Nie zawiodę.

– Dobrze, w takim razie zajmijmy się twoimi bagażami. Wysyp wszystko na podłogę, wybierzemy to, co naprawdę może się przydać.

Dwie godziny później wychodziłem z domu z jednym lekkim plecakiem typu szkolnego tornistra i niewielką torbą. Wujek odprowadził mnie aż do Placu Nadziei, gdzie czekał pewien siwy anioł.

– To tego diabła trzeba dostarczyć na ziemię? – zapytał.

– Tak. Nazywa się Ezergil. Oto jego pozwolenie – odparł wujek.

– Dobrze. No co, Ezergiliu? Jesteś gotowy? Nie bój się tak. Pierwszy raz?

– Aha. – Skinałem głową i oblizałem wyschnięte wargi. Wolałbym wyruszać z piekła: przynajmniej znajoma okolica... Ale traktat Gorujana stanowczo tego zabrania. Zgodnie z jego postanowieniami diabły wyruszają na ziemię z raj, zaś anioły z piekła.

Anioł położył mi rękę na głowie i zamachał skrzydłami. Trzeba powiedzieć, że najważniejsza funkcja anielskich skrzydeł to wcale nie lot, lecz otwieranie wrót między światami. U diabłów tę samą funkcję spełnia ogon. Wokół nas, niczym pył wzniesiony wiatrem, zatańczył rój lśniących drobinek. Z każdym wymachem rósł coraz bardziej, w końcu zawিrował w korowodzie i zamienił się w długi tunel biegnący ku górze. Wtedy jakaś siła pochwyciła mnie, uniosła w powietrze i cisnęła do przodu. Omal nie wrzasnąłem, ale w tym momencie ktoś złapał mnie za rękę. Obejrzałem się – obok mnie leciał stary anioł, który teraz odwrócił się do mnie z uśmiechem.

Przełknąłem gulę w gardle i skinałem mu głową. Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

Tunel rzeczywiście wkrótce się skończył; jeszcze chwila i już wisielśmy w błękitnie nieba. Nad nami lśniło złoto słońca, a w dole rozpościerało się zielonkawe morze. W oddali widać było miasto, do którego zmierzaliśmy.

– A nie zauważają nas? Anioł uśmiechnął się.

– Nie bój się. Nikt nas nie zauważy. Skinałem głową. No tak, anioł na pewno wie, co robi. Przestałem się przejmować, za to zacząłem rozglądać się na boki. Więc to naprawdę ziemia? Ta ziemia, na której żyją ludzie, będący w pewnym sensie naszymi stwórcami? Ale czad!

Włcieliśmy do miasta, wylądowaliśmy na jednej z ulic. Obok nas szli ludzie. Wysocy i niscy, grubi i chudzi, kobiety i mężczyźni...

– Jeszcze nas nie widzą – poinformował mnie anioł. – Postój chwilę, rozejrzyj się. Gdy powiesz, że jesteś gotów, odlece. Wtedy staniesz się widoczny, będziesz częścią tego świata.

Chyba z dziesięć minut stałem, przyglądając się mijającym nas ludziom. Patrzyłem na samochody, obserwowałem migające światła uliczne... Anioł cierpliwie czekał, uśmiechając się łagodnie.

– Jestem gotów. – Skinałem wreszcie głową. Anioł znów się uśmiechnął.

– Nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego diabłu, ale... życzę ci powodzenia.

Stropiony skinałem głową. Chwilę później anioł zniknął.

– Czemu stoisz na drodze? – burknął ze złością jakiś kudłaty chłopak, może szesnastoletni i zepchnął mnie na bok.

Wpadłem na jakąś kobietę.

– Chuligan! – Odepchnęła mnie mocno.

Odleciałem na ścianę domu. No cóż, serdecznie witamy na ziemi. Popatrzyłem na chłopaka, potem na kobietę i uśmiechnąłem się. Chyba mi się tu spodoba... Jeśli są tutaj tacy ludzie, to ten świat jest po prostu stworzony dla diabłów! No dobrze, rozrywkami zajmę się później, a teraz do pracy. Wyjąłem z kieszeni kartkę z adresem, przestudiowałem ją. Zgodnie z obietnicą, dostarczono mnie prawie na miejsce. Sprawdzmy... Podniosłem głowę, poszukałem tabliczki z nazwą ulicy, następnie popatrzyłem na mapkę... Aha, więc ta ulica biegnie równoległe do tej, której szukam. Jeśli teraz pójdę do przodu... Naprzód!

Podniosłem torbę i poszedłem do skrzyżowania znajdującego się pięćdziesiąt metrów przede mną. Porównałem teren z mapą. Tak, teraz w prawo i na podwórko. To jest miejsce, którego szukam. Teraz postawić torbę i rozejrzeć się. Podwórko jak podwórko. Dzieciaki, dalej starsi chłopcy, stoją i palą. No i dobrze, szybciej do nas trafia, zresztą, może wcale nie do nas, ale trafia... Stop! Dajmy spokój takim rozmyślaniom, przede wszystkim muszę odnaleźć właściwy blok.

Nie szukałem długo, dom stał dokładnie naprzeciwko mnie. Wysoki, jedenastopiętrowy wieżowiec z wielkiej płyty. Dobra, bez różnicy... Muszę się skoncentrować... Ale na początek trzeba coś zrobić z rzeczami, przecież nie będę ich wszędzie ze sobą nosił. Rozejrzałem się i zobaczyłem odpowiednio duże drzewo. Podszedłem do niego, obszedłem dookoła, rozejrzałem się, czy nikt na mnie nie patrzy, szybko przełożyłem do niewielkiej torby najpotrzebniejsze rzeczy, znowu się obejrzałem i przesunąłem dłonią po drzewie.

– Szanowne drzewo, czy byłobyś tak miłe i na jakiś czas przechowało moje rzeczy? – zapytałem w języku międzyświatowym. Pień drzewa rozszczepił się delikatnie, ukazując przestronną dziuplę. Szybko powrzucałem tam rzeczy. Gdy tylko skończyłem, pień się zamknął. – Ogromnie dziękuję. – Skłoniłem się drzewu; uprzejmości nigdy nie za wiele. Teraz już mogę ruszać do akcji.

Jednak zanim zdążyłem wejść na klatkę schodową, złapała mnie za rękę jakaś jejmość.

– Dokąd to, łobuzie?

Popatrzyłem zaskoczony na kobietę, a potem szybko oceniłem swój wygląd. Skąd jej przyszło do głowy, że jestem łobuzem?

– Przepraszam...

– Pytam, dokąd się wybierasz!

– Proszę o wybaczenie, madame – odparłem uprzejmie – ale wydaje mi się, że kierunek mojego ruchu dotyczy wyłącznie mnie. To raczej prywatna sprawa.

– Za mały jesteś na sprawy prywatne – burknęła kobieta, ale widać było, że moja grzeczność ją zaskoczyła.

Popatrzyłem na kobietę z góry – oczywiście byłem od niej niższy, ale mimo to spojrzałem na nią z góry – a potem uwolniłem rękaw koszuli z jej dłoni.

– Mam swoje prywatne sprawy i rzeczy. Ta koszula, na przykład, należy tylko i wyłącznie do mnie, gdyż kupiłem ją za własne pieniądze. A wszelkie moje osobiste sprawy w żaden sposób pani nie dotyczą. A jeśli – powstrzymałem ją gestem – chciałaby pani coś powiedzieć, to proszę skontaktować się z moim adwokatem. Oto moje personalia. – Arystokratycznym gestem wyjąłem z kieszeni stworzoną przed chwilą wizytówkę i podałem kobiecie.

Przyjęła ją w milczeniu, gapiąc się na mnie z otwartymi ustami. Poszedłem do klatki.

– Aa...

Odwrociłem się.

– Jeśli nie ma pani więcej pytań, to już pójdę.

– Ale...

Zamknąłem za sobą drzwi i poszedłem do windy. Osoby podobne do tej kobiety trzeba od razu odpowiednio ustawić – dowiedziałem się tego już we wczesnym dzieciństwie. A im bardziej są chamskie, z tym większą grzecznością należy je traktować. Zwykle strasznie je to denerwuje... Mur – beton, że więcej niż dwa razy się nie przyczepią, a ten drugi próbują tylko wtedy, gdy już zupełnie nie mają mózgu, nie potrafią zrozumieć od razu, że się z nich kpi. Dobra, nieważne... Interesujące mnie mieszkanie jest na piątym piętrze, o tutaj...

Przez minutę przyglądałem się drzwiom pokrytym osmalonymi łatami. Odszedłem na dwa kroki i znowu je obejrzałem. Potem przysunąłem do nich otwartą dłoń. Jeszcze by tylko brakowało, żebym się narwał na poświęcone mieszkanie... Ale nie, chyba czysto. Super... Złączyłem dłonie przed sobą i zamknąłem oczy. Przypomnieć sobie, czego uczono nas w szkole... Skoncentrować się... Zrobiłem krok do przodu i otworzyłem oczy. Nie rozłączając rąk, podszedłem do drzwi i... przeszedłem przez nie. Uff, udało się! Co prawda już to ćwiczyliśmy na zajęciach, ale przecież to nie to samo, co w praktyce.

Znalazłem się w brudnym, zapuszczonym przedpokoju. Podłóg nie myto tu chyba z pół roku, tapety naprzeciwko wejścia podarte... Przechyliłem głowę i popatrzyłem na betonową ścianę. Nie, ta też wyglądała nieładnie. Ruszyłem przed siebie, oglądając skromne umeblowanie. Przekrzywiona szafa, zdaje się, że walono w nią czymś ciężkim.

– O, kurczę... – zawołałem po cichu, omalże klepiąc się w czoło. Ale ze mnie kretyn! Ucieszyłem się jak pierwszoklasista, że udało mi się przejść przez cudze drzwi, a zapomniałem, że w mieszkaniu może ktoś być! Ładnie bym wyglądał, gdyby teraz ten ktoś wyszedł do przedpokoju! Pospieszenie stworzyłem iluzję i otuliłem się nią jak płaszczem. Teraz ciężko byłoby mnie zobaczyć. Osłonięty czarem, wszedłem do kuchni.

– Oho! – mruknąłem, zerkając na stertę brudnych naczyń w zlewie. Zajrzałem pod nią. – O, cześć, stary...

Karaluch popatrzył na mnie zaskoczony, poruszył wąsikami. Podsunąłem rękę i zmusiłem go, żeby na nią wszedł. Karaluch nie był zadowolony, ale nie mógł nic zrobić. Rozkazałem mu wejść na mój palec i przysunąłem go do oczu. Skoncentrowałem się, przenikając do jego słabej świadomości i podporządkowując ją sobie. Oczywiście taki karaluch nie ma rozumu, ale przecież posiada pamięć... Chwilę później mogłem już odczytać emocjonalne tło ludzi. Takie tło gromadzi każda żywa istota przebywająca w pobliżu człowieka; niektóre zwierzęta gromadzą tło pozytywne, inne negatywne; karaluch oczywiście negatywne. Niezłe teraz promieniował... Pstryczkiem posłałem owada w kąt i rozłożyłem ręce. Posłuszne bezgłósnemu rozkazowi, ze wszystkich szczelin zaczęły wyłazić karaluchy. Zbierały się przy mnie, po chwili byłem otoczony całym morzem tych zwierzaków. Ruchliwy dywan pokrywał całą podłogę kuchni – ściągnąłem tu chyba wszystkie karaluchy z całej klatki. No i dobrze. Dzięki temu mam gwarancję, że tło emocjonalne zostanie oczyszczone. Przekręciłem do góry rozrzucone na boki dłonie i zacząłem wchłaniać negatywną energię. Przecież muszę się jakoś odżywiać... U nas mówią: ludzkie jedzenie dobre dla ciała, ludzkie emocje potrzebne do pracy. Dla aniołów miłość i dobroć, dla diabłów nienawiść i strach. Karaluchy poruszyły się, gdy wyciągałem z nich wszystkie negatywne ludzkie emocje, jakie zdołały zgromadzić do tej pory. Chwilę później opuściłem ręce i spojrzałem na podłogę – ciała karaluchów pokrywały ją potrójną warstwą. Hm, trzeba z tym coś zrobić... Pstryknięcie palcami i cały karaluchy dywan zapłonął, chwilę później nie zostało już po nich ani śladu. Dobrze, idźmy dalej...

W salonie było smętnie i przygnębiająco, niegdyś przytulny, teraz wyglądał jak pobojuwisko. Złamany stolik, regał z jednymi drzwiczkami i rozbitym lustrem w barze... Stał tam jedyny ocalały kieliszek. Perski dywan zwinięty w rulon i wciśnięty w kąt. Śmierdział czymś kwaśnym, pewnie został zalany, a potem zwinięty, żeby sobie spokojnie gnił. W drugim pokoju najwyraźniej ktoś był, ale właśnie spał. Przyjrzałem mu się uważnie, podszedłem do jedynego fotela w pokoju i usiadłem, podciągając kolana pod siebie.

– Dzień dobry, Wiktorze Nikołajewiczu – mruknąłem.

Mężczyzna wymruczał coś przez sen i przekręcił się. No, wygląda całkiem przyzwoicie... Niezły garnitur, krawat... Tylko dwudniowy zarost psuje wrażenie. A pokój też niczego sobie i nawet posprzątane...

Moje rozmyślenia przerwał zgrzyt klucza w zamku. Skrzypnęły drzwi wejściowe, a chwilę później do pokoju zajrzała smągła twarz chłopca. Z przestrachem spojrzał na śpiącego mężczyznę, rozejrzał się... Mnie oczywiście nie widział. Z zaciekawieniem przyjrzałem się mojemu podopiecznemu. Do licha, jakiemu podopiecznemu?! Co ja jestem, anioł stróż?!

Tymczasem chłopiec wszedł do pokoju, pochylił się nad śpiącym ojcem. Upewnił się, że ten twardo śpi i zaczął penetrować mu kieszenie.

– Kradniemy? – zapytałem uprzejmie. Chłopiec oczywiście nie słyszał, gdyż wyemitowałem tylko tło, które śmiertelnik może uchwycić podświadomie i młody człowiek właśnie je dostrzegł – drgnął i obejrzał się. No, no, musiał mieć niezłe rozwiniętą wyobraźnię, skoro potrafił wyczuć wahanie tła... Alosza zacisnął wargi, wrócił do plądrowania, wyjął portfel...

– Ajajaj! – zacmokałem.

Znowu drgnął, ale już się nie wahał, sięgnął do środka i wyjął pięćdziesiąt rubli. Resztę wsunął z powrotem, po czym włożył portfel do ojcowskiej kieszeni.

Bez sensu... Jeśli już kraść, to wszystko, po co brać drobniaki... Co za brak stylu! I tak oberwie, i tak oberwie, więc co za różnica, czy dostanie za pięćdziesiąt czy za pięćset? A skoro nie widać różnicy... to po co kraść mniej?

Chłopiec tymczasem wybiegł z pokoju. Usłyszałem brzęk kluczy i trzask drzwi. Wstałem, poszedłem za swoim „klientem”, razem z nim zjechałem windą. Na dworze rozwiałem iluzję. Niespiesznie podążałem za Aloszką Nienaszewem lat dwanaście. Ten ciągle oglądał się nerwowo, był bardzo wzburzony. Wybiegł z podwórka, zatrzymał się obok kiosku i znów obejrzał. Usiadłem na ławce nieopodal, obok jakiejś dziewczynki, która popatrzyła na mnie niezadowolona i machnęła swoim końskim ogonem, prawie trafiając mnie w twarz. Odsunąłem ręką jej włosy, nie odrywając wzroku od Aloszki.

– Mam wrażenie, że interesujesz się tym chłopcem?

Czy na ziemi wszystkie dziewczynki są takie grzeczne?

– A co cię to obchodzi? – odburknąłem, nawet nie patrząc w jej stronę.

– Uprzejmi ludzie nie odpowiadają pytaniem na pytanie.

– A kto ci powiedział, że jestem uprzejmy? Odczep się.

– Grubianin!

– Otóż to.

Dziewczyna popatrzyła na mnie z góry i odsunęła się. Uśmiechnąłem się półgębkiem. O, jaka jestem wrażliwa, nie znoszę grubiaństwa, tiu-tiu-tiu... W tym momencie do Aloszki podeszła grupka chłopców, najstarszy mógł mieć osiemnaście lat, najmłodszy dziesięć. Od razu wyostrzyłem słuch.

– Przyniosłeś? – spytał obcesowo najstarszy.

Aloszka w milczeniu wyjął pięćdziesiąt rubli. Najstarszy wziął je niedbałym gestem, złożył i wsunął do kieszeni. A potem pokazał Aloszce pięść.

– No, uważaj. Na drugi raz nie będę tak długo czekał.

– Przecież mówiłem, że nie mam – powiedział Alosza niemal z płaczem.

Najstarszy wziął chłopca za koszulę i przyciągnął do siebie, dmuchając mu w twarz dymem papierosowym.

– Nie kłam! Przecież skądś wytrzasnąłeś tę pięćdziesiątkę, nie? To znaczy, że masz! Słuchaj, a może masz jeszcze więcej?

– Nic nie mam!!! – krzyknął Aloszka, teraz już otwarcie płacząc.

Odchyliłem się na oparcie ławki, zakładając nogę na nogę i przygotowując się do obejrzenia tych występów do końca. Kątem oka zerknąłem na dziewczynkę. Pochyliła się do przodu i przymrużyła oczy, wpatrując się w towarzystwo przy kiosku. Co ją tak zainteresowało? Przecież z tej odległości nie mogła nic słyszeć... Może zobaczyła znajomego? Mniejsza z tym. Znowu spojrzałem na grupkę, która teraz się rozproszyła, najwyraźniej zajmując z góry ustalone pozycje. Najstarszy chłopak stał z Aloszką obok kiosku. Jakiś dziesięcioletni knypek kręcił się z boku. Dwóch innych stało nieco bliżej, o czymś rozmawiając, ci mogli mieć po trzynaście lat. Ostatni, szesnastoletni pętaś, stał po drugiej stronie. Wszyscy udawali, że się w ogóle nie znają. Oho, coś tu się szykuje, wyczuwam kłopoty... Jakby w odpowiedzi na moje myśli, stojący z boku chłystek podniósł z ziemi kamień, cisnął nim w szybę kiosku, a potem od razu rzucił się do ucieczki.

– Oo, tam! – zawołał dziesięcioletek. – Tam pobiegli!

Z kiosku wyskoczyła rozzłoszczona kioskarka, puściła się w pogoń. Wtedy przez otwarte drzwi wskoczył do środka szesnastoletni pętaś, od razu rzucając się do kasy. Najstarszy stał, trzymając Aloszkę i spokojnie obserwował przebieg akcji. Korzystając z zamieszania wsunął rękę przez rozbitą szybę, zgarnął z półek różne przedmioty do torby, wcisnął ją Aloszy i polecił:

– Uciekaj!

Oszołomiony Aloszka odruchowo wziął torbę, ale nie ruszył się z miejsca. Wtedy ścigająca zbiega właścicielka zobaczyła, że ktoś jest w kiosku, więc zawróciła z krzykiem. Chłopak wyskoczył na zewnątrz i zaczął uciekać. Kobieta ruszyła za nim. Pewnie by go dorwała, gdyby nie to, że pod nogi wpadł jej najmłodszy knypek. Przewróciła się. Nieliczni przechodnie, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje, patrzyli to na nią, to na uciekających pętaśków. Niektórzy zrozumieli, ale uznali, że to nie ich sprawa. Przed kioskiem został już tylko stropiony Aloszka. Co za baran! Przecież mu powiedzieli „uciekaj!”. Kioskarka podniosła się z trudem. Oczywiście natychmiast dostrzegła Aloszkę.

– Aha! – zawołała. – Ty też jesteś jednym z nich!

Chłopak zadrżał i wymruczał coś.

– Mówisz, że nie? – Kioskarka złapała go za ramię, zaczęła grzebać w trzymanej przez niego torbie. – A to co takiego? Co? – Przy każdym „co” wyjmowała z torby kolejną skradzioną rzecz. – I mówisz, że nie jesteście z nimi?

– Ja nie kradłem! – chłopiec rozpląkał się na cały głos. – To oni kradli, ja tylko podniosłem!

– Na milicji będziesz się tłumaczył!

– Nie, proszę, nie! Nic nie brałem! Zastanowiłem się. Zaintervenować czy nie? Chyba nie. Głupcy powinni dostawać nauczkę... W tym momencie siedząca obok mnie dziewczyna zerwała się i zaczęła biec.

Popatrzyłem na nią ze zdumieniem. Dokąd ona leci? Wbrew sobie wstałem, żeby pójść za nią, a dziewczyna tymczasem podbiegła do kioskarki i zaczęła z żarem opowiadać, jak było naprawdę. Ku mojemu zdumieniu jej opowieść była bardzo precyzyjna. Jak jej się udało to wszystko usłyszeć? Popatrzyłem na nią – niby nic takiego, wytarte dzinsy i podkoszulka, włosy ściągnięte gumką... W tym momencie dziewczyna odwróciła się. Nasze spojrzenia się spotkały. Miała niesamowite oczy, niby zwyczajne, brązowe, ale było w nich coś takiego...

– On też siedział obok i wszystko widział! – Wskazała na mnie. – No powiedz, jak było!

– Jak co było?

– No, jak tutaj było! Przecież cały czas się gapiełeś!

– Aha, czyli ty też jesteś jednym z nich?! – Kioskarka złapała mnie za ramię. – I ty także! – zwróciła się do dziewczyny. – Jedni kradną, a inni bronią złodziei?

– Ja? – stropiła się dziewczyna.

– No przecież nie ja! – Wtedy kobieta popatrzyła na dziewczynę i aż się zakrztusiła. Jej twarz wyciągnęła się, spurpurowiała. – Przepraszam, dziecko... – powiedziała znieczeka. – Sama widzisz, nerwy w strzępach... Więc mówisz, że chłopiec nie kradł?

Zamrugalem oczami. Hej, czy coś mnie ominęło? Zerknałem na małą. Ona była... ona była...

– Skrzydlata! – Olśniło mnie i aż palnąłem się dłonią w czoło.

Dziewczyna odwróciła się do mnie, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ogoniasty! – Odsunęła się. – Więc to twoja sprawka!

Błyskawicznie zamroziłem czas, wszystko wokół nas zastygło. Dziewczyna patrzyła na mnie, oczy jej płonęły.

– To twoja sprawka?! Uśmiechnąłem się krzywo.

– Nie uwierzysz, ale nie mam z tym nic wspólnego.

– Masz rację, nie uwierzę!

– A jednak.

– No to co tu robisz?

– Analogiczne pytanie mógłbym zadać tobie.

– Ja spytałam pierwsza!

– A ja pierwszy przyszedłem.

Dziewczyna patrzyła na mnie oburzona, a ja uśmiechnąłem się kpiąco.

– Posłuchaj – powiedziałem – nie mogę długo wstrzymać czasu. Może potem porozmawiamy?

– Tylko najpierw pomóż mi uratować tego chłopca!

– Z jakiej racji? – zdumiałem się. – W końcu jestem diabłem, a nie Świętym Mikołajem.

– Pomóżesz mi uratować chłopca!

– Nie mam zamiaru. Głupcy powinni dostać nauczkę.

– On nie jest głupi!

– Jest. Dlatego, że spiknął się z tym towarzystwem. Dlatego, że dał im pieniądze. Dlatego, że wziął torbę z kradzionymi rzeczami. I wreszcie dlatego, że jak już ją wziął, to nie uciekł.

– Przecież nic o nim nie wiesz!

Skrzywiłem się. Jeszcze chwila i wszyscy wyrwą się spod mojej kontroli, a wtedy będzie jeszcze gorzej... Machnąłem ręką, czas znów zaczął płynąć.

– Jaki ogoniasty? – Kioskarka zerknęła na mnie podejrzliwie.

– Nic takiego, po prostu w jednym szkolnym przedstawieniu grałem diabła, a ta dziewczynka anioła. I właśnie się rozpozналиśmy.

– Aha... – Kobieta reagowała w zwolnionym tempie.

Dziewczyna zerknęła na mnie gniewnie, a ja wzruszyłem ramionami. Przecież prosiła, żebym pomógł, więc robię co mogę. Jak się nie podoba, to bez łaski...

Wyjąłem torbę z ręki Aleksieja i podałem kioskarce.

– Proszę wziąć. Zapamiętała pani tych złodziei? – Skoncentrowałem się, żeby włożyć w jej mózg opis każdego chłopca z szajki, jednocześnie lekko gasząc wizerunek Aloszki. Niby tu był, ale z kradzieżą nie miał nic wspólnego. Po prostu nie miał szczęścia i znalazł się tam, gdzie nie trzeba.

Za plecami sapała rozzłoszczona dziewczyna.

– Jak ci się nie podoba, to działaj sama – szepnąłem.

– Nie waż się ingerować w świadomość ludzi!

- Nie ingeruję. Ja tylko pomogłem jej przypomnieć sobie wszystkich chuliganów, pobudziłem pamięć. Zrobiłem coś złego?
- Zrobiłeś!
- To przepraszam.
- Dziewczyna złapała mnie za ramię i wyciągnęła z gęstniejącego tłumu gapiów.
- Wystarczy! Dalej niech radzą sobie sami. Aleksiej jest teraz świadkiem, nie oskarżonym. A ty... – Skrzywiła się. – Pomogłeś kioskarcie przypomnieć sobie cechy charakterystyczne wszystkich bandytów.
- Bandytów? – prychnąłem. – Jacy tam z nich bandyci? Drobne złodziejaszki. Skąd wiesz, że chłopiec ma na imię Aleksiej?
- Ja się dziwię, że ty wiesz! Skoro nie planowałeś żadnej podłości, po co go obserwowałeś?
- Ja spytałem pierwszy.
- No to co? Dobrze, daję ci pół godziny, żebyś się stąd wyniósł po dobroci.
- A jeśli nie? – Zatrzymałem się i spojrzałem na nią drwiąco.
- To... to... Na pewno jesteś na ziemi nielegalnie!
- Mam zezwolenie od waszej kancelarii. Wszystko jest jak najbardziej legalne, więc nie możesz mi mówić, co mam robić.
- Nie pozwolę, żebyś coś uczynił temu dziecku! Żebyś wiedział! On jest pod moją ochroną!
- Ach tak? – Wyprowadziłem ją, stanąłem tak, że musiała też się zatrzymać. – Naprawdę? Jesteś aniołem stróżem?
- Skrzywiła się.
- Nie, na razie jeszcze się zastanawiam, kim zostanę po szkole. To jest moje letnie zadanie – mam pomóc temu chłopcu i utrzymać go na słusznej drodze.
- Ach tak! – Aż przysiadłem z wrażenia.
- Teraz rozumiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś się tu kręcił!
- Patrzyłem oszołomiony na dziewczynę. Może faktycznie się wycofać? Skoro za sprawę wziął się anioł, to chyba rozwiąże ten problem, a jeśli rozwiąże problem, wtedy dusza matki Aloszki uzyska spokój, a ja dostanę zaliczenie. Z powątpiewaniem zerknąłem na dziewczynkę.
- To twoje pierwsze zadanie? Rzuciła mi wyzywające spojrzenie.
- A co? Myślisz, że sobie nie poradzę?
- Te anioły! Omal nie splunąłem z irytacją. „Za rok nie poznasz mojej papugi” – przypominałem sobie słowa wujka. Być może za pięć lat ta mała faktycznie zdołałaby naprowadzić chłopca na dobrą drogę...
- Poradzisz sobie. – Skinąłem głową. – Ale, i tu się uśmiejesz, moje letnie zadanie też polega na tym, żeby pomóc temu chłopakowi.
- Co?! Diabeł, który komuś pomaga?!
- Sam byłem w szoku. To znaczy, ściśle rzecz biorąc, mam pomóc nie jemu, lecz duszy jego matki, która włóczy się między światami... Problem w tym, że dopóki jej syn znajduje się w niebezpieczeństwie, dopóty jej duch nie znajdzie spokoju. Rozumiesz?
- O rany! – Dziewczyna popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, a potem zmrużyła oczy. – A może kłamiesz?
- Chciałbym – burknąłem.
- Zaczęła się śmiać. Spojrzałem na nią ponuro.
- Ale numer! – prychnęła. – Diabeł spieszy ludziom na pomoc! Chodźcie popatrzeć, niepowtarzalna okazja!
- Słuchaj – powiedziałem spokojnie – mogę się okazać pomocny w wykonaniu twojego zadania, ale mogę też sprawić, że twoje życie na ziemi stanie się nie do zniesienia.
- Dziewczyna od razu przestała się śmiać i popatrzyła na mnie z ciekawością.
- Spróbuj.
- Może spróbuje.
- A spróbuj! – powiedziała buńczucznie, ale zamilkła nagle i zamyśliła się. – Może się okazać, że nie zdołasz mi przeszkodzić, ale może być i na odwrót... A jak zaczniemy sobie nawzajem to udowadniać, wszystko odbije się na chłopcu i wtedy oboje możemy zaważyć praktykę. To co, zgoda?
- Kilka sekund patrzyłem na jej wyciągniętą rękę, a potem podałem swoją. Wtedy dziewczyna gwałtownie cofnęła dłoń.
- Ale jeśli mnie oszukujesz!...
- Pokazać ci mój dzienniczek?
- Pokaż.
- Ale ty też pokaż swój.
- Anioły nie kłamią!
- A czy ktoś to sprawdzał? Dziewczyna zasapała.
- No dobrze...
- Wyjąłem z powietrza dokument i podałem jej, ona wsunęła mi w rękę swój.

– O rany, ale numer! – zawołała. – Wykonujesz to zadanie na zlecenie ministerstwa kar?! Świat staje na głowie!

Prychnąłem i otworzyłem dziennik dziewczyny. Nie, żebym jej nie ufał, anioty rzeczywiście nie kłamią. Poza tym rozumiałem jej wątpliwości, sam bym nie uwierzył... Po prostu byłem ciekaw. I skoro ona ogląda moje papiery...

– Monterrey! – zawołałem, widząc podpis w dzienniczku.

– No tak. – Dziewczyna popatrzyła na mnie zdumiona. – Jest moim opiekunem praktyki. To wielki zaszczyt! Wyobraź sobie, że przyszedł do nas do szkoły i wybrał właśnie mnie! Wszystkie dziewczyny mi zazdrościły! O Monterreyu krążą u nas legendy... Nie mogłam uwierzyć, że to mnie spotkał taki zaszczyt!

– A kiedy ci zaproponował?

– Zaraz... A, no tak, kilka dni temu. Już właściwie znalazłam sobie inną praktykę, ale gdy Monterrey zaproponował właśnie to zadanie, oczywiście zgodziłam się od razu. Nauczyciele też nie mieli nic przeciwko takiej zamianie...

Kilka dni temu, ciekawe... Czyli zaraz po tym, jak wymyślił pracę dla mnie. Wujku, wujku, ale z ciebie intrygant! Jednak diabelska natura daje o sobie znać... Żebym tylko wiedział, co on chce przez to osiągnąć...

– A czemu pytasz? – zainteresowała się dziewczyna. – Znasz Monterreya?

– Poniekąd. – Uśmiechnąłem się krzywo. – To mój wujek.

Rozdział 2

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kłamiesz! – zawołała. Wzruszyłem ramionami.

– Po co miałbym kłamać?

– A kto cię tam wie! W końcu jesteś diabłem!

– Nawet diabły nie kłamią dla samego kłamstwa, ale żeby coś osiągnąć.

– A może właśnie chcesz ugrać swoje?

Bez słowa wziąłem od dziewczynki dzienniczek i odesłałem go do piekła.

– Posłuchaj – zacząłem – mój stopień pokrewieństwa z Monterreyem możemy omówić później, teraz musimy postanowić, co robimy. Nie przypuszczałem, że będzie mi się plątał pod nogami jakiś anioł. . .

– Ha, i kto tu się komu pląta pod nogami! Pragnę zauważyć, że pomaganie ludziom nie jest domeną diabłów! Wiesz chociaż, co trzeba robić? Bałwan!

Postanowiłem się nie obrażać, zwłaszcza że po raz pierwszy widziałem anioła, który przeklinał w tak niewymuszony sposób. Przechyliłem głowę i w milczeniu patrzyłem na dziewczynę.

– Tak się nazywasz, aniołeczku? – zapytałem spokojnie.

Dziewczyna zakrztusiła się gniewną odpowiedzią.

– Aniołeczku?! – wyszczała.

– Daj spokój. – Machnąłem ręką. – Skoro już mamy działać razem. . .

– Kto ci powiedział, że zgodzę się działać z tobą? Żeby anioł i diabeł pracowali razem. . .

– Nietypowe, prawda? – uśmiechnąłem się. – Ale czy to jest powód, żeby nie spróbować?

Dziewczyna patrzyła na mnie osłupiała.

– Nietypowe – przyznała. – A ty chyba lubisz rzeczy nietypowe?

– Powiem tak: nie lubię sztywnych reguł. W końcu jestem diabłem, prawda? Nie?

– Ale ja nie jestem. . . Tak, jednak z drugiej strony mi też ciągle mówią, że nie lubię zasad. . . – uśmiechnęła się nagle. – Dobrze, spróbujemy. Umowa stoi. Nazywam się Alona.

Ucisnąłem podaną dłoń.

– Ezergil. To jakie mamy plany? Alona rozejrzała się.

Staliśmy naprzeciwko jakiegoś parku, od którego dzieliła nas tylko ulica.

– Skoro już tak się złożyło – zaczęła – że mamy współpracować, to chyba warto wszystko omówić i wymienić się informacjami. Chodźmy tam, znajdziemy jakieś spokojne miejsce do pogadania.

Dlaczego nie. . . Nigdy nie byłem zwolennikiem prowadzenia poważnych rozmów na środku drogi. Park to co innego. . .

Już wkrótce okazało się, że nawet jeśli park jest idealnym miejscem, to niełatwo znaleźć w nim latem wolną ławkę. Wszystkie bowiem były okupowane przez babcie z wnukami albo nastolatki z piwem. Alonie w końcu znudziło się to łażenie po alejkach i bez słowa wskazała cienisty zakątek pod drzewem. Usiadłem wprost na trawie, dziewczyna siadła obok mnie.

– Zaczynaj – poleciła.

– Dlaczego ja? – zdumiałem się.

– A dlaczego nie?

Zerknąłem na niespodziewanego sprzymierzeńca, ale nic nie powiedziałem. Tata zawsze powtarzał, żeby nie kłócić się z kobietami – szkoda zdrowia. Ograniczyłem się do skinienia głową i zacząłem opowieść.

Przez pół godziny opowiadałem o wszystkim, czego zdołałem się dowiedzieć z archiwów piekła i raj. Alona ściągnęła brwi, zagryzła wargi. Gdy skończyłem, pokiwała głową.

– Czyli wiesz tyle, co i ja. Szkoda, liczyłam, że powiesz coś nowego. . .

– Ja liczyłem na to samo. Gdzie, według ciebie, miałem dowiedzieć się czegoś więcej, skoro przybyłem na ziemię trzy godziny temu?

– Ja cztery, tylko dłużej docierałam do właściwego domu. Tam u was mają idiotyczne poczucie humoru! Wyszadzi mi prawie na peryferiach miasta!

– Naprawdę? Trzeba było zażądać dostarczenia na miejsce! Sama jesteś sobie winna, po co pozwalasz, żeby ci weszli na głowę?

– Czyli w dodatku jestem winna?! – zaperzyła się.

– Stop, stop, stop. Zaraz się pokłócimy. Po prostu zapamiętaj na przyszłość: jeśli należy ci się coś od diabłów, żądaj tego, nie krępując się. U nas nie rozumieją wstydlivych.

- Zapamiętam – odparła Alona ze złowieszczym spokojem. – Ładne macie porządeczki w tym swoim piekle...
- Lepsze niż w raju. U was nuda, dłużyzny i kupa zasad... Ee, przepraszam.
- O rany! Diabeł, który przeprasza! No, teraz zaczynam wierzyć, że Monterrey jest twoim wujkiem. Widać zdołał nauczyć cię pewnych rzeczy.
- Słuchaj, może jednak wrócimy do naszego problemu? – zaproponowałem kwaśno. – Masz jakieś pomysły? Od czego zaczniemy?
- Jak to od czego? To przecież jasne: trzeba pomóc Aleksiejowi. Przede wszystkim uwolnić go od złego towarzystwa... Tutaj ty mógłbyś się wykazać.
- Nie mam zamiaru.
- A to dlaczego?
- Dlatego, że nie jestem niańką! I nie mam zamiaru cackać się z tym chłopaczkiem. Pewnie, mógłbym przyłać im wszystkim tak, że do końca życia omijaliby Aloszę z daleka, ale...
- Ale?
- Ale czy jemu wyjdzie to na korzyść?
- W jakim sensie?
- Bezpośrednim. Jeśli popełnia błędy, powinien sam je naprawiać. Jak zaczniemy robić wszystko za niego, na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie. Łatwo przywyknąć do tego, że ktoś odwala za ciebie całą robotę.
- Alona zmarszczyła brwi.
- I sądzisz, że on sobie poradzi?
- Nasze zadanie polega właśnie na tym, żeby uwierzył w siebie i zdołał sobie poradzić. Nie chodzi przecież o to, żeby go tylko wyręczać.
- Możemy mu pomóc znaleźć wyjście z sytuacji, a potem wskazać słuszną drogę.
- No, no, co ja słyszę? – powiedziałem z przekąsem. – Czy anioły powinny pomagać człowiekowi wiarą, że sam zdoła pokonać trudności, czy też robić wszystko za niego? Jak brzmi wasza podstawowa zasada? Czy czasem nie chodzi w niej o to, że nie należy rozwiązywać problemów za ludzi, lecz pomóc im uwierzyć w siebie?
- Skąd tyle wiesz o aniołach... – burknęła Alona.
- Zapomniałaś, kim jest mój wujek?
- Faktycznie, zapomniałam. Ale to bez sensu! Przyjrzałam się Aleksiejowi, on nie wierzy w nic i w nikogo, nie wierzy w dobro... Ale my przecież możemy go skłonić, żeby uwierzył.
- Skłonić, żeby uwierzył w dobro? – prychnąłem. – Nieźle! A jak nie zechce wierzyć, to dostanie w łeb? Żeby się poprawił? Albo na stos go czy jak tam inkwizycja zmuszała ludzi do wyznawania wiary?
- Więc co proponujesz, geniuszu?
- Jeszcze nie wiem... Stop! – Podniosłem rękę i zamarłem z otwartymi ustami. – Alona, to ty jesteś geniuszem! No, jasne! Ze też od razu na to nie wpadłem!
- Alona patrzyła na mnie podejrzliwie.
- Co ci się stało? – zapytała, patrząc, jak tańczę z radości.
- Właśnie zrozumiałem! Dzięki tobie! Jestem idiotą! Powinienem być od razu zrozumieć! Jin i Jang! Dobro i zło, czerń i biel, światło i mrok! Jedność! Dwa aspekty tej samej rzeczy! Nie uczyli was tego w szkole?
- Alona ściągnęła brwi.
- Nie wiem... Nie pamiętam.
- Dziwne, my przerabialiśmy to jeszcze w dziewiątej klasie, w pierwszym dziesięcioleciu szkoły. Dobro przechodzi w zło, a zło staje się własnym przeciwieństwem. Nie możemy zmusić Aloszy, żeby uwierzył w dobro, ale kto nam zabroni sprawić, żeby uwierzył w ciemną stronę? Wrzucimy go w zło i niech sobie radzi!
- Coś ty wymyślił? – powiedziała bardzo powoli Alona.
- Zobaczysz. Nie będziemy go zmuszać, żeby nagle uwierzył w dobro, on sam zacznie go szukać! Sam do niego dojdzie, poprzez mękę i cierpienie! Oczywiście, możemy mu wszystko podać na tacy, ale czy on to doceni? Wujek mówił mi kiedyś, że ludzie za prawdziwie wartościowe uważają tylko to, co zdobyli ciężką pracą. Zmusimy go, żeby pracował, żeby zasłużył na swoje szczęście. Gdybyśmy podali mu to szczęście na tacy, szybko by się od niego odwrócił!
- Mam wrażenie, że wymyśliłeś jakąś podłość. A ja, ja mogę oduczyć jego ojca pić! Wtedy on zajmie się synem... Przypilnuję ich...
- Przepraszam za chamstwo, ale będziesz ich też podcierać?
- Grubianin!
- Zgadza się. O, mam lepszą propozycję! Hermetyczny, zdezynfekowany pokój z przefiltrowanym powietrzem. I spełnienie wszystkich pragnień do końca życia. I jedzenia po samo gardło.
- To już przesada.
- Przypomnij sobie Adama! – Tknąłem ją palcem. – Mówi się o tym w pierwszej klasie!
- Co tu ma do rzeczy Adam?

– A to! Przecież On – wskazałem dłonią niebo – jest nieskończenie cierpliwy, ale nawet jemu znudziło się czekanie, aż wreszcie Adam skosztuje owoc z drzewa poznania dobra i zła. Nawet tutaj to my, diabły, musieliśmy przyjść z pomocą.

– Nie musisz mi opowiadać rzeczy oczywistych.

– A ty nie próbuj zbudować jeszcze jednego edenu dla konkretnego człowieka. Dobrze, chodź ze mną, nie będę nic wyjaśniał, sama wszystko zobaczysz.

Wstałem i zacząłem iść w stronę wyjścia z parku.

– Hej, stój! Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie powiesz, co wymyśliłeś!

Odwrociłem się.

– To będziesz musiała siedzieć tu bardzo długo... I nie słuchając jej krzyków, wyszedłem na ulicę. Tak jak się spodziewałem, Alona wkrótce mnie dogoniła.

– Mógłbyś być grzeczniejszy.

– A ty domyślniejsza.

Dziewczyna nadęła się, więc przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

Dotarliśmy do domu Aleksieja – żeby tym razem nie było żadnych niespodzianek, od razu narzuciłem na nas iluzję. Niezauważeni wjechaliśmy na piąte piętro. Szybko wszedłem do mieszkania przez zamknięte drzwi, ale widząc, że Alona nie ma obok mnie, wysunąłem głowę na klatkę schodową.

– No, na co czekasz?

– Zaraz... – Alona usiłowała się skupić, ale słabo jej to wychodziło, nie mogła przejść przez drzwi.

Popatrzyłem na nią podejrzliwie.

– No, co się gapisz? – spytała gniewnie. – Nie lubię tego ćwiczenia...

Obejrzałem sobie jej trzy kolejne próby, a potem westchnąłem i wyszedłem z mieszkania. Podszedłem do niej od tyłu, żeby swoimi rękami złączyć jej dłonie. Alona szarpnęła się, ale byłem silniejszy. W końcu zrozumiała, że tylko próbuję jej pomóc i przestała się wrywać.

– Zamknij oczy i słuchaj mnie uważnie. Skoncentruj się. Ja zwykle wyobrażam sobie, że jestem w przestrzeni międzyświatowej, gdzie nie ma żadnych ścian i przeszkód.

Monotonnie opowiadając o koncentracji, hipnotyzowałem dziewczynę. Zrobiłem krok do przodu, Alona powtórzyła go. Zrobiłem następny i jeszcze jeden... I tak krok za krokiem doszliśmy do drzwi, wreszcie przeszliśmy przez nie razem.

– Długo mam się tak koncentrować? Chyba już rozumiałam, spróbuję sama.

Parsknąłem śmiechem, puściłem jej rękę, a potem klepnąłem w ramię.

– Idioto! – krzyknęła Alona – Zepsułeś mi całą koncentrację! – I wtedy zrozumiała, gdzie jesteśmy i zastygła z otwartymi ustami. – Udało mi się? – spytała z niedowierzaniem.

Przyjrzałem jej się uważnie, zastanowiłem się i spytałem:

– Słuchaj, a jak ci idzie w szkole? Same piątki? Spojrzała na mnie gniewnie, a potem spuściła oczy.

– Nie. Głównie trójki. Aż przysiadłem z wrażenia.

– O rany! – jęknąłem. – Ja to mam pecha! No, wujaszku! Anioł trójkarz, też coś!

– Myślałby kto, że ty masz same piątki!

– Wyobraź sobie. Jestem trzecim uczniem w szkole. Nawet uczestniczyłem w różnych konkursach. Kiedyś byłem na turnieju w rajach, graliśmy przeciwko wam, zająłem wtedy czwarte miejsce. Ale to już była moja wina, niezbyt dobrze poszło mi z fantomem. Potem dużo trenowałem... nieważne.

Alona przyglądała mi się z niedowierzaniem.

– Diabeł prymus!

– Anioł trójkarz! – odparłem tym samym tonem. Popatrzyliśmy na siebie i zachichotaliśmy. – Ale drużyna!

Alona roześmiała się, ale od razu zasłoniła dłonią usta.

– Ojej, a jak w mieszkaniu ktoś jest?

– Jest. – Machnąłem ręką. – Wiktor Nikołajewicz Nienaszew, ojciec Aleksieja. Ale on nas nie usłyszy, już o to zadbałem. Możesz nawet śpiewać.

– A co będziemy tu robić?

– Czekać, aż przyjdzie noc. – Wzruszyłem ramionami i poszedłem do pokoju, w którym spał Wiktor Nikołajewicz. Usiadłem na jedynym fotelu, nie zwracając uwagi na śpiącego mężczyznę. Alona patrzyła zdumiona to na mnie, to na ojca Aleksieja.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego mamy czekać?

– Dlatego, że nocą dokonują się wszystkie czarne sprawy.

– Też coś! Najstraszniejsze przestępstwa zawsze popełniano w biały dzień!

– No to co? Siadaj, siadaj. Będziemy długo czekać.

– W takim razie mógłbyś ustąpić miejsca dziewczynie.

– Dlaczego? Nie lubię stać.

– Do diabła!

– Do usług – uśmiechnąłem się. – Czyżby ktoś miał co do tego jakieś wątpliwości?

– Niewychowany cham!

– Jak słusznie zauważyłaś, jestem diabłem.

Alona popatrzyła na mnie z urazą, a potem z ponurą miną usiadła na podłodze w pozie lotosu. Zamknąłem oczy, przyjmując wygodniejszą pozycję. Budzik tykał miarowo...

Z medytacji wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Otworzyłem jedno oko i rozejrzałem się. Alona nadal siedziała na podłodze w pozie lotosu, Nienaszew spał na łóżku. Dzwonek znów zadzwieczał, nieprzytomny Nienaszew podniósł głowę – nas oczywiście nie widział – i mamrocząc coś, wstał i poprawił garnitur. Hm, jak dla mnie to dość dziwna piżama, i chyba niewygodna... Sygnał zabrzmiał po raz trzeci.

– Idę, idę – mruknął Nienaszew i otworzył drzwi.

– Wiktor Nikolajewicz Nienaszew? – usłyszeliśmy czyjś oficjalny głos.

– To ja – rzekł ojciec Aleksieja ochryple. Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie.

– Zaczyna się... Zaraz będzie interesująco.

– Nic nie będzie – warknęła Alona, wstając. Oboje poszliśmy w kątek pokoju; drzwi otworzyły się, wszedł Wiktor Nienaszew, za nim mężczyzna w mundurze, a na końcu Alosza. Chłopak nie był nawet blady, lecz szary, patrzył na ojca z jawnym przerażeniem.

– Wiktorze Nikolajewiczu, chciałbym porozmawiać o pańskim synu... – zaczął milicjant, najwyraźniej dzielnicowy.

– Co ten nicpoń nawyprowadził?

– Widzi pan, to dość dziwna sytuacja... Był świadkiem napadu na kiosk, lecz gdy go pytamy, czy widział, kto kradł, to mówi, że nie i w ogóle płacze się w zeznaniach. No i miał w ręku torbę z kradzionymi rzeczami.

Pochwyliłem spojrzenie, którym Nienaszew obrzucił syna. Aleksiej zaczął drzeć, Alona wzdrygnęła się.

– Mówi, że tylko podniósł torbę, gdy tamci uciekli...

Dalsza rozmowa nie była zbyt interesująca. Dzielnicowy próbował się dowiedzieć, czy Nienaszew nie zauważył ostatnio w zachowaniu syna czegoś dziwnego, a Nienaszew odpowiadała, usiłując sprawić wrażenie surowego, acz sprawiedliwego.

– Rozumie pan – mówił – chłopcu niedawno zmarła matka...

– O, bardzo mi przykro, nie wiedziałem...

– No właśnie. Ja też bardzo przeżyłem śmierć żony... Sam pan widzi, co się dzieje w mieszkaniu... Ciagle nie mogę wziąć się w garść. Wiem, że muszę żyć dla syna, ale jak pomyślę o żonie, wszystko leci mi z rąk.

– Co za obłudnik! – powiedziałem zachwycony. – Prawdziwy mistrz!

– On nie kłamie, głupku – burknęła Alona.

– On wierzy, że mówi prawdę, a to nie to samo, co kłamstwo.

– Mądrała...

Przysłuchiwałem się dalszej rozmowie, doskonale rozumiejąc, czym się to skończy.

I rzeczywiście, tak jak się spodziewałem, milicjant zaczął się żegnać, mówiąc na koniec, że w związku z zapewnieniami kioskarki, jakoby Alosza nie brał udziału w napadzie, cała sprawa nie będzie miała dla chłopca żadnych konsekwencji.

– Ale zajmie się pan synem? – upewnił się.

– Na pewno, obiecuję... Zbyt długo zadreślałem się po śmierci żony...

Nienaszew odprowadził milicjanta do drzwi i wrócił do pokoju. Stał w milczeniu, ciężkie spojrzenie utkwiał w skulonym chłopcu.

– Więc teraz już kradniesz! Nie dość, że pieniądze z domu wynosisz, to jeszcze kioski napadasz? Na co ci potrzebne pieniądze, co? Na papierosy?! Na alkohol?!

– I kto to mówi... – prychnęła Alona.

– O, widzę, że za mało jeszcze dostałeś, ale to nic, to się da naprawić... Już ja cię oduczę kraść! – Nienaszew odpiął pas, ale, wyjmując go ze spodni, zahaczył o marynarkę wiszącą na oparciu łóżka. Marynarka upadła, wysunął się z niej portfel. Alosza mocniej wtulił głowę w ramiona. Nienaszew spojrzał na portfel, potem na syna... Zmrużył oczy, podniósł portfel i zajrzał do środka.

– Taak... – powiedział przeciągle. – A więc to tak...

– A nie mówiłem, żeby brać wszystko? – mruknąłem. – Skoro i tak oberwiesz, to przynajmniej wiedziałbyś, za co... – Pokręciłem głową i od razu dostałem kuksańca od Alony.

– Tato... Ja już więcej nie będę... – powiedział cicho Alosza tonem skazańca.

Nawet we mnie, diabie, serce się ścisnęło od tych słów, ale ojciec Aloszy nie był czartem – był człowiekiem, zatem jego serce pozostało niewzruszone. W milczeniu podszedł do syna, ściągnął mu spodnie, położył nieszczęśnika na łóżku. A potem zamachnął się i uderzył. Początkowo patrzył, gdzie bije, ale potem walił, gdzie popadnie. Alosza już nie płakał. Jęczał.

Alona chciała skoczyć do Nienaszewa, ale zdążyłem ją powstrzymać.

– Dokąd?! Tylko pogorszysz sprawę!

– Kiedy ja nie mogę! Nie mogę na to patrzeć! – Odwróciła się i wtuliła twarz w moje ramię.

– Myślisz, że twoja ingerencja coś pomoże?

– Ty więc coś zrób! Ezergil, błagam cię! Błagam! Chcesz, to uklękne!
 Odsunąłem ją od siebie, popatrzyłem jej prosto w oczy. Nie żartowała.
 – Dobrze. Nie musisz klękać. Po prostu coś mi obiecaj.
 – Co?

– Ze nie będziesz przeszkadzać w realizacji mojego planu. Ze zrobisz wszystko, co powiem.

Alona odsunęła się, oczy jej rozbłyły. W tym momencie pas Nienaszewa uderzył chyba zbyt mocno, bo Aleksiej jęknął głośniej. Anielka drgnęła, jakby to ją uderzono.

– Dobrze! Niech cię szlag! Czy ty w ogóle masz serce?!

– Diabeł i serce? – prychnąłem.

– No obiecałam już! Zrób coś!

– Czekaj tu na mnie. . .

Wyszedłem z mieszkania i popatrzyłem na siebie. Nie, do kitu. Zamknąłem oczy, pstryknąłem palcami. Znow na siebie spojrzałem. . . O, tak już lepiej. Biały garnitur leżał na mnie jak ulał, koszula w kolorze stali. . . Jednak na chłopcu taki strój powinien wyglądać nieco niedbale – marynarka rozpięta, rozchełstana koszula. . .

I mimo tej pozornej niedbałości, czuło się ode mnie pieniądze. A nawet nie pieniądze, lecz Pieniądze. Postąłem kilka sekund przed drzwiami, wreszcie nacisnąłem dzwonek. Jeszcze raz. . .

– Kogo tam diabli niosą? – usłyszałem za drzwiami.

Uśmiechnąłem się. Jakże celna uwaga. . .

Drzwi stały otworem i zobaczyłem na progu rozczochranego Nienaszewa. Już miał wybuchnąć gniewem, ale słowa zamarty mu na ustach. Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Czy mogę rozmawiać z Aleksiejem Nienaszewem?

Wiktor Nikołajewicz zamrugął oczami.

– A coś ty za jeden?

– O, przepraszam, nie przedstawiłem się. Eduard, Eduard Wiaziemski. A pan zapewne jest ojcem Aloszy?
 – Tak.

– Hm, czy mogę wejść? Wiktor Nikołajewicz odsunął się, wpuszczając mnie do mieszkania.

– Coś za jeden? – powtórzył.

– Aleksiej panu nie wspominał? Widzi pan, Alosza bardzo mnie wyreczył. . . jak to będzie po rosyjsku. . . ech, bien moi. . . ach tak, pomógł. Tak, pomoc. Rozumie pan, ja i ojciec niedawno wróciliśmy do Rosji, ojca zaczęło ciągnąć na ziemię przodków. . . Nasza rodzina bardzo czci dawną ojczyznę, choć straciliśmy wszystko w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Ale widzi pan, jak dobrze mówię po rosyjsku?

– Coś za jeden?

Rany, co mu się stało, już nic innego nie powie?

– No właśnie. Widzi pan, wyszedłem z domu i zapomniałem wziąć kartę kredytową. Zostałem dosłownie bez grosza – i wtedy Aleksiej mi pomógł! Pożyczył mi pięćdziesiąt rubli! Obiecałem, że oddam jeszcze dziś. . . Alosza po prostu mnie uratował.

– Pożyczył. . . pięćdziesiąt rubli?

O, postęp! Przynajmniej oderwaliśmy się od tego „coś za jeden”. Jak tak dalej pójdzie, to może nawet wyjdzie nam z tego jakaś rozmowa.

– Tak jest. Jak już wspomniałem, uratował mnie. Chciałbym oddać dług. Czy mogę zobaczyć się z Aleksiejem?

– Nie ma go w domu.

Zerknąłem na drzwi pokoju, zza których dobiegał stłumiony szloch.

– Nie ma go w domu! – powtórzył z naciskiem Wiktor Nikołajewicz.

– Och, rozumiem. Oczywiście. Czy w takim razie nie zechciałby pan przekazać synowi? . . . – Niedbałym ruchem podałem Nienaszewowi pięćset rubli.

– Nie mam wydać. – Wiktor Nikołajewicz aż ochrypl z wrażenia.

Machnąłem ręką.

– Och, drobiazg. To dla Aleksieja, za fatygę. Nie każdy pożyczyłby pieniądze kompletnie obcemu człowiekowi. . . Jeszcze by tego brakowało, żebym się teraz targował. . . No cóż, na mnie już czas, kierowca czeka, obiecałem, że dług nie zabawię.

Skloniłem się lekko, wyszedłem z mieszkania i wezwałem windę. Ojciec Aloszy stał w otwartych drzwiach z osłupiałą miną i banknotem w ręku.

– Aa. . . może herbaty? – zaproponował niepewnie.

Uśmiechnąłem się czarująco.

– Z radością, ale niestety, innym razem. Teraz naprawdę nie mogę. . . Przepraszam. – W tym momencie podjechała winda, wsiałem i zniknąłem Wiktorowi Nikołajewiczowi z oczu.

Gdy znow zjawiłem się w mieszkaniu Nienaszewa, teraz już niewidzialny, panowały tam cisza i spokój. Nienaszew–senior stał stropiony z pięćsetką w ręku, patrząc na syna. Ten leżał na łóżku, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

– Czemuś mi nie powiedział, że dałeś moje pieniądze temu... – Nienaszew zrobił gest mający chyba oznaczać gogusia.

Alosza wyjęczał coś; podejrzewam, że przez mgłę bólu nawet nie usłyszał ojca. U jego wierzgłowia siedziała Alona i próbowała wziąć część jego bólu na siebie. Rany, nawet tego nie umie zrobić jak należy!

Odszedłem w kąt i oparłem się o ścianę, oglądając tę rozdzierającą scenkę. Ojciec rodziny, obolały chłopiec oraz anioł przy jego łóżku. Wypisz, wymaluj, bożonarodzeniowa kartka: „Anioł cudownie uzdrawia chorego”. Tylko że naszej trójkowej uczennicy to cudowne uzdrawianie jakoś nie szło.

– Zjeżdżaj do siebie! – warknął w końcu starszy Nienaszew.

Chłopak drgnął przestraszony, wstał, ale nie wytrzymał i jęknął.

– Jeszcze będziesz mi tu skuczal! – wściekł się Nienaszew. – Myślałby kto, że tak strasznie dostałeś!

Zauważyłem, że przy tych słowach gniewnie rozdęły się nozdrza Alony; Aleksiej szybko wykuśtykał z pokoju; widać było, że każdy krok sprawia mu ból. W ostatniej chwili zdążyłem chwycić dziewczynę za rękę.

– Dzięki – wymruczała. – Już myślałam, że go zabije.

– Nie ma za co.

Niespodziewanie Alona wtuliła twarz w moje ramię i rozplakała się. Zaskoczony, poklepałem ją po ramieniu. Ale sytuacja! Anioł łkający na ramieniu diabła. Kupa śmiechu...

– Zarozumiała kretynka! – szlochała Alona. – Ciężka idiotka! Nawet nie umiem mu pomóc! Dlaczego, dlaczego się nie uczyła! Powiadomię szkołę, że zawałam zadanie, niech przysła zamiast mnie kogoś innego... Zostanę na drugi rok i dobrze mi tak! Nic nie potrafię!

– Aha – skinąłem głową. – Zupełnie nic nie potrafisz.

Spojrzała na mnie ze złością.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Dzięki za współczucie!

– Współczucie to działka aniołów – zauważyłem spokojnie. – To, że zostaniesz na drugi rok też mnie mało obchodzi. Twój problem. Ale nie możesz tak po prostu wszystkiego zostawić i pójść sobie.

– A kto mi przeszkodzi?

– Twoja obietnica. Już zapomniałaś? Możesz zgłosić swoją klęskę, zostać sobie na drugi rok w tej samej klasie, ale nikt nie pozwoli ci być dalej aniołem, jeśli złamiesz dane słowo. Potrzebuję twojej pomocy, więc zostaniesz tu, czy tego chcesz czy nie.

– Ty nieczuły kłocu! Ty chamski, bezczelny, zarozumiały...

– Diabie – dokończyłem za nią. – Wiem, wiem. Ale w odróżnieniu od dobrego, czulego, wrażliwego anioła ja się uczyłem i sporo umiem. A ty nie potrafisz nawet ulżyć dziecku. Więc już lepiej bądź cicho.

Alona spurpurowiała. Nad jej głową zapłonęła aureola – teraz patrzeć na nią sprawiało mi fizyczny ból. Wiktor Nienaszew chyba też coś poczuł, nie każdy człowiek jest w stanie znieść towarzystwo anioła... Zaniepokoił się. Tak, tak, obecność anioła jest w stanie obudzić nawet pogrążone we śnie sumienie.

– Aha, nie mogę pomóc?! – zasyczała. Odwróciła się i wyszła prosto przez drzwi, bez żadnej koncentracji.

Uśmiechnąłem się do siebie. Najważniejsze to dobrze kogoś rozdrażnić, nazwać fajtlapą, żeby na złość chciał udowodnić, że właśnie potrafi!

Poszedłem za nią. Alona tymczasem już pochylała się nad chłopcem, chyba gorączkującym. Położyła mu rękę na czole. Spochmurniałem. Najwyraźniej Nienaszew przesadził... Jeśli teraz nie pomożemy Aloszy, cała sprawa może się skończyć bardzo smutno... Alona wypreżyła się nagle i jęknęła, na jej czoło wystąpiły krople potu. A chłopiec, nadal nieprzytomny, uspokoił się i ucichł.

Podszedłem i podniosłem koszulę, odsłaniając jego plecy. Najstraszniejsze rany bladły powoli, krwawiące ślady zablizniały się. Zerknąłem na Alonę i szturchnąłem ją.

– Uwważaj, nie przesadz.

Powoli otworzyła oczy, popatrzyła na mnie, potem skinęła głową.

– Tak – powiedziała z trudem. – Jeśli wyleczę go całkowicie, ciężko będzie wyjaśnić, jak to się stało. No, w każdym razie nie grożą mu żadne komplikacje.

Skinąłem głową.

– Alona... – powiedziałem.

Odwróciła się niespiesznie, a ja uniosłem w górę kciuk.

– Bravo! Nigdy nie słuchaj, jak ktoś mówi, że nic nie umiesz.

Uśmiechnęła się delikatnie, a wyglądało to tak, jakby promień słońca zajrzał do pokoju.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem to diabłu, ale dziękuję.

Uśmiechnąłem się.

– Nie ma za co, polecam się na przyszłość. Jakbyś jeszcze kiedyś chciała, żeby cię obrazić, wal do mnie jak w dym.

– Mimo wszystko jesteś chamem.

– A jak? – Wzruszyłem ramionami. – W końcu jestem czartem.

– Co teraz zrobimy?

– Zaczekamy, aż przyjdzie noc. Przy okazji, w tym pokoju jest kilka krzeseł, możemy usiąść.

– Jakiś ty troskliwy, Ezergilu – odparła zgryźliwie Alona. Chyba już doszła do siebie, znów była w formie.
– Staram się.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie i w milczeniu usiadła na krześle, widocznie postanowiła się ze mną nie kłócić. Zdawałem sobie sprawę, że musi odpocząć po takim wysiłku, więc dałem jej spokój. Przyjęcie na siebie bólu człowieka – ho, ho, to nie żarty! Co by nie mówić, aniołowie nie są normalni... Mnie by tam nikt nie zmusił, żebym wziął cudzy ból. Takiemu, który by spróbował, od razu wyjaśniłbym, gdzie ma się udać i co zrobić. A ona dobrowolnie!... Koszmar.

Wstałem i podszedłem do okna, które wychodziło na zachód, więc mogłem obejrzeć chowające się za horyzontem słońce. Tak, zachodzące słońce to widok niesamowity, pełen majestatu. Chociaż Alona na pewno nie zgodziłaby się ze mną, jej bardziej podobałby się wschód... Dzień i noc. Jin i Jang. Dwie strony tej samej rzeczy. Właśnie na tym zbudowałem swój plan... Tylko czy wypali? O, wujku, wujku! Aleś mnie urządził...

Słońce zniknęło za horyzontem, ziemię zalały ciemności. Nastął czas zła, jak niegdyś wierzyli ludzie. Jako diabeł oświadczam stanowczo: to wszystko bzdury. Alona słusznie zauważyła, że najstraszniejsze przestępstwa popełnia się w świetle dnia. Zresztą to nieważne – grunt, że ludzie wierzą, iż zło przychodzi nocą...

Odszedłem od okna i stanąłem na środku pokoju. Obejrzałem swój śnieżnobiały garnitur, który miałem na sobie od rozmowy z Wiktorem Nikołajewiczem... Nie, nie pasuje. Zmieniłem strój, zadawałem teraz szyku w czerni. Do tego płaszcz barwy nocy... Oczywiście diabeł, który kusi człowieka w takim stroju, jest jak agent w ciemnych okularach i prochowcu z podniesionym kołnierzem. Ale ponieważ mój... ee... klient jest nie do końca zwyczajny, dla niego będzie w sam raz. Odwróciłem się do Alony.

– Pamiętasz o swojej obietnicy? Dziewczyna błysnęła oczami.

– To raczej diabłu trzeba przypominać o tym, co obiecał.

– Doskonale. W takim razie, bez względu na to, co się tu będzie działo i jak bardzo ci się to nie spodoba, proszę cię, żadnych interwencji, w ogóle się nie pokazuj. Jeśli Alosza zobaczy cię razem ze mną, będzie stracony i już nie zdołamy mu pomóc.

– Aż tak?

– Tak. Będziesz musiała mi zaufać.

– Zaufać diabłu? Jeszcze nie zwariowałam.

– Możliwe. Ale musisz dotrzymać obietnicy. Przecież nie chcesz zostać na drugi rok? Poza tym... Mam jeszcze jeden powód, żeby rozwiązać ten problem. Jednym słowem, jesteście po tej samej stronie.

– Chciałabym w to wierzyć.

– Uwierz. A jeśli nie zdołasz, po prostu pamiętaj o swojej obietnicy. Moje wymagania są proste: nie wtrącaj się, nie ujawniaj. Milcz, patrz i zapamiętuj.

Alona sposepniała, ale skinęła głową. Stałem jeszcze przez chwilę nieruchomo, zbierając siły... Dobrze, zaczynamy przedstawienie! Czemu tak się denerwuję? Im dłużej zwlekam, tym więcej mam wątpliwości... Zdecydowanym krokiem wyszedłem na środek pokoju, popatrzyłem na śpiącego niespokojnie chłopca. Zrzuciłem z siebie iluzję, moje oczy zapłonęły niczym dwa węgle. Alosza poruszył się i otworzył oczy. Nasze spojrzenia spotkały się.

Rozdział 3

Przecie wszystkim musiałem stłumić strach chłopca. Niewiele osób spokojnie zareagowałoby na obecność w ich pokoju nieznanego człowieka... Zdaje się, że Alosza był nawet zaskoczony faktem, że się nie boi. Usiadł na łóżku i popatrzył na mnie, krzywiąc się z bólu.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu. Uśmiechnąłem się.

– A kim chciałbyś, żebym był? Chłopiec stropił się.

– Jesteś złodziejem?

– Ja? Nie. Raczej kupcem. Sprzedaję ludziom rozwiązanie ich problemów, a kupuję to, czego nie potrzebują.

Masz jakieś problemy?

Alosza uśmiechnął się niewesoło.

– Całe moje życie to jeden wielki problem.

– No cóż. – Skinąłem głową. – To też da się załatwić. Jeśli życie staje się problemem, można się od niego uwolnić, definitywnie. Co wolisz? Skoczyć z okna, wpaść pod pociąg? A może truciznę? Kompletnie bezbolesna śmierć.

Chłopiec cofnął się przerażony.

– Chcesz mnie zabić?

– Ja? Oczywiście, że nie! Ja tylko rozwiązuję problemy ludzi. Skarżysz się na swoje życie, więc proponuję kilka sposobów rozwiązania tej kwestii. Chociaż, na twoim miejscu zastanowiłbym się raczej nad rzeczami, które zatruwają ci życie.

– Kim jesteś? Znowu się uśmiechnąłem.

– Nie uwierzysz.

– Powiedz!

– Jestem diabłem.

– Jasne. A ja aniołem.

– No widzisz. Mówiłem, że nie uwierzysz.

– Czego ode mnie chcesz?

– A czego diabeł może chcieć od człowieka? Oczywiście jego duszy. W zamian za nią mogę spełnić każde twoje życzenie. Chcesz pieniędzy? Proszę. – Machnąłem ręką i przed łóżkiem Aloszy wyrosła górnica złotych monet. Czego jak czego, ale tego dobra w piekle nie brakowało. Każdy diabeł mógł spokojnie czerpać złoto z magazynu, zwłaszcza że u nas było ono tyle warte co piasek.

Chłopiec z niedowierzaniem patrzył na pieniądze. Zszedł z łóżka, pomacał je ostrożnie.

– Ja śnię...

– Porozmawiajmy o dzisiejszym incydencie przy kiosku. Wszystko widziałem, to przecież ja przyszedłem ci z pomocą. Potem zresztą też. Kim według ciebie był człowiek, który przyniósł twojemu ojcu pięćset rubli?

– Zerknąłem na Alonę, dziewczyna powoli zaczynała gotować się ze złości, słuchając naszej rozmowy, ale nie wtrącała się i pozostawała niewidzialna. Alosza nagle znieruchomiał.

– A możesz zabić mojego ojca?

– Nie. Nie mam prawa bezpośrednio ingerować w życie ludzi, mogę działać jedynie poprzez nich samych. Jeśli naprawdę chciałbyś to zrobić, mogę cię skontaktować z odpowiednimi ludźmi. Zapłacisz im tym złotem i po kłopotcie. A jeśli szkoda ci forsy, mogę zaproponować truciznę. Gwarantuję, że żadna sekcja nic nie wykryje. Wystarczy, że wlejesz dziesięć kropli do wódki...

Wyjąłem buteleczkę z powietrza. Alosza cofnął się.

– Ja miałbym?...

– No przecież nie ja... Powiedziałem już, że mogę działać jedynie poprzez ludzi. Narzędzie moje, lecz wykonawcą jesteś ty. Widzisz, jakie to proste?

Alosza niepewnie wyciągnął rękę i wziął buteleczkę. Dłoń mu drżała.

– Ale – zacząłem – weź pod uwagę konsekwencje.

– Ja... jakie?

– Jesteś niepełnoletni, więc po śmierci ojca trafisz do internatu. Chciałbyś tego?

– Nienawidzę go...

– Wiem. To właśnie twoja nienawiść mnie tu ściągnęła. O, nienawiść to cały poemat! Jakże ona jest słodka... Jakże to cudowne uczucie, gdy widzisz, jak poniżony wróg wije się u twoich stóp... Czyż nie mam racji?

– Nie... nie wiem...

– Jesteś jeszcze młody, lecz jeśli chcesz, mogę cię niejednego nauczyć. Jeśli masz takie życzenie, nauczę cię nienawidzić naprawdę? A potem zmuszę twojego ojca, żeby przyczołgał się do ciebie na kolanach...

– Nie chcę!

– Dlaczego? Przecież zabił twoją matkę.

– Skąd wiesz?

– Jestem diabłem. Wiem wszystko. Chcesz, to opowiem ci, jak to się stało? Pewnego dnia twój ojciec...

– Nie chcę!

– No widzisz, sam wszystko rozumiesz. Wybaczysz mu to?

Alosza zastanowił się. Ech, młodość, młodość! Jakie to wszystko przewidywalne... Alosza od tak dawna pielęgnował nienawiść... Nic dziwnego, że jego matka nie chce opuścić ziemi. W swojej obecnej postaci świetnie rozumie, czym może się to dla niego skończyć... Czy jego ojciec naprawdę nie widzi, do czego wkrótce doprowadzi? A może nie dostrzega już nic oprócz butelki? Dziwne to wszystko... A swoją drogą, byłem ciekaw, czy chłopiec oprze się pokusie czy nie. A przecież chciałbym, żeby się oparł, strasznie bym chciał... Specjalnie powiedziałem mu, że jestem diabłem! Może przypomni sobie różne stare bajki?

– Nie wyglądasz na diabła – oznajmił niespodziewanie Alosza.

– A wielu diabłów widziałeś?

– Nie... ale i tak nie wyglądasz.

– Jasne – prychnął. „Nie wiem, jak powinno być, ale tak nie powinno”. – A tak?

Przeobraziłem się. Teraz stałem się capem, stojącym na tylnych nogach, z rękami zamiast przednich kopyt. Rogi, wzrost – wszystko jak należy. Ciało pokryte krótką czarną sierścią. Jednym słowem – koszmar. Gdybym spotkał takiego w środku nocy, jakałbym się do końca życia. Ludzie mają zbyt bujną wyobraźnię... Jakim cudem taka poczwara miałaby zdobyć zaufanie człowieka? Chyba musiałby być ślepy jak kret i głuchy jak pień!

– A może tak?

Przybrałem inną postać – teraz byłem wysokim wujaszkiem z kozią bródką i wąską pociągłą twarzą.

– Więc ty naprawdę...

– Naprawdę. Jestem najprawdziwszym diabłem. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?

– Nie wiem.

– W takim razie porozmawiajmy o twoim problemach. Pomyśl: jeśli jestem diabłem, mogę pomóc ci je rozwiązać. Jeśli nie jestem i tak nic nie tracisz. A więc... – Wyjąłem zeszyt, długopis i przygotowałem się do robienia notatek. – Czego być chciał?

– No... – Alosza zamyślił się, marszcząc czoło. Ale z niego dzieciak! Dla niego to tylko zabawa. Za to jego nienawiść jest autentyczna, tu nie mogło być mowy o pomyłce. Prawdziwa mieszanka wybuchowa. – Chcę mieć dużo pieniędzy, samochód...

Zacząłem pisać, a chłopak w miarę dyktowania wyraźnie się rozochocił. Daleko zajdzie... Ciekawe, po co mu parowiec? Żeby pływać po miejscowym strumieniu, omyłkowo nazywanym rzeką?

– To wszystko? – zapytałem, gdy chłopiec umilkł.

– I jeszcze zdalnie sterowany model czołgu, widziałem taki w sklepie...

Zerknąłem na długą listę życzeń, potem na Aloszę.

– A prawdziwego czołgu nie chcesz? Po co się rozdrabniać? Dobra, koniec żartów. Teraz porozmawiajmy poważnie.

– Myślałem, że spełnisz moje życzenia... Westchnąłem i usiadłem obok niego.

– Oczywiście, że mogę spełnić twoje głupie życzenia. Tylko, co z tego? Zastanówmy się nad nimi. Punkt pierwszy: dużo pieniędzy. Nie ma problemu. – Wskazałem na stertę złota. – Mogę sprawić, że co dzień znajdziesz pod łóżkiem złotą monetę. Ale zastanowiłeś się, co z nią zrobisz? Byli już kiedyś milionerzy podziemni, a ty będziesz pierwszym w historii milionerem podłózkowym. Jak masz zamiar wydać te pieniądze? Jak wytłumaczysz ojcu, skąd je masz? Poza tym, duże pieniądze zainteresują władze: dziecko wydaje ogromne sumy, skąd je bierze? Jak to wyjaśnisz?

– No to jeszcze jeden punkt: chroń mnie.

– Nie jestem aniołem stróżem. A twoje pozostałe pragnienia wcale nie są lepsze! Już nie mówię o tym, że jeśli będziesz miał dużo pieniędzy, to wszystkie będziesz mógł spełnić sam, bez mojego udziału.

– Jaki więc z ciebie pożytek? Pieniądzy nie chcesz dać, życzeń nie zamierzasz spełnić...

– Pieniądzy, pieniądze... Naprawdę myślisz, że dadzą ci szczęście?

– Będą mnie szanowali i bali się mnie! Jak wujka Wasilija z trzeciej klatki!

– Wujka Wasilija? – powtórzyłem, szybko zapisując w notesie adres i nazwisko.

„Z jakiego archiwum życzy pan sobie otrzymać wiadomości: z archiwum rajy czy z archiwum piekła?” – pojawiło się pytanie.

„Z obu!” – odpisałem gniewnie i chwilę później pojawiły się dwa teksty. Odpowiedź z rajy została napisana jakimś połyskliwym atramentem, mieniającym się wszystkimi kolorami; odpowiedź z piekła nabazgrano zwykłym czarnym atramentem.

Szybko zrozumiałem, kto i dlaczego szanuje wujka Wasię. Jeśli chodzi o strach to wszystko było jasne – takich jak on trzeba się bać. Tak, czyścem tu nawet nie pachnie... Jasna sprawa.

– Czyli jak wujka Wasię? No cóż, jesteś pewien?

– Tak!

– Chcesz mieć dużo pieniędzy?

– Tak. Wtedy pokażę ojcu...

– Pokażesz, pokażesz. Tylko najpierw sprecyzuj, ile to dla ciebie „dużo”.

– No... dużo. Milion.

– Rubli, lirów, funtów, dolarów?

– Dolarów.

– Doskonale. – Błyskawicznie stworzyłem pergamin z umową. – Przeczytaj i podpisz.

Zaskoczony Alosza wziął pergamin; chciał zapalić światło, ale dokument świecił tak jasno, że można go było czytać w ciemności. Chłopiec przejrzał umowę kilka razy, ale i tak było jasne, że niewiele z niej zrozumiał.

– Podsumujmy... – westchnąłem. – Obiecuję, że w ciągu tygodnia zdobędziesz milion dolarów i to tak, że nie wzbudzi to niczych podejrzeń. Jednocześnie zobowiązuję się chronić cię do czasu wykonania tej umowy. Ty w zamian oddasz mi swoją duszę. Jakies pytania?

– To wszystko brednie – burknął Alosza. – I tak ci nie wierzę. Ktoś sobie robi głupie żarty.

– Dlaczego nie wierzysz? – W milczeniu podałem mu specjalny długopis. Rzecz jasna, opowieści o podpisywaniu krwią to kompletna bzdura, podobnie zresztą jak sama umowa z diabłem. Niewykluczone, że w całej historii piekła byłem pierwszym diabłem, który zawarł umowę z człowiekiem... Ludzkie przesady czasem się przydają... I nikomu nie przyjdzie do głowy, że żaden diabeł nie musi „kupować” ludzkiej duszy. Ludzie sami je nam oddają, za darmo i ze śpiewem na ustach. Ech, święta naiwności...

Alosza podpisał, rzucając mi chmurne spojrzenia. Chyba nie do końca rozumiał, co się dzieje. Chyba myślał, że śpi i to wszystko mu się śni.

Zwinąłem pergamin z umową i nie odwracając się do chłopca plecami, powoli odchodziłem, rozplywając się w powietrzu. To znaczy, on był przekonany, że znikam, a tak naprawdę otaczałem się iluzją, czyniąc ją coraz bardziej nieprzejrzystą.

– Zadowolony?! – zapytała gniewnie Alona, gdy już zamknąłem się przed ziemskim światem.

– A wiesz, że nawet nie?

– Akurat! Zdobyłeś duszę dziecka i miałbyś być niezadowolony?!

– Posłuchaj, nie rób z siebie idiotki. Dobrze wiesz, że w ten sposób nie zdobywa się ludzkich dusz. My, diabły, możemy kusić i sprowadzać na złą drogę, wtedy człowiek trafia do nas. Ale nie sądzisz chyba, że stanie się tak na skutek tego podpisu?

– No to zniszcz umowę.

– Nie mam zamiaru. Ona daje mi władzę nad chłopcem, a to się jeszcze może przydać.

– Ty... ty...

– Ja, ja.

Alona odwróciła się ode mnie i utkwiała wzrok w oknie.

– Chcesz tu sterczeć do rana? – zapytałem. – Może jednak wyjdziemy?

W milczeniu podeszła do drzwi i nagle odwróciła się.

– A co zaplanowałaś w stosunku do ojca? Też umowę?

– Nie rozśmieszaj mnie. Jaką umowę? Co zdaje egzamin w przypadku dziecka, nie sprawdzi się z dorosłym. Po pierwsze, on we mnie nie uwierzy, nawet jeśli przedstawię mu dowody. Po drugie, to by tylko wszystko skomplikowało. Po trzecie, jak zareaguje normalny człowiek na wieść, że zjawił się u niego diabeł, który chce zdobyć jego duszę? Najlepszy sposób pozyskiwania ludzi to przekonać ich, że diabły i anioły nie istnieją! Dobrze, chodźmy stąd. Ech, widzę, że będę musiał ci wszystko wyjaśnić, żebyś przestała patrzeć na mnie wilkiem. Twoja pomoc jeszcze mi się przyda. Alona zastanowiła się, a potem skinęła głową.

– Dobrze, wysłucham cię. Ale powiedz, dokąd się wybierasz w środku nocy? Przecież moglibyśmy tu zostać?

– Owszem, ale mamy do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Musimy się dostać na cmentarz.

– Ze co?!

– Na cmentarz. Trzeba się spotkać z pewną... ee... zjawą. Jedziemy. Dać ci miotłę?

– A co ja jestem, wiedźma, żeby na miotle latać? – zdenerwowała się Alona, ale widząc moją minę umilkła. – Drwisz sobie ze mnie, tak? – zapytała spokojnie. – Żarty sobie urządzasz? Oj, czekaj, doigrasz się!

Do cmentarza dotarliśmy godzinę później. Ech, gdybym miał ogon... Ale nie mam, więc o czym tu gadać. Alona też nie posiadała jeszcze skrzydeł i dlatego musieliśmy lecieć na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Pewnie, że szybciej niż na piechotę, ale wolniej niż z ogonem. Trzasnąłbym tylko i... No dobra, nie ma co. Leciałem, że tak powiem, swoim biegiem, co jest piekielnie męczące. Z tego powodu odmówiłem wyjaśniania czegokolwiek po drodze.

– Obiecałeś! – zaperzyła się Alona.

– Obiecałem, że to zrobię, ale nie sprecyzowałem, kiedy. Przepraszam cię, ale wkrótce twoja niewiedza będzie mi potrzebna; gdybyś знаła mój plan, ciężko by ci było zagrać swoją rolę.

– Ja ci zaraz zagram! Cegłą po głowie!

– O rany – westchnąłem, ale widząc, że Alona faktycznie ma ochotę mnie stuknąć, postanowiłem ją udobruchać. – Wytrzymaj jeszcze trochę. Obiecuję, że niedługo wszystko opowiem. Możesz poczekać do rana?

– Ale tylko do rana!

Wylądowałem przed murem cmentarza i w zadumie podrapałem się po karku. Zerknąłem na odbudowaną świątynię za ogrodzeniem, wyciągnąłem rękę, ale szybko ją cofnąłem. Potem zerknąłem na Alonę, która ze złośliwą satysfakcją obserwowała moje próby. Prychnąłem gniewnie i zacząłem iść wzdłuż płotu. Za nic nie poproszę jej o pomoc! Nigdy!

Kilkaset metrów dalej solidne ogrodzenie z metalowych prętów zastąpił niewysoki murek, który można by spokojnie przeskoczyć – oczywiście gdyby po tamtej stronie nie było cmentarza. Nawet nie tyle chodziło o samą nekropolię, co o cerkiew i jej teren. Na samym cmentarzu dałoby się jeszcze wytrzymać, a tak... Dla diabła przebywanie w takim miejscu to tak, jak dla człowieka prysznic z rozpalonej pary. Zerknąłem na Alonę.

– Może potrzebujesz pomocy? – spytała słodkim głosem.

Aż mnie szarpnęło. Oo, czekaj, już ja ci to przypomnę!

– A jak sądzisz? – warknąłem.

– Ciekawe, o czym myślałeś, kiedy ciągnąłeś nas tutaj?

Dobre pytanie... Znowu spojrzałem za murek. Nawet jak zaczę się drzeć, zjawia i tak mnie nie usłyszysz... Muszę iść do grobu...

– Masz mi obiecać, że jak ci pomogę, to wszystko opowiesz – zażądała Alona. – I zwolnisz mnie z mojej obietnicy!

No, no, szybko się uczy, daleko zajdzie... Jeszcze tydzień i zrobię z niej wzorcowego diabła. Zerknąłem na nią i westchnąłem ciężko. Albo ona zrobi ze mnie anioła... Przecież jeśli wytrzymam z nią tydzień, ani chybi obwołają mnie świętym!

– Obiecuję, że wszystko wyjaśnię, ale nie zwolnię z danego słowa. Może być?

– Nie!

– No to wracamy. Szkoda... To był najprostszy sposób, żeby pomóc chłopcu...

Odwróciłem się i zacząłem iść z powrotem wzdłuż ogrodzenia. Kątem oka zerkałem na Alonę. Nie, jednak do diabła jeszcze jej daleko... Kompletnie nie rozumie, co to takiego bief.

– Dobrze! – krzyknęła za mną. – Zgadza się! Zawróciłem.

– W takim razie do dzieła!

Dziewczyna popatrzyła na moją rozpromienioną twarz i skonstatowała ze smutkiem:

– I znowu mnie nabrał...

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, podchodząc do ogrodzenia.

– No?

Alona westchnęła i stanęła obok mnie.

– Dawaj rękę. Ale ja ci to jeszcze przypomnę!

Wzięliśmy się za ręce i przez minutę staliśmy nieruchomo. Z rzadka zerkałem w stronę anielicy i widziałem, jak złociste lśnienie wokół niej rozpala się coraz mocniej. Gdy objęło również mnie, zrobiło się mało przyjemnie. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby tylko zechciała, mogłaby sprawić, że momentalnie wyparuję. Zniknę! Żaden diabeł nie wytrzyma lśnienia anioła. Wzdrygnąłem się, bo mróz przeszył mnie do szpiku kości. Teraz moje życie znajdowało się w jej rękach – i to dosłownie.

Alona wyczuła mój strach i zrobiła złowieszczą minę. Chciałem się uśmiechnąć, pokazać, że nie czuję strachu, ale raczej kiepsko mi wyszło. Bałem się – i to jeszcze jak.

– Idziemy.

Znowu się wzdrygnąłem, ale wzięłem się w garść, zrobiłem krok do przodu. Przeszliśmy przez ogrodzenie. Wsłuchałem się w swoje wrażenia – chyba nic strasznego się nie dzieje... Żyje. I całkiem nieźle się czuję.

– To teraz możesz już puścić moją rękę – powiedziała cicho Alona.

Spojrzałem w dół... O wielki Gorujanie, jak ona to wytrzymała?! Ze strachu ścisnąłem rękę dziewczyny tak mocno, że chyba połamałem jej wszystkie kości! Puściłem szybko. Alona powoli podniosła dłoń do piersi i przycisnęła ją drugą. Uśmiechnęła się krótko.

– Ale masz siłę.

– Mogłaś krzyknąć... – zauważyłem przeproszająco. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek poczuje się naprawdę winny.

– Nie mogłam. Wtedy nie zdołałabym cię ostonić i zginałbyś.

Ha... Spojrzałem na jej dłoń – czerwoną i spuchniętą. O, teraz przydałby się tu wujek z jego umiejętnością leczenia... Załatwiłby to w ciągu sekundy. Dlaczego ja tak nie umiem?!

– Przepraszam...

– Mam tylko nadzieję, że nie na darmo tak cierpiałam – mruknęła.

No cóż, po tym wszystkim byłbym ostatnim podlecem, gdybym ją oszukał. Gorzej nawet – postąpiłbym

jak człowiek. Jednak zamiast odpowiedzi tylko skinąłem głową, a potem odwróciłem się i zdecydowanym krokiem ruszyłem między grobami, zerkając na napisy. Alona szła za mną.

Pogoda była cudowna. Ciepła letnia noc, gwiazdy... Romantyka, psiakrew. No i jeszcze różne zjawy. Odwróciłem się powoli w stronę jednej z nich, wysuwającej się właśnie z nagrobka.

– Człowieku! – zajęczała zjawa. – Zabiorę cię ze sobą!

Zjawa mówiła w języku międzyświatowym, więc rozumiałem ją bez trudu, jednak dla ludzi brzmiało to jak jęki i to na dość nieprzyjemnej częstotliwości. To właśnie budziło ich strach, nie mówiąc już o lęku przed zjawami w ogóle. Nawet najodważniejszy człowiek osiwiaby z przerażenia. W dodatku... Przyjrzałem się uważniej... No tak, przecież to wampir energetyczny! Milutko. Jasne jak słońce, że jego miejsce jest w piekle. Tylko że nie chciał tam iść i teraz się włóczy tutaj, ludzi straszy. Na dodatek nie tylko straszy, ale jeszcze wypija energię!

– Z tobą, to znaczy dokąd? – zapytałem uprzejmie. Alona stanęła obok mnie i z zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie.

– Do grobu! – uściśliła zjawa. Westchnąłem. Ale tępy... Jeszcze nie rozumiał, na kogo trafił.

– Nie – pokręciłem głową. – Nie chcę. To już lepiej ja zabiorę cię ze sobą.

– A dokąd? – zdumiała się zjawa. Podniosłem rękę i tknąłem w zjawę palcem wskazującym.

– Nie znudziły ci się te spacerki? Chyba w końcu zrozumiała.

– Nie! Nie chcę! Nie zasłużyłem!

– O tym to nie ja będę decydować – odparłem z udawanym smutkiem. – Poza tym, skoro narobiłeś podłości za życia, miej przynajmniej odwagę odpowiedzieć za nie po śmierci! Do piekła, kochaniutki, do piekła.

– Nie zasłużyłem! – wyła zjawa, szamocząc się w niewidzialnych pętach.

Aha, uważaj, już cię puszczam.

– Dobrze, przyjmujemy apelację. – Jedną ręką wyjąłem notes, przykucnąłem i położyłem go na ziemi. Było mi niewygodnie, ale nie mogłem puścić zjawy nawet na chwilę, od razu by zwiłała. Napisałem pytanie, wstałem i popatrzyłem na otrzymaną odpowiedź.

– No cóż, bardzo mi miło, Piotrze Wasiljewiczu. Zdaje się, że był pan naczelnikiem ZEK-a? Drobnym urzędnikiem, od którego zależało wielu ludzi. Już wtedy wampir. I już wtedy sprawiało panu przyjemność cierpienie ludzi, którzy zwracali się do pana o pomoc. Odmawiał pan, nawet jeśli nie miał pan prawa tego robić. Nie było najmniejszej potrzeby niszczyć tych petentów... Hm, nawet nie starczyło panu śmiałości na jakieś spektakularne przestępstwo... Drobne łapówki i wielu zniszczonych ludzi. Dziwne hobby... Okazuje się, że jest pan sadystą, dziadku! Cóż, teraz podobne hobby będą mieli inni. Do piekła, dziadku, do piekła!

– Nie chcę! Ja już nie będę! Proszę dać mi szansę! Błagam!

Splunąłem.

– Poszedł won, durniu.

Pojawiło się niewielkie tornado, pochwytiło zjawę i po chwili zniknęło.

– Co za głupota – burknąłem do Alony. – Facet ma osiemdziesiąt lat czasu za życia, żeby zrobić choć jeden dobry uczynek; nie robi nic, a teraz „dajcie mi szansę, więcej nie będę”. Słowo daję, jak małe dziecko.

Alona nic nie powiedziała. Oczywiście, żal jej było zjawy, ale też rozumiała, że facet zasłużył na piekło i że ona nie ma nad nim żadnej władzy. Dlatego ograniczyła się do skinienia głową. Zerknąłem na jej rękę, którą nadal przyciskała do piersi. Opuchlizna chyba się zmniejszyła... Czym prędzej odwróciłem wzrok. Widok jej ręki powodował wyrzuty sumienia, a sumienie u diabła to jak dwóch ministrów w jednym tramwaju.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na księżyc. No więc, śmierć Nienaszewej nastąpiła... Datę urodzenia pomnożyć przez numer jej znaku, podzielić przez liczbę miesięcy w roku... współczynnik Brooksa... Odwróciłem się na północny zachód. Chyba tam. A jeśli się mylę? Będziemy całą noc biegać po cmentarzu w poszukiwaniu grobu? Otworzyłem notes, szybko zapisałem pytanie. Współczynniki współczynnikami, ale ten sposób jest pewniejszy. Otrzymałem odpowiedź i poszedłem na północ. Przynajmniej wszystko jasne, a nie jakieś tam pomnożyć, podzielić, odjąć...

– Alona, zniknij.

– Słucham? – spieszyła się anielica.

– No, zamaskuj się.

– Myślisz, że wtedy zjawa mnie nie zobaczy?

– Będzie wiedziała, że ktoś tu jest, ale nie dowie się, kto: anioł czy diabeł.

Wzruszyła ramionami.

– Jak sobie chcesz...

Stworzyła iluzję, może nie idealną, ale przynajmniej nie było jej widać. Podeszedłem do mogiły. Skromny standardowy nagrobek i tabliczka z datą narodzin i śmierci. Zastukałem w tabliczkę.

– Obywatelko Nienaszewa, ma pani gości.

– To ty? – Pojawiła się znajoma dusza.

– To ty – przyznałem. – To znaczy, tfu, to ja. Chciałem powiedzieć, że teraz nie musi się już pani o nic martwić. Zatroszczyłem się o pani syna, wszystko jest w porządku. Może pani spokojnie iść do rajku.

– Zatroszczyłeś się? – spytała nieufnie zjawa.

– Tak. Spytałem, czego by chciał, a on powiedział, że chce milion, więc obiecałem, że dostanie. W ciągu tygodnia dam mu milion i wszystko będzie w porządku. Chłopiec jest szczęśliwy... Przy okazji, mogę spełnić również pani życzenie: sprawić, że pani mąż przestanie pić.

– Idiota!!! – Od wrzasku zjawy zatkało mi uszy. – Coś ty narobił! Nie chcę, żeby mój syn do was trafił!

– O, w takim razie należało jeszcze za życia nauczyć go odróżniać dobro od zła – burknąłem gniewnie. – Czyja to wina, że w wieku dwunastu lat nie rozróżnia tych pojęć? Może moja? Tak, diabły są złe i podłe, zwalcie wszystko na nas! Ludzie są niewinni! Ukradł? Diabeł go podkusił! Napadł? Diabeł winien! Łapówkę wziął? Diabli nadali! Tak, diabeł nie ma nic innego do roboty, jak stać za łapówkarzem i szeptać: „No weź, kochanieńki, weź... Co ci szkodzi, bierz, jak dają!”.

Zjawa przestała zawodzić i popatrzyła na mnie ciężkim wzrokiem.

– Więc jestem winna, tak?

– Madame, ja nie proponowałem pani synowi pieniędzy; ja tylko spytałem, czego mu trzeba do szczęścia, a on wybrał pieniądze. Powiedział, że bogaczy ludzie się boją i że ich szanują. Jeśli chce, zrobię tak, żeby się go bali i żeby go szanowali. Ja nie wymyślam pragnień, tylko je spełniam.

– Ale on jest jeszcze mały i głupi! Nie rozumie! Czarcie, zlituj się nad nim! Proszę cię! Jeśli chcesz, weź w zamian moją duszę! Wypuść mojego synka!

Przechyliłem głowę i popatrzyłem na klęczące przede mną widmo.

– Aż tak? Kusząca zamiana. A wiesz dlaczego, kobieto? Dlatego, że twój syn i tak do nas trafi. Nawet, jeśli zostawię go w spokoju. Nie nauczyłaś go żyć... Ale ja się nie zgadzam.

– Nie masz duszy!

– Oczywiście, że nie, dusza to przywilej ludzi. Ale nie zgadzam się na tę zamianę nie dlatego, że nie mam duszy, lecz dlatego, że podpisałem umowę. Dałem słowo i nie mogę go złamać. Jest tylko jedna możliwość – Alosza musi sam z niej zrezygnować. Ale gdyby umowę ze mną można było tak łatwo rozwiązać, to nie byłbym diabłem, tylko frajerem. On nie tylko musi zrezygnować, ale powinien także mnie pokonać i to nie w walce, lecz w swojej duszy. Rozumie pani?

– Ale co ja mogę? Jestem zjawą!

– Zgadza się, nic pani nie może. Dam jednak pani szansę. Jedną. I jeśli pani przegra, to obie dusze, pani i syna, będą należeć do mnie. A jeśli pani zwycięży... Zresztą, to akurat oczywiste.

– Co mam zrobić, diable? Jestem gotowa na wszystko!

– Proszę nie mówić takich rzeczy... Co ma pani zrobić? Pomóc swojemu synowi oczywiście.

– Ale jak?! Przecież jestem tylko zjawą! On mnie nie widzi i nie słyszy! Byłam w domu po śmierci, siedziałam obok niego, wołałam go, krzyczałam! Diable, zlituj się nade mną!

– Jedyne, co mogę zrobić, to pozwolić pani opuszczać cmentarz wedle woli, a dalej to już wszystko zależy od pani. Jeśli darzy pani syna miłością, znajdzie się jakiś sposób. Umowa została zawarta! – wygłosiłem, odwróciłem się i skierowałem do wyjścia. Przy mogile została klęcząca zjawa.

Alona podeszła do mnie już poza granicami cmentarza. Oczy jej płonęły takim gniewem, że aż mi się gorąco zrobiło. Rozgniewany anioł to straszna rzecz.

– Lepiej szybko mi wyjaśnij, co wymyśliłeś. – Jej spokojny ton w połączeniu z morderczym spojrzeniem budził niepokój. – Lubisz sprawiać ludziom ból?! Co to za gierki?!

– Ból? A nie przyszło ci do głowy, że ludzie poznają świat poprzez ból? Jak inaczej miałem skłonić matkę, żeby pospieszyła dziecku na pomoc?

– A jak ona może mu pomóc?

– Ty będziesz dla niej wsparciem.

– Ja? – Alona była tak zdumiona, że zapomniała o gniewie.

– Oczywiście! W końcu jesteś aniołem, nie? Jak myślisz, dlaczego kazałem ci się schować? Żeby nie widziała nas razem! Ja jestem diabłem, ty aniołem. Rozumiesz?

Alona patrzyła na mnie w milczeniu, a potem otworzyła szeroko oczy.

– Och ty... Od początku to wymyśliłeś, sukinsynu!

– Anioły nie przeklinają – zwróciłem uwagę, w duchu zachwycając się jej swobodą bluźnienia. Zwykle trzeba się bardzo namęczyć, żeby skłonić skrzydlatego do wymówienia choćby jednego brzydkiego wyrazu.

A gdy anioł w końcu je wypowie, robi to w taki sposób, jakby żuł rozżarzony węgiel.

Alona w dość wyszukany sposób posłała mnie wraz z najbliższą rodziną w daleką podróż z komentarzem, żebym nie przyczepiał się do niej z różnymi idiotycznymi uwagami.

– Mam ich dosyć w szkole – wyjaśniła. Skinałem głową.

– Zakarbowałem to sobie. Jednak ośmielę się zauważyć, że moja babcia mieszka pod zupełnie innym adresem niż ten, który byłaś uprzejma podać.

Alona parsknęła.

– Jak nie przestaniesz żartować i nie powiesz, co wymyśliłeś, to pod tym adresem będziesz mieszkał ty! Jasne?!

– Dobrze. To na co czekasz? Popatrzyła na mnie zdumiona.

– Jesteś aniołem czy nie? – spytałem zirytowany. – Właśnie dałem ci bezpośrednią możliwość wtrącenia się do mojej umowy ze zjawą. Nie rozumiesz?!

Alona pokręciła głową.

– Czy wszystkie anioły są takie tępe? – zapytałem uprzejmie.

Dziewczyna spojrzała na mnie gniewnie i zerknęła na suchą pałkę leżącą nieopodal ogrodzenia. Uznałem, że lepiej będzie nie rozwijać tematu inteligencji aniołów. Dlaczego wujek nie znalazł mi jakiejś pilnej anielskiej uczennicy, która nie przeklina, nie bije się i nie zerka w taki sposób na różne ciężkie przedmioty? To przecież jakaś chuliganka! Zupełnie nieprawidłowy anioł!

– Przed chwilą rozmawiałem ze zjawą. Zawarłem z nią umowę, tym samym pozwalając wtrącić się aniołom. Rozumiesz? Więc teraz pójdziesz do Zoi Nienaszewej i wyjaśnisz, że jesteś aniołem i masz jej pomoc. Jasne? No co, nie znajdziesz właściwych słów?!

– Mogłeś od razu powiedzieć... – prychnęła Alona. – Ale jak mogę jej pomóc?

– Nie wiesz, jak anioły pomagają?! Czy ty w ogóle chodziłaś na jakieś lekcje?

Alona ściągnęła brwi.

– Dobra, porozmawiam z nią, uspokoję... Ale będę cię miała na oku.

Demonstracyjnie usiadłem przy ogrodzeniu i skrzyżowałem nogi. Popatrzyłem w niebo, na księżyc.

– Chciałem tylko zauważyć – powiedziałem – że rano mamy być w domu Aloszki. Jeśli nie wrócisz za godzinę, ruszam bez ciebie i wtedy nie będziesz mogła mieć mnie na oku.

Alona mruknęła coś i zniknęła za ogrodzeniem. Czekałem. Godzina minęła szybko, a anioła nie było. Odczekałem jeszcze pół godziny – to samo. Powoli zaczął mnie trafiać szlag. Przecież jej mówiłem! Podszedłem do ogrodzenia i spróbowałem przejść na drugą stronę. Tym razem jednak nikt mnie nie chronił – zasyczałem z bólu i czym prędzej cofnąłem się, pocierając oparzoną rękę. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła ósma rano. W porządku, jeśli za piętnaście minut...

Anielica wypląnęła zza ogrodzenia, w zadumie oglądając swoje dzinsy i bluzkę. Popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Wiesz co? Okazało się, że w tym ubraniu zupełnie mi nie do twarzy...

Właśnie otworzyłem usta, żeby obrugać nieznośną dziewczynę, ale opadła mi szczeka. Pozbierałem ją z ziemi i spytałem oszołomiony:

– Że co?!

– Mówię, że w tym ubraniu mi nie do twarzy. Zojeczka powiedziała, że to dobre dla oberwańca, a dziewczyna nie powinna się tak nosić. Widzisz, ona uważa, że chłopcom bardziej podobają się takie dziewczynki, którymi mogą się zaopiekować.

Powoli usiadłem na ziemi i popatrzyłem na nią jak na ducha.

– Przepraszam, czy wyście tam gadały o ciuchach?

Alona nabzdyczyła się.

– A co cię to obchodzi? Mówiliśmy o różnych rzeczach. Poza tym, to niegrzecznie wypytywać kogoś o poufną rozmowę!

Trzymajcie mnie! Czy ja ją wypytuje?! Czy zadałem choć jedno pytanie?! Gdy znów spojrzałem na Alonę, aż mnie zatkało. Wyglądała zupełnie inaczej... Zamiast wytartych dzinsów błękitna spódniczka do kolan, białe skarpetki, sandały i jasna bluzka z jakąś obwódką... Alona obracała się w zadumie, przeglądając się w lustrze, które wisiało przed nią w powietrzu. Potem podniosła rękę do włosów i rozpuściła je – spłynęły swobodnie na ramiona. Już chciałem się oburzyć, ale zamarłem. Alona jakoś tak się zmieniła... Niby nic, ale... Stałem tak z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, nic nie mówiąc. Kurczę, jaka ona łacina! Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć?! Gdzie ja miałem oczy?!

Potrząsałem głową, pstryknięciem palców rozwiałem lustro. Alona odwróciła się do mnie z gniewną miną, a ja wskazałem na słońce.

– Czas! Już późno! Nie ma czasu na głupstwa!

– Twoim zdaniem ładny wygląd to głupstwo? – oburzyła się Alona.

Rozsądnie nie odpowiedziałem.

– Mamy pomóc dziecku i jego ojcu, pamiętasz? To od razu ściągnęło ją na ziemię. Z westchnieniem przywróciła sobie poprzedni wygląd i zebrała włosy w kucyk. Westchnąłem z żalem. W tamtym stroju podobała mi się o wiele bardziej... Niespodziewanie odwróciła się do mnie i uśmiechnęła promiennie.

– Dziękuję, diable – powiedziała nagle. A potem wzbijała się w powietrze i poleciała w stronę miasta.

Stałem na ziemi, patrząc na nią.

– Proszę – odparłem stropiony. – Tylko za co? – Potrząsałem głową. – Kobiety! – burknąłem pogardliwie, a potem uniosłem się w górę i zacząłem doganiać tego... aniołeczka. No, przy niej to ja na pewno świętym zostanę...

Rozdział 4

Latem ludzie wstają wcześniej, więc o dziewiątej po podwórku kręciło się sporo ludzi, nawet dzieci, które przecież miały wakacje i mogły spać do woli. Aloszy nie było, co mnie ucieszyło – to znaczy, że się nie spóźniliśmy. Niezbyt uprzejmie wzięłam Alonę za łokieć i pociągnęłam do ławki w cieniu ogromnego drzewa, które rosło niemal na środku podwórka i w którym ukryłem swoje rzeczy. Usiedliśmy. Alona mruczała coś o „niewychowanych indywiduach”, a ja obrzuciłem podwórko szybkim spojrzeniem. Potem odwróciłem się do anioła.

– No to mów, jak było? O czym rozmawiałaś z tą zjawą?

– Nazywanie tak miłej osoby zjawą jest szczytem braku wychowania!

Wywróciłem oczami i policzyłem w myślach do dziesięciu.

– O czym rozmawiałaś z przemiłą osobą Zoją Nienaszewa? – zapytałem cierpliwie.

– Wiadomo, o czym, o jej synu. Ucieszyła się, gdy powiedziałam, że jestem aniołem. Obiecałam, że jej pomogę i ochronię ją i chłopaka przed złym diabłem.

Skrzywiłem się. No nie! I to ja mam być tym złym diabłem! Właśnie ja!

– Bardzo mi miło. Alona zerknęła na moją obrażoną minę i zacukała się.

– Eżergil, no przepraszam... Nie chciałam cię urazić. Jakoś tak samo wyszło...

– Samo ci wyszło obrażanie mnie?

– Ee... nie. Musiałam jej przecież coś powiedzieć! No i sobie pogadałyśmy. I już.

– Jak to już? I tylko o tym gadałyście przez dwie godziny?

– Dlaczego tylko? – zdumiała się Alona. – Widzisz, Zojeczka za życia była projektantem mody. Powiedziała, że nie może patrzeć na mój niegustowny strój.

– Dwie godziny gadałyście o szmatkach?!

– Wcale nie dwie – obruszyła się Alona. – Zoja powiedziała, że diabłu można wybaczyć brak dobrego smaku, ale tobie, mówi, to znaczy mnie, potrzebny jest zupełnie inny strój. I opisała, jak sobie go wyobraża. Widziałeś zresztą, bo przed cmentarzem ubrałam się dokładnie tak, jak ona powiedziała.

– Kobiety! – zwróciłem się patetycznie do niebios, a potem ukradkiem obejrzałem swoje ubranie. Co by nie mówić, właściwy image to dla diabła ważna rzecz i należało wziąć pod uwagę słowa specjalisty... A potem spojrzałem na wejście do bloku.

– Ha! – złapałam Alonę za rękę, aż krzyknęła – zupełnie zapomniałem o jej dłoni! – Przepraszam bardzo! Ale popatrz na klatkę! Widzisz tego kolesia obok klombu z kwiatami?

– Tę uszatą beczułkę?

Uśmiechnąłem się pod nosem. Szkoda, że Ksefon tego nie słyszy.

– Tak jest. Wiesz, kto to jest?

– Pojęcia nie mam.

– To Ksefon, mój kolega z klasy.

– Nie rozumiem. Co to ma być, ziemską wycieczką dla diabłów?

– On ma tu do wykonania swoje zadanie, odwrotne do mojego.

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie.

– Nie wydaje ci się, że najwyższy czas wszystko wyjaśnić? Jak się w to wpakowałeś?

– No przecież ci mówiłem, dzięki wujkowi. – Zerknąłem na drzwi klatki, ale Aloszy ciągle nie było, potem spojrzałem na ciągle czerwoną rękę Alony i znowu poczułem wyrzuty sumienia. I właśnie dlatego nie mogłem jej odmówić.

Alona wysłuchiwała mnie uważnie.

– No, to teraz jestem spokojniejsza – skomentowała. – Faktycznie jesteś po mojej stronie. Zamiast gadać o wujku aniele trzeba było od razu powiedzieć o tych pieniądzach, które wygrasz w razie zwycięstwa.

– Zrobiłbym to nawet bez pieniędzy – obraziłem się. – Nie chcę zostać na drugi rok.

– Jasne... I ludziom też pomagasz zupełnie bezinteresownie.

– O, już byś lepiej nic nie mówiła – burknąłem. – Myślałby kto, że ty nie robisz tego dla zaliczenia praktyki!

Alona stropiła się, ale tylko na chwilę.

– No i co? Ja przynajmniej jestem szczerą. Poza tym, nawet jeśli by mi ktoś powiedział, że dostanę zaliczenie bez wysiłku, za nic, to i tak nie zostawiłabym tej sprawy.

– Ja też nie.

– Kłamiesz!

– Wcale nie. Alona, chcę zwyciężyć, ale nie chcę kraść zwycięstwa. To Gra, rozumiesz? Im więcej przeszkód napotkam na drodze, tym słodszy będzie triumf. Dla mnie to Gra! Rozwiązać trudne zadanie, zwyciężyć to... to rozkosz! Radość! Nie wyobrażam sobie życia bez twórczości, bez myślenia, bez pokonywania różnych przeszkód. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym żyć bez tego wszystkiego!

– Jesteś maniakiem, wiesz? – zauważyła Alona, przyglądając mi się.

Urwałem i popatrzyłem na nią uważnie.

– Możliwe. Przepraszam, poniosło mnie.

– Dobrze... A co zrobimy z tym twoim Ksefonem? Nakładziemy mu po karku?

– Słuchaj, masz absolutną pewność, że jesteś aniołem, a nie diabłem? Nie, nakładzenie mu po karku byłoby zbyt proste... Widzisz, dla mnie kwintesencją działania jest myślenie. Dzień, w którym zostanę zmuszony rozwiązać jakiś problem przy pomocy pięści, będzie najbardziej nieszczęśliwym dniem w moim życiu. Przemoc zostawmy umięśnionym kretynom z kurzym mózgiem, takim jak Ksefon, a ja... – Uśmiechnąłem się drapieżnie. – Ja sprawię, że Ksefon będzie nam pomagał. Alona wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Pomagał?!

– Tak! To znacznie ciekawsze, niż tylko dać mu po łbie. Zastanów się. Co ja teraz rzekomo robię? Poluje na duszę chłopca i jego matki. Ksefon nie wie, jak dokładnie brzmi moje zadanie, ale ma przeszkadzać. To co powinien zrobić?

Alona przez chwilę patrzyła to na mnie, to na Ksefona, który schował się w krzakach. Pewnie myślał, że go nie widzę... Cóż, skoro już nas podgląda, to przynajmniej zadbajmy o to, żeby nic nie słyszał... .

– Spróbuj przeszkodzić tobie i pomóc im – odparła Alona.

– No i czy to nie jest zabawne? – uśmiechnąłem się. – Mój wróg będzie pracował dla mnie, pomagając mi!

Alona spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu.

– Jesteś niebezpieczny, wiesz?

– I to jeszcze jak – skinałem głową. – Uwaga, oto i nasz klient. Wiesz, co masz zrobić?

– Nie jestem głupia.

– Udowodnij to. Znajdź i sprawdź odpowiedniego człowieka.

Alona rzuciła mi gniewne spojrzenie i zniknęła za iluzją, a ja ruszyłem w stronę wychodzącego na podwórkę Aloszy. Miał ponurą minę, przecierał oczy z resztek snu, jednocześnie rozglądając się czujnie. Odczekałem chwilę, a potem podszedłem do niego, udając, że nie widzę kryjącego się w krzakach Ksefona.

– Cześć. Szukasz kogoś?

Alosza aż podskoczył, a potem przez kilka chwil gapił się na mnie osłupiały.

– Myślałem, że to był sen... .

– Myślałeś, czy miałeś nadzieję? – Uśmiechnąłem się, wyjmując z kieszeni zwiniętą w rulon umowę. Kątem oka obserwowałem Ksefona, czy aby na pewno wszystko dobrze słyszy. – Pamiętasz? Dałeś mi swoją duszę w zamian za milion dolarów. Nie rozmyśliłeś się?

Chłopiec spuścił oczy.

– Nie.

– W takim razie do dzieła. – Wziąłem go za łokieć i pociągnąłem do wyjścia z podwórka. Za nami skradał się Ksefon, Alona szła za nim. I taką kawalkadą opuściliśmy podwórkę.

– Ojciec zabronił mi oddalać się od domu – zauważył nieśmiało Alosza.

Uśmiechnąłem się.

– Ach, przepraszam, przecież wczoraj wpadłeś na kradzieży tuż obok własnego bloku... .

Alosza zwiesił głowę. Widać było, że to, co się dzieje, jest dla niego zupełnie niezrozumiałe. A co najważniejsze, nie wiedział, czego ma się spodziewać.

– Powiniennem... .

– Teraz też powinienes. A może myślisz, że da się zarobić milion, nie wychodząc z domu? Naprzód! Czekają nas wielkie czyny!

Nie puszczać ręki chłopca, zdecydowanie wyszedłem na ulicę. Alosza włókł się obok mnie, a ja rozglądałem się na boki.

– Patrz – powiedziałem, wskazując budynek, który właśnie mijaliśmy. – Wiesz, że ten dom wybudowano w osiemnastym wieku? Kiedyś żył w nim bogaty kupiec, miał dużo pieniędzy i może nawet był szczęśliwy. Widzisz, jaki piękny i solidny dom? Minęło dwieście lat, a dom nadal stoi. Ale czy ktoś pamięta tego kupca? Nikt! Ludzie dążą do bogactwa, nie rozumiejąc, że na tym świecie wszystko przemija. Ważne jest tylko to, co zdobywasz dla siebie – dla swojej duszy.

Alosza posepniał z każdą chwilą, ale nie przerywał mi.

– A tu mamy cerkiew. Co za majestat! Powstała później niż dom tego kupca. Jak sam rozumiesz, w charakterze muzeum podobała mi się znacznie bardziej. Dlaczego znowu oddali ją popom? Co za bajzel! To robią dobry uczynek i przemieniają świątynie w magazyny, to oddają je komu nie trzeba... . Myślą, że uda im się wymazać grzechy... . Śmieszne, doprawdy. Bogaci stawiają świeczki... . Zupełnie jakby On był księgowym i liczył, ile ludzie wydali na przebłaganie swoich grzechów. Wybacz, ale nie wejść do środka... . Aha, oto i ci, których szukamy.

Alosza spojrział i skulił się – z naprzeciwka szło towarzystwo, które wczoraj okradło kiosk, brakowało tylko najmłodszego. Małoletnia chuliganeria i osiemnastoletni próżniak. Przywódca! Dobry mołojec wśród owiec! Zatrzymałem się i czekałem na nich. Alosza chciał uciec, ale mocno trzymałem go za rękę. W końcu grupa podeszła do nas; dwóch stanęło z boku, jeden z tyłu, mołojec przed nami. Na mnie demonstracyjnie nie patrzył, za to przyglądał się Aloszce, a chłopiec drżał pod jego spojrzeniem.

– Coś ty naknocił, szczeniaku? – wycedził przez zęby. – Co miałeś zrobić? Uciekać z towarem, nie? Wiesz, ile jesteś nam teraz krewny? Zora, ile były warte te fanty?

– Najmarniej z dziesięć tysięcy – odparł szybko jasnowłosy pętał.

Oho, ho! Dziesięć tysięcy! Długopisy, flamastry, teczki i zeszyty, faktycznie kupa forsy! Nie było tam nawet tysiąca, ale za to jaka teraz akcja! Normalnie, ojciec chrzestny! Mamy takiego jednego w piekle, ciągle się drze, że jest chrzestnym jakiegoś ojca i że wszystkim pokaże, jak tylko przyjdą jego chłopcy. A chłopcy już dawno siedzą w sąsiednich kotłach... Dobra, znowu się bawię w dygresje...

Alosza zerknął na mnie z nadzieją, ale ja milczałem. Chłopiec westchnął ciężko.

– Nie mam tyle – powiedział bezradnie. – Ale dajcie mi tydzień. Za tydzień wszystko oddam, obiecuję...

Cmoknąłem zirytowany i gestem zatrzymałem czas – wszyscy znieruchomieli. Odwróciłem się do Aloszy, popatrzyłem na niego pogardliwie.

– Co ty robisz?

– A co? – zapytał przestraszony chłopiec, zerkając na zastygłych ludzi i wiszącego w powietrzu ptaka. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, z kim się związał. Przełknął ślinę i spuścił oczy. – Przecież ty... przecież obiecał mi pan, że za tydzień będę miał milion...

Westchnąłem.

– „Chcę być bogaty, chcę, żeby wszyscy się mnie bali i mnie szanowali” – przedrzeźniłem go. – Naprawdę myślisz, że zyskasz szacunek, jak będziesz rozdawał drobniaki różnym ćwokom?

– To co ja mam robić?

– Taak – powiedziałem przeciągle, patrząc na niego ze znużeniem. – I po co mi to było?... Dobrze, słuchaj uważnie. Po pierwsze, przestaniesz się bać. Przestaniesz się bać, mówię, a nie będziesz drżał jak osinowy liść! Przestaniesz się bać i powiesz tym gościom, że nie jesteś im nic winien i że to oni są coś winni tobie. Powiesz, że z dobrego serca możesz im odpalić pewną sumę, jeśli będą cię słuchać.

– Ale...

– Dobra, zrobimy inaczej. – Wyjąłem umowę, przyłożyłem dłoń do podpisu Aloszy i zacząłem szeptać. Alosza patrzył na mnie przerażony, czując, że jego ciało przestaje go słuchać...

Jeszcze chwila i czas znów zaczął płynąć, a ja osłoniłem się iluzją. Alosza został sam, pod moją całkowitą kontrolą.

– Ej, a gdzie się podział ten leszcz, który był z tobą? – spytał szesnastoletni chłopak.

Leszcz? Uśmiechnąłem się. Zapamiętam ci to, koleś. Ale teraz musiałem się skupić na ważniejszych sprawach.

– A co za różnica?! – warknął przywódca. Podszedł do Aloszy, chwycił go za kołnierz i potrząsnął.

Jak będzie, gnojku, oddajesz forszę?

Rozejrzałem się. Nieliczni przechodnie pospiesznie nas omijali. Niektórzy podejrzliwie zerkali na całe towarzystwo, mamrocząc pod nosem „chuligani”. Jacy mili ludzie i jaka żelazna logika. Skoro to są chuligani, jak nazwać tych obojętnych przechodniów? Przecież widzą, że banda wyrostków pastwi się nad dzieckiem, a mimo to idą dalej, nie reagując. No cóż, pewnie są to tak zwani porządni ludzie...

– Foraszę? – powiedział drwiąco Alosza. Widziałem przerażenie w jego oczach, gdy jego usta zaczęły wymawiać słowa wbrew jego woli. – Te grosze z kiosku nazywacie forszą? Nie wytrzymam! Dziesięć tysięcy to dla was szczyt marzeń? Dobra, skoro jesteście aż tak biedni, to dam wam napiwek.

– Odbiło ci? – zapytał osłupiały przywódca.

– No co, chłopiec dobrze mówi – powiedziałem drwiąco, wyłaniając się zza iluzji. – To po prostu śmieszne. Przy okazji, nie ruszajcie go więcej.

– A ty coś za jeden? – Przywódca odwrócił się do mnie.

– Ja? Ja jestem Graczem. Taak... – powiedziałem przeciągle. – To imię bardzo mi się podoba. Możesz nazywać mnie Graczem.

Przywódca roześmiał się.

– Wiesz co, graczu? Zjeżdżaj stąd.

– Nie rozumiesz? Powiedziałem, żebyś nie ruszał tego chłopca. To mój uczeń.

– Uczeń? – Przywódca wytrzeszczył na mnie oczy.

Wyjąłem z kieszeni talię kart i podrzuciłem.

– Teraz jasne? Przecież powiedziałem, że jestem Graczem!

– A nie boisz się zagrać? – uśmiechnął się drwiąco przywódca.

Roześmiałem się. Ten gość chce grać w karty z diabłem?! Z diabłem?!!

– A nie będziesz żałował? – zapytałem.

– Gramy czy nie? – rzucił ze złością.

Najwyraźniej połknął haczyk. Jak łatwo poradzić sobie z takimi typkami... Odrobinę podrażnić, nadebrać na ambicję i już ma się ich w garści.

– Tutaj? – rozejrzałem się.

– Idziemy! – warknął.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim, zerkając pobłażliwie na towarzyszący nam konwój. „Żołnierze” tego przerośniętego dzieciaka, grającego rolę bandziora, najwyraźniej postanowili pilnować, żebyśmy nie uciekli. Naogladają się filmów sensacyjnych, a potem myślą, że są żołnierzami stryja chrzestnego czy innego siostrzeńca, kto by tam za nimi trafił...

Spokojnie szedłem za przywódcą, z rzadka zerkając na Aloszę. Chłopak był zupełnie nieprzytomny z przerażenia, gdyby nie konwojenci, pewnie by uciekł... i gdyby mu starczyło odwagi.

Zaprowadzili nas do jakiejś sutereny, położonej na cichym podwórku w starej dzielnicy. Z pewnym zachwytem obejrzałem puste podwórko, otoczone cztero- i pięciopiętrowymi blokami. Karoseria starego samochodu marki Pobieda, trzy zardzewiałe garaże, kilka rachitycznych drzewek. Przywódca rozejrzał się, podszedł do drzwi piwnicy, wyjął dwa gwoździe i otworzył drzwi. Bez wahania wszedłem do środka. No, no, ładnie się tu urządzili! Pod sufitem kołysała się na kablu goła żarówka, w kącie stała stara kanapa. Okrągły stolik, w którym blat zastępowały deski przykryte ceratą, przy stole trzy taborety, nieco z boku fotel z miękką poduszką – pewnie tron udzielnego władcy. Usiąść na nim? Nie, w tej chwili zaognienie stosunków z lokalnym bandytą nie leżało w moim interesie. Z czystym sumieniem zająłem drugie co do wygody miejsce, kanapę, i pociągnąłem za sobą Aloszkę. Przywódca siadł w fotelu, wyjął z szuflady talie kart.

– Zagramy tymi – oznajmił. Wzruszyłem ramionami. Co za różnica, jaką talie wygram?

– W co gramy?

– Na początek w durnia. Skrzywiłem się. Co za dzieciaki!

– Dobrze. Stawiamy. Wszyscy się zakrzętnęli, wykładając na stół drobniki. Po rublu, po dwa... Uniosłem brew.

– Co to ma być? – zapytałem, wskazując kupkę monet. – Przedszkole? Lalkami się chcecie bawić? Nie, kochani, ja z wami nie gram. To niepoważne.

Przywódca popatrzył na mnie chmurnie.

– A twoja stawka, mądralo?

Bez słowa sięgnąłem do kieszeni i położyłem przed sobą plik pięćdziesięciorublowek. Jeden banknot wysunąłem na środek stołu. Przywódca spojrzał zszokowany na pieniądze i uśmiechnął się krzywo.

– Myślałeś, że mnie nastraszysz, co? – Wstał, wyjął z jakiejś skrytki niewielkie zawiniątko. Rozwinął szmatkę i pokazał plik banknotów sturublowych, na oko ze dwadzieścia tysięcy. Doskonale.

– No to gramy. Rozdawajcie, panowie. – Wyprostowałem się i arystokratycznie skinąłem wszystkim głową. Przywódca zerknął na mnie, po czym rozdał karty, prosto i ze smakiem. Jeszcze zanim wziąłem je do ręki, wiedziałem, że coś tu nie gra. Znaczona talia! No nie, dziewiętnasty wiek! Kogo oni chcą oszukać?

Rozprostowałem dłonie i wziąłem karty. Pierwsza partię przegrałem, bez żalu patrząc, jak mój banknot wędruje do szesnastoletniego pętaka. Jasne jak słońce, że wszyscy razem grali przeciwko mnie. Dobrze, jeszcze zobaczymy... Drugą partię też przegrałem. Ale przecież tak właściwie to jeszcze nie grałem, tylko studiowałem ich oszukańcze chwytły. Przegrałem trzy partie z rzędu i spokojnie wziąłem talie do ręki. Przywódca małoletniej bandy śmiał mi się w twarz. Uśmiechnąłem się do niego.

– To co, chłopaki, koniec rozgrzewki? Przystępujemy do gry? – Podrzuciłem talie w górę i błyskawicznie przerzuciłem do drugiej ręki. Karty poruszały się tak szybko, że utworzyły łuk. A ja spokojnie patrząc w oczy osłupiałego przywódcy, położyłem talie na stole, dzieląc ją na dwie kupki. Zacząłem tasować. Po ich wyciągniętych twarzach poznałem, że nie są w stanie nadażyć za moimi ruchami. Uśmiechając się i niemal nie patrząc na karty, wziąłem całą talie do jednej ręki, podsunąłem ją przywódcy.

– W porządnym towarzystwie po przetasowaniu daje się karty do przełożenia temu, kto siedzi po prawej stronie rozdającego. Jeśli rozdający tego nie robi, może oberwać... – zawahałem się i znacząco dodałem: – Żaden z was nie dał mi przełożyć.

Po tym wstępie szybko rozdałem. Wreszcie zaczęła się gra. Omal nie parsknąłem śmiechem, widząc zdumienie na twarzach graczy, którzy zrozumieli, że znaki na koszulkach kartoników zupełnie się pomieszały. A ja z kolei wiedziałem na wylot wszystkie ich karty – i to dosłownie. Wygrałem raz, potem znowu. Później, żeby rozładować napięcie przegrałem. Dwie wygrane, jedna przegrana. Potem trzy wygrane i znowu jedna przegrana. Jedna wygrana, dwie przegrane... i tak dalej. Tak właściwie gra z tymi młotkami była okropnie nudna. Odchyliłem się na oparcie i napotkałem oskarżycielski wzrok Alony. Oo, nawet nie zauważyłem, kiedy przyszła... No dobra, w takim razie pora z tym kończyć. Wygrałem pięć razy z rzędu i rzuciłem karty na stół.

– Dobra, dzieciaki. Koniec. Nie macie już za co grać.

Przywódca spojrzał ponuro na pustą szmatkę, w którą jeszcze niedawno zawinięte były pieniądze, wstał i z groźną miną wyjął z kieszeni nóż.

– Ho, ho! – uśmiechnąłem się swoim najbardziej czarującym uśmiechem. – Grozimy?

– Oddaj forszę – powiedział ponuro przywódca. Odchyliłem się na oparcie i kciukiem podparłem podbródek.

– Stary, zadam ci trzy pytania, a potem będziesz mógł zabrać wszystkie pieniądze albo zostawić je mnie, zależnie od tego, jakie usłyszę odpowiedzi.

Przywódca zmarszczył brwi, zrobił krok w moją stronę. Przyglądałem mu się spokojnie.

– Pytanie pierwsze: jak myślisz, gdzie nauczyłem się tak grać? Pytanie drugie: kto nauczył mnie tak grać? I pytanie trzecie: jak sądzisz, jak ten ktoś traktuje karciane długi i jak zareaguje na twoje zachowanie? Dla dżentelmenów takie zobowiązania zawsze były świętością. A jeśli okazało się, że ktoś nie jest dżentelmenem... Zwykle takich ludzi nikt już więcej nie widział.

Gwałtownie pochyliłem się do przodu i utkwilem wzrok w przywódcy.

– A teraz możesz zabrać te pieniądze, jeśli chcesz. Chcesz sprawdzić, jaki z ciebie twarżel w porównaniu z moim nauczycielem?

Młody bandzior jakoś tak oklapł. Bez słowa patrzył, jak wkładam jego pieniądze do reklamówki. Nikt z jego bandy nawet nie próbował mi przeszkodzić. Poszedłem do drzwi, ale spostrzegłem, że Alosza nie ruszył się z miejsca, westchnąłem, zawróciłem, złapałem go za kołnierz i skierowałem do wyjścia.

– Tak przy okazji – dodałem – jak być może już zrozumieliście, ten chłopiec jest teraz moim uczniem.

Radzę nie stawać mi na drodze, jasne? – Moje oczy zapłonęły czerwienią. Gdy patrzyłem na wszystkich po kolei, kulili się, nawet ten mołojec. – Wszystkiego dobrego, panowie... – pożegnałem się i zamknąłem drzwi.

Na ulicy podniosłem twarz ku niebu i odetchnąłem głęboko.

– Oni mnie teraz zabijają – wyjęczał Alosza. – Coś ty zrobił! Nie wybaczą mi!

Zerknąłem na niego.

– Kolesz, chciałeś pieniędzy i władzy, tak? No to się ucz, do licha! To są pieniądze, a to władza! Widziałeś, jak się zachowywali? To chłystki, szczeniaki! Stworzeni po to, żeby być pyłem pod nogami takich jak ty, rozumiesz?! To właśnie jest władza! A ty: „zabijają, zabijają”. Przyjdą do ciebie na kolanach! A ja nauczę cię prawdziwej władzy...

Aloszka patrzył na mnie z przerażeniem, a potem zrobił w tył zwrot i pobiegł do domu.

Spokojnie odwróciłem się do Alony, która stała za moimi plecami.

– Jak sądzisz, nastraszyłem go?

– Myślę, że tak.

– No i dobrze, niech się boi. Ale oto i nasz przyjaciel...

Ksefon właśnie biegł za Aloszka. Cudnie. Nie wątpię, że w tym stanie ducha Alosza podzielił się z nim swoim nieszczęściem. Ksefon może być głupcem, ale mimo wszystko jest diabłem i na pewno zdoła wyciągnąć z człowieka interesujące go informacje. Zerknąłem na torebkę z pieniędzmi.

– Słuchaj, nie jesteś głodna? Bo mnie się strasznie chce jeść. Chodźmy do kawiarni.

Alona cofnęła się.

– Nie dotknę pieniędzy, zdobytych oszustwem!

– To co, mam je oddać? – uśmiechnąłem się. – Oni okradli innych, a ja okradłem ich, wszystko uczciwie.

– Nieuczciwie! Wzruszyłem ramionami.

– Jak sobie chcesz, przecież cię nie zmuszam...

Spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy i wkroczyłem do dość porządnej kawiarni. Alonie nie pozostało nic innego, jak pójść za mną i usiąść przy moim stoliku. Po chwili podszedł do nas kelner i obrzucił nas krytycznym spojrzeniem.

– Słucham, młodzi ludzie? – spytał niechętnie. Bez słowa wyjąłem z kieszeni plik sturubłówek.

– Na początek poprosimy menu.

Na widok pieniędzy kelner zmiękł jak wosk.

– Oczywiście... Proszę uprzejmie.

Przeleciałem wzrokiem spis potraw, złożyłem zamówienie. Kelner podał menu Alonie, ale ta nadeła się i odwróciła demonstracyjnie.

– Jest na diecie – poinformowałem kelnera. – Odchudza się.

Kelner zerknął z powątpiewaniem na zgrabną figurę dziewczyny i wzruszył ramionami – no cóż, bogaci mają swoje kaprysy.

Wkrótce przyniesiono mi zamówione dania. Rozstawiłem je przed sobą i zauważyłem, że Alona przełyka ślinę. Wyraźnie była głodna. Podsunałem sobie ziemniaczki z grzybami i spróbowałem.

– Wiesz, co? – powiedziałem. – Naprawdę całkiem do rzeczy... Mmm! Pycha! Po prostu super.

Obserwując spode łba pośpień Alonę, jadłem swój obiad, rozplywając się nad każdą potrawą.

– A pierogi to już w ogóle obłęd. Szkoda, że nic nie wzięłaś...

To była kropla, która przepełniła czarę. Alona zerwała się z miejsca i cisnęła we mnie serwetką.

– Ty! – aż ją zatkało z oburzenia. – Ty niewychowany, bezczelny, chamski! Ty egoisto! O! – Ze szlochaniem wybiegła z kawiarni.

Obrzuciłem wzrokiem całą salę; nieliczni goście przyglądali mi się uważnie; wzruszyłem ramionami.

– Och, te kobiety...

Ktoś zachichotał, a ja wróciłem do obiadu, jednak straciłem już humor. No, co jej się stało? Przecież sama nie chciała jeść, prawda? Czemu się więc zdenerwowała? Co ja takiego powiedziałem?

Bez apetytu skończyłem obiad, zapłaciłem i wyszedłem. Alonę znalazłem na skwerku, nieopodal kawiarni. Siedziała na trawie pod drzewem, wtulając twarz w kolana. Podeszedłem do niej i usiadłem obok. Nie zauważyła mnie albo udała, że nie widzi. Podałem jej łokcie.

– Słuchaj, czemu się tak wściekłaś? Przecież nie chciałem zrobić nic złego, chciałem cię tylko zachęcić, żebyś coś zjadła. Nie można być taką zasadniczą.

– Bałwan! – burknęła Alona, nie podnosząc głowy.

– Dobrze, niech będzie bałwan. Daj mi nawet po głowie, tylko się nie kłóćmy. Alona, przecież potrzebuję twojej pomocy, żeby z kolei pomóc tym ludziom! Pogódźmy się...

Alona podniosła na mnie zapłakaną twarz.

– Nieczuły drań! Myślisz tylko o sobie! Pokornie schyliłem głowę.

– Możesz mnie za to strzelić w głowę. Co mam niby zrobić, zapaść się pod ziemię? A w ogóle, ostatecznie jestem przecież diabłem! Nie mam obowiązku nie być egoistą i chamem. A ty powinnaś być wybacząca i dobra. Co ci szkodzi wybaczyć mi? Przecież jesteś dobra... – I udając kota, zamruczałem, ocierając się policzkiem o jej rękę

Alona zachichotała i odepchnęła mnie.

– Spadaj, lizusie. Twoje szczęście, że naprawdę jestem dobra.

– No, dosłownie anioł – zauważyłem z uśmiechem.

Alona też się uśmiechnęła, a potem wyjęła lusterko i obejrzała swoją twarz.

– O matko! Jak ja wyglądam! – Wyjęła z kieszeni chusteczkę, zaczęła doprowadzać się do porządku.

Wzniosłem oczy ku niebu. Może ma tylko sto dwadzieścia lat, ale... Dobrze, będę cierpliwy i pobłażliwy. Jako przyszły mężczyzna powinienem wybaczać kobietom ich słabości... Tylko że czasem te słabości potrafią nieźle dopieć!

Zaczekałem, aż Alona doprowadzi się do porządku, wstałem i podałem jej rękę.

– Nie rozumiem, po co to wszystko. Moim zdaniem, zawsze wyglądasz bardzo dobrze. Przecież jesteś aniołem.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądam dobrze tylko dlatego, że jestem aniołem?! – spytała groźnie Alona.

Wolałem nie odpowiadać. Co ja takiego powiedziałem?! Myślałem, że spodoba jej się ten komplement! Chciałem dobrze!

– Znalazłaś odpowiedniego człowieka? – zmieniłem temat. – Takiego, o którym wczoraj rozmawialiśmy? Żeby mógł być dla chłopca przykładem?

– Tak. – Alona zrobiła rzeczową minę. – To malarz. Prawie całą noc szukałam go w archiwach; notes jednak nie jest najlepszą wyszukiwarką. Nieważne. Krótko mówiąc, dałam charakterystykę i poprosiłam o znalezienie odpowiedniej osoby. Człowiek nazywa się Grigorij Iwanowicz Rogozew. To artysta, maluje obrazy i sprzedaje je na ulicy. Było napisane, że ma talent.

– Na pewno jest właściwy?

– Specjalnie sama go sprawdziłam, gdy ty rznąłeś w karty! – Alona prawie się obraziła. – To niemal święty! Chodzi do cerkwi!

– To jeszcze żaden argument – odparłem, nie reagując na wzmiankę o kartach.

– Zgadzam się, ale on naprawdę szczerze wierzy. Jeśli ktoś zdoła naprowadzić Aloszę na dobrą drogę, to tylko on.

Skrzywiłem się.

– Alona, ja nie potrzebuję kogoś, kto go naprowadzi na dobrą drogę. Ja chcę, żeby ten obwieś sam wszedł na właściwą drogę, inaczej to wszystko nie ma sensu. Dzisiaj wpłynie na niego ten święty, a za dziesięć lat zupełnie „nieświęty”... Chodzi o to, żeby chłopak sam nauczył się myśleć, decydować i ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Najlepiej zrobić tak, żeby Alosza zobaczył, do czego prowadzą jego czyny.

– To co proponujesz?

– Na razie prowadź do tego swojego malarza. Nie masz nic przeciwko temu, żebym go sprawdził?

Skrzydłata ściągnęła brwi.

– Nie wierzysz mi? Zwracam ci uwagę, że tacy ludzie to moja działka.

– Będzie twoja, jak będziesz pełnoletnia i skończysz sto osiemdziesiąt lat. A na razie jesteś tylko uczennicą szkoły średniej i to wcale nie najlepszą.

– I koniecznie musisz mi to wytykać?!

– Przepraszam. A jednak jesteś tylko dziewczynką i według ludzkiej rachuby czasu masz zaledwie dwanaście lat.

– Ty też!

– Nie zapominaj o doświadczeniu! Mimo wszystko, ja żyję na tym świecie nie dwanaście, lecz sto dwadzieścia lat! I mam więcej doświadczenia niż jakikolwiek człowiek!

– Podobnie jak ja – sparowała Alona. No cóż... szybko się uczy...

– W takim razie na pewno sama rozumiesz, że musimy się zaasekurować. Ty sprawdzasz mnie, ja ciebie. Wtedy jest mniejsze prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Zgadzasz się?

Alona zamyśliła się, a potem spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Czuję, że w jakimś punkcie znów mnie nabierasz. Tylko nie mogę zrozumieć, w którym...

– Przypominam, że obowiązuje domniemanie niewinności. Skoro nie widzisz, gdzie cię oszukuje, to znaczy, że cię nie oszukuje. – Popatrzyłem na nią szczerymi oczami.

– Oszukujesz – powiedziała z przekonaniem. – Ale masz rację, skoro nie widzę, to należy wierzyć, że nie, w przeciwnym razie to już będzie paranoja. Jedźmy go sprawdzić. Tylko co wtedy z naszym podopiecznym?

Uśmiechnąłem się.

– O, nie martw się. Zatrądzi się o niego nasz przyjaciel, przecież Ksefon już za nim pobiegł. Potem będziesz już tylko musiała się dowiedzieć, o czym rozmawiali, ale myślę, że to nie problem. A właśnie, przygotuj się, wkrótce wychodzisz na scenę. Jako anioł mściciel będziesz osłaniać chłopca i chronić go przed podstępny i złym porywaczem dusz, waszym pokornym sługą. – Skłoniłem się.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Ze wszystkiego musisz robić cyrk.

– Oj, zaraz tam... – Spuściłem skromnie oczy, schowałem ręce za plecy i zawstydzony poszurałem nogą – wypisz, wymaluj chłopczyk, którego właśnie pochwalili. – No, nie trzeba...

Teraz już Alona śmiała się pełną pierśią. Złapała mnie za rękę i pociągnęła.

– Chodźmy sprawdzić naszego malarza. Tylko najpierw coś zjedźmy, od wczoraj nie miałam nic w ustach.

– Ja płacę. – Podniosłem szybko rękę. – I wcale nie z tych pieniędzy, które wygrałem. Ze swoich. To będzie uczciwe?

Nie słuchając sprzeciwów Alony, pociągnąłem ją w stronę kawiarni, ale nie tej, w której byliśmy niedawno, nie chciałem wystawiać się na pośmiewisko. Anielica protestowała słabo, ale nie słuchałem jej. Już ja znam tych z rajy, na pewno wysłali dziewczynę praktycznie bez żadnych środków. A raczej nie wysłali, tylko ona sama się wysłała. W rajy pieniądze traktuje się nie tyle z pogardą, co po prostu ignoruje się ich istnienie. No i, rzecz jasna, nie znają ich wartości. Dorośli i doświadczeni brali pieniądze, wyruszając na ziemię, rozumieli, w czym rzecz. Ale dziewczynka, która wyruszyła w swoją pierwszą podróż?... A nie podejrzewałem, żeby ktoś ją w tym względzie oświecił. Dlatego szlachetnie wziąłem wszystkie wydatki na siebie. Taki jestem szlachetny. Aż mi się na duszy szlachetnie zrobiło...

Rozdział 5

W ciasnej, smętnej uliczce ze starymi domkami jednorodziennymi, w zapomnianym przez wszystkich zakątku miasta, gdzie dla mieszkańców nawet przejeżdżający tramwaj stanowił rozrywkę, niespodziewanie zatrzymał się elegancki mercedes, ostatni model. Zresztą, mieszkańcy tej dzielnicy pewnie nie wiedzieli, że to ostatni model. Najprawdopodobniej nie wiedzieli nawet, że to mercedes. Dlatego niemal cała ulica zbiegła się popatrzeć na elegancki wóz. Dzieci tłumnie otoczyły cudowny środek lokomocji, a wtedy otworzyły się przednie drzwi i z samochodu wysiadł mięśniak w ciemnych okularach. Obrzucił czujnym spojrzeniem tłumek gapiów, w milczeniu podszedł do prawych tylnych drzwi i otworzył je. Z samochodu wysiadł... chłopiec. Na oko mógł mieć dwanaście lat. Wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie to, że miał na sobie nie wytarte spodnie i podkoszulkę, jak wszystkie normalne dzieciaki w jego wieku, lecz śnieżnobiały garnitur. Spojrzał nieco pogardliwie na gapiów, skrzywił się, a potem rozejrzał.

– Gdzie? – spytał krótko mięśniaka. Ten w milczeniu wskazał na jeden z domów.

Na wszelki wypadek jeszcze raz obrzuciłem zgromadzony tłumek dumnym spojrzeniem i zerknąłem na Alonę, która, niewidzialna dla wszystkich, stała nieco za mną. Nie pochwałała tej maskarady i nie miała zamiaru tego ukrywać. Trudno, ale ja muszę być pewien człowieka, którego znalazła skrzydlata. Popatrzyłem na mercedesa, żeby podtrzymać iluzję... Nie mogę się zdekongcentrować, bo wtedy iluzja się rozwieje! Dopiero by się wszyscy zdziwili, gdyby nagle piękny samochód rozpułynał się w powietrzu. Fantom goryla podtrzymywała Alona, dzięki temu poważnie mnie odciążała.

Ochroniarz, w ramach podtrzymania imageu otworzył kopniakiem furtkę jednego z domów i przepuścił mnie przodem. Wszedłem na podwórko, odcinając się od ciekawskich, a potem posłałem część swojej energii w iluzję samochodu, dzięki temu będzie istniała jeszcze z godzinę bez mojego bezpośredniego udziału. Najważniejsze, żebym w tym czasie zdążył wszystko załatwić...

Obejrzałem podwórko. Stary dom, szopa, z tyłu widać ogród. Wszędzie czyściutko, posprzątane... Nieco z boku stała przeszklona budowla. Początkowo wziąłem ją za szklarnię, a potem zrozumiałem, że to pracownia malarza. I nawet teraz ktoś tam był! Obrzuciłem przelotnym spojrzeniem dość stary drewniany dom i skierowałem się do szklarni. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

– Kim jesteś i co tu robisz? – spytał niezbyt przyjaźnie krzepki mężczyzna z krótką brodą, ubrany w zachlapaną farbami dres. W tej chwili stał przy... no jak to się nazywa... no, przy trójnogu, na którym było umocowane było płótno. Jednym słowem, mistrz przy pracy.

– Jestem nabywcą – oznajmiłem nonszalancko, rozglądając się. – Ale tu burdel! – Skrzywiłem się, niedbłym ruchem ręki zrzuciłem z krzesła szkice i usiadłem.

Grigorij Iwanowicz Rogożew ściągnął brwi i zrobił krok w moją stronę, ale natknął się na spojrzenie bydlunia i zastygł. W jego oczach zapłonął gniew, ale jeszcze się powstrzymał.

– Nabywcą?

– Tak. – Skinałem głową. – Ktoś polecił ci mojemu ojcu. Widzisz, mój stary chce zrobić mi prezent. A ja bym chciał mieć malarza. Tak jak mieli królowie, rozumiesz? Wszyscy kumple w liceum zzielenieją z zazdrości; nikt nie ma malarza, a ja mam.

– Słucham? – Malarz był skonsternowany. Chyba to, że zwracałem się do niego na „ty”, działało mu na nerwy.

– Co w tym niezrozumiałego? Chcę cię wynająć. Tylko – skinałem głową na obrazy z pejzażami – tylko z tym będziesz musiał skończyć. Nie lubię żadnych tam trawek i rzeczek. To wszystko bzdury. Chcę, żebyś rysował bryki.

– Bryki? – powtórzył Grigorij Iwanowicz.

– No, samochody – wyjaśniłem, krzywiąc się z ubolewaniem nad jego tępotą. – Ojciec obiecał mi jeszcze samochód na urodziny. Chcę, żebyś mnie w nim malował.

– I nic więcej nie chcesz? – spytał artysta.

– No... – zastanowiłem się. – To się jeszcze zobaczy, na razie nic nie przychodzi mi do głowy. A właśnie, dostaniesz dwa kawałki docłów za miesiąc. – Skinałem mięśniakowi, a ten bez słowa wyjął z kieszeni paczkę „zielonych” i położył przed malarzem, Rogożew zerknął najpierw na mnie, a potem na pieniądze. – Jutro przyśle samochód – oznajmiłem, wstając. – A ty spakuj wszystkie potrzebne rzeczy.

Grigorij Iwanowicz w milczeniu wziął pieniądze... i wsadził mi za pazuchę. Bydlun podszedł do niego z groźną miną, ale malarz już się cofnął. Zerknąłem na swoją pogniecioną marynarkę, a potem wyjąłem paczkę banknotów i popatrzyłem zimno na artystę.

– Co to ma znaczyć?

– A to! Nie zgadzam się! Poszukajcie sobie innego nadwornego malarza!

– Czy ty rozumiesz. . .

– Pan! Czy pan rozumie! Jestem od ciebie starszy, chłopczyku.

– Czy ty – burknąłem władczo – czy rozumiesz, z jakich pieniędzy rezygnujesz?! Każdy inny na twoim miejscu złapałby tę propozycję obiema rękami! Z twoją pensją w tym waszym wydawnictwie. . . Ile tego jest? Sto dolarów?

– Poszedł won!

– Wujaszek nie rozumie – powiedziałem w przestrzeń. – Giena, wyjaśnij wujaszekowi.

Bydlun zrobił krok do przodu i kopniakiem wybił szybę. Oczywiście, zrobiłem to ja, sterując ochroniarzem – Alona nigdy by tego nie zrobiła, dlatego przejąłem sterowanie gorylem, jak tylko weszliśmy do pracowni. A wtedy malarz złapał łopatę i ruszył w stronę mojego Gienu.

– Wynocha mi stąd, ale już! – krzyknął. Wówczas niespodziewanie otworzyły się drzwi od pracowni i do środka wpadło czterech mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni: jeden w łom, drugi w siekiere, trzeci nawet w wielki młot. Wyraźnie nie ucieszyli się, że nas tu widzą.

– Ej, panowie! – wtrąciłem się szybko. – O co chodzi? Chcecie mieć kłopoty?! Wiecie, kim jest mój ojciec?!

– Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć! – zawołał jeden z nich. – Nie rozumiecie po rosyjsku, że macie się wynosić?

Oceeniłem siły i splunąłem.

– Dobra, Giena, idziemy – zadysponowałem, a potem odwróciłem się do malarza. – Jeszcze tego pożałujesz. Mój ojciec nie rzuca słów na wiatr.

– Idź, paniczu, idź – uśmiechnął się krzywo malarz. – Zrywaj się stąd.

– I jeszcze się przeżywa – burknąłem pod nosem. Goryl usłużnie otworzył mi drzwi samochodu. Klapnąłem na siedzenie. Obok mnie usiadła Alona.

– No i po co było tłuc szyby? – zapytała.

– Sprawdzałem jego zdecydowanie. Na pieniądze był odporny, ale na groźby? Poza tym, z pomocą przyszli mu sąsiedzi. Nie przybiegliby ratować złego człowieka.

– A nie mówiłam?! A on naprawdę mało zarabia, nie zdoła doprowadzić pracowni do porządku. . .

– Każdy dostanie podług czynów swoich – zacytowałem, podnosząc palec. – Jeśli to dobry człowiek, nie zostanie bez nagrody. Już ja o to zadbam.

– Jaki ty jesteś szlachetny – powiedziała drwiąco anielica. – A ja myślałam, że diabły umieją tylko psocić. Ale jak już cytujesz, to cytuj dokładnie.

– Psocą biesy – burknąłem, ignorując jej ostatnią uwagę. Też mi znawca Pisma Świętego, sam wiem, jak powinno być prawidłowo, ale moim zdaniem tak brzmi lepiej. W ramach odwetu skierowałem mercedesa na trawnik i rozwiąłem iluzję. Zaskoczona dziewczyna klapnęła pupą na ziemię. Krzyknęła i zerwała się, patrząc na mnie z wściekłością.

– Ty! Ty!

– Powtarzasz się – odparłem spokojnie. – Przy okazji, ubrudziłaś się z tyłu.

Przez chwilę świdrowała mnie wściekłym spojrzeniem, potem odwróciła się i zaczęła iść. Dogoniłem ją i szliśmy tak obok siebie bez słowa chyba z dziesięć minut. Potem nagle Alona spojrzała na mnie.

– No i jak?

– Co „i jak”?

– Przeprosisz?

– Za co? – Postarałem się, aby w moich oczach zagościł wyraz świętej niewinności.

Patrzyła na mnie bez słowa kilka sekund, a potem znów się odwróciła.

– Jesteś nieznośny, Ezergilu!

– Wiem, mój brat zawsze to powtarza. Przy okazji, jakie mamy plany?

– Sądziłam, że plany to twoja działka!

– O, cieszę się, że to zauważyłaś. . . W takim razie naprzód, muszę spotkać się z Aleksiejem. Mam pewien pomysł. . . A dzisiaj w nocy ty wchodzisz do akcji.

– I znów nie będziemy spać – westchnęła.

– Przyzwyczajaj się – pocieszyłem ją. – W końcu jesteś aniołem.

– Cieszę się, że to zauważyłaś – odparła złośliwie.

Do domu Aloszy dotarliśmy dwie godziny później – jakby nie było, szliśmy przecież z drugiego końca miasta. Znów przeniknęliśmy przez drzwi i usiedliśmy w pokoju dziecinnym. Aloszy nie było, jego ojca też nie.

Zerknąłem na zegarek.

– No cóż, zaczekamy. Pewnie Ksefon nadal go zabawia.

Alona usiadła na kanapie i popatrzyła na mnie.

– Taki jesteś pewny, że uda ci się oszukać tego Ksefona?

Zaśmiałem się.

– Oszukać Ksefona? Oj, nie wytrzymam! Jego oszukałby każdy, bez większego trudu! On wierzy w siłę – powiedziałem to z taką pogardą, że Alona spojrziała zaskoczona.

– A ty nie?

– Już o tym mówiłem, ale mogę powtórzyć: dzień, w którym użyję siły do rozwiązania problemów będzie najbardziej. . .

– Nieszczęśliwym dniem w twoim życiu. Pamiętam. Ale dlaczego tak?

– Dlatego, że siłę może mieć każdy głupiec z wielkimi mięśniami. Ale mózg. . . mózg to co innego. Dla mnie zwycięstwo osiągnięte poprzez wysiłek umysłowy jest jak. . . jak. . .

Trzask zamykanych drzwi nie pozwolił mi wygłosić barwnego porównania. Zerwałem się z miejsca i zaciągnąłem Alonę w kąt, osłaniając nas iluzją.

– To może być Ksefon, bądź cicho.

– Nie wyczuje nas?

– Ksefon? Nie rozśmieszaj mnie. Ten wagarowicz zawsze miał pały z iluzji.

Do pokoju faktycznie wszedł Ksefon razem z Aloszą. Diabeł rozejrzał się podejrzliwie, a potem zaczął skanować pomieszczenie. Wow, okazuje się, że coś jednak umiał! Co za pech, zaraz nas zauważy. . .

– I tak ci nie wierzę! – zawołał Alosza. Ksefon poruszył się zirytowany i skanowanie zostało przerwane na chwilę; to wystarczyło, żebym pochwycił promień i przeniósł go nad sobą. Trzeba być bardziej uważnym, drogi Ksefonie. Jeśli już wykonujesz tak subtelną pracę, to nie wolno ci się dekoncentrować. . .

Po przeskanowaniu pokoju Ksefon uspokoił się i siadł na krześle.

– W co nie wierzysz? Ze chcę ci pomóc?

– Tak! Sam mówisz, że jesteś diabłem!

– No to co? Chociaż tak w zasadzie masz rację. . . – Ksefon skrzywił się. – Gwiżdżę na ciebie i wygłupiam się nie dla twoich pięknych oczu. Nie z tobą walczę, lecz z Ezergilem, bo to on jest moim wrogiem. I tylko dlatego cię oświecam. Powiedziałem ci już, że jesteś głupcem. Milion dolarów! Mogłeś zażądać nawet sto milionów! Dla nas, diabłów, wasze pieniądze są jak śmieci. . . Chcesz, to masz!

Ksefon machnął ręką i przed Aloszą pojawiła się walizka pełna banknotów. Chłopak wpatrywał się w to чудо z niedowierzaniem.

– A tamten diabeł powiedział, że dopiero za tydzień. . .

– Przecież ci mówię, że kłamie! Musisz być kompletnie głupi, skoro podpisałeś z nim umowę; teraz jesteś w jego władzy. Ale ja cię nauczę, jak z nim walczyć. Najważniejsza jest wiara. Wierzysz? Zresztą, po co ja się pytam. Moja rada brzmi: idź do cerkwi. Może będziesz miał szczęście, wszystko zależy od tego, na kogo trafisz, najlepiej na szczerze wierzącego kapłana. Wtedy on ci ze szczegółami opowie o duszy i wierze.

Omam nie parsknąłem śmiechem. Coś podobnego, Ksefon jako zbawca duszy!

– A. . . a pieniądze? – spytał nieśmiało Alosza.

– Możesz sobie zatrzymać. Potraktuj to jako zapłatę za wycieczkę do cerkwi. W walizce są dwa miliony. . . Tylko nie pokazuj tego Ezergilowi! Ten cwaniak każdego przegada. . . No, muszę lecieć. . .

Ksefon rozplątał się w powietrzu, to znaczy ukrył za iluzją i czym prędzej wybiegł z mieszkania. Pewnie bał się spotkania ze mną.

Stojąca za mną Alona zasyczała:

– Zapłata za pójście do cerkwi?! Ten wasz Ksefon zupełnie nie ma mózgu?!

– Cóż chcesz, każdy orze jak może.

– Przecież właśnie popchnął to dziecko do przestępstwa!

– W zasadzie bardzo nam pomógł, nie mówiłem, że da radę? Trzeba nim tylko właściwie pokierować. . . Hm, teraz bym chciał pogadać z ojcem Aloszy, no i z Aloszą oczywiście. Chodź, urządzimy chłopcu jeszcze jedną próbę.

Patrzyłem, jak młody Nienaszew z trudem wciska walizkę pod łóżko, po czym, rozglądając się nerwowo, wybiega na podwórko. Ja za nim.

– A więc tu jesteś! – zawołałem głośno, rzekomo wyłaniając się zza rogu. Alosza patrzył na mnie przerażony. – Chodźmy, czas na następną lekcję.

Przekonany, że chłopiec pójdzie za mną, odwróciłem się i zacząłem iść ulicą. Alosza postąpił tak, jak się spodziewałem: niczym ryba na haczyku poszedł za mną, rozglądając się zaszczutym wzrokiem.

Mieliśmy jechać trolejbusem, ale na razie się nie zjawiał, więc chciałem chwilę pogawędzić z podopiecznym, stojąc na przystanku. Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Nie bój się! Czemu się trzęsiesz? Przypomnij sobie, jak twoi wrogowie zostali ukarani! Tak trzeba działać! Rozumiesz?

– Rozumiem. . . – burknął. – Tylko, że to było niedobre.

– Niedobre było okradanie tamtego kiosku, a karanie wrogów jest nawet bardzo dobre. Wsiadamy, nie denerwuj się tak. Należało im dać nauczkę. . .

Podjechaliśmy na bazarek. Tam pokazałem chłopcu niepozorną staruszkę.

– Widzisz, co ona sprzedaje? Chłopiec przyjrzał się.

– No, chyba ikonę.

– Zgadza się. To czternastowieczne dzieło, wprawdzie niezbyt słynne, ale warto co najmniej dwieście tysięcy dolarów. Idź i kup ją.

– Co?! Nie mam tyle pieniędzy!

– Bałwanie! Czyja ci każe płacić rzeczywistą cenę? A może myślisz, że staruszka sprzedaje tę ikonę za taką właśnie sumę? Dostała ją od swojej babki, nie zna jej prawdziwej wartości i sprzedaje za tysiąc, w dodatku rubli. Jak widzisz, czysty zysk. Kupujesz ikonę za tysiąc rubli, a potem sprzedajesz za rzeczywistą cenę. Kupców ci znajdzie. No, naprzód. – Popchnąłem chłopca.

Ten zrobił krok i zatrzymał się.

– A to prawda?

– Myślisz, że bym cię oszukiwał? Po co? Poza tym... kto miałby znać wartość ikon lepiej ode mnie?

– Ale... ale to nieuczciwe – burknął Alosza.

– O święta naiwności! Chciałbyś zarobić przez tydzień milion dolarów w uczciwy sposób?

– Chciałbym!

– Super. Jesteś słynnym inżynierem i masz swój wynalazek? To ja zorganizuję, że kupi go jakaś firma.

– Nie... – speszył się Alosza.

– To może jesteś chirurgiem i umiesz robić wspaniałe operacje, wyciągasz ludzi z tamtego świata? Mam tu pewnego chorego... Uratujesz mu życie, a on z wdzięczności da ci wszystkie pieniądze.

– Nie umiem. – Alosza spuścił głowę.

– A może jesteś matematykiem? Dają ogromną nagrodę dla tego, kto udowodni pewne twierdzenie. Do dzieła! Gwarantuję, że nagroda będzie twoja.

– Tego też nie umiem... – Chłopiec jeszcze niżej opuścił głowę.

– Dobrze, w takim razie powiedz mi, co umiesz?

– Ja... ja jestem jeszcze mały...

– A kim chciałbyś zostać? Wybrałeś sobie zawód? Co chcesz robić?

– Nie wiem – Alosza oklapł.

– Aha. Chcesz mieć dużo pieniędzy i chcesz, żeby cię wszyscy szanowali. Chłopcze, ludzie szanują innych albo za pieniądze, albo za ich dzieła. Za dzieła, jak już ustaliliśmy, na razie nie można cię szanować, bo jeszcze niczego nie dokonałeś. Zostają pieniądze. Ja ci je podsuwam, a ty jeszcze grymasisz. Masz tu tysiąc rubli, idź i kup ikonę

– A co będzie z tą babcią?

– A co, twoja babcia? Czemu się o nią martwisz? Zapamiętaj sobie: na tym świecie albo ty zjesz, albo ciebie zjedzą. A babci wielkie pieniądze nie są potrzebne. Ona już swoje przeżyła. No, do dzieła.

Alosza podszedł do staruszki, a ja wyostrzyłem słuch.

– Ile kosztuje ta ikona? – zapytał Alosza, oblizując wyschnięte wargi.

Staruszka popatrzyła na chłopca ze smutkiem.

– Weźmiesz za osiemset, kochanieńki? – spytała z przygnębieniem. – Nie mam już co jeść, to sprzedaję. Tak to bym nigdy... po babce mi została...

Alosza aż się zachłusnął. Popatrzył na mnie, wyciągnął rękę z pieniędzmi, babka ucieszona chciała je wziąć, ale Alosza w tym momencie gwałtownie cofnął dłoń.

– Niech pani nie sprzedaje tej ikony! – powiedział gorączkowo. – Pani nie wie, co to za ikona! Ona... ona jest z czternastego wieku! Jest warta dwieście tysięcy dolarów! To... to... więcej niż milion rubli! Niech pani wezwie specjalistów z muzeum, oni wycenia!

Chłopiec zerwał się z miejsca i rzucił do ucieczki. Staruszka popatrzyła za nim zdumiona, a Alona skakała wokół mnie i z całej siły waliła mnie pięścią w plecy.

– Wiedziałam! – wyła. – Wiedziałam, że jeszcze jest w nim dobro! Wiedziałam, że nie ulegnie pokusie! Zuch! Brawo!

Odsunąłem się szybko.

– Zgadza się, że on jest zuchem, ale ja mam teraz całe plecy w siniakach.

– Oj, przepraszam... – Zakłopotana dziewczyna patrzyła gdzieś w bok.

– Nic takiego, da się przeżyć... Idź za nim teraz, w takim stanie chłopak może narobić różnych głupstw... A ja idę do niego do domu, chciałbym pogadać z Nienaszewem.

Alona skinęła głową i pobiegła za Aloszą. A ja najpierw podszedłem do babci, która wyraźnie nie uwierzyła w słowa Aloszy. Ostrożnie wziąłem od niej ikonę.

– Chłopiec mówił prawdę. To rzeczywiście bardzo stara ikona. Widzi pani, początkowo Chrystus zęgnął się dwoma palcami, trzeci zaczęto malować później, już po reformie. Jeśli się przyjrzeć, widać to wyraźnie. Czyli tę ikonę namalowano na pewno przed siedemnastym wiekiem. A niektóre cechy charakterystyczne wyraźnie świadczą o tym, że pochodzi z czternastego wieku. Specjaliści powiedzą pani dokładnie... Być może muzeum da pani mniej, niż faktyczna wartość zabytku, ale tak czy inaczej będzie to na pewno dużo więcej niż tysiąc rubli.

Babcia spojrzała na mnie z nieśmiałą nadzieją.

– A skąd ty to wszystko wiesz, wnusiu? Oddałem jej ikonę.

– Ja dużo wiem... Przepraszam, ale muszę już iść.

I nie odwracając się, poszedłem przed siebie, omijając przechodniów. Wskoczyłem do tramwaju i całą drogę zastanawiałem się nad sobą i ludźmi. Człowiek to jednak dziwna istota. Taki na przykład Alosza, niby wszystko jasne, niemal gotowy nasz klient. A jednak im mu ciężiej, tym bardziej mi się opiera. A przecież ja tylko spełniam jego prośby! Gdy mówili nam o tym na lekcji psychologii ludzi, to w sumie nie bardzo wierzyłem, ale swoje aktualne plany zbudowałem właśnie w oparciu o tę wiedzę. Jak się okazało, miałem rację! Tylko jeszcze nie wiedziałem, czy mi się to podoba czy nie. Ludzie zachowują się nielogicznie. Dlaczego Alosza uzależnił się nad tą babcią? Przecież to dla niego zupełnie obca osoba...

Pogrążony w rozmyślaniach byłbym przejechał swój przystanek. W ostatniej chwili wyskoczyłem z tramwaju i poszedłem do mieszkania Nienaszewów.

Wiktor Nikołajewicz był w kuchni w towarzystwie dwóch pustych butelek; a właściwie spał z głową na stole. Zerknąłem na zegarek. Chyba za wcześnie na taką libację... Musiał mieć ważny powód... Usiadłem na krześle naprzeciwko i niepostrzeżenie wyciągałem z mężczyzny opary alkoholowe. W końcu moje starania zostały zwieńczone sukcesem i ojciec Aloszy otworzył oczy. Był przytomny, ale nadal pijany.

– Diabły! – zawołał.

Wzdrygnąłem się. Czyżby Ksefon nas teraz podsłuchiwał?!

– Gdzie? – spytałem.

Wiktor Nikołajewicz skupił wzrok na mnie.

– O, tam... takie zielone...

Zielone? Popatrzyłem w to miejsce, które wskazywał Nienaszew. Dwie butelki. Stoik z pomidorami. Szynka.

– No, tam, obok butelek. Jeszcze się drażnią! Przyjrzałem się.

– Nie, to nie diabły – powiedziałem z przekonaniem.

– Naprawdę nie? – spytał z nadzieją.

– Z całą pewnością.

– A co w takim razie? Zastanowiłem się.

– Tak z biegu mogę powiedzieć, że biała gorączka.

– Tak? A czekaj, kim ty w ogóle jesteś? Aloszka?

– Czyżbym był podobny? – zapytałem. Mężczyzna przyjrzał mi się.

– Nie...

– To dobrze, bo nie jestem Aloszą. A z jakiej okazji ta feta? Nie powinien pan być w pracy?

– Zwolnili mnie! – burknął ze złością. – Wyobraź sobie, powiedzieli, że za dużo piję!

– Koszmar! – przyznałem. – Jak mogli powiedzieć panu prawdę!

– Więc ty też... yk... uważasz, że dużo piję?

– Ale co też pan! Jak tak można? Ja tylko uważam, że pan za dużo wypija. No i jak chce pan teraz wychować syna? Jak chce pan zarabiać pieniądze?

– Wychować pieniądze? Zarabiać syna? – Mężczyzna popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

– No cóż, można i tak. No więc, żeby zarobić syna, musi pan wychować pieniądze. A co teraz? Myśli pan, że żona panu wybaczy, jeśli syn zacznie kraść?

– On już zaczął! Zupełnie się nie słucha!

– Kogo? Zdaje się, że to pan powinien nauczyć go nie kraść.

– Już ja mu dam! – obiecał z mocą Wiktor Nikołajewicz.

– I myśli pan, że to coś zmieni? Dobrze, pomogę panu.

– A kim ty jesteś?

– Ja? – uśmiechnąłem się. – Diabłem. No więc, radziłbym panu zajrzeć pod łóżko syna. A właśnie, niech zapamięta pan te słowa. A mnie nie będzie pan pamiętał... Zegnam.

Błyskawicznie ukryłem się za iluzją i gdy Wiktor Nikołajewicz podniósł głowę, już mnie nie zobaczył. Wstrząsnął się, jakby odganiając przywidzenie, a ja pomogłem mu jeszcze odrobinę wytrzeźwieć.

– Zajrzeć pod łóżko... – powiedział powoli. Wstał niepewnie i chwiejnie poszedł do pokoju syna. Z trudem pochylił się, wyciągnął spod łóżka walizkę. Otworzył ją i zamarł, patrząc na pliki banknotów.

– Matko kochana! – zawołał przerażony, trzeźwiejąc w oczach. – Boże święty, skąd się to tu wzięło?!

Usiadłem na krześle, założyłem nogę na nogę. Faktycznie, ciekawe pytanie. Skąd twój syn to ma? Jak, zastanowiłeś się? Pomyślałeś, co Aloszka robi w wolnym czasie? A czy nie za późno zacząłeś zadawać sobie takie pytania? No cóż, odrobina troski o potomka dobrze ci zrobi... Pomartw się trochę, a ja sprawię, żeby to nie poszło na marne...

W milczeniu udałem się na balkon i zeskoczyłem z piątego piętra. Wylądowałem na asfalcie, nie utrzymałem równowagi i oparłem się dłonią o ziemię. Zakląłem, wytarłem rękę o spodnie i równym krokiem wyszedłem na ulicę, wyjmując po drodze notes.

„Alona, gdzie jesteś?” – napisałem pytanie.

„W cerkwi” – przyszła odpowiedź.

„Gdzie?! Postanowiłaś pomodlić się o zbawienie duszy?”

„Głupek. Przychodź szybko, to dotyczy Aloszy!” „Rozumiem, już lecę”.

I faktycznie poleciałem. Szybko znalazłem cerkiew w oparciu o opis anielicy i ostrożnie wylądowałem przed budynkiem. W myślach posłałem wezwanie, Alona od razu wybiegła ze świątyni.

– Jesteś wreszcie! Chodź! – Złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę kościoła. Byłem tak osłupiały, że nawet nie stawiałem oporu, dopiero przed wejściem wyrwałem rękę.

– Zwariowałaś?! Jak mam tam wejść?! Alona zatrzymała się i klepnęła dłonią w czoło.

– Kompletnie zapomniałam! Po prostu tam jest Alosza... Przebiegł tu, chyba chce opowiedzieć o wszystkim kapłanowi.

– Doskonale! – Zatarłem dłonie. – Czyli jednak go przypiliło. Żeby tylko trafił się dobry pop... A już liczyłem, że spikniemy go z tamtym malarzem.

– Właśnie o to chodzi! Ja wcale nie jestem pewna tego kapłana! Dlatego potrzebuję twojej pomocy!

– Ale ja nie mogę wejść do cerkwi! Tu już nawet twoja osłona nie pomoże!

Alona zastanowiła się.

– Faktycznie, wejść nie możesz... Ale posłuchać?... Zdołasz się ze mną połączyć?

Aż otworzyłem usta ze zdumienia.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? Aż tak mi ufasz? Przecież wtedy będziesz zupełnie bezbronna!

– A ty? Zaufałeś mi wtedy, na cmentarzu? Też byłeś bezbranny! To dlaczego ja miałabym nie zaufać tobie?

Popatrzyłem na nią osłupiały.

– Dobrze... Tylko muszę stanąć gdzieś z boku, żeby nie plątać się ludziom pod nogami.

Szybko stanąłem za jakąś przybudówką, za którą byłem niewidoczny od ulicy.

– Jesteś gotów? Skinąłem głową.

– No to zaczynamy...

Sięgnąłem myślami do świadomości Alony, a ona otworzyła przede mną swój umysł. Jeszcze chwila i znalazłem się w jej świadomości, od razu odgradzając się od jej uczuć i myśli. Pewnie, że mógłbym przeczytać teraz całą jej osobowość... ale po zaufaniu, które mi okazała... Nie, to już by była przesada. Oczyściłem swój umysł od tych jej zabłąkanych skojarzeń, które do mnie trafiły, zanim postawiłem barierę, a potem ostrożnie sięgnąłem do jej wzroku i słuchu.

– Doskonale – powiedziałem powoli. – Widzę i słyszę.

– To idę – odpowiedziała. Pochwyciłem niepokój w jej świadomości, więcej, strach. Nietrudno było zorientować się, o co chodzi.

– Alona... – odezwałem się. – Tak?

– Chciałem tylko powiedzieć... Nic nie oglądałem. Słowo! Od razu się zablokowałem.

Nie można kłamać przy takim połączeniu. Poczułem, jak dziewczyna odetchnęła z ulgą i rozluźniła się.

– Dziękuję, Ezergilu.

I już pewniejszym krokiem weszła po schodkach.

Aloszę zobaczyłem od razu. Stał przy ikonostasie, zerkając niepewnie w stronę kapłana. Dziewczyna podeszła do chłopca, uprzednio narzucając na siebie iluzję.

– Jak sądzisz, powinnam mu pomóc?

– Popatrz na duchownego. Chcę zrozumieć, co to za człowiek.

Alona spełniła moją prośbę i przed dwie minuty przyglądałem się brodatemu osobnikowi w riasie.

– Nie wiem – odparłem w końcu. – Nie mogę niczego zrozumieć.

– Dobrze, w takim razie dodam chłopcu nieco pewności siebie. W tym miejscu mam spore możliwości...

Podeszła do chłopca i wyciągnęła rękę nad jego głowę. Nad anielicą zapłonęła aureola i jakby ciepło słońca rozeszło się po cerkwi. Trzy osoby, które akurat się tu modliły drgnęły, odwróciły głowy w stronę Alony, a przecież nikt nie mógł jej widzieć!

Alosza również drgnął, a potem zacisnął wargi i zdecydowanie podszedł do kapłana.

– Czy mógłbym porozmawiać? – spytał nieśmiało.

– Tak, mój synu? – Pop powiedział to takim tonem, że zrozumiałem od razu – nic z tego nie będzie. Zdaje się, że ten człowiek miał wszystkiego dosyć i nie zamierzał zajmować się jakimiś głupotami.

– Ja... ja potrzebuję pomocy. Nie wiem, do kogo się zwrócić...

– Co się stało? – zapytał kapłan z irytacją w głosie.

– Chodzi o to... chodzi o to, że sprzedałem duszę diabłu.

Duchowny popatrzył kwaśno na chłopca, który wpatrywał się w niego z rozpaczliwą nadzieją.

– Mój drogi, jeśli wydaje ci się, że to czas i miejsce na żarty...

Nadzieja w oczach chłopca zgasła.

– Pójdę już... – powiedział bezradnie, odwrócił się i poszedł do wyjścia. A potem nagle zaczął biec, rozmazując rękawem łzy.

Kapłan wzruszył ramionami i wrócił do przerwanych zajęć.

Alona wyszła z cerkwi, a ja od razu opuściłem jej umysł. Przez minutę dochodziłem do siebie, akurat w tym czasie dotarła do mnie Alona.

– Krok do przodu, dwa kroki w tył – zauważyła ze zmęczeniem.

A we mnie aż się zagotowało.

– O, poczekaj, świętoszku! – wysyczałem. – Nie ma czasu, widzicie go! Nie znalazł czasu, żeby wysłuchać człowieka w potrzebie! Już ja przygotuję dla ciebie drwa, już my cię przypieczemy!

– I jaki sens? – zapytała Alona.

– Może dzięki temu w następnym życiu stanie się bardziej wrażliwy. Od kogoś, kto ma uzdrawiać ludzkie dusze wymaga się znacznie więcej niż od zwykłego człowieka. A co za tym idzie, sędzi się go bardziej surowo. Skoro nie był pewien, czy jest gotów do takiej posługi, mógł siedzieć na piecu! Swoją obojętnością wyrządza ludziom większą krzywdę niż stu przestępców!

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie ma co tego roztrząsać... Musimy się zastanowić, jak naprawić to, co zepsuł ten... człowiek.

– Musimy. Ale drwa dla niego wybiorę osobiście i osobiście podłożę pod jego kocioł, gdy już do nas trafi. A jeśli chodzi o chłopca... Dzisiaj Alosza bardziej niż kiedykolwiek będzie potrzebował pomocy. Myślę, że kolej na ciebie: anioł w odwiecznej walce z podstępny diabeł. Coś w sam raz dla ciebie.

Skrzydłata uśmiechnęła się niewesoło, a potem popatrzyła na cerkiew, ściągnęła brwi i podniosła rękę.

– Człowiek, który bierze na siebie zadanie ratowania dusz ludzkich, powinien być cierpliwy i uważny wobec wszystkich, którzy zwróca się do niego o pomoc! – powiedziała półgłosem, ale tak, że wydawało mi się, że wszyscy ją słyszą. Jej słowa zapadały głęboko w duszę. – Ten, kto pozwala, by drobne sprawy przesłoniły mu cudzy ból, nie jest godzien tak wysokiego stanowiska i takiej odpowiedzialności. Pozbawiam to miejsce błogosławieństwa dopóty, dopóki ten, który zawinił, nie naprawi tego. Powiedziałam!

Wszystko się od razu zmieniło. Jeszcze przed chwilą świątynia emanowała mocą i pięknem, a teraz płynąca od niej energia zniknęła, cerkiew zaczęła wyglądać na zapuszczoną, nawet kopuły jakby zbladły. Przyglądałem się temu w milczeniu, nie wierząc własnym zmysłom, a potem powoli zacząłem wchodzić po schodkach. Nic się nie działo. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w środku! Wszedłem do cerkwi! Początkowo nie uwierzyłem – coś takiego po prostu nie mogło się zdarzyć! A potem rozejrzałem się. Ikony w ikonostasie lekko zbladły, płonące przed nimi świece zgasały. Kapłan, klnąc pod nosem, daremnie próbował je zapalić. Podeszedłem do niego, stanąłem obok i patrzyłem, jak zapalał zapałkę i przysuwał ją do knota. Świeca zaczynała się palić, ale gdy tylko kapłan odsuwał ogień, od razu gasła. Kapłan rzucił mi gniewne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Obok mnie stanęła Alona.

– Niech pan nie próbuje – poradziła cicho.

– Co? – Kapłan odwrócił się do niej.

– Mówię, żeby nie próbował pan ich zapalić. To się nie uda. Dzisiaj zrobił pan bardzo złą rzecz. Odmówił pan pomocy komuś, kto jej potrzebował, popchnął pan chłopca na złą drogę i teraz ciężko będzie go z niej zawrócić. To straszne przestępstwo. Jest pan obojętny i samolubny. Dokonuje pan chrztu dla pieniędzy, a ta szata dłuży panu do zdobycia bogactwa. I dlatego od dziś pozbawiam pana prawa nazywania się kapłanem. Nie przyjmie pana żadna świątynia. Co będzie dalej, zależy już tylko od pana.

Alona odwróciła się i poszła do wyjścia.

– Ty... – zaczął pop i zamilkł, ponieważ zrozumiał, że przemawia do pustki. Popatrzył na mnie pytająco. Wzruszyłem ramionami.

– W gruncie rzeczy ona ma rację. Nawet ode mnie nie doczekasz się współczucia. Zegnam. – Pomachałem mu ręką i powoli rozpląnałem się w powietrzu.

Kapłan otarł pot z czoła, a potem rozejrzał się na boki. Ale w cerkwi był sam, a raczej – wydawało mu się, że jest sam. Przyglądałem mu się jeszcze chwilę i też poszedłem do wyjścia.

– Nie wiedziałem, że potrafisz robić takie rzeczy – powiedziałem do skrzydłatej.

Popatrzyła na mnie z przygnębieniem.

– Potrafię. Ale nie miałam prawa tego robić. Nie jestem jeszcze pełnoprawnym aniołem, przekroczyłam swoje pełnomocnictwa.

– E tam... Ja bym postąpił znacznie ostrzej. I tak łagodnie potraktowałaś tego buca. Całą robotę nam zepsuł.

– Czy oprócz „roboty” nic więcej cię nie obchodzi?! Na przykład życie tego dziecka?!

Pokręciłem obojętnie głową.

– Obchodzi mnie zaliczenie praktyki i nagroda w razie zwycięstwa. Dlaczego miałbym przejmować się czymś jeszcze?

– Ty nieczuły, bezczelny...

– Wiem, już mówiłaś. Czas na nas. Musimy jak najszybciej znaleźć się w domu Aloszy. Tam zaraz rozpęta się coś takiego...

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie, ale o nic nie pytała. Widocznie doszła do słusznego wniosku, że wkrótce sama wszystko zrozumie.

Oboje puściliśmy się pędem. Musieliśmy nawet schować się za iluzją, żeby ludzi nie dziwiła nasza prędkość. Zerkąłem na Alonę. No, no, co za postępy! Ciągłe ćwiczenia dobrze jej robią. Nie tak dawno nie potrafiła przechodzić przez przedmioty, a teraz robi to niemal automatycznie, bez zastanowienia. Poza tym za każdym razem lata coraz lepiej i szybciej. Ale skrzydła i tak by się jej przydały, podobnie jak mnie ogon... O, masz – znowu się rozmarzyłem. Chyba się starzeje... No nie, teraz to już zaczynam pleść. Ciekawe swoją drogą,

jak Alosza wyjaśni obecność walizki z pieniędzmi? Nawet mnie to intrygowało. Przecież mówiłem mu, że pieniądze są bezużyteczne, jeśli nie potrafisz wyjaśnić, skąd je masz.

Zdążyliśmy w samą porę. Do bloku weszliśmy niemal równo z Aloszka. Zatrzymało nas to, że uparłem się na dodatkową osłonę przeciwko Ksefonowi. Dawno go nie widziałem, a to nie wróżyło nic dobrego. Ani chybi coś knuł. . .

Przebiegliśmy przez drzwi z takim rozpędem, że prawie wyskoczyliśmy przez ścianę po drugiej stronie domu. Wprawdzie nic by się nie stało, ale lepiej unikać takich niespodzianek.

– W gorącej wodzie kąpany! – zasyczała na mnie Alona.

Ha! Myślałby kto, że ją poganiałem! Sama leciała jak z pieprzem! Te kobiety!!!

Ku mojemu zaskoczeniu starszy z Nienaszewów był trzeźwy i nawet przyzwoicie ubrany. Powitał syna w przedpokoju, skinął na niego, żeby poszedł za nim. Alosza skulił się, jakby przeczuwał nieszczęście. Ojciec zaprowadził go do kuchni i w milczeniu wskazał krzesło. Chłopiec usiadł z niepewną miną.

– Opowiedz mi, jak spędzasz czas? Co robisz? Alosza skulił się jeszcze bardziej.

– Różne rzeczy. . .

– Aha, różne. . . – Wiktor Nikołajewicz bez słowa wyjął spod stołu walizkę i położył ją na blacie. – Może więc wyjaśnisz, skąd to się wzięło?

Myślałem, że nie można już bać się bardziej, niż bał się Alosza – myliłem się. Chłopak dosłownie poszarzał z przerażenia. Ja i Alona popatrzyliśmy na siebie. Dziecko ma mocny i odporny organizm, ale takie stresy nie mijają bez śladu. Anielka od razu zamknęła oczy i dostroiła się do niego. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. . . Jeszcze chwila i rozluźniła się. Gdy spojrzała na mnie, wyglądała nie lepiej od Aloszy, tylko on był szary ze strachu, a ona ze zmęczenia.

– Nigdy przedtem mi się nie udawało. . . – wyznała. – Pierwszy raz. . . Zdołałam naprawić najgorsze. . .

Skinąłem głową i znów popatrzyłem na ojca i syna. Wiktor Nikołajewicz spostrzegł strach chłopca, z całej siły uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

– Odpowiadaj, jak pytam! Skąd to masz?!

– Zna. . . znalazłem – wyszeptał Alosza.

– Tak?! Po prostu znalazłeś? Na podłodze leżało?!

– Tak.

Ech, niepotrzebnie to powiedział. . . Było jasne, że Nienaszew nie wierzy w ani jedno słowo i takie jawne kłamstwo tylko pogorszy sprawę.

Wiktor Nikołajewicz zerwał się z krzesła i chwycił Aloszę za włosy.

– Zaraz mi wszystko opowiesz! – Niespodziewanie uderzył głową syna o stół. – Wszystko mi opowiesz! Mów, gdzie ukradłeś?!

Tak, syn nie powinien tak kłamać ojcu, a ojciec nie powinien tak traktować syna. Zdaje się, że opanowanie młodego Nienaszewa wisiało na cienkim włosku i ten włoszek właśnie pękł. Alosza wrzasnął tak, że zaskoczony ojciec puścił go i odskoczył. Chłopiec błyskawicznie złapał leżący na stole nóż i zamachnął się.

– Nie podchodź do mnie! – wrzasnął histerycznie. – Bo cię zabiję! Zabiję tak, jak ty zabiłeś mamę! Nie podchodź!

Mężczyzna drgnął, jakby został uderzony.

– Ach, ty szczeniaku! – Zrobił krok do przodu, ale Alosza machnął nożem i ojciec odskoczył, zaciskając ranę na rękę. Popatrzył z niedowierzaniem na krew. – Na rodzzonego ojca? . . . – spytał wstrząśnięty.

Zdaje się, że chłopiec też się przeraził. Odrzucił nóż i pobiegł do przedpokoju. Trzasnęły drzwi.

– Idę za nim – powiedziałem.

– Ja z tobą. Nie możemy go teraz zostawić.

Dogoniliśmy go dość szybko. Schował się za garażami, siedział tam i szlochał. Rozejrzałem się. Co za miejsce. . . a jakie zapachy! . . . Całe życie marzyłem, żeby rozwiązywać duchowe problemy w takim właśnie otoczeniu. No dobrze, ale w końcu, co ja mogę na to poradzić? Skoro Alosza znalazł się właśnie tutaj, to znaczy, że taka jest moja karma. Zrobiłem krok do przodu i stanąłem tak, żeby zasłonić światło.

Wystraszony Alosza podniósł głowę.

– To ty?!

– Ja. A co cię tak dziwi? Zdaje się, że nie skończyliśmy ze sobą.

– Czego jeszcze chcesz?!

– Dziwne pytanie. Chcę dotrzymać warunków umowy. Zdaje się, że chciałeś dostać milion.

– Milion?! – wrzasnął histerycznie chłopiec. – Mam w domu dwa miliony twoich przeklętych pieniędzy!

– Wiem. – Skinąłem głową. – I jedyne, co mogę zrobić, to powtórzyć pytanie twojego ojca: też jestem ciekaw, skąd je wzięłeś. Poza tym, skoro je miałeś, po co sprzedałeś mi duszę?

– Ty! Ty!

– Bardzo oryginalne.

– To wszystko przez ciebie!

– Czyżby? Słucham, słucham, co tam przeze mnie? Przypomnij mi, co ci powiedziałem, gdy poprosiłeś o milion?

Alosza spuścił wzrok.

– Czekam...

– Ze nie będę mógł z niego skorzystać.

– Właśnie. Po prostu nie zdołasz tego wyjaśnić. Skąd zatem wzięłeś pieniądze?

– Diabeł mi dał.

– Diabłem jestem tutaj ja, a ja ci nic nie dawałem.

– Nie ty. Inny diabeł. Powiedział, że tobie nie można ufać.

– Pewnie, że nie można – zgodziłem się. – W końcu mieszkam w piekle. Ale warunków umowy przestrzegam się nawet tam. Tyje złamałeś, więc ja nie jestem ci już nic winien. Za to ty...

– A może byś tak poszedł sobie w cholere, co?! – wrzasnął nagle Alosza. – Coście się do mnie przyczepili?! Odkąd się pojawiłeś, mam same kłopoty!

– O, naprawdę? Dobrze, pójdę, ale pamiętaj, że jeszcze nie skończyliśmy. – Powoli rozpułynałem się w powietrzu, a potem zwróciłem do dziewczyny. – Alona, myślę, że teraz twoja kolej. Na zło już się wystarczająco napatrzył.

Przyjrzała się chłopcu i pokręciła głową.

– Obawiam się, że ten kapłan wyrządził mu znacznie większą krzywdę, niż nam się wydawało. Chłopiec stracił wiarę.

– Właśnie dlatego musisz działać. Kto tu jest specjalistą od spraw wiary?

Skrzydłata prawie płakała z żalu nad Aloszką.

– Ezergil, przecież ja nie potrafię! Tu jest potrzebny dorosły, doświadczony anioł!

– Takich nie mamy. I nikt nie będzie się wtrącał do twojego szkolnego zadania.

Podrzuciła gwałtownie głowę.

– Szkolne zadanie?! To wszystko, co cię interesuje? Ta sprawa już dawno przerosła ramy zwyczajnej praktyki! Zrozum, tu idzie o życie dziecka! Jestem gotowa wrócić do domu i oznajmić, że się poddałam! Niech mnie zostawia na drugi rok, ale przyślą tutaj kogoś doświadczonego!

Przymknąłem jedno oko i przyjrzałem jej się uważnie. Spojrzała na mnie zaskoczona, a ja przechyliłem głowę i zacząłem chodzić po okręgu wokół anielicy.

– Co ty wyprawiasz?... – zdumiała się Alona.

– Nic, nic, tak się tylko zastanawiam... Skąd właściwie biorą się doświadczone anioły?

– W jakim sensie? – Była tak zdumiona, że na chwilę zapomniała o Aloszy.

– Mówisz, że sobie nie poradzisz, że jesteś gotowa wszystko rzucić, żeby tylko zajęli się tym fachowcy. Zastanawiam się właśnie, skąd się oni biorą? Gdyby wszyscy myśleli tak jak ty... Przecież każdy z nich był kiedyś niedoświadczony.

– Chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć, że doświadczenie można zdobyć jedynie poprzez praktykę. Jeśli za każdym razem będziesz uciekać i chować się za plecami wyszkolonych aniołów, nigdy niczego się nie nauczysz.

– Nie rozumiesz! To ogromna odpowiedzialność! Jeśli popełnię błąd...

– Nie popełniaj więc. Zaufaj swojemu sercu... – Podszedłem do Alony, ująłem jej dłoń i położyłem na jej piersi. – Masz wielkie serce – zaufaj mu. Dlaczego nie chcesz go posłuchać?

Patrzyła na mnie wstrząśnięta.

– I kto to mówi?! Diabeł! W życiu bym nie myślała...

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zapominaj, kim jest mój wujek. Naprzód, aniele. Odwagi.

Alona ściągnęła brwi, zerknęła na Aloszę. Chłopiec już nie płakał, teraz patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. A potem powoli wstał i zaczął wyciągać pasek ze spodni, przyglądając się czemuś w górze.

– Co on robi? – zdumiała się dziewczyna. Alosza wpatrywał się w mocną grubą gałąź wiszącą nad garażem. Nie spodobało mi się to.

– Alona, na twoim miejscu pospieszyłbym się. Zdaje się, że sprawy przybierają zupełnie niespodziewany obrót.

Rozdział 6

Alona popatrzyła na mnie, potem na gałąź, a w końcu na chłopca, który wszedł na ogrodzenie i teraz jedną ręką próbował zahaczyć pasek o konar, drugą trzymając się garażu.

– Nadal uważasz, że należy wezwać kogoś bardziej doświadczonego? – zapytałem. – To leć, wołaj. Za godzinkę wrócisz?

Alona odwróciła się gwałtownie i wyszła z zaułka. Chwilę później znów ją zobaczyłem, ale tym razem nie osłaniała jej iluzja. Niespiesznie weszła za garaż i wpadła na Aloszę.

– Ktoś ty? – zdumiała się szczerze. Parsknąłem w duchu. Gdybym nie wiedział, że świetnie wie, kim jest chłopak, pewnie bym jej uwierzył.

– Czego tu chcesz? – spytał ponuro Alosza.

– Ja? Właściwie to niczego... Ale jeśli już załatwiłeś swoje sprawy, może byś stąd wyszedł?

– A dlaczego?

– Głupi! – rozgniewała się Alona. – Jak myślisz, po co przyszłam za garaże? Po to samo, co ty! – Demonstracyjnie spojrzała na pasek w ręku chłopca.

– Też chcesz się powiesić? – Alosza był w szoku.

– Bardzo śmieszne, bardzo! – prychnęła. – Chciałam się odlać! Jasne?!

Skrzywiłem się. Co za słownictwo... I to ma być anioł?! Ale gdy spojrzałem na chłopca omal nie krzyknąłem z zachwytu. Jakimś cudem Alona zdołała znaleźć odpowiedni ton – oszołomiony chłopiec mrugał oczami; był tak skonfundowany, że aż zapomniał o kłopotach.

– Aa... przepraszam – wymamrotał i wyszedł z garażu.

Wyjrzałem ostrożnie, chłopiec stał nieco z boku.

– Co on robi? – spytała Alona.

– Chyba czeka, aż skończysz.

– Hm... miałam nadzieję, że sobie pójdzie. Dobra, zobaczymy.

Odczekała dłuższą chwilę i wyszła z garaży. Poprawiła dzinsy, rzuciła Aloszy chmurne spojrzenie.

– Czego tu sterczysz?

– Czekam, aż skończysz.

Obejrzała się, a potem znów spojrzała na chłopca.

– A co, naprawdę chciałeś... no, tego? Dlaczego? Alosza ściągnął brwi i popatrzył na nią spode łba.

– Nic ci do tego!

– No... tak tylko pytam, z ciekawości. Wiesz, jeszcze nigdy nie widziałam, jak się ktoś wiesza. Dawaj, stary, nie krępuj się. Nie zamierzam przeszkadzać. Tylko popatrzę.

– Jesteś nienormalna? – Alosza był tak zmieszany, że chyba nie wiedział, co myśleć.

– Ja? – zdumiała się Alona. – Kto tu jest nienormalny? W końcu to nie ja chcę się powiesić.

– Nic nie rozumiesz! – wrzasnął chłopiec. Wtedy przez ramię dziewczyny zobaczył, że jego ojciec wyszedł na podwórko. Złapał ją za rękę i pociągnął za garaż, a potem ostrożnie wyjrzał.

– Kto to?

Ale artystka! Co za autentyczność! Jakby naprawdę nie wiedziała.

– Nieważne – burknął Alosza, nie odwracając się.

– O, już wiem! Pokłóciłeś się z rodzicami i teraz ci ciężko!

– Zamknij się, głupia!

Alona chyba była zszokowana jego wybuchem, ale zareagowała dość dziwnie. Zamiast się oburzyć, podeszła do niego, przysiadła obok i objęła go.

– Ojej, mały, ileś ty się musiał naciерpieć...

Alosza spał się, ale od razu rozluźnił mięśnie, a potem... niespodziewanie wtulił głowę w ramię Alony i rozpłakał się. Jednak nie był to płacz spowodowany cierpieniem, lecz taki, który przynosi ulgę. Anielka nie przeszkadzała chłopcu, jedynie delikatnie gładziła go po włosach.

– Płacz, mały, płacz. Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi.

– Nie rozumiesz... – wymamrotał Alosza przez łzy. – Nikt mnie nie rozumie! I nikt mi nie uwierzy!

– Dlaczego? Ja ci uwierzę...

W jej głosie było tyle współczucia i zrozumienia, że chłopiec nie wytrzymał i, dławiąc się łzami, zaczął opowiadać. Chyba po raz pierwszy od śmierci matki mógł się tak naprawdę wygadać. Na początku opowiadał, spiesząc się i łykając łzy, jakby się bał, że słuchający przerwie mu, wyśmiej go, powie, żeby nie plół bzdur.

Ale szczerze zainteresowanie Alony uspokoiło go i pod koniec mówił już bez pośpiechu, ale za to z beznadzieją w głosie.

– No i tak – zakończył. – Nikt nie może mi pomóc.

– Pod tym względem chyba masz rację. Naprawdę nikt nie może ci pomóc.

Alosza popatrzył na nią osłupiały; chyba nie spodziewał się po niej takiej zdrady. Ale dziewczyna wytrzymała jego wzrok.

– Ty... – zaczął.

Podniosła ostrzegawczo rękę i spytała:

– Nie przyszło ci do głowy, że nie potrzebujesz niczyjej pomocy?

– To znaczy jak to? Jak niby mam walczyć z diabłem?

– Taak... – Alona popatrzyła na niego ze smutkiem. – Faktycznie, jak? Naprawdę nie rozumiesz?

– Polać go święconą wodą, czy co?

A kysz, a kysz, zgiń, przepadnij! Będzie mnie tu wodą święconą polewał! Sikawkowy się znalazł!

– Wodą? Ojejku, oczywiście, że nie! Co w ten sposób osiągniesz? Jeszcze nie zrozumiałeś, że w chwili, gdy podpisałeś umowę, diabeł znalazł się wewnątrz ciebie? Musisz go pokonać! Jego, a nie tego, o kim mówisz. Jeśli zwyciężysz diabła w sobie, to nie będzie mógł ci nic zrobić. A jeśli go nie pokonasz, to nawet gdybyś zamieszkał w cerkwi i siedział w wannie z wodą święconą, i tak będziesz należał do niego. Prędzej czy później, ale będziesz.

– Czyli wszystko przez tę umowę?

– A dlaczego ją podpisałeś? – Alona popatrzyła na chłopca surowo.

Alosza wiercił się niespokojnie.

– Dlatego, że mi diabeł pokazał...

– A rzucać się na ojca z nożem też cię diabeł nauczył?

Alosza drgnął i odsunął się, z przerażeniem patrząc na dziewczynę.

– Skąd o tym wiesz?!

Anielka wstała. W jednej chwili całą jej postać otuliło lśnienie, nad głową zapłonęła aureola. Ech, gdyby jeszcze miała skrzydła, to dopiero byłby widok! Tymczasem lśnienie rozszerzało się coraz bardziej, aż musiałem się odsunąć. Co ona, zwariowała? Przecież mnie zaraz...

Jednak lśnienie dotarło do Aloszy i zatrzymało się. Chłopiec patrzył na lśniącą postać anioła, zaś dziewczyna uśmiechała się ze smutkiem i od tego uśmiechu aż się ścisnęło serce.

– Chłopcze, twój problem polega na tym, że straciłeś wiarę. Dlatego nikt nie może ci pomóc, nawet ja.

I nikt ci nie pomoże, prócz ciebie samego. Jeśli naprawdę chcesz się uratować, musisz walczyć. Będzie ci trudno, ale tylko wiara w siebie, we własne siły może tutaj pomóc.

– A nie wiara w Boga? – Alosza usiłował zrobić niezależną minę, jednak kiepsko mu to wychodziło.

– To przecież jedno i to samo. Biedaku... Sam nie wiesz, jaką umowę zawarłeś. W tym rozumieniu, o którym mówisz, Bóg nie istnieje. On jest wszystkim, co nas otacza, twoja dusza to Jego część. Sprzedając ją, sprzedałeś część Boga. Tracąc wiarę, straciłeś również nadzieję – stąd twoja nieprzemyślana decyzja. Ale przecież po śmierci nic się nie skończy – nie pomyślałeś o tym?

– To co mam teraz zrobić?!

– Szukać. Szukać wiary. Uwierzyć całym sercem. A gdy uwierzysz, znajdziesz w sobie siłę do walki z diabłem. Wtedy sam wszystko zrozumiesz.

– A ty mi nie pomożesz?

– Pomogę. Ale nie tak, jak myślisz. Zorganizuję ci jedno spotkanie.

– Spotkanie? – Alosza stropił się. – Z kim?

– A jak myślisz? Kto jeszcze cierpi, oprócz ciebie? Kto zrezygnował z raju dlatego, że komuś innemu na ziemi jest bardzo źle? Kto jest gotów zejść do piekła tylko dlatego, żeby uratować pewnego upartego chłopca?

– Mama... – szepnął.

Alona odwróciła się i jej lśnienie zaćmiło słońce. Zwariować można... Nie wiem, jak to możliwe, ale naprawdę lśnienie anioła zaćmiło słońce! Zupełnie jakby nakryło wszystko wokół niewidzialną kopułą. I wtedy wewnątrz kopuły zapłonął słaby płomyk. Alona odwróciła się do niego.

– Macie pięć minut. Nic więcej nie mogę dla was zrobić.

Płomyk zamigotał i przemienił się w dobrze mi znaną postać kobiety.

Podszedłem bokiem do Alony, jednocześnie obserwując spotkanie matki z synem.

– Zwariowałaś?! – zasyczałem. – Wiesz, co narobiłaś?!

Skrzydłata uśmiechała się bez troski.

– Oczywiście. Ale spójrz na nich... Czy to nie jest warte tych gromów i błyskawic, które spadną na moją głowę, gdy wszyscy się o tym dowiedzą?

Zerknąłem na promieniejącą Alonę, a potem na matkę i syna.

– Dobra – burknąłem. – Powiemy, że działaliśmy w porozumieniu.

Dziewczyna popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. W końcu jesteśmy zespołem, prawda?
 – Ale przecież niczego nie uzgadnialiśmy! To będzie kłamstwo!
 – Naprawdę? – uśmiechnąłem się. – A jak myślisz, czy mogłem przeszkodzić temu spotkaniu? Bo mnie się wydaje, że bez większych problemów.

Przeniosła wzrok na Zoję i Aloszę, a potem znowu na mnie.

– O Ezergiliu! – zawołała, rzucając mi się na szyję. – Dziękuję! Jesteś prawdziwym przyjacielem!
 – Dobra, dobra... – burknąłem, czerwieniąc się jak burak. – Przecież naprawdę jesteśmy zespołem. I chyba nieźle nam idzie... A gromy i błyskawice... do licha z nimi. Przeżyjemy. Wiesz co, posiedź tu z nimi, a ja popatrzę, dokąd poszedł ojciec naszego obwiesia.

– On wcale nie jest obwiesiem!

– Tak, tak, jest posłusznym, grzecznym chłopczykiem. Nie kradnie, nie rzuca się z nożem na ojca...

– Ezergiliu! Znowu zaczynasz się okropnie zachowywać!

– No to co? Przecież to właśnie powinno być moje naturalne zachowanie. Dobra, leczę.

Odwróciłem się i pobiegłem, zanim zdołała coś powiedzieć. No i dobrze. Niech sobie nie myśli, że się rozkleiłem i dlatego pozwoliłem na to spotkanie. Jeszcze czego! Po prostu... Po prostu to był najlepszy sposób, żeby przywrócić chłopcu zaufanie do ludzi. Dlaczego miałbym przeszkadzać? Przecież mnie też na tym zależy! Krótko mówiąc, zrobiłem to z czystego wyrachowania.

Utwierdzając się w tym przekonaniu, szedłem ulicą, zastanawiając się, dokąd mógł pójść Nienaszew. Jednocześnie rozglądałem się na boki w obawie przed Ksefonem. Ale Ksefona nigdzie nie było, ojca Aloszy zresztą też. Wtedy moje spojrzenie padło na restaurację. Przyglądałem jej się przez chwilę, a potem zawróciłem. Pytanie: „Dokąd pójdzie alkoholik, gdy zetknie się z trudnym problemem? Jeśli do tego jeszcze ma pieniądze?”.

Tak jest... Pewnym krokiem skierowałem się do restauracji.

Zgadłem: Wiktor Nikołajewicz siedział pod oknem i z nieobecną miną pił piwo. Na stole stała również butelka wódki. Jasne, wódka bez piwa to pieniądze wyrzucone w błoto, każdy to wie. Obejrzałem salę. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, tylko dwóch podejrzanych typków z niejakim zainteresowaniem przyglądało się ojcu Aloszy. Nie spodobało mi się to zainteresowanie, zwłaszcza, że typki wyglądały na kandydatów do piekła.

Niezauważony przez nikogo podszedłem do Wiktora Nikołajewicza i usiadłem. Zdażył się już upić. Tuż przed nim leżała studolarówka – a, teraz jasne, skąd zainteresowanie tamtych typków. Podparłem głowę ręką i z zaciekawieniem obserwowałem tę jednoosobową libację. O, taki profesjonalizm cechował wyłącznie prawdziwych weteranów walki z kieliszkiem i ogórkiem kiszonym. Tak się zapatrzyłem, że nie zauważyłem, jak do stolika przysiadło się tych dwóch kolesiów. Udając radość ze spotkania, uśmiechali się do niego grymasem zastrzeżonym dla ludożerców. Jeden nalał wódki do kieliszka Nienaszewa.

– Dziękuję – odparł ten obojętnie. Szybkim ruchem wlał wódkę do gardła i nawet się nie skrzywił.

Drugi wyciągnął spod ręki pijaka studolarówkę i przyjrzał jej się uważnie.

– No proszę! – zawołał z udawanym zachwytem. – Prawdziwe! Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę autentyczne dolary!

Aha, już w to wierzę! Spojrzałem na złoty zegarek na ręce typka, na garnitur, szyty pewnie w piwnicy, z metką „Cardin”, niewątpliwie także przyszyta w tej samej piwnicy... Włosy sterczały mu niedbale na wszystkie strony, ale krawat był przekłuty prawdziwą złotą szpilką z brylantem. Jasne, ten gość faktycznie mógł nie mieć nic wspólnego z pieniędzmi, w każdym razie z rublami. Za to łatwość, z jaką odróżniał prawdziwe dolary od fałszywych, budziła pewne refleksje.

Wiktor Nikołajewicz z trudem podniósł głowę.

– Prawdziwe? Pewnie, że prawdziwe, niech je szlag trafi! Już bym wolał, żeby były fałszywe!

Garniturowcy wymienili spojrzenia.

– A czemu?

Postukałem się palcem po ustach; wiedziałem, że nikt nie zauważy tego gestu, ale może, może... A nuż ten idiota wyczuje coś swoją przesiąkniętą alkoholem duszą? Niestety! Tylko w bajkach durnie mają szczęście.

– Cała walizka pieniędzy! Wyobrażacie sobie? Cała walizka! Ja się go... no... pytam... skąd żeś je wziął... A on na mnie... tego... nożem! Na własnego ojca... z nożem!

– Pana syn ma walizkę z pieniędzmi? – zapytał z niedowierzaniem drugi typ. Wyglądał sympatyczniej i miał gust, przynajmniej jeśli chodzi o ubranie. Może jego garnitur nie był od Cardina, ale na pewno wart był pieniędzy, które za niego zapłacono.

– A kto go tam wie! – zawołał oburzony Wiktor Nikołajewicz. – Powiedział, że znalazł! A potem z nożem! Na ojca!

Wtedy zauważyłem, że Zadufek, jak nazwałem typka ze złotym zegarkiem, zręcznie wyjął z marynarki Nienaszewa dokumenty, podczas gdy Akuratny odwracał jego uwagę. Toż to trzeba być pijanym w sztok, żeby czegoś takiego nie zauważyć!

– Upadł panu dowód – zauważył Zadufek, oddając Nienaszewowi dokument.

– Co? – Ojciec Aloszy z trudem skupił się na dokumencie. – Że... żękuje...

Typki znów wymieniły spojrzenia i oddaliły się. W bezpiecznej odległości jeden wyjął komórkę. Nadstawilem uszu.

– Na pewno, Bag, człowieku! Sam widziałem! Mówi, że jego syn znalazł gdzieś walizkę z pieniędzmi... Może i kłamie, ale żeby tak się nachlać... No pewnie, Bag, za kogo ty nas bierzesz? I adres, i nazwisko. Zaraz Klin podyktuje.

Ale mają ksywki: Bag, Klin... Zresztą, guzik mnie obchodzą ich ksywki. Zrozumiałem to, co najważniejsze i już nie słuchałem, jak Klin dyktuje Bagowi dane wyczytane w dowodzie.

Popatrzyłem na ojca Aloszy i lekko klasnąłem w dłonie nad jego uchem. Mężczyzna błyskawicznie wytrzeźwiał i popatrzył na mnie zdumiony, a ja odprowadziłem wzrokiem dwóch bandziorów – bo co do tego, że są przestępcami nie miałem żadnych wątpliwości.

– Kim ty jesteś, mały? – zdumiał się Nienaszew. Uśmiechnąłem się uprzejmie, nalałem sobie piwa i podniosłem kufel.

– Pańskie zdrowie, Wiktorze Nikołajewiczu. Jestem pełen podziwu. Nie każdy zdołałaby w ciągu jednego życia zabić żonę, zniszczyć życie synowi i do tego jeszcze sprzedać go bandytom.

– Co ty pleciesz! – wściekł się. Ludzie spojrzeli na niego zaskoczeni, do stolika podszedł kelner.

– Bardzo proszę, żeby zachowywał się pan ciszej – powiedział stanowczo kelner. – W przeciwnym razie będę musiał pana wyprosić.

– Ale on... – Oburzony alkoholik machnął ręką w moim kierunku.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

– Niepotrzebnie pan o mnie wspominał. Kelner tymczasem patrzył zdumiony na krzesło, które wskazał Nienaszew.

– Jaki on? – spytał, nadal uprzejmie.

– Ten szczeniak!

– Szczeniak? – Kelner ciągle usiłował być grzeczny.

– No co, nie widzi pan chłopaka? Siedzi naprzeciwko mnie i jeszcze się bezczelnie śmieje!

– Może niech pan już więcej nie pije... Jakiego chłopaka? Przy stoliku siedzi tylko pan! Nie sądzi pan, że czas iść do domu?

– Robi pan ze mnie wariata? On tam siedzi!

– Nie mam ani czasu, ani ochoty słuchać pańskich bredni. Albo będzie się pan zachowywał spokojnie, albo pana stąd wyprowadzą! To ostatnie ostrzeżenie! – Kelner odszedł, a Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie.

– Ktoś ty? Biała gorączka?

– Nie, co też pan. Jestem pańskim wiernym fanem... – Urwałem i spojrzałem na chodzącą po stole muchę. Właściwie taki owad w restauracji nie jest niczym zaskakującym i nie byłoby w niej nic dziwnego – przecież mogła tu sobie łązić w jakichś swoich sprawach. W ogóle nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby... gdyby nie to, że miała głowę Ksefona! Na widok tego mutanta omal nie parsknąłem śmiechem. Co za tuman!

Od razu domyśliłem się, jak to się stało. Gdy dostrajasz wzrok lub słuch do zwierzęcia to widzisz i słyszysz tak, jak ono, a to, delikatnie mówiąc, nie zawsze jest wygodne. Na przykład pajak patrzy na świat ośmiorgiem oczu, co dla człowieka jest wariantem dość ekstrawaganckim. Sam odbiór bodźców też sporo się różni – obraz jest pozbawiony kolorów. Nic dziwnego, że Ksefonowi nie spodobało się patrzenie na świat oczami muchy, wolał podsłuchiwać i podpatrywać w sposób, do jakiego był przyzwyczajony. Tylko że w efekcie wyszła mu mucha z głową diabła. Tego głupek rzecz jasna nie przewidział, pewnie nie było go na lekcji, na której o tym mówiono.

Wziąłem ze stołu serwetkę – Ksefon, zaabsorbowany podsłuchiwaniami, nawet tego nie zauważył – zwinąłem ją ostrożnie, podniosłem i... trzask! Krzyk, jaki rozległ się na dworze podziałał na moją duszę niczym balsam. Skoro mój przyjaciel do tego stopnia zintegrował się z muchą, że aż dał jej swoją głowę, cios musiał się na nim zdrowo odbić. Właśnie zarobił niezłego guza...

Strzepnąłem martwą muchę na podłogę i wyjaśniłem zdumionemu Wiktorowi Nikołajewiczowi:

– Nie lubię much.

– Kim ty w ogóle jesteś? – spytał ponuro.

– Ja? Może mnie pan nazywać Sędzią i nie będzie w tym grama przesady. Jestem pańskim sumieniem.

– Wiesz co, sumienie? Spadaj do domu.

– Zdaje się, że nadal nie rozumie pan, z kim ma do czynienia – uśmiechnąłem się uprzejmie. – Dobrze, wyjaśnię to panu, w celu, jak to mówią, uniknięcia nieporozumień. Nazywa się pan Wiktor Nikołajewicz Nienaszew, ma pan trzydzieści dwa lata. Czternaście lat temu ożenił się pan z Zoją Nienaszewą, przed dwunastu laty urodził się wam syn. Niedawno, w tym roku zmarła pańska żona i, ośmielę się zauważyć, zmarła na skutek pobicia.

– Kłamiesz!

– Niech pan tak nie krzyczy, bo naprawdę pana wyrzucą. A co, czyżby lekarze nie poinformowali pana o przyczynie zgonu? Zastarzały uraz śledziony. Ciekawe, skąd się wziął? Jak pan myśli?

Wiktor Nikołajewicz jęknął, opuścił głowę na ręce.

– Kim jesteś?...

Udałem, że nie usłyszałem pytania.

– Przy okazji, zdaje się, że wtedy pobił pan żonę przy synu? Jak pan myśli, czy chłopiec zna przyczynę śmierci swojej matki? Pewnie tak... Nie tak dawno oburzał się pan, że Alosza rzucił się z nożem na rodzonego ojca... A z czym pan rzuciłby się na rodzica, gdyby wiedział pan, że zabił mu matkę?

– Zamilcz!

– Ach, no tak, i jeszcze te kradzieże... Również ciekawa sprawa. Skąd dziecko ma całą walizkę dolarów?

Niebezpieczne znalezisko, nie sądzi pan? Przecież te dolary do kogoś należą, ktoś ich szuka... A tatuś, zamiast pomóc synowi, upija się jak świnia za te właśnie pieniądze i rozpowiada na prawo i lewo, gdzie znalazł dolary, w dodatku podając swój adres!

– Ja nie...

– Ach, pan nie? Chyba muszę odświeżyć panu pamięć... – Wysunąłem dłoń w jego stronę. – Proszę sobie przypomnieć! Już?

– Ja nie... O, do diabła! – Spojrzał na mnie przerażony. – Opowiedziałem im wszystko?

– Wszystko nie, ale wystarczająco dużo. Mają namiary.

– A może oni nie...

– Nie? Niech pan patrzy. – Wziąłem spodeczek, na którym stała solniczka i pieprz, wylałem na niego wódkę i podsunąłem Wiktorowi Nikołajewiczowi. – Niech pan spojrzy w swój ulubiony napój. No, dalej...

Wiktor Nikołajewicz popatrzył zaskoczony na spodeczek; w nim, jak w telewizorze, mógł sobie obejrzeć i wysłuchać całą rozmowę telefoniczną. Po tym seansie zrobił się bladozielony.

– Do diabła!

– Do usług, mistrzu – skłoniłem się błazeńsko. Ojciec Aloszy nie zwrócił na mnie uwagi, złapał butelkę wódki i pociągnął spory łyk.

– Ulubione lekarstwo? – spytałem sucho. – Zresztą, czemu miałbym przeszkadzać? Śmiało! O, tu jest jeszcze piwo...

– Kim jesteś?

– Przecież już się poznaliśmy. Dzisiaj. Raz, dwa, trzy, przypomnisz sobie ty!

– To ty... to ty byłeś dziś u mnie! Ty powiedziałeś, że bym zajrzał pod łóżko syna! A więc wiedziałeś o walizce?! I... czekaj, czekaj... powiedziałaś, że...

– Ze jestem diabłem. Tak jest. Nazywam się Ezergil, do usług. Muszę powiedzieć, że jestem dla pana pełen podziwu; niewielu ludziom udaje się w ciągu tak krótkiego życia osiągnąć aż tyle. Zabójstwo żony, znęcanie się nad synem, zdrada własnego dziecka, pijaństwo, kradzieże... Naprawdę gratuluje. Wie pan co? Jak już się pan u nas znajdzie, niech pan poprosi, żeby mnie zawołano. Pogawędzimy sobie.

– U was, to znaczy gdzie? – Twarz Wiktora Nikołajewicza pokryła się czerwonymi plamami.

– Jak to gdzie? Nie rozumie pan? A właśnie, radziłbym panu znów się upić.

– Po co? – Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie oszalałym wzrokiem.

– Co za pytanie? Znów pan nie rozumie? Przecież teraz bandyci pojedą do pańskiego domu. Znajdą tam walizkę i oczywiście będą chcieli się dowiedzieć, gdzie pański syn ją znalazł; bo że pan nie ma z tym nic wspólnego, to już wiedzą. Wkrótce Alosza wróci do domu, a wtedy go złapia i zaczną torturować. Proszę mi wierzyć, to bardzo nieprzyjemny widok, lepiej, żeby pan tego nie oglądał. Pan pozostanie poza podejrzeniami, wszyscy goście restauracji to potwierdzą i żadna milicja niczego panu nie udowodni. Syna już pan więcej nie zobaczy – westchnąłem ze smutkiem – więc nikt nie będzie hańbił pańskiego nazwiska, czego tak bardzo pan nienawidził.

– Ja nie...

– Chce pan powiedzieć, że nie nienawidził pan syna? O, doprawdy? – Nagle doznałem olśnienia i znieruchomiałem z szeroko otwartymi oczami. Do licha, przecież to idealne rozwiązanie! Dlaczego od razu na to nie wpadłem?! Co za kretyn ze mnie!!! – Zresztą – mówiłem dalej z uśmiechem – pod jednym względem ma pan rację. Kochał pan syna, ale nie wybaczył mu pan śmierci żony, czy raczej tego, że chłopak znał prawdę. Zdawał pan sobie sprawę z własnej zbrodni, ale znacznie gorsza była świadomość, że syn też ma tego świadomość. To dlatego zaczęły się „lekcje wychowawcze”... Cóż, myślę, że śmierć małego bardzo panu pomoże. No, niechże się pan odpręży... Proszę pomyśleć, co za ulga! Już nikt samą swoją obecnością nie będzie przypominał o winie! Nie będzie się pan już musiał chować za wódką! Niech pan sobie żyje na zdrowie... A jeśli chodzi o pieniądze... Proszę wziąć to zamiast tamtej walizki.

Przy stoliku powoli zmaterializowała się taka sama walizka jak ta, którą Alosza dostał od Ksefona. Wiktor Nikołajewicz popatrzył na nią osłupiały, potem spojrzął na mnie i znów na walizkę. Było widać, że mój monolog powoli dociera do jego mózgu.

– Chcesz... Chcesz, że bym sprzedał mojego syna za pieniądze?!

– Coś się panu w tym nie podoba? – zdumiałem się. – Do tej pory sprzedawał go pan za swoje nieczyste sumienie, wymieniał na wódkę, więc dlaczego nie miałby pan tego samego zrobić za pieniądze? Myślę, że to znacznie korzystniejsza transakcja. Ech, muszę przyznać, że ludzie rozmieniają się na drobne... Kiedyś sprzedawali duszę za władzę, za tony złota, a teraz? Za wódkę. Fuj!

– Ty...

Wiktor Nikołajewicz zupełnie stracił panowanie nad sobą – zerwał się, złapał krzesło i chciał mnie nim dzielić. Uchyliłem się i cios spadł na stół. Przed drugim uderzeniem też się uchyliłem, a trzeciego nie pozwolono mu już zadać. Kilku kelnerów rzuciło się na Wiktora Nikołajewicza od tyłu i powaliło go na ziemię.

– Ajajaj! – Pokręciłem głową. – Nie chciał pan za pieniądze, trzeba będzie oddać darmo. Zaraz zawiozą pana na milicję i nie będzie jak pomóc synowi. Naprawdę nie rozumiem ludzi... Najpierw chce, żeby szczeniak umarł, a teraz, gdy jego życzenie ma się lada chwila spełnić, leci mu na pomoc...

– Puście! – wrzasnął Wiktor Nikołajewicz, daremnie usiłując wyrwać się z uścisku kelnerów. – Muszę ratować syna! Chcą go zabić! No, puszczajcie mnie! Nie widzicie, że tu jest diabeł? Mówi, że zabije Aloszkę!

– Niech ktoś wezwie milicję! – zawołał jeden z kelnerów.

– Chyba raczej pogotowie... – zasugerował któryś z gości.

Pogotowie, pogotowie... Wzywajcie sobie swoich medyków, tylko nie spodziewajcie się, że komukolwiek pomogą...

– Pali się! – wrzasnąłem z całych sił.

Na taki okrzyk ludzie reagują zawsze identycznie i tutejsi goście nie stanowili wyjątku. Wszyscy od razu zapomnieli o „wariacie” – goście rzucili się do wyjścia, kelnerzy zaczęli rozglądać się w popłochu, gdzie jest ogień i ten, kto krzyczał. Korzystając z zamieszania, Nienaszew rzucił się do ucieczki. Na zewnątrz już wyła syrena. Ktoś jednak wezwał milicję. Jednym słowem – totalny burdel. Klienci latali jak opętani, kelnerzy i kucharze również... Miałem ochotę dłużej napawać się tym widokiem, ale nie było czasu. Szkoda... Bo kiedy znów nadarzy się okazja popatrzeć na coś takiego?

Wiktor Nikołajewicz pędził jak wariat. Gdyby komuś przyszło do głowy zmierzyć czas, w jakim pokonał trasę od restauracji do domu, pewnie zostałby ustanowiony nowy rekord świata. Przecież jestem nieźle wysportowany, a i tak nie mogłem za nim nadążyć. Nienaszew wpadł do mieszkania jak bomba, a ja przystanąłem na chwilę, żeby popatrzeć na wyważone drzwi, ale słysząc odgłosy walki, pobiegłem dalej.

W środku było trzech mężczyzn tak potężnych, że można by z nich „wykroić” jeszcze ze dwóch normalnych ludzi. Zacząłem nawet współczuć ojcu Aloszy – jak można wpaść na złamanie karku do lokalu, w którym siedzą bandyci? Ale gdy przyjrzałem się bijatyce, zmieniłem zdanie. To nie Wiktorowi należało współczuć. Rzucił się do walki z taką furją, że bandyci nawet nie zdążyli wyciągnąć broni. Jeden od razu dostał w... no, w jądra, co na dłuższą chwilę usunęło go ze sceny, drugi – ledwie wstał z krzesła – oberwał patelnią w głowę. Czaszka okazała się dość mocna, patelnia straciła uchwyt, ale mięśniak mimo wszystko został znokautowany. Z całej trójki tylko ostatni zdążył odskoczyć i nawet wyjąć pistolet, jednak niewiele mu to pomogło. Nienaszew znajdował się teraz w takim stanie, że było mu absolutnie wszystko jedno, ilu jest tu wrogów, jak wyglądają i w co są uzbrojeni. Bez namysłu złapał ze stołu solniczkę, cisnął nią w mężczyznę z całej siły. Za solniczką pomknęła pieprzniczka. Facet złapał się za twarz i zaczął trzeć oczy, krzycząc coś. Nienaszew również wrzeszczał, trzymając trzeciego bandytę za koszulę na piersi, darł się:

– Gdzie jest mój syn?! Gdzie mój syn?! Tamten nadał tarł oczy.

– Wariacie! – krzyczał. – Skąd ja mam wiedzieć, gdzie on jest?! Sami na niego czekamy!

Wiktor Nikołajewicz nagle puścił nieszczęśnika, aż zatoczył się i wyrzucił głowę w kaloryfer. Wtedy odżyła przytomność pierwszy, który oberwał... no, w krocze. Ojciec Aloszy odwrócił się do niego i potarł pięść.

– Gdzie jest mój syn?! – Cios w szczękę. – Gdzie? – Znowu cios. Bandyta zachwiał się. – Gdzie?! Gdzie?! Gdzie?! – wrzeszczał Nienaszew, a każdemu okrzykowi towarzyszył cios.

Wtrącić się? Dlaczego diabły nie mogą ingerować bezpośrednio?! Splunąłem z irytacją. Ech, taka rozrywka...

– Dawaj, dawaj! – zagrzewałem Wiktora do walki. – Strzel go! Tak jest! I jeszcze raz! Nie w szczękę, nie widzisz, że zuchwę ma stalową?! W kolano go! W kolano! Tak!!! Ojej...

Ostatni okrzyk wyrwał mi się zupełnie niechcący, ale chciałbym zobaczyć tego, co by na moim miejscu nie krzyknął... Zdaje się, że wściekły Nienaszew usłyszał moje wrzaski, bo odwrócił się i spojrzał w moim kierunku. O matko, jakie on miał oczy! Wyglądał, jakby gotów był zabijać i to wcale nie tamtych nieszczęśników, tylko mnie! Ale za co?! Co ja mu zrobiłem?! Zaczął się do mnie zbliżać.

– Ej, stary, stój! Co chcesz zrobić? Hej, nie wiesz, że ludzie nie mogą zabijać diabłów! Nie wolno, mówię!

Mogą czy nie mogą, wolno czy nie wolno, ale uznałem, że lepiej dać nogę. Zamorduje mnie, a potem weź i udowodnij, że nie jesteś wielbłądem. Stworzyłem szybko iluzję i rozpląnąłem się w niej. Wiktor Nikołajewicz drgnął, rozejrzał się. Chyba wreszcie się ocknął. I bardzo dobrze! Będzie tu robił za berserkera, kurde mol! Faktycznie wyszedł z amoku, bo teraz patrzył oszołomiony na leżących nieruchomo trzech potężnych bandytów. Walizkę z pieniędzmi umieścili na stole. Chyba zastał ich na liczeniu zysków. Taak, jeśli chodzi o utarg, to na pewno przybył im na koncie spory zapas siniaków. Gdyby mieli mózgi, można by się obawiać, że doznali nawet wstrząsu...

Tymczasem Wiktor Nikołajewicz z jękiem opadł na taboret i objął głowę rękami.

– O Boże, Boże... – szepnął.

Jasne, jak trwoga to do Boga. Jak pić i bić żonę, to żaden Bóg nie jest potrzebny, ale jak sami znaleźliśmy się w opałach, od razu sobie o Nim przypominamy! Nienaszew siedział tak z dziesięć minut, a ja w tym czasie

stałem naprzeciwko i leniwie stukalem nogą w lodówkę, lubując się malowniczą scenką: trzech byczków rozłożonych w różnych pozach na podłodze i jeden głupi Iwan, jęczący cicho i kołyszący się na taborecie.

– Gdzie jest mój syn?.. – zapytał, wznosząc oczy ku górze.

Ciekawe pytanie. Wyjąłem notes, by połączyć się z Aloną.

„Co tam u was?”

„Wszystko w porządku, topimy się”.

Muszę przyznać, że najbardziej lubiłem tego aniołka za poczucie humoru.

„U mnie też wszystko w porządku. Grzmocimy bandytów. Trzech leży nieprzytomnych”.

„Jakich bandytów?!!!!!!” – dokładnie taki napis pojawił się w notesie, z jednym znakiem zapytania i całą masą wykrzykników.

„A jak wam idzie topienie się?” – odpisałem.

„Znów się wygłupiasz?”

„Ty pierwsza zaczęłaś”.

„Właśnie, że ty!”

„A właśnie, że ty!”

„A właśnie, że.. Postępuj, Ezergil, nie masz nic innego do roboty, tylko się ze mną droczyć?” – nie wiem, jak Alona zdołała to zrobić, ale od napisu w notesie powiało chłodem. Niemal słyszałem jej wściekły głos. Gadaj tu z taką!

„Dobra. Jasne. Przepraszam. Jak się topicie, to się topicie, a ja mam tu masę roboty. Muszę zdecydować, co zrobić z tymi zbirami!” – i nie czytając już odpowiedzi, złożyłem notes i schowałem go do kieszeni. Notes od razu się nagrzał, co oznaczało, że dostałem wiadomość, ale postanowiłem to zignorować. Jednak Alona była wyjątkowo uparta – wiadomość przychodziła za wiadomością. Wytrzymałem tak pięć minut, zanim w końcu wyjąłem notes.

„Ty idioto, bałwanie.. ” – dalej już nie czytałem, włożyłem otwarty zeszyt do lodówki. Spodziewałem się, że wypisywanie epitetów potrwa dłuższą chwilę, a ponieważ właściwie nigdzie się nie spieszyłem, postanowiłem nie psuć dziewczynie zabawy. Co parę minut zerkałem na notes, czy jeszcze się nie zmęczyła – za każdym razem okazywało się, że nie. Muszę przyznać, że anielska pracowitość przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Gdyby jeszcze udało się tę energię spożytkować w jakichś innych celach.. Dopiero dziesięć minut później w strumieniu różnych porad, pouczeń i wypowiedzi o moich zdolnościach umysłowych, udało mi się wychwycić pytanie: „Czy to dla ciebie jasne?!”.

„Jasne” – odpisałem, absolutnie nie przejmując się tym kłamstwem. W końcu komu jak komu, ale mnie kłamać wolno – jestem diabłem!

„To dobrze. A teraz mów, co się tam u was dzieje”.

Wolałem już jej nie drażnić i pokrótce opisałem ostatnie wydarzenia.

„Koszmar! Nie mogłeś go powstrzymać, zanim im się wygadał?”

„A jak sobie to wyobrażasz? Miałem krzyknąć: zamknij się, kretynie?!”

„No tak.. ”

„A co u was?”

„Ogólnie tak, jak ci powiedziałam. Alosza stoi na brzegu rzeki i rozmyśla. Wiesz, boję się, że on jednak skoczy. I chyba z tego zdenerwowania tak na ciebie nawrzeszczałam. Przepraszam”.

Bardzo słusznie. Anioł sam powinien zrozumieć, że popełnił błąd i przeprosić.

„Ja też przepraszam” – odpisałem. Ej, co się ze mną dzieje? W końcu nie jestem aniołem! Niech to szlag! Słusznie ludzie mówią: kto z kim przestaje, takim się staje. Hmm.. Moje usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu. Ciekawe, kim Alona stanie się po kontaktach ze mną? Diabła z anielskimi manierami jeszcze jakoś przełkną, ale anioła z diabelskimi?

Pograżony w rozmyślaniach, nie zwracałem uwagi, co robi Wiktor Nienaszew, a okazało się, że on już prawie wyszedł z domu! Jeszcze chwila i zostałbym w mieszkaniu sam z trzema nieprzytomnymi typami. Ciekawe, co też wymyślił i dokąd się wybiera? Zresztą, po co zgadywać, przecież mogę po prostu pójść za nim.

Rozdział 7

Jak się wkrótce okazało, Wiktor Nienaszew wybrał się, ni mniej, ni więcej, tylko do cerkwi. O rany, jak mi obrzydli ci grzesznicy z ich Domami Bożymi! Co to za pomysł: pójde do cerkwi, a wszystkie grzechy zostaną mi odpuszczone! Przecież grzechy odpuszcza się za czyny, a nie za świeczkę, choćby wartą dwieście dolców! Słyszałem kiedyś, jak chwaliło się dwóch takich nowych Ru. . . grzeszników. „Postawiłem w cerkwi świeczkę za dwadzieścia zielonych!” „O – mówi drugi – ja nagrzeszyłem tyle, że musiałem setkę wyłożyć!”

Blee. . . A ten to samo. Ciekawe, ile wyłoży z tej walizki na przebłaganie za grzechy?

Ale Wiktor Nikolajewicz mnie zaskoczył. Wszedł do świątyni z walizką, czyżby naprawdę chciał wszystko oddać? Na szczęście nie była to ta cerkiew, do której trafił Aloszka. Może ojciec będzie miał więcej szczęścia niż syn?

Wszedłem na drzewo i zajrzałem przez okno. Do licha, dlaczego nie mogę wejść do środka?! Nastawiali tu nie wiadomo czego. . . Nawet nie mogę podsłuchać rozmowy! Wszystkie moje umiejętności na nic. . . Splunąłem z irytacją, zeskokczyłem na ziemię i podszedłem do schodów. Nie pozostaje mi nic innego, jak zaczekać na Nienaszewa tutaj.

Wiktor Nikolajewicz wyszedł czterdzieści minut później w towarzystwie kapłana.

– Ciężkie są grzechy twoje, mój synu – westchnął pop.

– Ojcie, wierzysz mi? – w głosie Wiktora Nikolajewicza zabrzmiała głucha rozpacz. – Nie mam się do kogo zwrócić! Jak pójde na milicję, od razu odeślą mnie do czubków, powiedzą, że mam halucynacje z przepicia. . .

– Może to faktycznie jest wina delirium. . . – westchnął kapłan. – Może. . . Jednak pieniądze w walizce są prawdziwe i to jest fakt. Pański syn naprawdę potrzebuje pomocy. Jaki byłby ze mnie kapłan, gdybym odmówił pomocy potrzebującemu?

– Dziękuję, ojcie. . .

Kapłan przeżegnał Wiktora Nikolajewicza, a ja aż się wzdrygnąłem. A niech to! Ze też musiałem trafić na prawdziwie wierzącego. Zresztą, w tym konkretnym przypadku to akurat bardzo dobrze. . .

– I co się tak gapisz? – usłyszałem zniechęca. Jasne! Jeszcze tylko jego tu brakowało! Skorzystał z mojej nieuwagi i proszę! Odwróciłem się powoli.

– Ksefon, to znowu ty? Czego ode mnie chcesz? Nie masz swojego zadania, czy co?

Ksefon wyszczerzył zęby.

– Nawet na to nie licz! – oznajmił ni w pięć, ni w dziewięć i zniknął. Ale od razu z powietrza wyłoniła się jego głowa: – A zadania i tak nie wykonasz! Zostaniesz na drugi rok!

Nie zdążył zniknąć powtórnie – pstryczek w czoło wyrzucił go z iluzji i Ksefon gruchnął na ziemię, a ja błyskawicznie zniknąłem. Wrzaski mojego kolegi z klasy zwróciły uwagę otoczenia i przyciągnęły widzów.

– Ezergil!!! – darł się ten głupek, biegnąc i wymachując rękami. – Wiem, że tu jesteś! Niech ja ci tylko dorwę! O, pewnie, pewnie, bardzo się boję!

– Chłopcze, co ci się stało? – spytała jakaś staruszka. – Zgubiłeś coś?

Ksefon prychnął ze złością. Wtedy podeszli do niego kapłan i Wiktor Nikolajewicz.

– Co z tobą, mój synu?

– Jaki ja dla ciebie jestem syn, dziadu?! – Diabeł, zamroczony wściekłością, nie zauważył, do kogo mówi.

Pop położył mu rękę na ramieniu. . . Rany kota, co to był za wrzask! Pod tym dotykiem ramię Ksefona zaczęło dymić, ubranie zostało przepalone na wylot. Głupi diablak z wrzaskiem rzucił się do ucieczki, a na jego barku przez dziurę w bluzie widniał odcisk dłoni kapłana – jak piętno! No, no, nie doceniłem tego człowieka! Żeby czart tak zareagował na zwykły dotyk?! Nawet świętym nie zawsze się to udawało! Zresztą, to akurat jasne. . . Święci to święci, muszą przestrzegać reguł gry. Tylko zwykły człowiek może zmieniać reguły. . . jeśli ze chce, bo jest przecież znacznie silniejszy od dowolnego świętego czy diabła – w zależności od tego, jaką drogę wybrał. Ten kapłan wyraźnie należał do ludzi, którzy chcą zmieniać reguły i robią to z łatwością. Uu, lepiej takiemu nie wchodzić w drogę.

Kapłana zupełnie zatkało; patrzył zszokowany to na swoją rękę, to na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał dziwny chłopak. Zgromadzone nieopodal staruszki robiły znak krzyża i szeptały modlitwy. W końcu duchowny ocknął się, wziął Wiktora Nikolajewicza za rękę i wyciągnął go ze zbiegowiska.

– Teraz panu wierzę – powiedział wstrząśnięty.

– To. . .

– Tak. To był ktoś *stamtąd*. Czy gdyby było inaczej, oparzyłby go mój dotyk? Diabły nie znoszą krzyża. A przecież ja noszę krzyżyk. . .

E, chyba przechwaliłem tego kapłana... Najwyraźniej nie zrozumiał, że tu nie chodzi o symbol, ale o niego samego. Gdyby Ksefona dotknął jakiś inny kapłan, nawet obwieszony krucyfikami, wcale nie musiałyby nastąpić taka reakcja. Wiktor Nikołajewicz nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęście. Ech, gdyby jego syn nie trafił w tamtej cerkwi na takiego zakazanego typu, wszystko byłoby znacznie prostsze...

Tymczasem kapłan i ojciec Aloszy zdążyli odejść spory kawałek i musiałem ich gonić.

– Niech pan tu na mnie zaczeka – poprosił pop. – Przebiorę się tylko i wracam.

Nie kazał na siebie długo czekać, wkrótce wyszedł z domku przy cerkwi, ubrany teraz w zwykły garnitur.

Ojciec Aloszy, nerwowo przechadzający się przed gankiem, podbiegł czym prędzej. Kapłan popatrzył na niego zamyślony.

– Wie pan, Wiktorze Nikołajewiczu, co najbardziej zastanowiło mnie w pańskiej historii?

Ojciec Aloszy popatrzył na niego zaskoczony i uśmiechnął się krzywo.

– Mnie cała ta historia się nie podoba!

– Nie, nie, historia to swoją drogą... Widzi pan, w ostatnim czasie na pańską rodzinę spadło tyle nieszczęść... Odnoszę wrażenie, że bez nieczystego się tu nie obeszło.

I to ja mam być ten nieczysty?! Czemu ludzie są tacy głupi?! A skoro już o tym mowa, to chciałem powiedzieć, że myję się częściej niż niektórzy ludzie, więc nieczystym przezywać mnie nie należy!

– Tak, tak... – Wiktor Nikołajewicz skinął głową.

Kapłan spojrział na niego ostro.

– Niech pan nie szuka dla siebie usprawiedliwienia. Dzisiejsze wydarzenia to jedynie konsekwencja niegodnych czynów i bez uświadomienia sobie tego wszystkiego nigdy nie wyrwie się pan z zaklętego kręgu nałogu, nie zdoła pomóc swojemu synowi.

Tak, tak, tak!!! Brawo!!! Gotów byłem ucałować kapłana! Że też udało mi się spotkać mądrego, uczciwego, znającego się na rzeczy duchownego! Zazwyczaj byli to albo prawie święci, ale... no, słabujący na umyśle, albo inteligentni, ale... dalecy od świętości. Ktoś, kto posiadał oba te atrybuty jednocześnie zdarzał się niezwykle rzadko. Ten kapłan był realnym kandydatem na prawdziwego świętego, również po śmierci.

– W całej tej historii zastanawia mnie coś zupełnie innego, a mianowicie to, że ten diabeł ukazał się i o wszystkim panu opowiedział. Po co? Gdyby tego nie zrobił, pewnie nie przybiegłby pan do cerkwi. Nie sądzę, żeby wysłannicy piekła byli takimi durniami i nie rozumieli tak prostych rzeczy. Ech, gdyby wrogowie rodzaju ludzkiego naprawdę byli głupi...

O, mówi tak, bo nie miał do czynienia z Ksefonem! Ale dlaczego zaraz „wrogowie rodzaju ludzkiego”? Niby mądry, niby święty, a taki sztamkowy. Nie jesteśmy żadnymi wrogami... najwyżej czyścicielami. Dlaczego diabłów uważa się za wcielenie zła? Niech ktoś mi powie: czy karanie zła jest złem? A jeśli nie, to dlaczego nas, którzy wymierzamy sprawiedliwość, nazywa się złymi? Przecież wcale nie życzymy ludziom źle... Przecież jeśli ludzkość by znikła, nas również zabraknie! I my, i aniołowie możemy egzystować tylko dopóty, dopóki istnieją ludzie, którzy w nas wierzą. Jak więc możemy im źle życzyć?

– Nie rozumiem tego – powiedział Wiktor Nikołajewicz.

– I ja nie rozumiem – wyznał z westchnieniem kapłan. – Ale wydaje mi się, że specjalnie podpowiedziano panu rozwiązanie tego problemu. Tylko dlaczego?

No i jak tu się nim nie zachwycić?! Szkoda, że nie jest diabłem, mógłbym się od niego wiele nauczyć... A może by go poznać z wujkiem?...

– Głupcy! – usłyszałem z tyłu.

Odwrociłem się. Parę kroków za mną stał Ksefon i ze złością patrzył na mężczyznę. Mnie nie zauważył, byłem świetnie zamaskowany. Wprawdzie przeskanował całą okolice, ale (głęboko zawsze pozostanie głębo) nie wiedział, że na dworze trudniej odkryć zamaskowanego przeciwnika. Tu potrzebna jest nieco inna technika. Przecież na ulicy jest mnóstwo ludzi, a każdy człowiek nakłada swoje duchowe tło na obraz całości. W tym tle niknie ślad tego, kogo szukasz!

Kapłan i Wiktor Nikołajewicz znieruchomieli. Ksefon zdążył już zmienić koszulę, ale widać było, że poparzone ramię sprawia mu ból. Pop sięgnął do krzyżyka na szyi.

– No, no, no! – Diabeł odskoczył. – Ładnie to tak napadać na sprzymierzeńców?

– Sprzymierzeńców? – spytał zaskoczony kapłan.

– Przecież nie na wrogów! I nie myślcie sobie, że mi się to podoba! Wcale nie wam pomagam!

– Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyśmy porozmawiali – zauważył duchowny. Pierwszy szok już minął i teraz z zaciekawieniem oglądał rozmówcę.

Ksefon zerkał na niego nerwowo.

– Tylko proszę mnie nie dotykać! Co się pan tak gapi?

– Nie dotknę – uspokoił go kapłan. – Po prostu pierwszy raz widzę prawdziwego diabła. U was wszyscy wyglądają tak samo?

O rany! Gdyby wszyscy u nas tak wyglądali, na pewno bym wyemigrował. Dokądkolwiek!

– Pewnie, że nie! Tylko ja!

To się zgadza. Drugiego takiego idioty nie ma na pewno.

Pop, Wiktor Nikołajewicz i Ksefon poszli do parku i usiedli na ławce, przy czym bies odsunął się od kapłana jak mógł najdalej.

– Więc jesteś naszym sprzymierzeńcem? – padło pytanie.

– No pewnie! A pan zaraz za krzyżyki łapie.

Zdaje się, że grubiaństwo Ksefona nie robiło na nikim wrażenia. Debil rzecz jasna nie rozumiał, że taki ton jest zupełnie nie na miejscu. Nie ma co, on nigdy nie miał i nigdy nie będzie miał stylu. . .

– A dlaczego jesteśmy sprzymierzeńcami? – pytał kapłan z bezgraniczną cierpliwością.

– Dlatego, że chcemy tego samego. To znaczy, chwilowo mamy wspólny cel. Niech będzie, to już lepiej opowiem. Jest tutaj pewien typ, który nazywa się Ezergil. Wyjątkowy cham i prostak.

No, no. . . Słuchamy, słuchamy.

– I właśnie on jest waszym wrogiem. Nie będę tłumaczył, dlaczego tak się stało, bo i tak nie zrozumiecie. Mówiąc krótko, on chce zdobyć duszę pańskiego syna – Ksefon spojrzął na Nienaszewa – a ja zamierzam mu przeszkodzić.

– Dlaczego?

Ksefon nigdy nie był wcieleniem cierpliwości, a spokojny i lekko pobłażliwy ton kapłana go złościł.

– Dla piątego! Na pewno nie dla waszych pięknych oczu. Można powiedzieć tak: nie jestem waszym pomocnikiem, tylko wrogiem Ezergila. I żeby mu przeszkodzić, jestem gotów zawrzeć alians nawet z wami. – Ze wstrętem spojrzął na duchownego.

– W takim razie dobrze by było, gdybyś opowiedział o tym wszystkim bardziej szczegółowo.

Wiktor Nikołajewicz miał zdezorientowany, a nawet lekko obłąkany wyraz twarzy. Czemu go tak dziwi? Jakby nigdy nie widział popa i diabła rozmawiających na ławce w parku. . .

Ksefon zastanowił się.

– Dobra – machnął ręką. – Chyba faktycznie muszę wszystko opowiedzieć, bo jeszcze narobicie głupot. Krótko mówiąc, jest sobie pewna zjawą, jego żona. – Ksefon skinął głową w kierunku Wiktora Nikołajewicza. Ten drgnął i popatrzył rozszerzonymi oczami na mówiącego. – Co żeś tak gały wybałuszył? Twoja, twoja. . . Zoja Nienaszewa, którą sam zabiłeś.

Trzeba przyznać, że zachowanie Ksefona było szczytem taktu.

Wiktor Nikołajewicz jęknął.

– Po co teraz jęczeć? – mruknął diabeł. – Jęczeć trzeba było wcześniej, zamiast ją bić. No więc, jest sobie zjawą. Wedle wszelkich reguł powinna pójść do raj, ale nie chce i miota się między światami, to tu, to tam. Jasna sprawa, że nikomu się to nie podoba. Dlatego kazali Ezergilowi ją sprzątnąć. A żeby różni tam się nie wtrącali. . . – chyba miał na myśli anioły – to Ezergil postanowił załatwić wszystko znacznie prościej. Jeśli uda mu się zdobyć duszę Aleksieja, wtedy duch jego matki automatycznie trafi do nas, do piekła, a Ezergil zostanie bohaterem! – zakończył Ksefon i skrzywił się.

– Jeśli dobrze rozumiałem, dusza mamy Aloszy powinna znaleźć się w raj? Dlaczego w takim razie miałyby trafić do piekła?

– Na podstawie umowy. Ona usiłuje chronić syna, a Ezergil na odwrót. Gdyby jej się nie udało, wyląduje w piekło razem z małym. I tyle. Gdybyście wiedzieli, ile trudu kosztowało mnie zdobycie tych informacji!

A gdybyś ty wiedział, cymbale, ile trudu *mnie* kosztowało wbicie ci tych informacji do głowy!

– Co zatem proponujesz?

– Oczywiście, przeszkodzić Ezergilowi. Jeśli nie zdobędzie duszy chłopca, matka trafi do raj i wtedy Ezergil przegra.

– A ciebie to nie martwi, diable?

– A co miałyby mnie martwić? – zdumiał się Ksefon. – Ze te dusze do nas nie trafiają? Akurat nam one potrzebne! Nie wiercie w te bajędy dla dzieci, że niby to skupujemy ludzkie dusze! Ludzie i tak nam je oddają za darmo.

– A co z duszą chłopca?

– A nic! Gdyby jego matka nie latała między światami, nikt by go nie ruszył. Ale Zoja wyobraża sobie, że chłopiec przy ojcu nie jest bezpieczny.

Na twarzy Wiktora Nikołajewicza pojawił się wyraz takiej męki, że już wiedziałem – zwycięstwo mam w kieszeni! Gotów byłem ucałować Ksefona. Jak on to świetnie przeprowadził, nawet ja bym tego lepiej nie zrobił! Nikt by nie zrobił! No, Ksefonie, działaj, działaj! Chciałbym zobaczyć twoją minę, gdy zrozumiesz, że przez cały czas wcale mi nie przeszkadzałeś, a wręcz przeciwnie! Trzeba przyznać, że niezły ze mnie bystrzak! Może nie?! Zmusić wroga, żeby dla mnie pracował, i to nie od niechcenia, z przymusu, ale z nerwem, z bigłem, z pełnym przekonaniem! Coś takiego nie udało się nawet Mefistofelesowi. Drogi Ezergilu, ale z ciebie sukinsyn!

– I jesteś gotów nam pomóc? – dopytywał się dalej kapłan.

– Jeśli tylko nie będzie mnie pan dotykał. . .

Dalej nie było już nic ciekawego. Ksefon zaczął opowiadać o mnie, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z jego powieści wynikało, że jestem skończonym kretyńcem, siedliskiem wszelkich wad, jednym słowem – okropnym monstrum. Dobra, nic ciekawego, pora odszukać Alonę. A Ksefon niech dalej snuje swoje opowie-

ści, im gorzej o mnie mówi, tym lepiej dla sprawy – kapłan i Nienaszew zlekceważą mnie jako przeciwnika... Oczywiście pod warunkiem, że uwierzą w te opowieści. Szkoda, że nie mogę się rozdwoić... I do anielicy muszę, i tutaj chciałbym jeszcze posłuchać... Przecież chyba Ksefon skończy kiedyś głądzić o podstępnych łajdakach, czyli o mnie i przejdą wreszcie do konkretów.

Wyjąłem notes – trzeba przyznać, że wujek miał świetny pomysł, dając mi go. Na pewno wiedział, co robi, nie wierzę w takie przypadki...

„Alona, jestem wam potrzebny?”

„Na razie nie. Chyba znalazłam sposób na zorganizowanie spotkania Aloszy i malarza!”

„To już niepotrzebne, mam tu coś lepszego. Wyobraź sobie, że ojciec naszego przyjaciela spotkał prawdziwego świętego!”

„Żartujesz?”

„Nie mam zamiaru. Gdybyś tylko widziała, jak nasz drogi Ksefon wył, gdy tamten go dotknął!” „Znowu wymyśliłeś jakąś zgrywę”. Zrobiłem niewinną minę – co jak co, ale to potrafię.

„Ja? No coś ty!”

Alona nie uwierzyła mi, nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że nie widziała mojego szczerego spojrzenia? To poważna niedoróbka – notes powinien przekazywać obraz! Co to za środek łączności, skoro nie można nikogo oszukać?

„Dobrze – napisała – powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego”.

„Nooo... Słuchaj, a dlaczego mam się przed tobą tłumaczyć? A tak w ogóle, on pierwszy zaczął. Czy ja mu kazałem się ze mną drażnić?”

„Aha. W takim razie obserwuj swojego kumpla, a ja tu sobie poradzę. I nie zgadzam się, że spotkanie jest niepotrzebne. Tego twojego świętego znalazł przecież ojciec chłopca, a ojcu Alosza jeszcze długo nie będzie ufał!”

Zastanowiłem się. Chyba miała rację.

„A na dodatek to kapłan” – odpisałem.

„Właśnie, tym bardziej – przysłała odpowiedź. – Po tamtym wypadku chłopiec za nic nie uwierzy duchownemu. W dodatku przyprowadzonemu przez ojca”.

W tym momencie miałem szczerą ochotę pobić tamtego poronionego popa. Kurczę, gdyby nie on, już byśmy wszystko załatwili! Może nawet wracałbym już do domu z czystym sumieniem i zaliczeniem praktyki...

„Dobrze, rozumiem. Działamy dwutorowo. Ja biorę na siebie ojca, zwłaszcza że i tak do nas należy, a ty chłopca oraz malarza”.

„Pasuje. Jeśli będziesz potrzebny, napisz”.

„Super” – odpisałem, schowałem notes i stanąłem nieopodal ławki, na której siedzieli moi podopieczni. Stałem za drzewem i znowu zacząłem słuchać. Przecież Ksefonowi musi się kiedyś znudzić opisywanie mnie! Ale okazało się, że pierwszy nie wytrzymał kapłan.

– Teraz rozumiem, z jakim uosobieniem zła mamy do czynienia, młody człowieku...

– Kto tu jest młodym człowiekiem?! – zdenerwował się Ksefon. – Chciałbym zauważyć, że jestem starszy od was obu! Mam sto dwadzieścia lat! Więc bardzo bym prosił... W tej postaci jest mi po prostu wygodniej.

Akurat! Gdybyś tylko potrafił, od razu byś się inaczej zamaskował, głąbie... Ksefon lubi mydlić innym oczy i na pewno zjawiliby się w jakimś oszalałym wcieleniu, gdyby tylko był na lekcjach, na których omawialiśmy zmianę postaci.

– Rozumiem. A jak się do ciebie zwracać... sprzymierzeńcu?

– Może pan do mnie mówić Ksefon.

– Doskonale. Ja jestem ojciec Fiodor.

– Nie jest pan dla mnie ojcem!

– Fiodor Iwanowicz lepiej brzmi?

– Gdzie jest moja żona? – zawołał nagle Wiktor Nikołajewicz.

Omam mnie nie podcięło od tego ryku. Rychło w czas się obudził! Ludzie zaczęli się odwracać, a ojciec Fiodor próbował uspokoić Nienaszewa. Ksefon uśmiechał się wzgardliwie.

– Gdzie, gdzie. Sam ją tam wysłał, a teraz się pyta.

– Bardzo bym prosił o trochę kultury! – powiedział kapłan gniewnie. – Chyba możesz zachowywać się grzeczniej, skoro tak potrzebujesz naszej pomocy?

– Ja potrzebuję?! To chyba wy oczekujecie jej ode mnie. A teraz porozmawiajmy o cenie.

Ale się ocknął! Dzień dobry! Nie, stanowczo nie powierzyłbym Ksefonowi trudnej sztuki negocjacji... Ciekawe, czy pop zdoła go usadzić? Jeśli dobrze go oceniłem...

– Ach, o cenie? Dobrze, zastanowię się, czego od ciebie zażądać.

– Hej, ja mówiłem o zapłacie dla mnie!

– Naprawdę? Przepraszam, nie zrozumiałem. A, w takim razie chyba będziemy musieli zrezygnować z twoich usług. Bardzo mi przykro.

– Hej, co wy! Beze mnie nie poradzicie sobie z Ezergilem! Tylko ja mogę rozgryźć jego sztuczki! Nie macie pojęcia, jaki to podły typ!

– Młody człowieku. . . Dokładnie tak, młody człowieku. Mimo twoich przechwałek nie wierzę, że masz sto dwadzieścia lat. Zachowujesz się zbyt dziecinnie. Założmy, że uwierzyłem, iż jesteś diabłem. Sądzę jednak, że nasza pomoc jest ci znacznie bardziej potrzebna niż twoja nam.

Brawo! Dobrze mu tak! Do drobnych biesów go! Do biesów!

Ksefon zasapał gniewnie.

– A mówi się, że to diabły są podłe – burknął. – Dobrze, niech was licho. Naprawdę mi zależy, żebyście działali razem ze mną. Moje zadanie polega na przeszkodzeniu Ezergilowi w wykonaniu zadania. Jeśli mi się to uda, dostanę nagrodę, a jemu pogonią kota. W przeciwnym razie to ja będę miał nieprzyjemności.

– O! – Ojciec Fiodor w zadumie przyglądał się Ksefonowi. – Zdaje się, że mamy poważny powód, żeby ci pomóc. Więc mówisz, że zostaniesz nagrodzony, jeśli pokonasz Ezergila? To jakaś forma wyniesienia?

Zgadza się, o jedną klasę wyżej. Za to mnie zostawia na drugi rok.

– Tak.

– Zdaje się, że twój awans powinien leżeć w interesie wszystkich ludzi. . .

Ksefon pęczniał z dumy. A nie mówiłem, że to idiota? Zupełnie nie rozumiał, iż to wcale nie był komplement! Kapłan reprezentował przecież drugą stronę barykady, czyli zależało mu na tym, żeby w piekle u władzy znaleźli się tacy „geniusze” jak Ksefon.

– Właśnie.

– W takim razie powiedz nam, proszę, gdzie jest teraz chłopiec.

– Skąd mam wiedzieć, przecież gadam tu z wami. Ale jeśli chcecie, mogę się dowiedzieć.

– Gdybyś był tak dobry. . . Duchowny wręcz promieniał radością i uprzejmością, a Ksefon aż się rozpląwał od takiego szacunku. Kretyn, kretyn i jeszcze raz kretyn. Kto inny dałby się nabrać na tak jawne pochlebstwa?

– Dobrze. Znajdę go i dam wam znać – powiedział, znikając. Już tylko ja mogłem zobaczyć, jak oddala się szybko ukryty za bardzo kiepską iluzją.

Kapłan od razu przestał się uśmiechać, ściągnął brwi.

– Pomoże mi pan, ojcie Fiodorze? – spytał z nadzieją Wiktor Nikołajewicz.

Fiodor Iwanowicz drgnął, wyrwany z zamyślenia.

– Słucham? A tak, oczywiście. Obowiązkowo. Wie pan – wyznał nagle – jakoś tak dziwnie się czuję, widząc materialny dowód własnej wiary.

Zaraz tam materialny. Wcale nie materialny, tylko właśnie duchowy. Dziwni są ci ludzie. Nie potrafią zrozumieć własnej siły, nie pojmują, że to właśnie ich wiara czyni te wszystkie cuda.

Wiktor Nikołajewicz uśmiechnął się krzywo.

– Rozumiem pana. . . Ale teraz przynajmniej wiemy, co sądzić o inteligencji diabłów. Jeśli Ezergil jest taki sam, mamy spore szanse go pokonać.

Możesz sobie pomarzyć.

– Tak, jeśli wnioskować z tego, co mówił ten tutaj. . .

– Jeśli wnioskować z tego, co mówił, to on jest pępkiem świata i skończonym geniuszem. Wiemy jedno: nienawidzi swojego przeciwnika i to do tego stopnia, że zrobi wszystko, by mu przeszkodzić. A to znaczy, że jest po naszej stronie! Pozostaje tylko odpowiednio go wykorzystać.

Biedny Ksefon, pomyślałem obłudnie. Widać taki już jego los, że wszyscy chcą go wykorzystać. . .

– Rzecz jasna, zawieranie umowy z diabłem to niezbyt dobry uczynek, ale dla ratowania chłopca gotów jestem zaryzykować własną duszą. . .

Działajcie, ojcie. Waszej duszy nic nie zagraża.

– To on! Łapać go!

Obejrzałem się; ścieżką biegli bandyci, którym Wiktor Nikołajewicz nakładł po mordach oraz dwóch nowych, pewnie wsparcie.

– Trzymaj się, cholerny karateko! – wrzeszczał ten, który biegł pierwszy. Na jego czole widniał wielki guz. A, jasne, to ten, który dostał patelnię. Biedna patelnia. . . Zniszczyć taki porządny sprzęt na takim zakutym łbie. . .

Nienaszew zerwał się z ławki przerażony.

– Już po mnie! Zabijają! Przecież wziąłem pieniądze!

– Spokojnie. – Kapłan już szedł w stronę chuliganów. – O co chodzi, dzieci moje?

– Spadaj, kretynie! – Pierwszy mięśniak zamachnął się.

Zamknąłem oczy i wtuliłem głowę w ramiona, słysząc odgłosy ciosów. Coś podobnego, żebym ja, diabeł, współczuł duchownemu?! Koszmar! A przecież naprawdę było mi go żal! A ci bandyci to jacyś sadyści! Żeby tak znęcać się nad biedakiem! Biją go i biją! O, wreszcie przestali. Zaraz się wezmą za Wiktora Nikołajewicza. . . Chyba muszę mu jakoś pomóc. . .

– Gdzie się ojciec tego nauczył? – spytał z niedowierzaniem ojciec Aloszy.

Otworzyłem oczy. O rany. . . Wszyscy bandyci leżeli wzdłuż ścieżki na trawie i spokojnie „odpoczywali”.

Nad nimi stał kapłan. Rozczochrane włosy, rozdarty rękaw koszuli – innych śladów walki na nim nie dostrzegłem.

– W Afganistanie, mój synu. Brygada szturmowo–desantowa.

– Więc ojciec?...

– Tak. Pochodziłem trochę po tych górach i właśnie wtedy, gdy napatrzyłem się na te wszystkie koszmary, zwróciłem się do Boga. A oto i milicja, w samą porę. Wiktorze Nikołajewiczu, pozwoli pan, że to ja im wszystko wyjaśnię? Sam pan rozumie, że o diabłach i duszach lepiej z milicją nie rozmawiać... Tam pracują ludzie o bardzo materialistycznych poglądach...

Materialiści, realiści... Tak czy inaczej, ojciec Fiodor i Nienaszew ugrzęzną tu na długo, a to znaczy, że najwyższa pora znaleźć Alonę. Szybko napisałem jej krótki raport z ostatnich wydarzeń.

„Ludzie się biją, a tobie w to graj” – skomentowała.

Dzień, w którym Alona nie będzie prawić mi kazań po każdej mojej opowieści, uznam za początek końca świata. Jednak jako mężczyzna powinienem wybaczać damie słabości... Westchnąłem i wyruszyłem na spotkanie ze swoim „partnerem”, pilnującym naszego głównego podopiecznego.

Siedziała wygodnie na gałęzi i obserwowała Aloszę, który usiłował wyrwać deskę z płotu. Wszedłem na drzewo i zająłem miejsce obok dziewczyny.

– Co on robi? – spytałem.

– Wyładowuje złość. Z domu uciekł, chciał się powiesić, ale zrezygnował, a teraz nie wie, co dalej.

– Jasne. Masz jakiś plan?

– Poradziłam mu, żeby pomyślał o czymś miłym. Żeby na przykład poszedł obejrzeć obrazy na Niekrasowskiej.

Zastanowiłem się.

– Aa, tam jest ten malarz?

– Właśnie.

– Ale on chyba nie ma zamiaru słuchać twoich rad?

– A co mu innego pozostaje? I tak nie ma lepszych pomysłów.

Teraz obserwowaliśmy chłopca razem. O dziwo, Alona nie pytała mnie o ostatnie wydarzenia, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

– Czy to czasem nie twój przyjaciel? – spytała w pewnym momencie.

Popatrzyłem w tę stronę, co ona. Faktycznie, właśnie laził tu Ksefon. No, no, szybko znalazł chłopaka... Odruchowo wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem bombę samoprzylepną. Alona zerknęła na kulkę w moim ręku.

– Czy to jest to, co myślę?

– Nie wiem, bardzo możliwe, że nie. Przecież nie wiem, co myślisz.

– Kpisz sobie ze mnie? Co chcesz zrobić z tą „przyklejką”?

– Wrzucić Ksefonowi za kołnierz, oczywiście.

– To wszystko, na co cię stać? A kto mówił, że to Ksefon jest drobnym paskudnikiem?

Zerknąłem na bombkę.

– A wiesz, że masz rację? To faktycznie wygląda na drobną podłość. Nie mój styl.

Schowałem ładunek i Alona odetchnęła z ulgą. Przedwcześnie. Od razu wyjąłem z kieszeni drugą kulę, trzy razy większą.

– Należy robić duże podłości – zawyrokowałem.

– Ezergil! Ty nieznośny, bezczelny...

– To już było. A do tego cham, morderca, wróg rodzaju ludzkiego i w ogóle samo zło.

Nie słuchając już jej protestów, zeskoczyłem z gałęzi i ostrożnie podszedłem do Ksefona. Ten już nie rozglądał się na boki. Pewnym krokiem szedł w stronę chłopca.

Alosza poznał go.

– To ty?!

Ksefon machnął ręką.

– Co tu robisz, nieszczęsny idioto? Ach, jaki Wersal!

– Ja? – To agresywne chamstwo nieco zdeprymowało chłopca.

– Przecież nie ja! Mówiłem ci, żebyś się nie zadawał z Ezergilem! Dlaczego nie posłuchałeś? Co, za mało ci dałem pieniędzy?!

– Pieniądzy?! – skoczył chłopiec. – Twoje... twoje pieniądze...

Matko kochana! W życiu bym nie przypuszczał, że ten chłopiec zna takie słowa! Zerknąłem na Ksefona i omal się nie roześmiałem. Diabeł patrzył z przestrachem na rozwścieczonego dzieciaka i powoli cofał się przed jego atakiem.

– A masz, bydlaku! – Alosza z rozmachu grzmotnął go prosto w nos. Ksefon upadł, pewnie nie tyle z bólu, co z zaskoczenia. Zdaje się, że młody Nienaszew już wiedział, na kim można wyładować złość.

Ksefon zerwał się i odskoczył na bezpieczną odległość.

– Zwariowałeś?!

– Wynocha, powiedziałem! Bo znów oberwiesz! Diabeł pochylił głowę, zacisnął pięści i ruszył na chłopca. Znieruchomiałem.

– Szajba ci odbiła?! Ja cię tu szukam, chcę ci pomóc, a ty mnie bijesz?

– Wielkie dzięki, już raz mi pomogłeś! Teraz nie wiem, jak się z tego wygrzebać! – odparł Alosza, który trochę ochłonał.

Ksefon, ku mojemu zdumieniu, również się opanował i nie wszczął bójki. Walka wysłannika piekła z człowiekiem... To dopiero byłby skandal!!! Po czymś takim Ksefon mógłby sobie pooglądać Ziemię najwyżej z orbity Księżyca.

– Widzicie go, pieniądze mu się nie podobają! Przecież dałem ci tylko to, czego chciałeś!

– Wcale nie chciałem!

– Chciałeś. Jeszcze się będzie kłócił... A teraz marsz do domu! Ojciec cię szuka! Znalazł popa i razem z nim pomyślicie, jak walczyć z Ezerem.

Uu, niepotrzebnie Ksefon wspominał o ojcu i kapłanie...

– A może byś się tak wyniósł, co? – Wściekł się znowu chłopiec. – Mądrała się znalazł! Pójdę, gdzie zechcę!

– Odwrócił się i demonstracyjnie poszedł w stronę przeciwną niż dom.

Ksefon pobiegł za nim, namawiając go, żeby zawrócił i nie robił głupstw. Tak, Ksefon umie przekonywać, prawdziwy talent! Im usilniej namawiał Aloszę, tym bardziej chłopiec się zapierał. Nawet przyspieszył kroku.

– Stań wreszcie!

Alosza zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na Ksefona.

– Odwal się! Jak to się mówi... O, mam! Precz, szatanie!

Zachichotałem. Ciekawe, czego właściwie spodziewał się po tym okrzyku? Ksefon ściągnął brwi.

– Mały, ostatni raz cię pytam: idziesz do domu czy nie?

– Nie!

– No, to uważaj! Od tej chwili twoje życie zamieni się w piekło! Zmuszę cię, żebyś był dobry!

Ech, gość jest po prostu jedyny w swoim rodzaju. Unikat. Załatwia wszystko elegancko i ze smakiem! Jak sprawić, żeby wszyscy ludzie stali się dobrzy? Przecież to bardzo proste – trzeba ich zmusić!

Ksefon zniknął. Zerknąłem na kulę z bombą samoprzylepną i splunąłem. Zastłuchany, zupełnie zapomniałem o zabawce! I co mam teraz z nią zrobić? Zerknąłem na jakiegoś kolesia, chyba szesnastolatka, który z kastetem na dłoni trenował ciosy na drzewie. Rzecz jasna, żaden przechodzień nie odważył się zwrócić mu uwagi. Ukryty za iluzją, podszedłem do niego i przy kolejnym zamachu podstawilem pod uderzenie kulę. Ta błyskawicznie zmieniła się w kleistą masę, w której ugrzęzła ręka domorosłego karateki razem z kastetem. Chłopak, klnąc jak pijany student, spróbował uwolnić rękę i wrzasnął.

Boli, co? Nawet zacząłem mu współczuć. Ale drzewo bolało znacznie bardziej, przecież ono też żyje! Dobra, niech się gnojek pomęczy, nic mu nie będzie... Za dziesięć minut masa utraci kleistość, po czym wyparuje. A ja muszę pilnować mojego klienta, niech go licho.

– Ty zawsze musisz coś nawyprawiać – zauważyła Alona, doganiając mnie.

– Tylko mi nie mów, że ci szkoda tego chłystka. Prychnęła, ale nic nie powiedziała.

– Lepiej pomyśl, jak mamy poznać Aloszę z tym malarzem – burknęła.

– Myślę, że to akurat żaden problem. Dziewczyna popatrzyła tam, gdzie ja – na grupkę chłopców, z którymi Alosza tak udanie okradł kiosk. Właśnie do nich szedł teraz Ksefon.

– Oni pobijają Aloszę!

– Być może – przyznałem. – Ale w tym celu musieliby go najpierw dogonić. A to się stanie właśnie na Niekrasowskiej. A jeśli dobrze rozgryźliśmy charakter naszego malarza...

– Oo! Ale i tak...

– Nie denerwuj się, Ksefon zadba o wszystko – uśmiechnąłem się. – Tak dobrze dla nas pracuje... Nawet lepiej, niż gdybym mu zapłacił. Och, nienawisć to wielka siła. Żadne inne uczucie nie oślepi człowieka tak mocno. Zresztą, diabła też. Właśnie dlatego nigdy nie będę nikogo nienawidził. Za bardzo ma ci się wtedy rozum...

Tak jak przewidziałem, Ksefonowi bez trudu udało się namówić „rycerzy wielkiej drogi”. Nie musiał się wcale wysilać – sami bardzo szybko się „namówili”, wystarczyło, że zobaczyli Aloszkę. Od razu oderwali się od swoich ulubionych garaży, żeby dopaść chłopca. Poszliśmy za nimi.

Alona spostrzegła, że Alosza nie widzi swoich prześladowców i sposepniała. Wyciągnęła rękę w jego stronę, po chwili opuściła ją i omal nie rozplakała się z irytacji.

– Nie wychodzi! Dlaczego nie uważałam na lekcjach?

– Mnie pytasz? A co ci właściwie nie wychodzi?

– Nie mogę obudzić w chłopcu przecucia nieszczęścia! Żeby się obejrzał! W przeciwnym razie go dopadną!

– Tylko tyle? I dla czegoś takiego chcesz budzić jakieś tam przecucia? Skomplikowaną drogą chadzać tam o siebie, towarzyszu aniele... Popatrz!

Wzrokiem zmusiłem niewielki kamyczek do poderwania się z ziemi i cisnąłem nim w plecy chłopca.

Alosza odwrócił się, przestraszony, ujrzał swoich prześladowców. I niemal w tej samej chwili rzucił się do ucieczki, a tamci runęli za nim.

Dumnie uniosłem głowę.

– Właśnie tak trzeba. A nie jakieś tam przecucia...

Alona popatrzyła na mnie z wdzięcznością, ale wyglądała na przygnębioną. A ja skłamałem w duchu samego siebie. Ale się wyrwałem, idiota jeden! Zupełnie nie pomyślałem, jak ona się teraz czuje! Diabeł lepszy od anioła! Zaraz, zaraz... Co się ze mną dzieje? Co mnie właściwie obchodzą uczucia jakiejś tam anieliczki? Przecież właśnie powinienem zawsze i wszędzie udowodniać wyższość piekła! Właśnie to robię i jestem z tego dumny! Zerknąłem na Alonę. Dobra, z tą dumą to może przesada. Oczywiście, gwizdzę na wszystkich aniołów... na wszystkich, ale nie na nią. Szlag!!! Czyżbym się zakochał?! Też coś! Żeby jeszcze było w kim... Nie, oczywiście, dziewczyna z niej niczego sobie... Tfu, tfu, tfu! Nie no, muszę zaraz postarać się o jakieś lekarstwo na głowę... O, gilotyna byłaby idealna.

– Nie przejmuj się tak – usłyszałem samego siebie. – Nie udało się tym razem, uda się następnym. Jak chcesz, to ci pomogę.

Tak, gilotyna stanowczo jest nieodzowna. Słabsze środki nie pomogą.

– Dziękuję, Ezergilu – uśmiechnęła się słabo.

I od tego uśmiechu od razu zrobiło mi się cieplej na duszy. Zaraz, czyja powiedziałem „na duszy”?! Diabłu zrobiło się cieplej „na duszy”!!! O, już nigdy więcej nie będę śmiał się z wujka, gdy zacznie opowiadać o wyższych uczuciach. Już rozumiem, jakie durne rzeczy wygaduje się przez te uczucia! Co gorsza, sam rozumiem, że plotę głupstwa i nie mogę się powstrzymać!

Oho, trzeba wzmocnić czujność. Właśnie się zaczyna... Od razu wyleciały mi z głowy wszystkie uczucia, wysokie i niskie. Skupiłem się na rzeczy najważniejszej: nasza wesoła brygada drobnych łobuzów dogoniła jednak Aloszę i szybko go otoczyła. Ja i Alona zatrzymaliśmy się nieopodal, spojrzeliśmy na malarza Rogożewa, który stał nieco z boku ze swoimi obrazami.

– Czego chcecie? – bronił się słabo chłopiec.

– Czego chcemy? – wyszczerzył zęby przywódca. Ha, znów gra twardziela. Nawet palce rozcapierzył... A jednak zupełnie nie jest podobny do twardych gości... Jedynie śmieszny. Dorosły gość, powinien zająć się czymś poważnym... Tylko że w ogóle nie wygląda na poważnego człowieka. I nigdy nie będzie wyglądał. Mózgu nie można dokupić... – A jak myślisz? – dodał. – Po tym, jak twój kumpel ukradł nam wszystkie pieniądze...

Bardzo proszę, pochwal się, pochwal. Opowiedz wszystkim, jak pewien kumpel zrobił z was frajerów.

– On nie jest moim kumplem! – wrzasnął Alosza. – Odczepcie się ode mnie! Czego chcecie?!

A, to już historia...

– Co ja wam zrobiłem?! – krzyczał dalej Alosza. – Jeśli chcecie odzyskać swoje pieniądze, jego spytajcie! Może mu jeszcze dusze sprzedacie?!

Akurat mi potrzebne ich dusze. Kochany, oni i tak są już moi!

– Zaraz zobaczymy, kto i co będzie sprzedawał! – Całe towarzystwo otoczyło chłopca i zaczęło go spytać z ulicy.

– Pomocy!!!

– Stać! – rozległ się groźny krzyk. Nareszcie! Dzień dobry panu!

Ksefon, który obserwował całą scenę z oddali, zmarszczył brwi.

Malarz w milczeniu przebił się przez kordon chuliganów i stanął obok Aloszy.

– Co tu się dzieje?

Przywódca bandy uśmiechnął się krzywo, pogardliwie, kącikiem ust. Naoglądał się biedak amerykańskich filmów... A potem sposepniął i wyjął z kieszeni nóż sprężynowy.

– Idź do domu, wujciu – poradził i splunął. Jednocześnie bawił się nożem, przekonany, że na widok tej zabawki „wujcio” czym prędzej się oddali.

Ale spotkało go wielkie rozczarowanie. Grigorij Iwanowicz chwycił bandziorka za ramię i bez zastanowienia przestawił mu szczękę. Bardzo słusznie! Jak ci grożą nożem, nie ma się co ceregielić. Przywódca gangu poleciał na ścianę domu, a Rogożew podniósł upuszczony nóż i w milczeniu odwrócił się do pozostałych. Ci dobrze zrozumieli jego intencje, przysnęli więc na wszystkie strony. Po chwili w ślad za swoją drużyną pokuśtykał również przywódca. Tak jak myślałem – pierwszy mołojec wśród owiec.

Wtedy zawył syrena i obok Aloszy zatrzymał się milicyjny łązik. Ponieważ w tej chwili pochwyciłem triumfalne spojrzenie Ksefona wiedziałem od razu, że nic dobrego z tego nie wyniknie...

– Alona, znajdź w archiwum piekła coś o tych milicjantach! Już! – przynagliłem, widząc, że chce dyskutować.

Od razu wyjęła notes i zaczęła coś w nim pisać, a ja nie spuszczałem wzroku z łązika. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn... W mundurach, niby wszystko w porządku... Ale czemu Ksefon tak radośnie się uśmiecha?

– Oj...

Odwróciłem się.

– Co jest?

Alona, blada jak ściana, podsunęła mi notes. Zacząłem czytać.

Leonid Arkadijewicz Mołochow. Tak... Szybko przebiegłem wzrokiem tekst. Cóż powiedzieć?... Łapówkarz, złodziej i sadysta. Związany z grupą przestępczą, służy im za ruble, dolary i złoto. Ale najgorsze, że do tej właśnie organizacji należeli ci bandyci, którzy siedzieli w mieszkaniu Aloszy i których Wiktor Nikołajewicz tak ładnie wymłócił, a potem jeszcze dostali od kapłana... Biedaki... Ciężkie jest życie żołnierzy mafii...

Drugi milicjant okazał się wcale nie lepszy, co mnie już zupełnie nie zdziwiło. Jednym słowem, zjawili się tu nieprzypadkowo.

Popatrzyliśmy z Aloną na siebie.

– Taak... Chuligani, bandyci, sprzedajna milicja, Ksefon... Chyba trochę za bardzo się postaraliśmy... – zauważyłem zdławionym głosem.

Część III

Chytry plan i rzeczywistość

Rozdział 1

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy. Alona patrzyła ponuro na to, co się dzieje.

– Faktycznie przesadziliśmy – burknęła gniewnie. – Nic dodać, nic ująć. Ze też cię posłuchałam, że też dałam się namówić na ten twój plan! Jin i Jang! Od razu wiedziałam, że się tylko zapłaczesz! Wiedziałam, że nie należy słuchać diabła!

– Spokojnie, spokojnie. Ale za to, jeśli Alosza i jego ojciec przejdą przez to wszystko, w ich życiu nie będzie już więcej nieszczęść, po czymś takim ze wszystkim sobie poradzą. „Tak ciężki młot, szkło krusząc, kuje butał” – zacytowałam.

– A jeśli nie przejdą i nie poradzą? Wzruszyłam ramionami.

– Wtedy wcześniej trafią do nas.

Alona zasyczała wściekle i walnęła mnie w kark.

– Ezergil! Twoje żarty przestają być śmieszne!

– A kto ci powiedział, że diabelskie żarty mają być śmieszne? – wzruszyłam ramionami. – No dobra, ja to wszystko zorganizowałam, więc ja naprawię. Jasna sprawa, że nie można pozwolić, żeby ci pseudomilicjanci zabrali Aloszę, bo natychmiast odesła go do tego całego szefa. Grigorijowi Iwanowiczowi naplotą bzdur... Krótko mówiąc, ja wyciągam Aloszę, a ty pomagasz jemu i malarzowi się ukryć.

Alona zerknęła na mnie podejrzliwie, ale skinęła głową. Szybko zrzuciłam iluzję, twardym krokiem podszedłem do zbiegowiska i przepchnąłem się przez tłum gapiów. Widząc mnie, Ksefon przestał się uśmiechać i zaczął mi się czujnie przyglądać. No patrz sobie, patrz, ty mój psie Baskerville'ów.

– No wiesz, Aloszka?! – powiedziałem głośno. – To już nawet na chwilę nie można cię samego zostawić? Coś ty znowu zbroił?

– Znasz go? – Czyjaś potężna ręka ujęła mnie za ramię i postawiła w środku kręgu.

– Oczywiście, towarzyszu milicjancie – zameldowałam dziarsko. – To mój przyjaciel. Odszedłem na chwilę i zdaje się, że on znów się w coś wpakował.

Jasna sprawa, że moja obecność nie ucieszyła milicjantów, przeszkodziłem im w bezszmerowym zgarnięciu chłopca.

– On nie jest moim przyjacielem! – wrzasnął Alosza, odsuwając się ode mnie. – Zjeżdżaj!

– Czego się drzesz, głupi – powiedziałem samymi wargami.

– Zjeź...

Dość. Zatrzymałam czas. Zerknąłem na Ksefona. Ten, ponury i zły jak... tak jest, jak wszyscy diabli, usilnie gestykulował, usiłując złamać moje zakęcie. W porządku, niech sobie chłopak potrenuje... Odwróciłem się do Aloszy.

– Nie wrzeszcz.

Ten spojrzał oślepiały na nieruchomych ludzi i słabo skinął głową.

– Zuch. Teraz posłuchaj. Towarzysze w mundurach nie są twoimi towarzyszami. Rozumiesz? Wyjaśniam: nieźle się władowałeś z tą walizką dolarów. Dowiedzieli się o niej pewni źli ludzie. Bardzo źli. Oczywiście od razu zainteresowało ich, gdzie dwunastoletni chłopiec wytrzasnął taką forszę. – A właśnie – zerknąłem na wkurzonego Ksefona – teraz już wiem, skąd je wzięłeś. Gratuluje. Właściwie powinienem sobie pójść i zostawić cię tutaj, jednak umowa to umowa i przez ten tydzień jeszcze ci będę pomagał. W następnym radź sobie sam. A milion... – prychnąłem. – Swoją milion już dostałeś.

– Kłamiesz! – krzyknął zrozpaczony chłopiec. – Obiecali, że mi pomogą, odwieżą mnie do domu!

– Naprawdę? – wyjąłem swój notes, sprawiłem, że stał się widoczny i podsunąłem Aloszy. – Czytaj. Masz tu swoich pomocników. Nie sądzisz, że tacy jak oni znajdują się w mojej kompetencji?

Aloszka przeczytał szybko i skulił się.

– To co ja mam teraz robić? – spytał bezradnie.

– Będiesz mnie słuchał? Potwierdzasz naszą umowę? – spytałem, zerkając na Ksefona. Ten wzdrygnął się i coś wyszeptał, a raczej krzyknął, ale zawczasu sprawiłem, że nikt go nie usłyszał.

Alosza rozplakał się i pokiwał głową.

– No to świetnie. W takim razie bierz nogi za pas. Nie mogę dłużej wstrzymać czasu. Uciekaj stąd!

Alosza obejrzał się i zaczął iść. Pozwoliłem czasowi płynąć i od razu uderzyłem głową w jednego z milicjantów, kolegę Leonida Arkadijewicza. Ten, zaskoczony, zgiął się wpół. Ja oczywiście rozumiem, że nie należy ingerować i tak dalej... Ale po pierwsze, to nie moja wina – to oni pierwsi zaczęli, chcieli mnie złapać! To co,

może miałem nie stawiać oporu? A po drugie... a po drugie ci ludzie są do takiego stopnia moi, że już i tak nic im nie pomoże. Nawet bezpośrednia interwencja aniołów. Ale i tak mi się oberwie...

– Uciekaj! – krzyknąłem. – Uciekaj, mówię, ja ich zatrzymam! I pamiętaj, że nie możesz pokazywać im się na oczy! – Kopnąłem drugiego milicjanta w kolano, ale zostałem złapany za fraki. Pech... A zresztą, dlaczego pech? Podczas gdy oni będą zajęci mną, Alosza zdąży się zmyć... Szarpnąłem się, chwyciłem za mundur drugiego milicjanta. Ten próbował oderwać moje ręce, ale trzymałem mocno. Leonid Arkadijewicz krzyczał coś, próbując odkleić mnie od kolegi, a ja zrobiłem zeza i lekko skinąłem głową Alonie. Zerknąłem też na naszego malarza, który patrzył na to wszystko wstrząśnięty.

– Lonia, no wsadźże go do samochodu! – zawołał jeden z milicjantów.

Bez ceregieli wrzucili mnie do auta i zamknęli drzwi.

– No, koleś, wpadłeś! – wycedził Lonia, wsiadając do wozu.

Ha, jeszcze zobaczymy, kto tutaj wpadł!

Samochód ryknął i ruszył z miejsca; chyba zrezygnowali z pościgu za Aloszą, czyli cel został osiągnięty. Właściwie mogłem się już zmyć. Zerknąłem na wściekłego Lonię i zastanowiłem się. A tak w sumie, to dlaczego miałbym uciekać? Czy nie mam prawa do odpoczynku? Trzeci dzień haruję jak wół, najwyższy czas na odrobinę rozrywki! Uśmiechnąłem się złośliwie. Nawet wiem, kto będzie obiektem zabawy... Popatrzyłem na Lonię zza kraty, siedział obok drzwi, opierając się o nie. Zerknąłem na zamek, zatrząsk pstryknął i drzwi się otworzyły.

– Aaa! – Leonid Arkadijewicz w ostatniej chwili złapał się drzwi, zwisając na nich. – Stój! Zatrzymaj się! – Jakimś cudem udało mu się wygiąć i walnąć nogą w maskę. Samochód stanął, kolega naszego bohatera wyskoczył i widząc, co się dzieje, wrzasnął:

– Zgłupiałeś? Życie ci niemiłe?! A gdybyś tak wpadł pod koła?!

Leonid Arkadijewicz spojrział ponuro na drzwi łazika.

– Przecież zamykałem – burknął.

Jego kumpel postukał się w głowę i wrócił za kierownicę, Lonia usiadł na swoim miejscu. Teraz już dwa razy upewnił się, czy drzwi są zamknięte i mimo to odsunął się od nich. Zerknął w moją stronę, ale udałem, że śpię i wkrótce naprawdę zasnąłem. Przed porządną rozrywką trzeba się wyspać. Jak zacznie się najlepsza część, nie będę miał już czasu na odpoczynek.

Obudziłem się, gdy ktoś bezceremonialnie wyrzucił mnie z samochodu na asfalt. Uderzyłem się boleśnie w łokieć.

– Ej, nie można delikatniej? – spytałem płaczkliwie, pocierając bolące miejsce.

– Zamknij się – polecił krótko Lonia, łapiąc mnie za rękę i ciągnąc na komisariat.

Jego kolega szedł z boku.

– Wołodia, weź no spisz tego typka, potem się nim zajmę.

Dyżurny spojrzął na mnie z zaciekawieniem.

– A kto to? I jak go spisać? Przecież trzeba go odesłać do izby dziecka.

– Ja mu dam izbę dziecka – warknął gniewnie Leonid. – Ale później. Ten gówniarz pomógł zwać jednemu groźnemu przestępcy. Podejrzewam, że też należy do bandy, więc na początek chciałem z nim pogadać.

– Aa? – Dyżurny spojrzął na mnie z większym zainteresowaniem. – Jasne...

Zerknąłem na niego. Ech, gdybym tak mógł zajrzeć do mojego ulubionego notesiku, ale niestety, niestety... Wprawdzie jest niewidzialny, ale i tak dziwnie by to wyglądało, gdybym teraz zaczął go czytać.

– No właśnie – burknął Lonia. – Dlatego na razie nikogo nie powiadomiam. Teraz już i tak wieczór, jutro damy znać, gdzie trzeba.

– Ale ja tak nie mogę!

– Wołodia, no zrób to dla mnie. Sam rozumiesz, jeśli tego smarkacza zabiorą od razu ci z izby dziecka, to ni diabła nie dowiemy się nic o zbiegłym przestępcy.

„Ni diabła”. Ładnie powiedziane. Podoba mi się. Wołodia zawahał się, a potem machnął ręką.

– Dobra...

– No to świetnie. Maszeruj, szczeniaku.

Maszerowałem i wcale nie trzeba było mnie popychać. Lonia chyba był zły, że nie urządziłem awantury. Uśmiechnąłem się w duchu.

Wepchnięto mnie do jakiegoś pomieszczenia, w którym stał tylko stół i jedno krzesło. Milicjant usiadł na stole – słusznie, krzesło w ogóle nie nadaje się do siedzenia, lepiej postawić na nim nogi. A stół idealnie pasuje do niektórych tyłków. Kolega Leonida stanął przy drzwiach – może myślał, że rzucę się do ucieczki?

Mój prześladowca uśmiechnął się krzywo, widocznie chciał mnie nastraszyć.

– No i co, będziesz mówił?

– A o czym? – wyjąkałem przestraszony.

– O czym?! – ryknął, zrywając się ze stołu i pochylając nade mną. – Mów, dokąd uciekł twój kumpel!

– A skąd ja mogę wiedzieć? – wymruczałem przestraszony, próbując odsunąć się od wiszącego nade mną faceta. – Uciekł i już.

– Aha i już?! Ja ci radzę, żebyś szczerze o wszystkim opowiedział! Bo inaczej będzie źle z tobą.

– Ja nic nie wiem... – chlipnąłem.

– Będę musiał odświeżyć ci pamięć – burknął. – Misza...

Jego koleżka podszedł do mnie, zamachnął się i pięścią walnął mnie w brzuch. Zgiąłem się i upadłem. Nie wiem, czy wspominałem, że diabły są znacznie wytrzymalsze od ludzi? Cios nie był dla mnie niebezpieczny, poza tym, uprawiam sport... Ale wzięli mnie z zaskoczenia – i teraz rozpaczliwie łapałem powietrze.

No dobra, kochani, wkurzyliście mnie. Jakim trzeba być bydlakiem, żeby katować dziecko?! A przecież dla nich byłem dzieckiem! Ten cały Misza już podniósł nogę, żeby mnie kopnąć. No, no, kopać też będziemy? Hm... Wyobraziłem sobie kowadło. Wielkie kowadło... Gdy noga Miszy w potężnym trepie ruszyła już w moją stronę, w myślach ustawiłem kowadło przed sobą. Na chwilę. Na ułamek sekundy. Oczywiście tak naprawdę nie było tu żadnego kowadła, ale siła sugestii sprawiła, że Misza naprawdę uwierzył, że w nie kopnął. Ależ wrzasnął... Potężny drab runął na podłogę i, wyjął, trzymał się za stopę. Wystraszony Leonid podbiegł do niego, a ja leżałem sobie na podłodze, starając się być niewidzialny. Nie dosłownie, oczywiście, po prostu zachowywałem się tak, jak powinien się zachowywać przestraszony chłopiec.

– No coś ty, Misza? Co z tobą?

– Chyba złamałem nogę... – jęczał Misza.

– Noge? – Leonid Arkadijewicz najpierw popatrzył na swojego wielkiego kolegę, a potem na mnie. Sięgałem temu gorylowi do pasa, a i to tylko wtedy, gdybym podskoczył. No i co, taki drab złamał o mnie nogę?! Leonid potrząsnął głową i zaczął oglądać posadzkę, próbując zrozumieć, w co tak naprawdę kopnął jego kolega.

– Czego szukasz?! – ryczał Misza. – Wezwij pogotowie, idioto!

– Co? A, zaraz... – Leonid Arkadijewicz był tak wstrząśnięty, że nawet nie zwrócił uwagi na inwektywy.

Pogotowie jednak wezwali. Na krzyk Miszy przybiegło kilka osób i teraz wszyscy ze zdumieniem obserwowali leżącego na podłodze bydluna. Zerkali również na mnie. Całe to zajście wyraźnie nie pasowało do scenariusza Leonida, który rzucił mi wściekle spojrzenie.

– Możesz uznać, że ci się fartnęło – warknął, ale od razu rozplynął się w uśmiechu. – Chociaż nie. Możesz uznać, że ci się nie fartnęło – I zwrócił się do zebranych kolegów: – Chłopaki, posiedźcie tu z Michaiłem, chyba złamał nogę, upadł tak pechowo... A ja zamknę tego małego, żeby czasem nie uciekł, zanim przyjadą z izby dziecka.

Kiwanie głowami. Zdaje się, że wszystkich bardziej interesował Misza, niż jakiś tam chłopak. Leonid wyciągnął mnie na korytarz i pociągnął za sobą w głąb budynku.

– No, koleś, nie chcesz po dobroci, mówi się trudno. Zamknę cię z takimi typkami, że rano na pewno będziesz gotów opowiedzieć mi, co wiesz... Krótko mówiąc, masz teraz ostatnią szansę wypowiedzieć się.

– Ja nic nie wiem! Niech mnie pan puści!

– Jak sobie chcesz.

Poprowadził mnie długim korytarzem, weszliśmy do sąsiedniego skrzydła budynku... W dyżurce z tablicy nad biurkiem zdjął jakieś klucze. Przy biurku nikt nie siedział, chociaż, jak rozumiałem, powinien. Zresztą, nieobecność dyżurnego wcale nie zdziwiła Leonida. W milczeniu poprowadził mnie dalej. Doszliśmy do jakichś masywnych drzwi i tu już byli milicjanci: dwóch wielkich drabów z gumowymi pałkami za pasem. Z szacunkiem popatrzyłem na ich potężne postacie. Oto ludzie! Tytani, kurde! Przestali rozmawiać i popatrzyli na nas obojętnie. Leonid wrzucił mnie do celi, ledwie utrzymałem się na nogach. Zacząłem otrzępywać ubranie wybrudzone na podłodze w tamtym pokoju, a potem rozejrzałem się.

Trzech facetów o wyglądzie kryminalistów gapiło się na mnie z zainteresowaniem. Wyglądali na takich, na których w piekle czeka już stały meldunek. Pewnie przygotowano im osobiste kotły i spory zapas drow.

– Synek – uśmiechnął się jeden z nich, krótko ostrzyżony tłusty wujcio z tatuażem na rękach. – Za co oni cię tutaj?...

Pozostała dwójka z uwagą przysłuchiwała się rozmowie. Chyba czekali, aż zacznie się zabawa. No cóż, nie sprawię im zawodu, imprezę mają jak w banku.

Zacząłem nasłuchiwać; za drzwiami dwóch byków kontynuowało rozmowę, Leonid sobie poszedł. Pysznie.

– No i co nic nie mówisz, synku? Nieładnie tak do starszych – powiedział czule. Tak czule, że aż mi się niedobrze zrobiło. – Najpierw dożyj moich lat...

A ty moich, tatulku...

– No przecież już dożyłem – westchnąłem.

– Synek pyskuje – powiedział typ z tym samym czułym uśmiechem. – A wiesz, co się u nas robi z takimi, co pyskują?

Wzruszyłem ramionami, a potem podszedłem do ściany i usiadłem na jednej z prycz. Od razu dostałem po karku.

– Jak Byk mówi, to masz stać i odpowiadać na pytania, szczeniaku! – ryknął jeden z pomagierów szefa, bo nie miałem żadnych wątpliwości, że to gruby jest tu szefem.

– Byk mówi?! – zawołałem zdumiony, wytrzeszczając oczy i zrywając się z miejsca. – Gdzie?!

– Żartownisz z ciebie, synku – uśmiech bandyty powoli gasł. – Nieładnie się tak chamsko odzywać.

– Skąd, ja nie jestem chamski. Tylko świński. Za to tu właśnie trafiłem. Za drobne świństwa.

Moja odpowiedź zdumiała całą trójkę.

– Ze co? – zapytał drugi typ, wysoki brunet z debilnym wyrazem twarzy.

– Świństwa. Drobne świństwa.

– To znaczy jak to? – zapytał ten sam typ. Tamtych też to zaintrygowało, ale nie pytali. Szef oczywiście uważał, że dopytywanie się jest poniżej jego godności, dlatego pozwolił działać sługusom.

– No na przykład dziś tutaj taki jeden, niejaki Misza. Złamał nogę. To dzięki mnie.

– Czyżby? – Szef jednak nie wytrzymał. – I jak żeś to zrobił? Głową?

– Dlaczego głową? Świństwem. Zawsze działałem świństwem. Takie sztuczki robiłem jeszcze w dzieciństwie. Zresztą, mogę pokazać...

Nie powiedzieli nic, ale patrzyli zaciekawieni. Chyba udało mi się ich zaintrygować. Podeszedłem do szefa i wziąłem od niego aluminiową miskę z resztkami jakiegoś jedzenia.

– Popatrzcie. Niby zwykła miska z żarciem, a tak naprawdę wspaniały instrument do robienia świństw. Biorę takie coś, podchodzę do drzwi, wale...

Z całej siły zagrzmociłem naczyniem o drzwi, trzech typków wymieniło spojrzenia, a potem popatrzyło na mnie. W tej samej chwili otworzyło się okienko, a ja od razu cisnąłem w nie miską. Okienko zamknęło się, a z zewnątrz doleciały wymyślne bluzgi. Słuchałem ich z niemym zachwytem. Żeby tak przeklinać?! Nie, naprawdę, diabły mogą się od ludzi niejednego nauczyć... Uniosłem dumnie głowę i odwróciłem się do widzów.

– No i jak?

– No, koleś, aleś zasunął – powiedział miejscowy szef, a potem się uśmiechnął. – Ale coś mi się zdaje, żeś jednego nie wziął pod uwagę – wsłuchał się w tupot nóg na korytarzu. – Tego, co się zaraz stanie.

Uśmiechnąłem się słodko.

– Wziąłem.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hurgotem i do celi wpadło trzech milicjantów: dwóch bydlunów, którzy stali przed wejściem i trzeci, trochę mniejszy. Jeden z bydlunów miał mundur mokry na piersi, widocznie splukiwał kaszę. Wyglądał, że tak powiem, na zagniewanego. Od razu skuliłem się wystraszony i popatrzyłem na całą trójkę niewinnymi oczami.

– Wujku milicjancie, wujku milicjancie! – zatrajkotałem. – Przepraszam, przepraszam! Oni przypadkiem wujka trafili, słowo honoru! Chcieli rzucić we mnie i dlatego...

„Wujek milicjant” rozdrażniony odepchnął mnie w kąt.

– Spadaj, mały! Nie pchaj się pod ręce, bo jeszcze i ty oberwiesz...

Skuliłem się w kącie i zamknąłem oczy. Nie ze strachu oczywiście, po prostu nie miałem ochoty patrzeć na to, co się zaraz stanie. Nie lubię patrzeć na bójkę. Jak się nie ma rozumu, to się używa pięści, a po co patrzeć na ubogich duchem? Wystarczyło mi, że słyszałem łoskot, ciosy, przekleństwa, jęki i prośby. A także zapewnienia, że oni nie mają z tym nic wspólnego. Pewnie, że nie mają. Jeszcze by tego brakowało, żeby mieli. Żeby mieć z tym coś wspólnego, trzeba by posiadać odrobinę mózgu...

Niedługo potem wszystko ucichło. Trzasnęły drzwi. Dopiero wtedy otworzyłem jedno oko i popatrzyłem na pole bitwy. Cała trójka leżała na podłodze w różnych pozach. Jęczeli. Zdaje się, że przez najbliższe dwa dni poruszanie się będzie dla nich pewnym problemem.

Wstałem i rozejrzałem się uważniej, a potem podeszedłem do szefa i usiadłem obok niego. Ten z trudem otworzył zapuchnięte oczy.

– Zabije... – wycharczał.

A ja pogładziłem go czule po głowie i zagruchałem:

– Nie uda się, tatulku, nie uda.

– Znajdę i zabije – wychrypiął znowu.

– Znajdziesz – obiecałem. – Na pewno znajdziesz. Jeszcze się spotkamy... za jakieś trzydzieści lat. Chociaż, biorąc pod uwagę specyfikę twojego zawodu, możemy się spotkać znacznie, znacznie wcześniej...

– Ktoś ty? – rozległo się chrypienie z drugiej strony.

– Diabeł, miły człowieku, diabeł – odpowiedziałem czule. – Nie wierzysz? I nie trzeba. Odpoczywaj, tatulku, musisz teraz leżeć...

Zostawiłem w spokoju szefa – idiotę i położyłem się na tej pryczy, którą przedtem zajmował właśnie on. Ułożyłem się wygodnie i zasnąłem. Jak dobrze... W końcu diabły też potrzebują odpoczynku...

Przespałem całą noc. Zdaje się, że Leonid Arkadijewicz nie miał do mnie głowy, bo w celi pojawił się dopiero rano. Otworzył drzwi ze złośliwym uśmiechem na ustach i zastygł na progu. Szczeka mu opadła. Przez jakiś czas przyglądał się pobitym kryminalistom na podłodze, a potem spojrzał na mnie. Ziewnąłem słodko, przeciągnąłem się i wstałem.

– A, cześć, Lonia. Przyjemnie tu u was. Pospałbym jeszcze trochę, ale przecież nie dasz...

– Jak... kto... co...

– Ee, Lonia, mógłbyś powtórzyć? Nie bardzo zrozumiałem, o co pytasz – powiedziałem, patrząc grzecznie na milicjanta.

– Co tu się dzieje?! – ryknął w końcu.

– Gdzie? A, tutaj? A nic. Tylko wujaszkwowie się do mnie przyczepili. . . Nie wspominałem, że mam czarny pas we wschodniej sztuce walki „dajmuwryj”? No generalnie, przyczepili się do mnie, a jak ja im dałem! . . . Jednemu nogą, drugiemu ręką. . . potem jeszcze trzeci spadł na mnie od tyłu, a ja jak się nie odwinę! Wtedy tamtych dwóch się zerwało. . .

– Zamknij się!

– No nie – rzekłem obrażony. – To opowiadaj, to się zamknij. . . Nie dogodzisz.

Gdyby ten cały Łońka miał olej w głowie, to teraz właśnie by mu się zagotował, a z uszu zaczęłyby walić para. Niestety, z braku smarowidła dla rozumu zostałem pozbawiony tak wspaniałego widowiska. Doprowadzony do ostateczności Lonia złapał mnie za rękę i wyciągnął z celi. Dla formalności zapierałem się trochę, ale milicjant chyba nie był w nastroju, szarpnął mnie z całej siły, wyrzucając na korytarz. Oj, nieładnie, nieładnie. . . Odbiłem się nogami od podłogi, uprzednio łapiąc Lonię za rękę i wypadliśmy razem, z tym, że ja znalazłem się za milicjantem, wbijając go w ścianę.

– Ach, ty! . . . – wściekł się.

Co mu jest? Chyba wstał dzisiaj lewą nogą. . . Spojrzałem na niego uważnie. Nie, inaczej, chyba w ogóle się dziś nie kładł! Teraz zrozumiałem jego nastrój. . . Zmęczony, niewyspany, szedł po mnie, pewien, że kryminaliści nauczyli mnie już rozumu. A co zastał? Trzech byczków leży na podłodze ze śladami pobicia, a ja spokojnie śpię sobie na pryczy. Każdy by się wściekł. W dodatku zacząłem jeszcze stawiać opór. . .

Leonid Arkadijewicz odepchnął mnie i zupełnie już zamroczony złością, zamachnął się. Ha, z kim on chce walczyć takim gniewem? Z diabłem?! Z rozkoszą wchłonałem jego uczucia, wzmocniłem je i odesłałem. Leonid zaczął krzyczeć, a jego dłoń zwiśla bezwładnie.

– To, to. – Pokiwałem głową. – Pokrzyycz sobie, pokrzyycz. Myślę, że będzie ci miło doświadczyć tego, co fundowałeś innym ludziom.

Jednak Lonia okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Może nie był zbyt mądry, ale jakimś zwierzęcym instynktem poczuł, kto jest winien jego cierpień, znów się poderwał i zaatakował na oślep. Zaskoczył mnie!

Naprawdę mnie zaskoczył! Gdyby było inaczej, za nic nie powtórzyłbym tamtej sztuczki z kowadłem! Co za wstyd! Powtórzyć ten sam trick w tak krótkim czasie! Dobrze chociaż, że nikt nie widział. . . Leonid znowu wrzasnął, tym razem z bólu. Złamał rękę.

Skrzywiłem się; ten krzyk był świadectwem mojej hańby. No nic, najwyższy czas się stąd wynosić. Odpocząłem sobie i wystarczy, pora wracać do pracy. Odwróciłem się i twardym krokiem poszedłem do wyjścia. W samą porę, obok mnie załomotały buciory dwóch milicjantów zaalarmowanych krzykiem szanownego Leonida.

Wyszedłem z westybulu i podszedłem do dyżurnego. Skinąłem mu grzecznie głową.

– Hej, chłopcze, a ty skąd się tu wzięłeś? – osłupiał milicjant.

– A tak, spaceruję sobie.

– Jak to spacerujesz? Wzruszyłem ramionami.

– A jak się zwykle spaceruje? Na nogach. To wejście od tyłu jest otwarte, zajrzałem i pomyślałem sobie, że zobaczę jak wygląda w środku. Wujku. . . – przeszedłem na szept. – Chciałbym w przyszłości zostać milicjantem. Może by mi wujek wszystko tutaj pokazał?

– Ze co?! Mały, zjeżdżaj stąd, bo zadzwonię do rodziców.

Nadałem się.

– Zawsze to samo! A może jednak wujek zmieni zdanie? Gdzie macie laboratorium? Daktyloskopia i takie inne rzeczy? To przecież niezwykle ciekawe!

Dyżurny wyskoczył zza kontuaru i niemal siłą pociągnął mnie do wyjścia.

– Wujku, proszę!!! To co, przejdziemy się? Pokaże mi wujek więzienie? Wujku, a wie wujek, że tak naprawdę to ja uciekłem z celi? Wujkowi się dostanie, jak mnie wujek stąd wyprowadzi!

– Aha, akurat! – zawołał zgryźliwie dyżurny, wypychając mnie za drzwi. – Marsz mi stąd i żebym cię tu więcej nie widział!

Skinąłem głową.

– Skoro tak wujkowi zależy, to więcej mnie wujek nie zobaczy. . .

Przez kilka sekund stałem przed zamkniętymi drzwiami, a na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ludzie! Jak łatwo można ich okpić! W tym momencie w komisariacie podniósł się szum; szybko narzuciłem iluzję i szedłem na bok. Zza drzwi wyskoczył Leonid, przytrzymując złamaną rękę, za nim dreptał dyżurny.

– Gdzie on jest?! – darł się Lonia. – Gdzie jest ten gówniarz?!

– Skąd mogłem wiedzieć, że on jest z tobą?! – usprawiedliwiał się gorączkowo dyżurny. – Sam go puściłeś, a teraz moja wina!

– Sam? Sam puściłem? A to widziałeś?! – Leonid podsunął dyżurnemu rękę. – Ty byś nie puścił?

– A co ja mam do tego? Skąd mogłem wiedzieć? Leonid splunął.

– I gdzie go teraz szukać?

Dyżurny tylko wzruszył ramionami, a potem odwrócił się i wszedł do komisariatu.

– A tak w ogóle, chłopak to nie nasza działka. Niech się nim zajmą ci z izby dziecka. Co nas to obchodzi?

Mógłbym mu wyjaśnić, ale obawiam się, że by mi nie uwierzył. Zawsze to samo. Jak kłamiesz, to ci wierzą, a jak zaczynasz mówić prawdę, zaraz krzyczą, że zmyślasz. No i dobra, najważniejsze, że udało mi się zneutralizować dwie „wtyki” nieznanego mi szefa. Teraz nie będzie już z nich pożytku. Rzecz jasna diabły nie powinny działać wprost... Można powiedzieć, że pracowałem na granicy... Podejrzewam, że jak wrócę do piekła, dyrektor będzie miał wiele do powiedzenia na temat moich obecnych poczynań... Oczywiście, jeśli przegram. Bo jeśli wygram... Zwycięzców się nie sądzi. Zatem muszę zwyciężyć.

Już miałem sobie pójść, ale w tym momencie z komisariatu wyskoczył Lonia. Złamaną rękę przyciskał do piersi, a drugą, zdrową, wybierał numer w komórce.

– Lonia! – wyskoczył dyżurny. – Dokąd? Wezwałem pogotowie!

Leonid machnął ręką.

– Zaraz, tylko zadzwonię... żeby się w domu nie martwili.

Dyżurny wzruszył ramionami. Oczywiście, nie rozumiał, po co wyskakiwać na ulicę, skoro można zadzwonić ze służbowego, ale rozsądnie się nie kłócił. Lonia już coś mówił do telefonu.

Wyteżyłem słuch.

– Ale to nie moja wina! – tłumaczył komuś, wyraźnie przestraszony.

Jeszcze bardziej podkręciłem słuch.

– Gwiżdżę na to, czyja to wina – usłyszałem spokojny i pewny siebie głos jakiegoś mężczyzny. – Wiem jedno – nie poradziście sobie. Zadanie dostaliście we dwóch i nie wykonaliście go. Obaj jesteście winni.

– Ależ Pawle Konstantinowiczu... .

– Koniec, nie mam nic więcej do powiedzenia. Wasze tłumaczenia mnie nie interesują.

W słuchawce rozległ się urywany sygnał; Lonia trzęsącą się ręką wyłączył komórkę i wcisnął ją do kieszeni.

– Lonia, no co ty? – Podszedł do niego jakiś inny milicjant i położył mu rękę na ramieniu. Leonid podskoczył przerażony i odwrócił się. Gdy zobaczył kolegę, przestraszona zastąpiła wściekłość.

– Odwal się! Ciebie mi tylko brakowało! Oszolomiony funkcjonariusz odprowadził Lonię zdumionym wzrokiem, a potem poszedł za nim na komisariat.

Zaśmiałem się. Cudownie! W dodatku poznałem imię mitycznego Bossa! Człowiek o tak spokojnym i pewnym siebie głosie nie mógł być pionkiem. A jeśli nawet się mylę i Paweł Konstantinowicz nie jest szefem, to w każdym razie musi przebywać w jego bliskim otoczeniu. A właściwie, po co ja się bawię w zgadywanki? Wyjąłem notes... Jak wrócę do domu, będę musiał podziękować wujkowi za ten prezent. Co bym bez tego zrobił?

Moje przypuszczenia zostały potwierdzone: Paweł Konstantinowicz był szefem. Podsumujmy: w ciągu jednej doby nieźle się zabawiłem, zneutralizowałem dwóch ludzi Bossa i poznałem imię jego samego. No i jeszcze uratowałem Aloszę. Tymczasowo oczywiście, ale uratowałem. A, jest również minus – dwa razy powtórzyłem ten sam numer. Wstyd, wstyd!

Dobrze, wstydić się będę później, teraz muszę odnaleźć mojego podopiecznego. Pogwizdując wesoło, ruszyłem na poszukiwania. Byłem prawie pewny, że chłopak jest w domu malarza – no bo gdzieżby indziej? Do swojego mieszkania Alosza nie poszedł na pewno.

Słowo daję, że chciałem od razu dołączyć do Alony i to naprawdę nie moja wina, że natknąłem się po drodze na obrzydłe mi już towarzystwo początkujących złodziejasków i szulerów. Tym razem było ich tylko trzech. Sam przywódca (ciekawe, jak on ma na imię? Zresztą, nie, w sumie zupełnie mnie to nie interesowało, dla mnie i tak pozostanie Nicponiem) i dwóch jego wiernych strażników... Powiedziałem strażników? Hmm... ci strażnicy sięgali swojemu wodzowi najwyżej do ramienia. Czyli dwa pionki i jeden Nicpoń. Nicpoń mnie rozpoznał.

– Aaa! – powiedział.

– Bee – odparłem, usiłując ominąć towarzystwo. Zagrodzili mi drogę.

– No i co, Graczu? Znów się spotykamy? – zapytał drwiąco Nicpoń. – Nie ukryjesz się przed nami.

Uniosłem brew.

– Przepraszam? Czyja się przed kimś ukrywałem? Jeśli mnie szukaliście, wystarczyło zapytać Aleksieja, on zawsze wie, gdzie jestem.

– Nie rób z siebie hrabiego! – wkurzył się Nicpoń. Widocznie w jego świecie określenie „hrabia” było straszną obelgą. – Lepiej oddaj pieniądze!

– Znów to samo? Myślałem, że tę kwestię już omówiliśmy.

– O nie! – uśmiechnął się złośliwie ten przerośnięty bałwan. – Tym razem mnie nie oszukasz! Popytałem tu o ciebie, nikt cię nie zna! Nikt!

– Znasz wszystkich zawodowych graczy w mieście? – uśmiechnąłem się. – I jesteś pewien, że wszystkich pytałeś?

– Zaraz sprawdzimy, kto za tobą stoi! – Chłopak chwycił mnie za koszulę i potrząsnął. Moje nogi oderwały się od ziemi, głowa latała na boki. Ale ma krzepę! Gdybyż jeszcze miał rozum... .

– Dobra, dobra – powiedziałem szybko. – Jeśli tak bardzo chcecie wiedzieć, to nie ma sprawy.

Nicpoń przestał mną trząść, postawił mnie na ziemi, a potem pobłażliwie poklepał po policzku.

– Trzeba było tak od razu, szczyłu.

Ach, szczyłu? O, kochany, lepiej tak ze mną nie rozmawiać... Korzystniej się ze mną przyjaźnić, nie wojsować... No cóż, wobec tego dostaniesz to, na co zasłużyłeś...

– Przecież widzicie, że nie mam przy sobie pieniędzy. Jak chcecie, to chodźcie ze mną, wszystko oddam.

– Pewnie, że chcemy – uśmiechnął się Nicpoń, obejmując mnie ramieniem. Pionki, nadal bez słowa, ustały się z tyłu. – Prowadź, Susaninie!

Susaninie? Chodzi mu o tego chłopca, który wyprowadził oddział wroga na bagna? To jest myśl... Albo nie, innym razem. Teraz rzecz w tym, żeby ci idioci nie płałali mi się więcej pod nogami, mam dość ich widoku.

Wkrótce znaleźliśmy się pod blokiem Aloszy. Pewnym krokiem skierowałem się do znanego mi już wejścia na klatkę.

– Ej, ej, dokąd ty nas prowadzisz? – zapytał nieufnie przywódca.

– A jak myślisz, gdzie zostawiłem pieniądze? Nicpoń rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

– Coś zbyt chętnie rozstajesz się z tą forszą... Czyś ty czasem nie wymyślił jakiegoś podstępku?

No proszę, domyślił się! Brawo!

– Aha! – przyznałem się z uśmiechem. – I to jeszcze jakiego!

Ręka chłopaka spoczęła na moim ramieniu.

– Uważaj... – powiedział groźnie.

Ciekawa rzecz, zupełnie nie bałem się jego gróźb. Bałwan zgrywa twardziela, a potrafi tylko straszyć. Głupek! Naprawdę niebezpieczni ludzie nie grożą nigdy i nikomu. Wszystko, co chcą, osiągają bez uciekania się do takich metod. Tych, którzy dużo gadają, nikt się nie boi. Ich niekończące się pogrożki szybko tracą na wartości...

– Oj... – jęknąłem, gdy ten idiota mocno szturchnął mnie w bok, przerywając moje rozmyślenia. Potarłem bolące miejsce i rzuciłem całej trójce gniewne spojrzenie. Czekajcie no, mafiosi...

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że ludzie Pawła Konstantinowicza będą dyżurować w mieszkaniu Aloszy i przekażą w ich ręce tych młodych kontynuatorów dzieła włoskiej organizacji przestępczej, jednak okazało się, że mieszkanie jest puste. Drzwi były usłużnie otwarte, wyrwany „z korzeniami” zamek leżał z boku, ale w środku nikogo nie było. Widocznie chłopaki doszli do wniosku, że teraz już nikt się tutaj nie pojawi. Hm... Miałem wyższe mniemanie o Pawle Konstantinowiczu... Przecież Alosza nie wie, że w domu mógłby czekać na niego ktoś oprócz ojca. Poza tym, należało tu kogoś zostawić po prostu na wszelki wypadek! A może to była inicjatywa samych podwładnych? Najwyraźniej... No i co ja mam teraz zrobić? Będę musiał uciec się do wariantu awaryjnego. Na szczęście ci niedorobieni bandyci, oglądając wyłamane drzwi, dali mi wystarczająco dużo czasu na stworzenie tego wariantu.

– Po prostu ojciec Aloszy zgubił klucze – wyjaśniłem, wchodząc do środka. – Zaraz dam wam pieniądze.

Oczywiście, nie zczekali na mnie na klatce, tylko wpakowali się za mną. Ale ja już zdążyłem zrobić wszystko, co trzeba. Wyjąłem spod łóżka Aloszy niewielką torbę i wysypałem z niej mnóstwo pieniędzy.

– To ile byłem wam winien? Dwadzieścia tysięcy? Oj, ludzie, ludzie, jacy wy jesteście przewidywalni!

Jak łatwo wami sterować! Pieniądze zupełnie zaćmiły rozum tym domorosłym mafiosom.

– Przez ten czas narosły procenty – uśmiechnął się krzywo Nicpoń, odsuwając mnie od forsy. – Bierzemy to w ramach odsetek. – I zaczął wkładać paczki banknotów z powrotem to torby.

– Hej! – oburzyłem się. – Nie tak się umawialiśmy!

– Zamknij się!

– Oddawaj! – Rzuciłem się na niego z pięściami i oczywiście dostałem w nos.

Czego się nie robi dla sztuki... Oczywiście w ostatniej chwili zdołałem złagodzić cios, ale nie mogłem go zupełnie zablokować; kto by mi wtedy uwierzył, że nie chcę oddać pieniędzy? Pewnie, że chętnie obszedłbym się bez mordobicia: wzięliście, więc spadajcie, ale to by ich pewnie zdziwiło. No i biedny diabeł dostał w twarz. No i za co, ja się pytam, za co?!

Po kilku nieudanych próbach ochrony torby z pieniędzmi zostałem zamknięty w łazience i nie brałem już udziału w podziale łupów. Rozbój w biały dzień. Nie pozostało mi nic innego, jak łomotać pięściami w drzwi i krzyczeć, żeby mnie wypuścili; co też robiłem. Zamilkłem dopiero, gdy usłyszałem, jak winda z bandytami zjeżdża w dół. Przeszedłem przez zamknięte drzwi i pospieszyłem za nimi. Strasznie chciałem poobserwować konsekwencje mojego żartu...

Rozdział 2

Stało się to, czego się spodziewałem: gdy duża suma trafi do rąk ludzi, łagodnie mówiąc, niezbyt mądrych, ci dostają lekkiego amoku. Zaczynają ich świerzbic ręce i po prostu muszą zacząć je wydawać. Jak to mówią: łatwo przyszło, łatwo poszło. Cała trójka udała się od razu do najbliższego sklepu, i to nie byle jakiego, lecz drogiego jak diabli.

„Zobacz, kupiłem sobie krawat za trzysta dolców!”

„Ty frajerze! W sklepie obok takie same można kupić za pięćset!”

Jednym słowem, wszystko jasne. Niewidoczny dla nikogo, obserwowałem, co moi mafiosi kupują. Każdy wziął sobie zegareczek i to nie jakiś tam, tylko złoty. Aha, pióro Parkera – rzecz absolutnie niezbędna dla młodocianego przestępcy. Kurde, czy oni kiedyś skończą?! Nareszcie. . .

Cała trójka niedbałym krokiem podeszła do kasy i Nicpoń królewskim gestem położył przed kasjerką kilka paczek banknotów. Kasjerka uśmiechnęła się czarująco. . . No dobra, jeśli tylko nie jest skończoną idiotką. . . Dziewczyna, bardzo ładna zresztą, nie przestając się uśmiechać, szybko liczyła banknoty. W pewnej chwili jej prawa ręka zniknęła pod ladą – tylko ja dostrzegłem, że nacisnęła tam jakiś guzik – i od razu wróciła do liczenia pieniędzy, jakby nigdy nic. Trzech bandziorków, zadowolonych jak lichy, już się cieszyło na myśl, jakie miny zrobią ich kumple, gdy zobaczą całe to bogactwo. I takich właśnie rozradowanych nakryła ochrona sklepu. Przy kasie zjawili się trzech potężnych facetów.

– O co chodzi, Lenoczka? – spytał grzecznie jeden z ochroniarzy.

Dziewczyna podała mu jeden banknot.

– Ci tutaj chcieli tym zapłacić. Nie wiem, co sobie myśleli, że wszyscy są takimi samymi idiotami jak oni?

Ochroniarz w milczeniu obrócił w rękę setkę i zwrócił się do zakłopotanej trójki.

– No, chłopaki, leżycie. Fałszowanie i rozprowadzanie fałszywych banknotów. Na kolorowej drukarce forszę drukowali i myśleli, że im się uda! – zwrócił się do kolegów

– Kolorowej drukarce?! – zawołał jeden z trójki.

– O, poczekaj, Graczu! – wrzasnął Nicpoń.

A poczekam, poczekam, po co się tak drzeć? Patrząc na wyciągnięte twarze trójki młodych przestępców, roześmiałem się wesoło. Diabło udany dzień! Jak to mówią ludzie? Dobry uczynek dziś zrobiłem, sąsiadowi świnię podłożyłem! Zresztą, cała ta trójka sama wpakowała się w kłopoty, tak jak to zwykle robią ludzie. A potem wszystko zwała się na diabły. „Diabeł podszeptał. . . ” Jasne, wziął i podszeptał! Człowiek czasem robi takie rzeczy, na które nie wpadłby żaden diabeł! A już ci tutaj naprawdę nie powinni mieć do nikogo pretensji. Sami są sobie winni. A ja. . . ja tylko pomogłem im uświadomić sobie winę. . .

– Jak spotkam kiedyś tego Gracza, to go zabiję – wysyczał przywódca, gdy ochroniarze za chabety wyciągali go z sali.

– Po co czekać? – zapytałem uprzejmie. – Zapraszam!

Nicpoń odwrócił się gwałtownie.

– To on! – zawył, pokazując mnie palcem. – On dał mi te pieniądze! Łapcie go!

Ochroniarz ciągnący Nicponia za kark spojrzął w kąt, który wskazywał palcem mój podopieczny, a potem palnął Nicponia w kark.

– Idź spokojnie i nie pleć bzdur. Może jeszcze szczotkę oskarżysz, co?

– Mówię prawdę! Jaką szczotkę? . . . – W tym momencie całe towarzystwo skryło się na zapleczu.

No cóż, na jakiś czas mogę zapomnieć o tym narybku mafii – reszta szajki nie jest groźna bez swych przywódców. A dla tych tutaj będzie to dobra lekcja. Może coś wreszcie zrozumieją? Na przykład, że bandycki chleb wcale nie jest taki słodki, jakby się wydawało? I że więzienie pozbawione jest wszelkiej romantyki. . . No dobra, może nie zmadrzeją, ale w każdym razie dostali szansę. . .

Tak, wyjątkowo udany dzień. . . Co prawda, niektórzy mówią, że miłe złego początki. . . Zobaczymy. A teraz w drogę, do naszego drogiego malarza. . .

Spieszyłem się, ale podróżowanie bez ogona w świecie ludzi idzie jednak dość opornie. Normalnie tylko trzasnąłbym ogonem i już. Nie, ani słowa o ogonie! O, jak już będę pełnoletni. . . No nie, naprawdę, koniec i już ani słowa! Swoją drogą, jak ludzie radzą sobie bez skrzydeł i ogonów? Ta tak zwana komunikacja miejska to w ogóle jakiś koszmar! Jechałem trolejbusem i cały czas żałowałem, że opowieści o czarlich rogach to tylko wymysły. Gdyby mi wystawało coś ostrego, to pewien cham nie opierałby się na mojej głowie. Widzicie go, nie ma się za co trzymać. . . Ale jak tylko sprawiłem, że zobaczył w moich włosach różne miłe żyjątka w rodzaju

wszy i pluskiew, to natychmiast złapał się za coś innego. A jak się darł, jak tarł ręce o kurtkę! Wyszadzi go więc na następnym przystanku jako niebezpiecznego dla otoczenia. Nawet nie protestował. . .

Lubię różne przygody, ale gdy robi się ich zbyt dużo. . . Krótko mówiąc, nie chcę mieć już dziś do czynienia z żadnymi przestępcami, chamami, chuliganami i innymi kandydatami do wypoczyнку w piekielnym kurorcie. Alona, gdzie jesteś?!

Siedziała w domu naszego malarza Grigorija Iwanowicza i w zadumie przyglądała się śpiącemu chłopcu. Sam malarz siedział na krześle przy łóżku i również patrzył na Aloszę. Przeniknąłem do mieszkania, zerknąłem na ten obrazek, podrapałem się po karku, a potem uprzejmie odchrząknąłem. Alona odwróciła się.

– A, to ty – powiedziała obojętnie i znów przeniosła wzrok na chłopaka. – Gdzieżeś się włóczył?

– Ja się włóczyłem?! – obraziłem się. – A to mi się podoba! Ja tu tyram w pocie czoła, ratuję tego kandydata do piekła. . .

– Obejdiesz się – przerwała mi Alona tym samym obojętnym tonem, nawet się nie odwracając.

– Ze co? Z czym się obejdę?

– Z kandydatem. Nie dostaniecie go. Znów podrapałem się po karku.

– Alona, czy ty czasem nie jesteś chora? Przecież żartowałem! Nie znasz się na żartach?!

– Kto cię tam wie.

Znów chciałem podrapać się po karku, ale znieruchomiałem. Przyjrzałem się wszystkim obecnym w pokoju. . . Grigorij Iwanowicz nadal siedział, wpatrzony w chłopca, nas oczywiście nie widział.

– Co tu się stało? – zapytałem.

– A nic. Jak odjechałeś z milicją, Alosza rzucił się do ucieczki, a ja przekonałam malarza, że chłopiec potrzebuje pomocy, powiedziałam, że nie ma dokąd pójść, generalnie przedstawiłam się jako koleżanka. Tak jak przewidywaliśmy, malarz pobiegł za chłopcem. Alosza płakał w jakiejś bramie. . .

– Mam nadzieję, że on nie tego? . . . – zrobiłem wymowny gest, jakby owijał sobie szyję linką.

– Nie. Chociaż kto wie, co by się stało, gdybyśmy przyszli później. . . – I wtedy apatia Alony minęła jak ręką odjął. Odwróciła się gwałtownie, chwyciła mnie za koszulę na piersi i zaczęła potrząsać. – Ty idioto nieszczęsny! Czy ty chociaż wiesz, w co wpakowałeś tego dzieciaka?!

– Hej, spokojnie. Nie wpakowałem, tylko wpakowaliśmy. Ty też brałaś w tym udział.

– A miałam wybór?!

– Wybór ma się zawsze.

– Jeszcze mi tu zacznij głosić takie hasła! – prychnęła i puściła mnie.

Wyglądziłem koszulę.

– Coś się tak wściekła?

– Też byś się wściekł. Nie widziałeś, co się tu działo. Grigorij Iwanowicz z trudem zdołał uspokoić Aleksieja. Przyprowadził go tu, dał mu do wypicia jakiś napar i chłopiec zasnął. Śpi już osiemnaście godzin, prawie dobę. Teraz jest spokojny, ale na początku rzucał się i mówił przez sen. O tobie też wspominał.

– Naprawdę? – ucieszyłem się. – A co mówił? Alona zerknęła na mnie.

– Powtórzyć ci? Zastanowiłem się.

– Nie, chyba nie. Właśnie to przemyślałem i jednak nie chcę wiedzieć.

– Słusznie.

– A co tam nasz malarz?

– A co ma być? Czuwa. Usiadł tak, gdy Alosza zasnął i ciągle siedzi. Boi się odejść choć na chwilę.

– Żelazny człowiek.

– Nie. Po prostu człowiek. Najzwyczajniejszy.

– No, ale chyba powinien trochę pomyśleć o sobie. . .

– Być może. Jednak nie wtedy, gdy dzieciak krzyczy przez sen, że i tak się zabije. Boże mój, Ezergil, nie masz pojęcia, co tu się działo!

– Ee. . . – zjeżyłem się. – Alona, bądź tak miła i nie wymawiaj Jego imienia w mojej obecności, dobrze? Jak mówi to anioł, to robi się bardzo nieprzyjemnie. I zdaje się, że wy też nie powinniście wymawiać imienia Jego nadaremno?

– Przepraszam. Przy tych ludziach zaczyna się mówić takie rzeczy. . .

Objęła rękami swoje ramiona i zgarbiła się.

– Boję się – powiedziała nagle. – Ezergil, cała ta sprawa już dawno przerosła nasze szkolne praktyki.

Przecież teraz ważą się losy człowieka!

– I to niejednego – skinałem głową. – Nie zapominaj o ojcu Aloszy. Myślisz, że ja się nie boję?

– A czemu miałbyś się bać? Dla ciebie to nawet lepiej, jeśli wszyscy trafią do piekła.

– Tak, znacznie lepiej – przyznałem. – Przegram zakład, zostanę na drugi rok. . .

– Ezergil! Czy możesz choć na chwilę przestać gadać tylko o sobie i pomyśleć o tym biednym dziecku?!

– Mogę. Ale kto wtedy będzie myślał o biednym mnie?

– Jesteś niepoprawny!

– Oczywiście.

W tym momencie Alosza poruszył się i otworzył oczy, przerywając tym samym naszą dyskusję. Alona od razu o mnie zapomniała, odwróciła się do niego, przymknęła powieki, a potem westchnęła ze smutkiem.

– Nie uspokoił się. Nadal jest w nim cały jego ból. Sen nie przyniósł ulgi. . . A taką miałam nadzieję. . .

– Po prostu jego ból jest zbyt wielki.

– Że też ty, diabeł, rozumiesz takie rzeczy. . .

– Oczywiście, że rozumiem. W przeciwieństwie do niektórych, aniele, regularnie uczęszczałem na lekcje. . .

Alona prychnęła, ale nic nie powiedziała.

Tymczasem chłopiec powoli wstał i spojrzał przerażony na Grigorija Iwanowicza. Skulił się i cofnął, patrząc na mężczyznę z beznadzieją skazańca.

– Co z tobą, chłopcze? – zdumiał się malarz.

– Chce mnie pan. . . jak to się mówi. . . wykorzystać? – spytał Alosza.

Gdybym powiedział, że malarz był wstrząśnięty tym pytaniem, nie powiedziałbym nic. Zawsze myślałem, że zwrot „opadła mu szczeka” to metafora, okazało się jednak, że jest inaczej.

Grigorij Iwanowicz zamrugął oczami i potrząsnął głową.

– Że co? – zapytał. – Że co chcę zrobić?

– No przecież chyba po coś przyprowadził mnie pan do swojego domu?

– Hmm. . . – Grigorij Iwanowicz pokręcił głową. – A jeśli powiem, że po prostu chciałem pomóc?

– To pan skłamię. Nikt nie chce mi pomóc. Wszyscy mnie tylko oszukują – chłopiec powiedział to z takim zmęczeniem, jakby był steranym życiem starcem, a nie dwunastolatkiem.

Alona spojrzała na mnie przestraszona.

– Ezergil, on teraz nikomu nie ufa!

– To zaufa – odpowiedziałem spokojnie. – Pozostaje mieć nadzieję, że nie pomyliliśmy się co do malarza.

– On nie będzie. . . nie zrobi tego, co powiedział Alosza!

– Rany, oczywiście, że nie. Chodzi o to, żeby wysłuchał chłopca i zrozumiał go, nie zlekceważył jego „głupstw”.

Patrzyliśmy wyczekująco na Grigorija Iwanowicza, czekając na jego reakcję. Alona chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno. Malarz przez kilka sekund spoglądał na chłopca, jakby się nad czymś zastanawiał.

– To co – powiedział w końcu – napijesz się herbaty?

– Herbaty? – spytał zaskoczony Aleksiej.

– No tak. Chyba jeszcze zostały mi jakieś cukierki. . . No, wstawaj, wstawaj. . . Starczy tego leżenia. . . A ja tymczasem nastawię wodę.

Grigorij Iwanowicz poszedł do kuchni, zabrzączały naczynia. Alosza od razu zerwał się z łóżka, szybko włożył buty i popatrzył na wyjście. Zrobił krok. . . Alona już się do niego rwała, ale w porę złapałem ją za rękę.

– Dokąd?! On musi sam dokonać wyboru! To wyłącznie jego decyzja. Pamiętasz, co ci mówiłem o hermetycznym pokoju?

– Ale on wyjdzie. . .

– To będzie wybór jego i tylko jego. Niech się nauczy myśleć i działać samodzielnie. Jeśli nie posiadzie tej umiejętności teraz, to przez całe życie będzie zabawką w rękach różnych typów.

– Mówiąc o „różnych typach” masz na myśli również siebie? – zapytała zjadliwie, ale już nie próbowała zatrzymać Aloszy.

– Oczywiście.

Chłopiec tymczasem niepewnie podszedł do drzwi i wyrzwał do ogrodu. Już zmierzał do furtki, gdy zobaczył pracownię malarza. Zastygł. Nieśmiało zbliżył się do szklanej ściany i przykleił się do niej nos.

– Podoba ci się? – Rogożew wyszedł na dwór z czajniczką w jednej ręce i cukiernicą w drugiej. Postawił to wszystko na wkopanym w ziemię stoliku i stanął obok Aloszy. – Ale czemu stąd oglądasz? Wejść do środka.

– Aa. . . można?

– Pewnie, że można. Zapraszam.

Alosza wszedł niepewnie do ciasnego pomieszczenia. Przelotnie zarejestrowałem, że wybitą przeze mnie szybę już zastąpiono dyktą.

Wtedy Alona kuksnęła mnie w bok i skinęła głową w stronę ogrodu. Odwróciłem się. Nad krzakami sterczała głowa Ksefona – nasz przyjaciel oglądał podwórko. Tylko jego mi tutaj brakowało. . . Chociaż? . . .

– Od dawna tutaj jest?

– Z sześć godzin. Nie wiem, po co tu sterczy.

– Ja też nie. . . Może próbuje wywęszyć, czego chcemy?

– Nie wydaje mi się, żeby nas widział.

– Widział, widział, możesz być pewna. Mnie bardziej interesuje, czy powiedział już ojcu Aloszy i kapłanowi, że znalazł chłopca, czy nie. Zdaje się, że im to obiecał.

– Jakie piękne! – dobiegło zza drzwi zaimprovizowanej pracowni.

Zajrzałem do środka. Alosza stał przed ogromnym obrazem, na którym widniała rzeka z płynącym po niej parostatkiem. Widok na rzekę roztaczał się z jakiegoś wysokiego miejsca, chyba ze skarpy, w dole była plaża,

promienie słońca igrały na wodzie. . . Pejzaż dosłownie promieniował radością życia. Nie widziałem przedtem tego obrazu i teraz byłem wstrząśnięty nie mniej niż Aloszka. Za moimi plecami anielica zasapała z zachwytem.

– I tego człowieka chciałeś zmusić do malowania samochodów? – zapytała Alona po kilku minutach absolutnej ciszy.

Pokręciłem głową.

– Gdybym wcześniej widział to dzieło, nie urządziłbym swojego głupiego przedstawienia.

– Pewnie musi pan być dobrym człowiekiem, skoro maluje pan takie obrazy – powiedział ze smutkiem Alosza, odchodząc od płótna.

Grigorij Iwanowicz zastygł wstrząśnięty, najwyraźniej spodziewał się innej oceny.

Chłopiec usiadł na brzeжку krzesła. Wziął do ręki postawioną przed nim filiżankę herbaty, obrócił, obejrzał pod światło.

– Chciałbym panu uwierzyć, i nie mogę – wyznał. – Tak bardzo nie chcę jeszcze raz się pomylić.

– Chłopcze, a może dobrze by ci zrobiło, gdybyś o wszystkim opowiedział? Może poczujesz ulgę?

– I tak mi pan nie uwierzy. . . – zauważył ze smutkiem. Upił łyk herbaty, skrzywił się, wrzucił do filiżanki dwie kostki cukru, pomieszał.

– A może jednak spróbujesz? Przecież widzę, że potrzebujesz pomocy.

– Nikt mi nie pomoże. Sprzedałem duszę diabłu – wyznał Alosza i zaszlochał. Wtedy nagle go poniosło. Zaczął opowiadać, wylewając cały ból, jaki nagromadził się w nim przez te dni. Grigorij Iwanowicz słuchał bardzo uważnie, ale nie wierzył. Widać było, że chce uwierzyć, żeby dodać chłopcu otuchy, ale po prostu nie może! Alosza chyba to poczuł. Mówił coraz ciszej; nadzieja, dźwięcząca na początku w jego głosie, ustąpiła miejsca rozpacz.

– Ludzie stracili wiarę – skonstatowała Alona. – Zaczynają myśleć tam, gdzie trzeba po prostu wierzyć.

– Tak – powiedziałem ze smutkiem. – A ja bym jeszcze dodał, że zaczynają zdawać się na wiarę akurat wtedy, gdy nie zaszkodziłoby pomyśleć.

– I co my teraz zrobimy? Jeśli między Aloszą i malarzem nie pojawi się zaufanie, to nic już nie zdołamy zrobić. . .

W tym momencie spojrzałem na płot i uśmiechnąłem się.

– A jednak jest nadzieja. . .

– O czym mówisz? – spytała podejrzliwie.

– Nie uwierzysz.

– Powiedz!

– Pomoże nam Ksefon.

– O, w to faktycznie nie wierzę – prychnęła Alona.

W tym momencie furtka otworzyła się z trzaskiem i na podwórko wpadł ojciec Aloszy, a za nim kapłan. Jako ostatni wkroczył Ksefon z dumną miną zwycięzcy. Omal nie parsknąłem śmiechem, Alona też prychnęła. Jednak nie mieliśmy czasu go obserwować; na widok ojca Alosza zerwał się przerażony i schował za malarzem. Ten, nie rozumiejąc, co to za ludzie, ale widząc reakcję chłopca, wstał.

A postępowanie ojca Aloszy zdziwiło mnie. . . i ucieszyło. Nienaszew patrzył z bólem na przerażonego syna.

– Losza. . . – wyszeptał.

– Idź sobie! Nie dotykaj mnie!!!

– Co się tu dzieje? – Zmarszczył brwi Grigorij Iwanowicz.

– Spokojnie, proszę, ciszej. . . – odezwał się kapłan.

– Nigdzie z nim nie pójde!!!

– Cisz! – zawołał kapłan tak, że od razu robiło się cicho jak makiem zasiał.

Grigorij Iwanowicz zamarł z otwartymi ustami, widocznie chciał coś powiedzieć. Alosza zastygł za jego plecami. Zgarbiony Wiktor Nikołajewicz cofnął się i tylko Ksefon nadal z uśmiechem kręcił głową, niczym widz przyglądający się artystom na scenie.

– Rozumiem, że musimy wyjaśnić sytuację – powiedział kapłan już normalnym tonem. – W przeciwnym razie grozi nam małe nieporozumienie, a małe nieporozumienia często prowadzą do wielkich nieszczęść.

Złote słowa! Ludzie powinni wbić je sobie do głowy, wtedy uniknęliby wielu błędów.

– Ja również sądzę, że powinniście się panowie wytłumaczyć – zauważył chłodno Grigorij Iwanowicz. – Widzę, że chłopiec was zna i raczej nie cieszy się z waszego przybycia.

– To ojciec Aloszy, Wiktor Nikołajewicz Nienaszew – dokonał prezentacji kapłan.

– Ach tak. . . – powiedział powoli Rogożew, teraz już inaczej patrząc na stojącego przed nim mężczyznę. – Teraz rozumiem. Alosza trochę mi o panu opowiadał.

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zrozumieć, iż opowieści Aloszy były niezbyt pochlebne. Gdy Rogożew podszedł, Wiktor Nienaszew chciał się cofnąć, ale nie zdążył, mocne dłonie chwyciły go za kłapy marynarki. Ojciec Aloszy nawet się nie bronił, tylko zamknął oczy.

– Wiktor Nikołajewicz bez wątpienia zasłużył na karę – powiedział spokojnie kapłan – ale chciałbym zauważyć, że jeśli go pan teraz pobije, absolutnie nie pomoże to dziecku.

- Kim pan jest? – spytał go Rogożew nieprzyjaźnie.
- O, bardzo przepraszam: ojciec Fiodor, kapłan. Myślę, że w tej sytuacji mogę się przydać.
- Pop – skrzywił się pogardliwie Alosza.
- Hm, skąd w tak młodym wieku taki stosunek do duchownych? – zapytał ojciec Fiodor.
- A stąd – odburknął Alosza.

– A, to sporo wyjaśnia.

– A pewnie. – Alosza już się uspokoił i teraz patrzył na wszystkich wilkiem. – Wcale nie chcę z panem rozmawiać! W ogóle nie chcę z nikim rozmawiać!

– Aleś ty głupi – wtrącił się Ksefon. – Lepiej się zamknij i słuchaj. Jeśli chcesz się uwolnić od Ezergila, to, dobrze ci radzę, posłuchaj tych ludzi.

– Od ciebie też się chcę uwolnić! Od was wszystkich! Coście się do mnie przyczepili?!

Alosza zerwał się z miejsca i pobiegł do furtki, ale Ksefon w samą porę podstawił mu nogę. No i czyż on nie jest tylko drobnym biesem?!

– Chłopak i tak sobie pójdzie – westchnęła Alona.

– Zgadza się. Dlatego musimy odkryć pewne karty.

– Co masz na myśli? – Spojrzała na mnie czujnie.

Popatrzyłem na nią uczciwymi oczami.

– Żadnych świństw, słowo honoru! No, najwyższej wobec Ksefona! Tu chyba nie masz nic przeciwko?

– Tu nie mam.

– W takim razie wychodzimy za furtkę, zdejmujemy iluzję i wchodzimy znowu. Do dzieła, szybko, bo zaraz zaczną się bić.

Rzeczywiście, bójka wisiała na włosku. Alosza wstał, otrząpał się i sądząc z jego miny, było mu już wszystko jedno, na kogo się rzuci: na mafie, milicję czy diabła. Aż mi się zrobiło żal Ksefona.

Czym prędzej wyciągnąłem Alonę na ulicę, ale tam czekała nas niespodzianka. Zupełnie zapomniałem, że malarz mieszka w dzielnicy prywatnych domków, gdzie wszyscy wszystkich znają i pojawienie się trójki obcych nie mogło zostać niezauważone. Niektórzy sąsiedzi już zerkali na furtkę. Przypomniałem sobie, jak szybko przybiegli na pomoc Grigorijowi Iwanowiczowi, gdy udawałem „chrzestnego synka” i tylko pokręciłem głową. Sąsiedzi, sąsiedzi... Mogą być przekleństwem albo zbawieniem. Grigorij Iwanowicz miał szczęście, ale my nie. Musieliśmy odejść nieco dalej i schować się za drzewami, dopiero tam mogliśmy się ujawnić.

– Spieszmy się – powiedziałem. – Obawiam się, że zaraz wydarzy się tam coś nieodwracalnego.

– Po twoim Ksefonie można się wszystkiego spodziewać – przyznała Alona.

– Taki on mój, jak i twój – odgryzłem się.

– Nieważne... Ze świecą szukać drugiego takiego bałwana.

Jednak w tej chwili Ksefon interesował mnie najmniej. Całą moją uwagę skupił mały puszysty kotek, który wyłonił się spod jakichś skrzynek. Zdaje się, kiedyś był domowym kociakiem, a potem albo go wyrzucono, albo sam uciekł. Podbiegłem do niego i złapałem, nim zdążył umknąć. Kociak zasyczał i próbował mnie podrapać, ale od razu wcisnąłem go w rękę Alony. Zwierzak z miejsca się uspokoił i nawet zamruczał. A to drań! Dłaczę zwierzęta tak nie lubią diabłów?

– Co to? – spytała Alona, odsuwając od siebie kotka i wykręcając twarz. No, faktycznie, puchaty kłębek pachniał dość intensywnie i to wcale nie perfumami.

– Kotek.

– To widzę – wycedziła Alona. – A po co mi go dałeś?

– Będzie nam potrzebny. Na razie go schowaj.

– A niby gdzie?

– Wsuń za pazuchę.

Spojrzała na mnie wzrokiem mordercy.

– Doszczętnie zgłupiałeś? A zapach? Odwróciłem się do niej gniewnie. Te dziewczyny!

To im nie pasuje, tamto im nie pasuje...

– To zatkaj nos! – warknąłem i od razu tego pożałowałem. Myślałem, że Alona zabije mnie na miejscu. Miałem szczęście, że jest aniołem, ograniczyła się tylko do kopniaka.

– No przepraszam! Przepraszam! – powiedziałem szybko, skacząc na jednej nodze i pocierając drugą. – Musimy się spieszyć! A kotka zatrzymaj.

Alona popatrzyła na mnie uważnie, potem w milczeniu skinęła głową i podeszła do furtki. Patrzyłem na nią przez kilka sekund. To ma być anioł? No, wujaszku! Widzieliście kiedyś anioła, który kopie jak diabeł? Powinna cierpliwie i łagodnie znosić moje docinki i złośliwości, kopniaki to moja domena! A tu co? Ładna mi cierpliwość i łagodność! To ja muszę być cierpliwy i łagodny, jeśli nie chcę oberwać! Zresztą, właśnie dlatego ta dziewczyna tak mi się spodobała... Ale wujkowi i tak wypomnę! Rachunek, jaki mu wystawię – za tę praktykę, pomocnicę i wiele innych rzeczy – będzie astronomicznej wielkości...

Westchnąłem i zacząłem doganiać naszego aniołka. Alona tymczasem podeszła do furtki i teraz na mnie czekała. Kotek spokojnie drzemał na jej ręku. Zauważyłem, że zdążyła go już wyczyścić jakimś swoim sposo-

bem. Jeśli chodzi o pomaganie innym, nikt nie przebiję anioła. Jedno skinienie ręki i kotek jest czysty, umyty, niemal wyprasowany. Ulicznik i rozrabiaka zmienia się nie do poznania.

– Długo jeszcze będziesz mi się przyglądał? – zapytała złośliwie Alona. – Ktoś tu mówił, że mamy się spieszyć.

Chyba się zaczerwieniłem; na wszelki wypadek odwróciłem głowę, udając, że przyglądam się sąsiadom.

– Po prostu oceniam sytuację – powiedziałem tonem, którym zwykle dowódca zwraca się do swoich wojsk przed decydującą bitwą.

Alona zerknęła na mnie, ale moje ostatnie zdanie pozostawiła bez komentarza. Spytała tylko:

– Jesteś pewien, że powinniśmy zjawić się razem? Dla Aloszy to może być sygnał, że został oszukany, a już prawie zaczął mi ufać.

– Wszystko w porządku, uwierz mi. Zagramy w starą ludzką grę: dobry i zły. Myślę, że nie będziemy ciągnąć losów, komu przypadnie jaka rola?

– I ja tak myślę – mruknęła Alona.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Przekonasz się, jak świetnie potrafię udawać anioła... To żart! – zawołałem, nim Alona znalazła coś ciężkiego, czym mogłaby we mnie rzucić. Czasem naprawdę zaczynam się zastanawiać, które z nas jest diabłem, a które aniołem.

Zjawiliśmy się w samą porę. Na podwórku zdążyła już wybuchnąć niewielka wojna. Alosza startował z pięściami do Ksefona, który w dodatku specjalnie go drażnił. Grigorij Iwanowicz próbował powstrzymać chłopca, a ojciec Aloszy chciał pomóc synowi, ale chłopiec uciekał przed nim, jak diabeł przed kadzi... ee, tak właściwie to diabły wcale nie uciekają przed kadziem, po prostu zapach nam się nie podoba. No, jedynym słowem uciekał. Kapłan próbował wszystkich pogodzić, ale Ksefon, który swoimi żartami i drażnieniem niwelował jego wysiłki, zaczynał go powoli wkurzać. Jeszcze chwila, a malarz będzie musiał powstrzymać ich obu.

Stanęliśmy z anielicą naprzeciw pola bitwy i popatrzyliśmy na siebie.

– Jesteś pewna, że ludzie są w stanie sami rozwiązywać swoje problemy? – zapytałem.

– Trzeba po prostu wierzyć... – Jednak w jej głosie nie było zbyt wiele wiary. – Przypominam, że to ty nalegałeś, by im na to pozwolić.

– Zgadza się. Ale wiesz, gdy teraz na nich patrzę, to pomysł z hermetycznym pokojem i spełnianiem wszystkich pragnień nie wydaje mi się już taki głupi.

Alona prychnęła. Odwróciła się ode mnie i dość głośno chrząknęła, ściągając na siebie uwagę ludzi. Na podwórku zapanowała cisza, teraz oczy wszystkich były zwrócone w naszą stronę.

– Kogo tam znowu przyniosło? – usłyszałem mamrotanie Grigorija Iwanowicza.

– Bawicie się? – zapytałem z uprzejmym uśmiechem. Uśmiech diabła to coś więcej niż zwykły grymas. Może sprawić, że rozmówca albo zacznie trząść się ze strachu, albo odpręży się, roześmieje lub speszy, zawstydzę i tak dalej. Rzecz w tym, żeby wiedzieć jak to robić. A ja trenowałem, i to intensywnie. Może właśnie dlatego nadal nie mogłem osiągnąć spodziewanego rezultatu. Teraz, widząc mój uśmiech, wszyscy tylko się skrzywili. Ech, jeszcze długie godziny treningu przede mną... ale przecież czasem mi wychodzi... Czym prędzej spoważniałem.

– Dzień dobry – powiedziałem po prostu.

– Ezergil! – wrzasnął Ksefon. – A co to za dziewczucha?

Ksefon zawsze słyszał z nienagannyh manier... Ale instynkt samozachowawczy poważnie mu szwankował. W odróżnieniu od Alony, niemal nie zwróciłem uwagi na to pytanie.

– Losza, rozumiem, że potrzebujesz mojej pomocy? Wystarczy, że powiesz... Każde twoje pragnienie zostanie spełnione.

– Odejdź – poprosił chłopiec tonem skazańca. – Dajcie mi wszyscy spokój.

– Niestety, nie mogę. Przecież zawarłeś ze mną umowę. Póki jej nie wykonam, sam nie odzyskam wolności.

– Chwileczkę – wtrącił się kapłan. – Rozumiem, że to ty jesteś tym Ezergilem, o którym opowiadał nam ten młody człowiek. – Ojciec Fiodor skinął głową na Ksefona.

Skłoniłem się.

– Hej! – odezwał się ojciec Aloszy. – To przecież ciebie ciągle widziałem!

Znów się skłoniłem.

Zaraz potem wtrącił się malarz.

– Czy mi się zdaje, koleżko, czy cię już gdzieś widziałem? – Zmarszczył czoło w zadumie.

– Może to panu pomoże? – Pstryknąłem palcami, otuliła mnie lekka mgiełka, a gdy się rozwiała, wszyscy mogli mnie podziwiać w stroju bogatego panicza, w którym odwiedziłem malarza.

– Więc to ty?! Ale... ale kim ty jesteś?!

Znowu się uśmiechnąłem – tym razem skutecznie.

– Diabłem. Ezergil, do usług.

Malarz wytrzeszczył oczy, a potem powoli opadł na krzesło.

– Albo ja śnię – wymamrotał – albo ty kłamiesz.

Znowu się uśmiechnąłem i na chwilę ukazałem tę moją postać, w jakiej ludzie zwykle wyobrażają sobie diabły, z rogami i kopytami.

– Zgiń, przepadnij. . . – wymamrotał kapłan, podnosząc rękę, żeby zrobić znak krzyża.

– No, no, no – szybko odzyskałem zwykły wygląd. – Bardzo bym prosił bez tych waszych sztuczek.

– Boże Wszchemogacy. . . – wymruczał pop, ale rękę opuścił.

– Oczywiście, że wszchemogacy – przyznałem – ale proszę mi wierzyć, diabły są znacznie roztropniejsze.

– Jak śmiesz?!

– Jak śmiem? Święty ojciec, czy jak tam się do pana zwracać, przecież jest pan mądrym człowiekiem!

Zostawmy te dysputy różnym fanatykom religijnym, którzy raję i tak oglądać nie będą. Rozumiem, że chce pan uratować duszę pewnego chłopca. Rzecz jasna, ja nie chciałbym jej stracić. Więc może się dogadamy? Złoto czy władza?

– Nie! – Ojciec Fiodor odsunął się ode mnie przerażony.

– Nie? To może chciałby pan zostać patriarchą? Jak by to brzmiało: patriarcha Wszechrosji Fiodor!

– Nigdy!

– Naprawdę? Jest pan naiwny, sądząc, że nigdy nie było patriarchów należących do nas duszą i ciałem. Z niektórymi mógłbym pana poznać, po pańskiej śmierci, oczywiście.

– Ja nie jestem żadnym z nich!

– Widzę. Z Ksefonem, rzecz jasna, również związał się pan w imię pańskiej nieśmiertelnej duszy. Za co pana kupił?

Kapłan odskoczył od mojego kolegi z klasy i popatrzył na niego przerażony.

– Bydlaku! – ryknął Ksefon, rzucając się na mnie. – Gwiżdżę na duszę tego świętoszka! Niech ją sobie zatrzyma! Ty mi jesteś potrzebny!

– No i czemuś się do mnie przyczepił? – spytałem ze smutkiem, skrywając się za iluzją.

Ksefon przez kilka sekund biegał po ogrodzie, próbując mnie odszukać, a potem odwrócił się do Alony, która już podeszła do Aleksieja i teraz stała przy nim.

Wściekły diabeł przypomniał sobie, że przyszła ze mną.

– A ty coś za jedna? Bardzo jestem ciekaw, skąd żeś się tu wzięła? – Ruszył w jej stronę z nieprzyjemnym uśmiechem.

Alona wyprostowała się.

– Młody człowieku, jak śmiesz odzywać się w ten sposób do dziewczynki? – wmieszał się kapłan.

– Zamknij się, świętoszku!

– Taak. . .

Stanałem za ojcem Fiodorem i zdążyłem go złapać za ramię, nim rzucił się, żeby bronić Alony. Drugą ręką powstrzymałem Nienaszewa.

– Zostawcie go. Niektórzy muszą uczyć się na własnych błędach. Biedak nie zrozumiał jeszcze, z kim ma do czynienia, ale to nic, zaraz zrozumie. Ona nie potrzebuje waszej pomocy.

Kapłan zerknął na mnie z powątpiewaniem i w tym momencie Ksefon podszedł do anielicy, chwycił ją za rękę.

– Coś ty za jedna?! Popatrzyła na niego lodowato.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Dobrze. . .

Jej postać zapłonęła nieznośnie jasnym światłem, które otulało ją, rozplywając się powoli. Tam, gdzie spływało na ziemię, rozkwiatały zwiędłe już kwiaty. Usłyszałem jakby dźwięk dzwoneczków, widziałem, jak wygładzały się twarze ludzi, jak zniknął z nich strach i ból. Widziałem, z jakim zachwytem patrzył na lśniąca postać Alosza, z jakim podziwem spoglądał na nią Rogożew. Widziałem, jak zewsząd zaczęły zlatywać się ptaki, by przysiąść na rękach Alony. . .

W pewnym momencie Ksefon zaczął krzyczeć. Lśnienie anioła parzyło nawet mnie, choć stałem dość daleko. A co musiał czuć Ksefon? W dodatku biedak najwyraźniej nie mógł się ruszyć z miejsca!

Alona odwróciła się do niego.

– Nadal jesteś ciekaw, kim jestem?

Ksefon nie mógł odpowiedzieć, jedynie charczał. Wtedy lśnienie dotknęło mnie. . . Nigdy więcej nie chciałbym przeżyć czegoś podobnego! Poczuję się jakbym został obłany kwasem.

– Alona! – krzyknąłem ochryple. – Proszę. . . Odwróciła się do mnie i lśnienie od razu znikło.

Podbiegła i wyjąkała:

– Ojej, Ezergil, przepraszam, nie chciałam! Ale ten idiota tak mnie zdenerwował. . .

Chyba zamierzała coś jeszcze powiedzieć, ale nie wiem co, bo w tym momencie do akcji wkroczył Alosza. Podleciał do mnie ze słoikiem z wodą; skąd on ją wziął? Ach, no tak, z tamtej cerkwi! Nabrał jej, gdy ja i Alona rozmawialiśmy z kapłanem. . . A może wcześniej? Nieważne. Rezolutny i obrotny chłopak, nie tracił czasu. . .

– I tak się od ciebie uwolnię!

Taaaak. . . zdaje się, że wpadłem. Nie zdążyłbym ani zniknąć, ani się schować, ale wtedy niespodziewanie dziewczyna zasłoniła mnie sobą i zawartość słoika wylądowała na niej. Czym prędzej odskoczyłem.

Alona gniewnie otrzępywała wodę, mamrocząc coś ze złością na temat głupich małolatów, którzy nie

wiedza, co robią i równie głupich diabłów, które nie potrafią się o siebie zatroszczyć. Stałem z boku, patrzyłem na nią i chichotałem. Przysięgam, że nie mogłem się powstrzymać!

Ksefon wstał z jękiem i popatrzył na mnie z nienawiścią.

– Więc to tak?! Sprzedałeś się skrzydlatym?! Postanowiłeś zostać aniołeczkiem! O, jak opowiem o tym w szkole!!!

– Strasznie się boję. – Wykrzywiłem się. – Aż się cały trzęse. Tylko nie zapomnij opowiedzieć, jak stanąłeś do walki z aniołem i że wszedłeś w układy z ludzkim kapłanem, by przeszkodzić diabłu w wykonaniu zadania.

Ksefon tylko zgrzytnął zębami.

– Dobrze – powiedziałem – rozerwaliśmy się i wystarczy. Teraz porozmawiajmy poważnie. Jak sądzę, każdy ma tu swoje interesy, więc może pogadajmy o nich jak normalni ludzie?

– Zgoda. – Kapłan podszedł do mnie i serdecznie, a przynajmniej tak miało to wyglądać, położył mi rękę na ramieniu.

Odwrociłem się do niego z uśmiechem.

– Przypomniał pan sobie, co się wtedy stało Ksefonowi? A ze mną nie wyszło, co? Ajajaj! A dlaczego? Otóż z powodu pychy, synu mój. Poczul się pan Mesjaszem, który gołymi rękami rozprawia się z Szatanem?

– Ja... – Kapłan zaczerwienił się i odsunął szybko.

Poczulem jego wstyd całym sobą.

– Och, ludzie, ludzie... – Pokręciłem głową. – Nijak nie możecie zrozumieć, że z nami nie walczy się symbolami, obrzędami czy innymi sztuczkami. Aby się uwolnić od diabła, należy go pokonać wewnątrz siebie. Wtedy żaden z nas nie będzie miał władzy nad wami. Wiara, oto wasza broń!

– Ja wierzę!

– W co? – westchnąłem. – W abstrakcyjną dobrą siłę? A powinien pan wierzyć w siebie, w siebie! W to, że może się pan wznieść do Niego, a nie w to, że On zniży się do pana. Pewnie, że ciężko wchodzić pod górę. Zresztą, po co się tak męczyć? Czy nie lepiej poleżeć sobie na trawce i pomarzyć? A On zejdzie do pana i zaprowadzi prosto do raj! Nie, tak się nie da! Trzeba się napracować, przede wszystkim nad sobą. I szczerze wierzyć. Szczerze, ale nie fanatycznie! Znam ja was, ludzi, wystarczy wam podsunąć jakąś ideę, a takich rzeczy nawyrabiacie... Waszych fanatyków nie dopuszczą nawet w pobliże nieba. Nie zobaczą ani raj! chrześcijan, ani muzulmańskich hurys. Wiara jest dobra, jednak nie wtedy, gdy całkowicie zastępuje rozum. Zawsze trzeba mieć głowę na karku, zawsze trzeba samemu myśleć.

Kapłan chciał zaprotestować, ale zamilkł i przyglądał mi się przez kilka chwil. Zastanawiał się. Słusznie, kochany, słusznie. Myśl! Jak sądzisz, po co się tak rozgadałem? Żeby mi język nie skołowaciał? Nie! Chcesz ratować chłopca? To najpierw posłuchaj mnie! Słuchaj i myśl! Przecież mówię jasno i wyraźnie, cóż począć...

– Ee... – odezwał się w końcu Grigorij Iwanowicz, który pod spojrzeniem Alony czuł się chyba bardzo nieswojo. – Może wejdziemy do domu i tam porozmawiamy?

Alona na pewno wyczula skrępowanie malarza, bo pierwsza weszła do środka. Przechodząc obok Grigorija Iwanowicza przystanęła i lekko musnęła jego dłoń.

– Jest pan dobrym człowiekiem. I pięknie pan maluje.

– Ja? Ale przecież ja do cerkwi... Alona podniosła rękę.

– A czy to ważne? Czy Bóg jest w jakimś tam budynku? On mieszka w każdym z nas! W każdym człowieku, w każdym zwierzęciu i każdej roślinie. Wszystko wokół nas jest Nim! Wcale nie trzeba chodzić do cerkwi, żeby do Niego dążyć. Wszystko i tak zależy tylko od pana.

– A czy to jest prawidłowe?

– Co to znaczy „prawidłowe”? Jedni potrzebują przewodnika, inni idą sami.

– Ho, ho, jakie przemowy! Jeszcze zacznij różne wasze pisma cytować. – Ksefon skrzywił się, przechodząc obok. Alona nawet nie zaszczycała go spojrzeniem.

Za to Ksefon odwrócił się do niej, a ja od razu skorzystałem z okazji, skoncentrowałem się i umieściłem na środku ganku niewielkie koryto do góry dnem, do tej pory stojące z boku. W ten sposób powstał jakby jeszcze jeden schodek. Ksefon, zajęty drażnieniem Alony, nie zauważył tego i gdy poczuł przeszkodę, pomyślał, że to po prostu kolejny stopień. Stał na nim, wyprostował się... No cóż, koryto sprawiło, że stał się wyższy, a futryna pozostała na poprzedniej wysokości...

– Ezergil! – ryknął Ksefon, odwracając się do mnie.

– Co, Ezergil? – oburzyłem się. – Czego znów chcesz ode mnie? Jak tylko coś się stanie, od razu Ezergil! W szkole Ezergil, w domu Ezergil... Czy to moja wina, że nie patrzysz pod nogi?

Ksefon spojrzał na mnie gniewnie. Chyba nie uwierzył w moje usprawiedliwienia. Ciekawe, dlaczego? No dobrze, przyznaję, że faktycznie to zrobiłem, ale czy to ma być powód, żeby mi nie wierzyć?!

Widząc oszołomiony wzrok kapłana, mrugnąłem do niego i zniknąłem we wnętrzu domu, zręcznie mijając Ksefona, który wyraźnie przygotowywał jakieś świństwo. Widząc, że w tej chwili nic z tego nie będzie, zaklął przez zęby i pobiegł za mną.

Tak, chyba zaczyna się najciekawsza część. Strony pomyślnie oszukały siebie nawzajem. Zobaczmy, kto kogo oszuka bardziej. Ech, życie jest piękne!

Rozdział 3

W domu malarza Ksefon próbował zrewanżować się za koryto... Cóż, jak był nieukiem, tak nim pozostał. W gościach, w obecności anioła chciał podłożyć świnię temu, którego gospodarz zaprosił do swego domu – czy to nie idiota?! Rzecz jasna, świństwo wróciło do niego samego. Teraz zły, jak... ee... no, po prostu zły, siedział w fotelu i patrzył na mnie jednym okiem; z powodu potężnego siniaka drugim patrzeć nie mógł. Zdaje się, że ze wszystkich zebranych współczuła mu tylko Alona, ale ona się nie liczy, zawsze powtarzam, że anioły są stuknięte.

Dziewczyna usiadła obok mnie w fotelu i teraz głąskała śpiącego na jej kolanach kotka.

– Słuchaj – szepnęła – po co kazałeś mi tu przynieść tego kociaka?

– Ja?

– Ezergil!

– No, co? Jak tylko coś, zaraz Ezergil! Co to jest, napis na dropsach?

– Ezergil!!!

– Dobra, dobra. Ja już wszystko zrozumiałem. A ty jeszcze nie?

– Co miałam zrozumieć?

– Spójrz na Aloszę. On sam jest jak ten kotek, zagubiony i bezbronny, ale w każdej chwili gotów wysunąć pazurki. Podaruj mu to zwierzątko, niech się nim zaopiekuje. Teraz bardzo potrzebuje takiej lekcji: troski o kogoś, kto cierpi jeszcze bardziej niż on. Może wtedy lepiej zrozumie ojca. Może nie będzie go tak surowo osądzał.

Alona patrzyła na mnie ze trzy minuty. Pochłonięci cichą rozmową nie zauważyliśmy, że wszyscy zgromadzeni uważnie nas obserwują.

– Słuchaj, a nie myślałeś o tym, żeby zostać aniołem? – spytała w końcu. – Na pewno by ci się udało.

– Ja? Aniołem?! Nie ma mowy! W tym waszym rajku po miesiącu umarłbym z nudów! Nie, nie, jako diabłu dobrze mi się powodzi.

– Ezergil!

– Znowu? Dobrze, sza! Kończ te gadkie, lalka, bo już się frajerzy zebrali, zara będziem im kity żenić... .

– Ezergil!!! – teraz już na głos. Zupełnie nie można z nią pożartować!

– Skończyliście? – zapytał złośliwie Ksefon. – Zakochana para!...

Alona zaczerwieniła się, ja chyba też. Kiedy już opuszczę ten dom, Ksefon przestanie widzieć również na drugie oko.

– Skończyliśmy – odparłem. – A co, chcesz usiąść na moim miejscu?

Alona zrozumiała aluzję: uśmiechnęła się złowieszczo i na chwilę jej postać otoczyło znajome lśnienie. Ksefon cofnął się przerażony, mamrocząc pod nosem coś o panu Wikientiju i stukniętym diable. Pewnie mówił o sobie.

Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i przymknąłem oczy.

– Młody człowieku... – odchrząknął kapłan. Siedział na kanapie obok Wiktora Nikołajewicza. Alosza usiłował odsunąć się jak najdalej od ojca i w efekcie znalazł się obok oszołomionego malarza, który przysiadł na starym kufrze, mrugając oczami. Zdaje się, że na razie nie będzie z niego żadnego pożytku; to wszystko jest dla niego zbyt niespodziewane. Biedny... . Może by tak zastosować terapię szokową? Zerknąłem na Alonę i pomyślałem, że ona by tego nie pochwaliła, a ponieważ swoją dezaprobatę mogła wyrazić w bardzo różny sposób, uznałem ryzyko za zbyt duże.

Zerknąłem na kapłana.

– Rozumiem, że „młody człowieku” odnosiło się do mnie? Niech i tak będzie, stary człowieku.

Kapłan sposepniał.

– Nie podoba mi się twój sposób zwracania się do mnie... .

– A mnie się nie podoba twój, zwłaszcza że mógłbyś być moim prawnikiem. Nazywam się Ezergil i myślę, że nietrudno to zapamiętać.

Kapłan uśmiechnął się i popatrzył na mnie twardo. Odpowiedziałem mu równie nieugiętym spojrzeniem.

– Nie przypominam sobie, żebym spotkał się z twoim imieniem w świętych księgach.

Uśmiechnąłem się.

– Jak na człowieka jestem stary, jak na diabła – młody, i to bardzo. Proszę się nie martwić, jeszcze pan o mnie usłyszy. Nie mam zamiaru pozostać anonimowy.

Ksefon prychnął, ale ani ja, ani ojciec Fiodor nie zareagowaliśmy.

– Pycha, Ezergilu, to straszny grzech.

– O, naprawdę, po co te komplementy? Aż się speszyłem... Ja tylko staram się odpowiadać wysokiej randze diabła.

Kapłan prychnął, odchylił się na oparcie kanapy i zerknął na Ksefona.

– Jesteś zupełnie inny, niż myślałem.

– Owszem, mnie również zdumiał wspaniały wykład pańskiego przyjaciela Ksefona.

– Podśluchiwałeś?! – zdenerwował się Ksefon.

– Oczywiście.

– O, czekaj ty!

– Czekam, czekam.

– Dość. – Wiktor Nikołajewicz niespodziewanie zerwał się z miejsca i ruszył w moją stronę. – Nie interesują mnie wasze porachunki! Interesuje mnie tylko mój syn! Diabie, jak cię tam... .

– „Jak cię tam” brzmi całkiem niezłe. Ale ja pańskie imię zapamiętałem, Wiktorze Nikołajewiczu.

Nienaszew spurpurowiał, widać nie przywykł, żeby diabeł zwracał mu uwagę. Hm, no tak, pewnie nie miał zbyt wielu okazji, by do tego przywyknąć... .

– Dobrze, niech będzie Ezergil! Chcę odzyskać mojego syna... .

– Miał pan na to dwanaście lat.

– Tak, wiem, niech to diabli wezmą!

– Wezmą na pewno.

– Aa... . – Wiktor Nikołajewicz popatrzył na mnie stropiony. Cały jego zapach zniknął. – Czego ty chcesz? Tylko powiedz! Chcesz, to weź moją duszę zamiast Aloszy!

– Dziękuję, ale nie. Pańska dusza i tak należy do mnie. Niech pan sobie przypomni żonę, którą pan zamordował.

– Nie... . – jęknął Nienaszew, zasłaniając twarz, ale ja byłem bezlitosny.

– Niech pan sobie przypomni, jak katował pan syna w pijanym widzie!

Wstałem. Właściwie byłem najniższy z całego towarzystwa, ale myślę, że teraz wydawałam się wszystkim bardzo wysoki. Moje oczy płonęły mrocznym ogniem... . W ogrodzie wszyscy ujrzeni anioła w pełnym blasku, teraz mogli zobaczyć diabła. W pokoju powiało chłodem, mówiłem, a moje słowa ciągnęły się jak dziegieć w gęstym powietrzu.

– Niech pan sobie przypomni, co było po pogrzebie! Niech pan sobie przypomni, jak nie wpuścił syna do domu, dlatego że, rzekomo, za późno wrócił, a w rzeczywistości po prostu bał się pan spojrzeć mu w oczy! Wiedział pan, że on zdaje sobie sprawę, dlaczego zmarła pańska żona! Niech pan sobie przypomni, jak karał pan syna za kradzież pieniędzy. Za kradzież, której nie było! Przepijał pan pieniądze, a potem oskarżał dziecko!

– On ukradł... . wtedy... .

– Próbuje się pan usprawiedliwiać? Przede mną? Szkoda zachodu. Ludzie nie lubią diabłów i teraz już wiem, dlaczego. Ponieważ jesteśmy sędziami i katami, i na domiar złego nie można nas przekupić. Nie można nas ugłaskać. Wymierzamy sprawiedliwą karę i żaden adwokat nie może wnieść apelacji. Sam wydał pan na siebie wyrok. W tym życiu pozbawił się pan wszystkiego: ukochanej żony, syna i pracy. Od teraz pańskie życie to bramy i śmietniki. Odwrócił się pan od ludzi i teraz ich pogarda będzie pańskim jedynym towarzyszem. I tak aż do śmierci... . A po śmierci znów się spotkamy, obiecuję to panu. I wtedy usłyszysz pan ostateczny wyrok, w oparciu o całe pańskie życie.

– Diabie – powiedział poważnie, a nawet nieco uroczyście ojciec Fiodor. – Nie masz prawa determinować życia ludzi na ziemi. Nie możesz zaprzeczyć istnienia wolnej woli. I nie ty będziesz jego sędzią, tutaj. Tam tak, ale nie tutaj.

Uśmiechnąłem się do kapłana samymi wargami.

– Zgadza się. Ale czy sądzi pan, że spotka go inny los niż ten, który mu przepowiedziałem? Tak pan w niego wierzy?

Kapłan wstał.

– Wierzę! – powiedział twardo.

Otoczająca mnie ciemność drgnęła. Skłoniłem głowę.

– Pan wierzy, ale on nie. Po co on panu? Niech go pan zostawi!

– Każdy człowiek sam wybiera sobie swój los.

– On już wybrał.

– Dopóki człowiek oddycha, dopóty wszystko może się jeszcze zmienić.

Udałem, że się zastanawiam.

– To prawda. Ja nie dybię na duszę tego człowieka. Jego los należy do niego.

– A jego syn?

– Jego syn podpisał ze mną umowę. Nie ma pan nad nim władzy.

– Nie wierzę, żeby nie było jakiegoś sposobu! Schowałem rękę za plecy i dałem rozpaczliwy znak Alonie: no, włącz się! Dziewczyna od razu zorientowała się, w czym rzecz i stanęła obok mnie.

- Nawet ja nie mogę tu nic zrobić – powiedziała smutno. – Alosza sam dokonał wyboru. Ale może go jeszcze zmienić wyłącznie on sam.
- Pięknie! – Skrzywiłem się, włączając się do gry „dobry – zły”. – Chcesz zerwać naszą umowę i wszystko im opowiedzieć? Zapraszam! Chłopcu pomożesz, ale jego matce już nie!
- Alona nie stropiła się, może w szkole uczy się nie najlepiej, ale nie jest głupia!
- Tak. – Popatrzyła twardo na Aloszę. – Mogę powiedzieć, jak pokonać diabła w sobie. Woda święcona, którą mnie oblałeś, w niczym ci nie pomoże, nawet gdybyś się z nią nie rozstawał. Lecz jeśli teraz powiem, jak to zrobić, złamię umowę i twoja mama trafi do piekła. Jeśli nie znajdziesz sposobu sam, traficie tam oboje.
- A jeśli zwyciężę... poradzę sobie z diabłem? – spytał nieśmiało.
- Wtedy twoja mama znajdzie się w raju, obiecuję. A dokąd trafisz ty... to już będzie zależeć tylko od ciebie, masz całe życie na dokonanie wyboru. Ten pierwszy krok również należy do ciebie.
- Alosza zastanawiał się, gryząc wargi. Ojciec Fiodor chciał się wtrącić, ale odkrył, że nie może się odezwać. Alona rzuciła mu gniewne spojrzenie.
- To wybór chłopca, i tylko jego!
- Nie chcę się niczego dowiadywać! – powiedział stanowczo Alosza i popatrzył na mnie zajadłe. – A ciebie zwyciężę! Rozumiesz?! Pokonam cię! Tyle dostaniesz, a nie moją duszę! O! – Alosza złożył palce i pokazał mi figę.
- Omam nie parsknąłem śmiechem, Alona uśmiechnęła się.
- Słuszny wybór. A ja pomogę ci pod pewnymi względami. Nie mogę powiedzieć nic wprost, lecz aluzjnie... .
- Też nie możesz! – przerwałem.
- Mogę – odcięła się Alona. Podeszła do Aloszy i podała mu kotka. – Zaopiekuj się nim. On też stracił mamę i teraz został sam. Bez twojej pomocy zginie.
- Alosza niepewnie wziął kotka na ręce. Ten przeciągnął się, ziewnął, ufnie przywarł do chłopca i zamruczał. Alosza przytulił go do siebie.
- Zaopiekuję się.
- Alona skinęła głową z uśmiechem.
- Wierzę w ciebie. Uwierz w siebie i ty. Alosza poważnie skinął głową.
- Bravo! – wykrzywiłem się. – Działałaś na granicy!
- Lecz jej nie przekroczyłam – odparła anielica. Odwróciła się do Grigorija Iwanowicza, skłoniła się. – Dziękuję za gościnę, gospodarzu.
- Grigorij Iwanowicz skinął głową, ciągle oszołomiony.
- Alona odwróciła się i skierowała do wyjścia, ja za nią.
- Ej, stójcie! – Kapłan rzucił się za nami, ale gdy wyskoczył na dwór, oczywiście już nas nie zobaczył. Dziewczyna przystanąła przy furcie i odwróciła się do mnie.
- Myślisz, że Ksefon może nam coś popsuć?
- Nie wiem.
- Szkoda, że nie możemy podsłuchać, co się tam teraz dzieje. Wprawdzie ten twój koleś jest idiotą, jednak tym razem na pewno dokładnie obejrzy wszystkie kąty.
- Mnie też masz za kretyna? Oczywiście, że gdybyśmy schowali się w domu, Ksefon odkryłby nas błyskawicznie. Ale sądzę, że nie pomyślał o innej możliwości... .
- Wymyśliłeś coś?
- Wymyśliłem? Alona, widzę, że nie masz o mnie zbyt wysokiego mniemania. Ja nie tylko wymyśliłem, ale nawet już wszystko zrobiłem. Chodźmy.
- Dokąd?
- Chodź, chodź. – Wziąłem upartą dziewczynę za rękę i pociągnąłem do wyjścia z podwórka.
- Żeby nie zdradzić swojej obecności, po prostu przeszedłem przez ogrodzenie, nie otwierając furtki; Alona zrobiła to samo. Uśmiechnąłem się. Jeszcze niedawno sprawiało jej to ogromną trudność, a teraz proszę, jak się przy mnie podciągnęła... .
- Zaprowadziłem ją do hydrantu stojącego na przecięciu ulic. Obejrzałem się, czy nie ma nikogo w pobliżu i puściłem wodę. Mocny strumień uderzył w ziemię, rozbił się na tysiące kropel, które od razu uniosły się w powietrze.
- Alona ścisnęła moją rękę.
- Eżergil, ale to przecież ze szkoły wyższej! Nie mogliście tego omawiać!
- A nie wspominałem, że niektórych przedmiotów uczę się na wyższym poziomie? Przepraszam... .
- Iz kim związałaś tę cząsteczkę?
- A jak myślisz? Z kotkiem oczywiście! Przecież teraz Alosza będzie go wszędzie ze sobą nosił; dzięki temu będziemy mieli na niego oko.
- Och, ty!... I po co było tyle gadać o trosce i opiece?!
- Bo o to chodziło mi przede wszystkim, obserwacja to efekt uboczny. Zakładam, że Ksefon nie zna tej sztuczki... . A teraz mnie nie rozprasza.

Alona oczywiście mogła się jeszcze długo oburzać moim oszustwem, ale rozsądnie milczała. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego za każdym razem wychodzi z siebie, jak tylko odrobinę zakombinuję? To przecież nawet nie było oszustwo, tylko manewr taktyczny! Dobrze, muszę się skoncentrować, zaczyna się najtrudniejsza część.

Zmusiłem krople wody do utworzenia tęczy, odbijając w nich promienie słoneczne. Dobrze, że dziś ładna pogoda... Nakierowałem tęczę na siebie, przywołałem w myślach obraz kotka oraz słowo, które mu szepnąłem w języku międzyświatowym, miało teraz posłużyć jako klucz do jego umysłu. Muchy i pająki to drobiazg, może je sobie podporządkować każdy przedszkolak. Owady nie mają rozumu, całą operację przeprowadza się szybko i bez większego wysiłku. Problematyczne jest jedynie utrzymanie kontaktu, nie wolno się dekoncentrować. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że z tym pajakiem, który siedział w gabinecie dyrektora przeprowadzono ten sam obrządek, który teraz chciałem przeprowadzić ja. Gdyby było inaczej, dyrektor musiałby stale kontrolować pająka, a to dość uciążliwe. Chociaż, jeśli na krótko, to idealny sposób.

Krople tymczasem stworzyły połyskliwą kulę wielkości pięści. Skłoniłem ją, żeby spłynęła na moją dłoń i wpatrzyłem się w nią, nawiązując kontakt. Aha, jest ślad, który zostawiłem. Teraz połączenie... słowo... kontakt! Udało się! Upuściłem kulę i wytarłem spocone czoło.

– Gotowe!

Alona patrzyła na mnie spoje łba. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Podporządkowałeś sobie umysł bezbronnego kotka?!

Powiedziała to takim tonem, że aż się cofnąłem.

– Oczywiście, że nie! Po co mi to? Zresztą, i tak bym nie zdołał. Teraz będę jedynie widział i słyszał to, co widzi i słyszy kotek. Słowo honoru! Jego wolna wola na tym nie ucierpi!

– Nie wierzę ci! Wzruszyłem ramionami.

– Twoja sprawa. To co, będziesz patrzeć, co się dzieje w pokoju, czy nie?

Alona zastanowiła się.

– Będę.

I po co tyle gadać o nieuczciwości i zniewoleniu? Dlaczego, dlaczego muszę z nią współpracować?! Zresztą, głupie pytanie, wiadomo, że przez wujka.

– Znajdźmy jakieś spokojniejsze miejsce – zasugerowałem. – Gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

Popatrzyliśmy na siebie.

– Park! – zawołaliśmy chórem.

– Lecimy! – zawołała niecierpliwie Alona i pierwsza zaczęła biec, wznosząc tumany kurzu.

Zakląłem i pobiegłem za nią, próbując ją wyprzedzić, nie miałem ochoty wdychać kurzu.

Park był właściwie niewielkim laskiem otoczonym domami. Gdy stawiano budynki, lasku z jakiegoś powodu nie ruszono; może grunt był tam zbyt grząski, a może jeszcze coś innego, w każdym razie zostawiono go w spokoju i teraz był tutaj oazą przyrody. Chociaż tak właściwie to dzielnica domków jednorodzinnych, więc czego jak czego, ale zieleni nie brakowało.

Zagajnik schodził na brzeg niewielkiej rzeczki i w weekend wypełniał się ludźmi, którzy przyjeżdżali tu z nowej części miasta, jak sami mówili, na łono przyrody. Ludzie są dziwni... Zresztą, nieważne, najważniejsze, że w tej chwili laszek był dla nas idealnym miejscem. Krzaki skrywały nas przed wzrokiem przechodniów, drzewa dawały chłód. Bajka.

– No, szybciej! – poganiała mnie Alona, siadając na ziemi pod rozłożystym dębem.

– „Szybciej, szybciej” – przedrzeźniałem ją. – Łatwo ci mówić... Ja tę sztuczkę robię dopiero drugi raz w życiu! A tak, żeby ją komuś pokazać, to w ogóle po raz pierwszy!

– O, Ezergil, jestem pewna, że ci się uda! Jesteś taki zdolny...

– Hej, pochlebstwo to moja domena, tobie i tak nie wychodzi. Chcesz, to cię potem nauczę?

– Ezergil, dość gadania! Weź się do roboty!

– Proszę bardzo, złośczenie się to co innego, to robisz na medal.

– Ezergil!

– No już, już milczę.

I rzeczywiście zamilkłem, ale nie dlatego, że Alona się tego domagała, po prostu musiałem się skupić. Nawet szkoda, z przyjemnością bym się z nią jeszcze podroczył.

Usiadłem w kucki, złożyłem dłonie razem i zacząłem w nie patrzeć, szukając nastrojonego przeze mnie kanału. Gdybym nie musiał pokazywać obrazu Alonie, wszystko byłoby znacznie prostsze, mógłbym jednocześnie robić inne rzeczy. A tak muszę tu siedzieć...

– Patrz uważnie – poleciłem. – Teraz spróbuję dostroić odbiór do ciebie.

Na moich dłoniach pojawiła się i zaczęła rosnać kula utkana ze światła. Osiągnęła wielkość piłki futbolowej, potem jeszcze urosła... Rozłożyłem ręce i klasnąłem. Kula stała się lustrzana, a potem pojawił się w niej obraz tego, co widział kotek.

– Uff. – Otarłem pot z czoła. – Już myślałem, że się nie uda.

– Brawo, Ezergil! Jesteś świetny!

– Wiem.

– Ale niezbyt skromny – dodała od razu.

– Skromność? A co to takiego?

– Ezergil, przestań, daj posłuchać! Wzruszyłem ramionami. Dziewczyнки! Przecież sama zaczęła! Jednak szybko przyznałem jej rację i również zacząłem słuchać tego, co mówili w pokoju. Właśnie przemawiał Ksefon. Też mi Cyceron...

– I wy mu wierzycie? – pytał patetycznie, stojąc pośrodku pokoju z ręką uniesioną nad głową. Kapłan słuchał go uważnie, ale Wiktor Nikołajewicz był zbyt zajęty próbą nawiązania kontaktu z synem. Malarz natomiast wyszedł już z osłupienia i teraz przyglądał się Ksefonowi z wyraźnym zainteresowaniem, pewnie nie tyle z powodu jego przemowy, co samego faktu oglądania żywego diabła. – On jeszcze nigdy w życiu nie powiedział słowa prawdy! Zawsze wszystkich oszukiwał!

O kim mówi? Czyżby o mnie?

– Naprawdę wszystkich? – spytał uprzejmie ojciec Fiodor.

– Naprawdę! Dlatego właśnie mówię, że to ja jestem waszą jedyną nadzieją w walce z nim. Tylko dzięki mnie zdołacie go pokonać.

– Już mi pomogłeś – burknął Alosza. – Do tej pory nie mogę się pozbyć tych twoich pieniędzy. – Skinął głową na walizkę z dolarami, którą miał przy sobie Nienaszew.

Ksefon odwrócił się do niego.

– Czyja ci kazałem nimi szastać? Gdybyś wydawał powoli, nikt by o niczym nie wiedział!

– Ja w ogóle ich nie wydawałem!

– To jakim cudem pół miasta wie, że masz worek pieniędzy?

Ksefon i Alosza patrzyli na siebie gniewnie.

– To moja wina – odezwał się nagle ojciec Aloszy. Wstał ciężko i podszedł do syna. Alosza skulił się, Wiktor Nikołajewicz drgnął i stanął. Westchnął, usiadł przed chłopcem na podłodze, popatrzył na niego. – Loszka... synku... wysłuchaj mnie, proszę cię! Nie proszę, żebyś mi wybaczył... bo wiem, że tego nie zrobisz... nie zasłużyłem. Po prostu mnie wysłuchaj... Boże mój, musiałem wpakować się w to wszystko, żeby zrozumieć, jakim byłem głównym...

Zerknąłem na kapłana. Ten marszczył brwi i gryzł wargi, uważnie obserwując Wiktora Nikołajewicza. Wyraźnie chciał się wtrącić, jednak nie robił tego. A gdy Ksefon spróbował się odezwać, zmusił go do zamilknięcia – podniósł rękę, jakby chciał zrobić znak krzyża i diabeł od razu zamknął usta, cofnął się o krok, zerkając bojaźliwie na kapłana. Widocznie ciągle pamiętał tamten dotyk.

– A do tego jeszcze kpiny tego... – Przy tych słowach Nienaszewa kapłan spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nie wiem, jak to powiedzieć... No, generalnie jestem z tobą. Nie wiem, czy zdołam ci pomóc, ale zrobię wszystko... – Wiktor Nikołajewicz machnął ręką, wstał i skierował się do drzwi, ocierając łzy ukradkiem.

Po jego wyjściu w pokoju zapanowała cisza.

– Być może – odchrząknął nieśmiało Grigorij Iwanowicz – chciałbym jednak wiedzieć, co się tu dzieje?

– A to już niech nasz młody czło... nasz młody diabeł wszystko wyjaśni. Ja również wielu rzeczy nie rozumiem. I proszę cię, Ksefonie... Czy dobrze wymawiam twoje imię? No więc, Ksefonie, powiedz nam szczerze, co mamy zrobić, żeby pokonać tego strasznego Ezergila?

Po chwili zastanowienia Ksefon skinął głową.

– Dobrze. Bo jeszcze z głupoty nawyprawiacie takich rzeczy...

Ksefon jest jednak niesamowity, Dzień, w którym nikogo nie obraził, uważa za stracony.

– Krótko mówiąc, to nasze szkolne zadanie... – Ksefon dość jasno wyłożył tę wersję, którą mu starannie podsuwałem, że usiłuję zaciągnąć Aloszę do piekła, żeby zdobyć od razu dwie dusze: chłopca i jego matki.

– Czy coś takiego jest praktykowane w piekle? – zainteresował się nieśmiało malarz. – Naprawdę kradniecie dusze?

– A komu potrzebne te wasze dusze! – parsknął Ksefon. – Sami je nam przynosicie... Już byśmy nie mieli co robić, tylko je kraść. To po prostu kwestia zasady. Najprostszy sposób wykonania zadania. Normalka.

Jasne, skoro najprostszy, to na pewno z niego skorzystam. Tiu, tiu, tiu. Szkoda, że Ksefon zapomniał, iż nie jestem idiotą i wiem, że najprostszy sposób wcale nie znaczy najlepszy.

Na chwilę oderwałem się od paplaniny tego durnia i odkryłem, że w pokoju nie ma Aloszy! Kotek spokojnie drzemał na fotelu, a chłopca nie było! Hej, to nieuczciwie! Ja się tak nie bawię! Dlaczego nie wziął kotka ze sobą?! Jednak okazało się, że nie tylko ja spostrzegłem jego nieobecność. Zauważył to również kapłan, z tym, że on nie wyglądał na zaskoczonego, a jedynie z obawą zerkał na drzwi. Gdy Ksefon monotonicznie głądził, jaki ze mnie podstępny drań, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł chłopak wraz z Wiktorem Nikołajewiczem. Aleksiej nadal boczył się na ojca, ale już przed nim nie uciekał, a Nienaszew patrzył na chłopca tak, jak patrzy się na cenną i kruchą rzecz, którą w każdej chwili możesz utracić. Było widać, że chce porozmawiać z synem, ale boi się zerwać nawiązany kontakt.

– Jest! – zawołałem, podskakując. Alona odsunęła się przestraszona, a potem mnie skłęta.

– Głupek – podsumowała.

– Być może – przyznałem. – Ale genialny głupek! No i jak, ładnie wyszło? Żeby tylko teraz tatuś czegoś nie sknocił! Żeby się tylko nie upił!

– Mogę to zorganizować. Sprawię, że na pewno nie zechce się napić.

Popatrzyłem na nią ponuro.

– Pamiętasz, co mówiłem o pokoju hermetycznym?

– Co mi ciągle wyjeżdżasz z tym pokojem?!

– Te problemy, które tylko ludzie mogą, powinni, rozwiązywać sami. A może tak nie lubisz Wiktora Nikołajewicza, że chcesz zrobić wszystko za niego?

– A co to ma do rzeczy? – oburzyła się Alona.

– A ma! Co według ciebie będzie więcej ważyło na Wadze Sprawiedliwości: jego dobrowolna rezygnacja z alkoholu dla syna czy abstynencja na skutek twojej ingerencji? Chociaż, być może aż tak w niego nie wierzysz, że faktycznie nie pozostaje nic innego, jak mu pomóc w ten sposób...

– Dobrze, dobrze, rozumiem! – zawołała Alona. – Jak ja nie znoszę, gdy masz rację! Po prostu ciężko mi, gdy wiem, że można człowiekowi podać rękę, a nie należy tego robić!

– Popłacz sobie, to ci ulży. Przecież wy, dziewczynki, bardzo to lubicie.

– Ezergil!

Uśmiechnąłem się w duchu. Wystarczyło ją rozzłościć i już oderwała się od smutnych myśli. Jedna uwaga i znów jest w formie, o, proszę, jak jej oczy błyszczą.

– A co, nie jest tak?

– Zaraz dam ci w łeb!

Po niej można się wszystkiego spodziewać, anioleczek jeden.

– To co, mam przeprosić?

– Obejdę się – prychnęła Alona. – Pewnie jak byś przeproszał, to i tak trzymałbyś w kieszeni skrzyżowane palce.

– A właśnie, że nie! – odparłem szczerze. W końcu szczerść jest bardzo ważna, zwłaszcza w kontaktach z aniołami. Przecież nie chciałem krzyżować palców jednej ręki, tylko dwóch. Ale czy ona to zrozumie? A skąd! Przecież to anioł!

Krótkim parsknięciem skwitowała moje usprawiedliwienia i wróciła do oglądania tego, co działo się w pokoju. Ale tam tak właściwie nic się już nie działo. Kapłan usiłował wyprowadzić Ksefona z domu, ale ten się opierał. W końcu ojciec Fiodor stracił cierpliwość i po prostu pobłogosławił dom, a wtedy Ksefon wyskoczył z niego jak z procy, klnąc w żywy kamień „nienormalnego świętoszka”, a moja kula pękła. Zakląłem.

– No i co teraz? – spytała Alona. Przyjrzałem jej się badawczo. Wzdrygnęła się i rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

Wstałem i obszedłem ją dookoła, oglądając od stóp do głowy. Cofnęła się.

– Coś ty znowu wymyślił? Pamiętaj, że nie wezmę udziału w żadnych świątwniach! W ogóle nie powinnam się z tobą kontaktować... i... i w ogóle...

– Chcesz pomóc Aloszy?

– Oczywiście!

– Czyli musimy wiedzieć, co się dzieje w domu.

– No... tak...

– A po tym, jak kapłan pobłogosławił dom, ja już nie zdołam do niego przeniknąć.

– Naprawdę?

– Nie udawaj głupiej! Przecież sama świetnie o tym wiesz!

– No dobrze, ale co ja mam do tego?

– Dużo! Zrobisz nową kulę i będziesz patrzeć w nią sama! Dla ciebie błogosławieństwo nie jest przeszkodą, przeciwnie, jeśli przeprowadzono je z czystym sercem, na pewno doda ci sił. A musiało być potężne, skoro mnie w takim tempie wymiotło.

– Ale mnie się nie uda! Nie uczyliśmy się tego! Ja nie potrafię!

– Nauczę cię!

– Ale ja...

– Cicho! Posłuchaj mnie! – O dziwo, po moim okrzyku Alona rzeczywiście zamilkła. – Tak naprawdę nie ma w tym nic trudnego. Pokażę ci nic przewodnią, tylko musisz sama przejść przez zasłonę, bo ja nie zdołam zbliżyć się do domu. Rozumiesz?

Skinęła głową.

– I tak mi się nie uda...

– Przestań! Sama mówiłaś, że najważniejsze to wierzyć w siebie! No to uwierz, do diabła, w siebie!

– Postaram się...

– Nie staraj się, tylko to zrób!

Alona zasapała, ale posłusznie wzięła się do pracy. Uważnie słuchała moich wskazówek... Ale po kilku minutach prób zrozpaczona oparła się o drzewo.

– Nic mi z tego nie wyjdzie – mruknęła osowiale.

Popatrzyłem na nią, gryząc wargę.

– Mam pewien pomysł... – zacząłem.

– Tak?

– Pamiętasz, jak wprowadziłaś mnie do cerkwi?

– O, nie... To znaczy... ee... – Alona popatrzyła na mnie z niechęcią. – Jesteś pewien, że nie ma innego wyjścia?

– Możemy spróbować jeszcze raz. Alona pokręciła głowę.

– Dobrze, daj rękę. Ale to już ostatni raz! Wpuszczanie diabła do własnego umysłu nie jest zbyt przyjemne.

– Dzięki. Ja też cię lubię.

Burknęła coś pod nosem i ujęła moją dłoń.

– Przygotuj się...

Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak za pierwszym razem, tylko teraz nie zająłem do jej myśli nawet brzeżkiem świadomości. Zacząłem ostrożnie kierować jej ruchami, mówiąc, co ma robić.

– Alona, otwórz mi tę część umysłu, przy pomocy której próbujesz nawiązać kontakt.

Niemal fizycznie poczułem jej niechęć do otwierania przede mną choćby cząstki swojej świadomości. Jednak wbrew moim obawom, nie opierała się i wreszcie mogłem bezpośrednio, od środka, zobaczyć, co ona robi. Szybko znalazłem błąd i pokazałem go jej.

– Aha... – zdumiała się Alona. – Czyli tak?... Dobrze, spróbujemy...

Błyskawicznie chwyciła przeciągniętą przeze mnie nić i poszła nią. Jeszcze chwila i... dosłownie wpadliśmy do mieszkania malarza! Nie materialnie oczywiście, ale dla nas było to równie drastyczne i niespodziewane.

– A to dopiero! – zawołałem. – Słuchaj, zdaje się, że to dzięki kapłanowi! Jego błogosławieństwo wielokrotnie spotęgowało twoje umiejętności! No proszę, nie wiedziałem, że anioły mogą wzmacniać swoje możliwości poprzez ludzi!

– Nie wszyscy ludzie się do tego nadają – odparła spokojnie Alona. – Tylko nieliczni. Ten kapłan jest jednym z nich. A teraz bądź cicho, w końcu nie przyszliśmy tu po to, żeby sobie pogadać! Posłuchajmy, co mówią!

– A wiesz, że anioły nie powinny podsłuchiwać? Alona prychnęła pogardliwie.

– Przymknij się. Diabeł będzie mi mówił, co wolno aniołom, a czego nie!

Nie odpowiedziałem. Po pierwsze, nie kłóć się z damami. A po drugie, faktycznie nie przyszliśmy tu na pogaduszki.

Rozejrzałem się. Alosza spokojnie drzemał w fotelu z kotkiem w objęciach. Obok niego siedział Wiktor Nikołajewicz i patrzył na syna z przejmującym smutkiem w oczach. Co jakiś czas wyciągał rękę, żeby go dotknąć, ale w ostatniej chwili cofał ją, jakby się bał, że obudzi chłopca. Zdaje się, że nie interesowało go nic prócz syna. Kapłan w zadumie przechadzał się po pokoju.

– Nie rozumiem! – mówił. – Nic nie rozumiem! Grigorij Iwanowicz patrzył na niego zaskoczony.

– Co pana niepokoi?

– Wszystko. Wszystko! Malarz zawahał się.

– Nie wierzy ojciec, że to były diabły i anioł? Ojciec Fiodor przystanął na chwilę.

– Chciałbym myśleć, że to wszystko tylko oszustwo... Ale, niestety! Jak inaczej można wytłumaczyć to, co się tu stało?

– Kosmici – odparł szybko malarz. – Pozaziemska cywilizacja, która wyprzedziła naszą o tysiące lat.

Kapłan zamyślił się.

– Załóżmy. Ale po co by to wszystko urządzali?

– A kto ich tam wie?

– Nie. – Ojciec Fiodor pokręcił głową. – Gdy położyłem rękę na ramieniu tego Ksefona... Nie, to niemożliwe. I niech pan sobie przypomni, co pan czuł, gdy ta dziewczyna nagle zajaśniała! Jednym słowem, to, że były tu diabły i anioł, to fakt.

– Już wolałbym kosmitów – burknął malarz. Kapłan jakby go nie usłyszał.

– Ale nie rozumiem tego Ezerzila, zupełnie nie rozumiem. Bez wątplenia jest mądrzejszy od Ksefona, chociaż udaje żartownisia i psotnika...

Hm, mądrzejszy od Ksefona, też mi komplement! Chciałbym zobaczyć kogoś głupszego od Ksefona. Poza tym nikogo nie udaje. Też coś...

– Usilnie starał się nas przekonać, że poluje na duszę Aloszy i jego matki.

– A co tu jest nie tak? – Wiktor Nikołajewicz ocknął się, słysząc imię syna.

– Wszystko! Dowodził, że chce dostać ludzkie dusze, a jednocześnie niemal otwarcie mówił o tym, jak jego, diabła, pokonać!

– Ee... a może czegoś nie zrozumieliśmy? – Rogożew i Nienaszew popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– Przypomnijcie sobie! Ezerzil jasno dał do zrozumienia, że nie ma sensu walczyć z nim przy pomocy różnych symboli; w grę wchodzi wyłącznie wiara! Jednocześnie wyśmiał fanatyków, mówiąc, że nie chodzi o ślepą wiarę, lecz o coś innego... Tylko o co?...

No, myśl, myśl, myśl! Nie pozwól, żebym się co do ciebie rozczarował! Czyżbym na darmo tuż pod nosem Ksefona dawał różne aluzje?!

– Ja chyba zrozumiałem – powiedział cicho Nienaszew.

Oho, ho, czyżby? Ciekawe, co ty tam zrozumiał. Na ciebie akurat wcale nie liczyłem. . .

– Ten EzerGil mówił o wierze w siebie. O tym, że Bóg jest wokół nas i w każdym z nas. I że każdy człowiek, jeśli tylko chce, może stać się lepszy. . . może zbliżyć się do Boga. Najważniejsze to uwierzyć. Uwierzyć w siebie i chcieć się poprawić. Zrobić pierwszy krok.

Ha! Jednak ten typ nie jest beznadziejny! Jakim człowiekiem mógłby być, gdyby tylko nie pił! Szkoda, że nie można zobaczyć, jaką rodziną byliby Nienaszewowie, gdyby Wiktor nie był alkoholikiem. . . Pewnie całkiem niezłą. Pokręciłem głową. Kurczę, czy on sam tego nie żałuje?

– To możliwe – przyznał w zadumie kapłan.

– Moim zdaniem tak jest na pewno.

Chciałem powiedzieć, że wątpliwości dowodzą inteligencji! Gdy człowiek jest zbyt pewny siebie, staje się zarozumiały.

– Możliwe – powtórzył kapłan. – Nie rozumiem tylko, po co EzerGil dawał nam te wskazówki? Przecież chce zwyciężyć! Coś tu jest nie tak. Może właśnie chce, żebyśmy uwierzyli w to, co mówił, a prawda leży w zupełnie innym miejscu?

W innym, w innym, niech to szlag! A nadmierne wątpliwości do niczego dobrego nie prowadzą!

Teraz na kapłana patrzył i Nienaszew, i malarz – obaj czekali, że duchowny wygłosi jakąś mądrość. Uuu. . . A samemu ruszyć głową nie łaska?

Ale kapłan naprawdę był mądry. Spostrzegł utkwione w sobie spojrzenia i nic nie powiedział.

– Muszę to wszystko starannie przemyśleć – rzekł tylko w zadumie. – Przepraszam, ale już pójdę. Chciałbym poczytać. . . Wiktorze Nikołajewiczu, raczej nie powinien pan wracać do domu, pewnie tam na pana czekają. . . Zaprosiłbym was do siebie, ale obawiam się, że to również nie będzie bezpieczne. Widziało nas razem zbyt wiele osób. . .

– A po co mieliby gdzieś iść? – zdumiał się Grigorij Iwanowicz. – Niech przenocują u mnie.

Ojciec Fiodor popatrzył uważnie na malarza.

– Rozumie pan, w co się pan pakuje? Ci ludzie, którzy chcą zdobyć walizkę z pieniędzmi, nie będą się ceregielić.

– Pakuję się? Odniosłem wrażenie, że już dawno się wpakowałem.

– Nie. Jeszcze może się pan wycofać.

– I zostawić to dziecko na pastwę losu? Nie. Niech się pan o mnie nie martwi. Nikt nie wie, że oni tu są.

Kapłan w zadumie skinął głową i popatrzył na Wiktora Nikołajewicza. Ten pokręcił głową zakłopotany.

– Nie chciałbym sprawiać gospodarzowi kłopotu. . . I tak tyle już dla nas zrobił. . .

Grigorij Iwanowicz podszedł do Nienaszewa i wyszczał mu w twarz, starając się nie obudzić dziecka:

– Naprawdę myślisz, że puszczę chłopca z tobą po tym wszystkim, co tu usłyszałem? Jeśli chcesz, zabieraj tę diabelską walizkę i zjeżdżaj, ale Losza nigdzie stąd nie pójdzie!

Nienaszew cofnął się przestraszony, ale od razu wziął się w garść.

– Pan. . . pan. . . – zaczął, ale pod wściekłym spojrzeniem malarza od razu spasował. – Pewnie na pańskim miejscu też nie ufałbym takiemu ojcu. . .

– Niech mnie pan przekona, że nie mam racji. Niech pan sprawi, żebym w pana uwierzył.

– Czy nie nadużywamy ostatnio słowa „wiara?” – zastanowił się na głos ojciec Fiodor. – A jednak to ma sens. . . Tak, Wiktorze Nikołajewiczu, będzie się pan musiał bardzo napracować, żeby odzyskać zaufanie ludzi. . . Dobrze, pójdę już. . . Muszę sprawdzić pewne rzeczy. . . Nie wychodźcie z domu bez potrzeby, uważajcie, żeby sąsiedzi was nie widzieli. Przyjdę jutro rano.

Dalej mogliśmy już nie słuchać, było jasne, że nic ważnego się nie wydarzy. Dałem znak Alonie, żeby przerwała kontakt.

– Co teraz? – zapytała.

W zadumie zabębniłem palcami w pień drzewa.

– Ten kapłan jest zbyt mądry – wymruczałem.

– A od kiedy to jest przestępstwem? – spytała kaśliwie Alona.

– Nie jest. Problem w tym, że on rozgryzł moje aluzje, a to znaczy, że będzie wątpił, czy te rady są prawdziwe. Wśród ludzi diabły cieszą się złą sławą. . .

– Dziwne. . .

– Nie musisz się wyzłośliwiać. – Machnąłem ręką. – Powiedz lepiej, co robić?

– A może by tak powiedzieć prawdę?

– Żartujesz sobie? Chociaż. . . – zastanowiłem się. – Taki wariant nie przyszedł mi do głowy. . .

– A pewnie, gdzieżby ci przyszło do głowy, żeby wszystko szczerze opowiedzieć. Szczerość w ogóle nie mieści się w twoim repertuarze.

– No wiesz. . . czasem nawet szczerością można oszukać.

– Dość tego! Powiedz lepiej, co wymyśliłeś?

– Sama przecież już powiedziałaś. Opowiemy wszystko szczerze.

– Jesteś pewien?

Westchnąłem i zamyśliłem się. Jak Stirlitzowi spodobało mi się, więc zamyśliłem się jeszcze raz. No dobrze, dowcipkuję sobie, a to tylko znaczy, że nie jestem pewien. Ale coś jednak trzeba zrobić! Kapłan mnie rozgryzł, nie może tylko zrozumieć, po co mu to wszystko opowiedziałem. To znaczy, że będzie wątpił. Będzie sprawdzał i sprawdzał w nieskończoność, a to strata czasu. Mało tego, on może zupełnie nie uwierzyć, a wtedy...

– Obawiam się, że nie mamy wyboru – westchnąłem.

– Teraz się obawiasz? – zdenerwowała się Alona. Jak rany, czemu ona się czepia słów? Co jej się teraz nie podoba? – Nie obawiasz się tylko wtedy, gdy sterujesz ludźmi, co? Gdy tańczą, jak im zagrasz?!

– Ja bym tak tego nie ujął...

– A właśnie, że tak! Ezergil, naucz się ufać ludziom!

– Ludziom?...

– Ludziom!

– Już się rozpędziłem. Ale kapłanowi chyba zaufam.

– A on to co, nieludź niby? A może ufasz mu dlatego, że jest duchownym?

– O, co to, to nie! Popom miałbym ufać, jeszcze czego! Zawierzę mu dlatego, że jest mądry! A to jedyne kryterium, które sprawia, że kogoś szanuję.

Alona prychnęła i odwróciła się. Chyba się obraziła. Co ja niby takiego powiedziałem?

– Skoro mamy iść, to chodźmy – powiedziała bezbarwnym głosem.

Chyba naprawdę się obraziła... I wtedy do mnie dotarło. Kurde, kurde, kurde... przecież tyle razy się z nią drażniłem, mówiłem, że nic nie umie! I teraz wzięła sobie moje ostatnie słowa do serca! Skoro nic nie umie, to nie jest mądra, a jak nie jest mądra, to znaczy, że jej nie szanuję... O, matko boska... Tfu, tfu, tfu, zupełnie mi się w głowie pomieszało przez tę dziewczynę! Jeszcze trochę, a zacznę się modlić! No dobrze, ale przecież ja wcale nie to miałem na myśli! Przecież nie uważam jej za idiotkę! Leń – tak, niedbaluch – owszem, ale nie idiotka! Przeprosić ją, czy jak? Tylko pogorszę sprawę... Ale z drugiej strony, to by znaczyło, że liczy się z moim zdaniem, że jest dla niej ważne... O rany! Od razu poczułem się raźniej.

– Alona, jesteś bardzo mądra! – zawołałem niemal na cały park. Podbiegłem do niej i opierając się na jej ramieniu, podskoczyłem tak wysoko, jak tylko zdołałem.

– Ty kretynie! Bałwanie! Wariacie! – Alona straciła równowagę, upadła i teraz wyzywała mnie, z wielką starannością dobierając słowa. A ja się tylko śmiałem. Gdy wreszcie wyczerpała zapas wyzwisk, spojrzała na mnie podejrzliwie i spytała: – Czy ty przypadkiem nie jesteś chory?

– Jestem! – wyznałem ze śmiechem. Przecież wszyscy ludzie uważają miłość za chorobę. Że też musiałem zakochać się w aniele! Koszmar! – I to jeszcze jak chory! W dodatku wcale nie chcę się leczyć.

Alona demonstracyjnie zrobiła palcem kółko przy skroni i poszła do wyjścia z parku. Szedłem za nią, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała, gdy już dostanie skrzydła. Wychodziło mi, że odlotowo. Obejrzałem siebie i westchnąłem. Ech, nawet z ogonem nie będę przystojniakiem... Ale za to jestem mądry, tu już nikt nie zaprzeczy. A jaki skromny...

Uspokojony tymi myślami, zacząłem iść z dumnie uniesioną głową. Naprzód! Anioł i diabeł działają razem! Kto odważy się wystąpić przeciwko nam?! No, kto?! Może wy?!

Koniec tomu pierwszego